

TOM CCLXXVIII.

De. II. 1.

ROK 70.

SERYA 9.

ZESZYT 833.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

M A J.

1910.

---

TOM II.—ZESZYT 2.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1910.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i> . . . . .	209
2. ZNIESIENIE UNIwersYTETU WILEŃSKIEGO, — przez <i>Henryka Mościckiego</i> . . . . .	232
3. BILANS NARODOWY,—przez <i>Ludwika Włodka</i> . . . . .	263
4. MICKIEWICZ W ŚWIETLE NIEZNANYCH PISM,—przez <i>d-ra Maryana Szyjkowskiego</i> . . . . .	294
5. EDWARD ROD,—przez <i>Orwida</i> . . . . .	319
6. ZAGADNIENIE POLSKIEJ FILOZOFII NARODOWEJ,—przez <i>d-ra Stanisława Garfein-Garskiego</i> . . . . .	332
7. ZAPIS STASZICA I WARSZTATY JEGO IMIENIA,—przez <i>d-ra Wacława Męczkowskiego</i> . . . . .	350
8. PIŚMIENICTWO:	
J. U. NIEMCEWICZ: „Pamiętniki z 1830—31 roku,“—przez <i>J. I.</i> . . . .	373
MARYLSKI ŁUSZCZEWSKI ANTONI: „Historja włościan w Polsce; czasy najdawniejsze do początku XVIII wieku i wolna ludność wieśniacza,“—przez <i>I. B.</i> . . . . .	375
DIVEKY ADORYAN DR.: „Magyarország szerepe a Lengyel Renaissanceban,“—przez <i>I. B.</i> . . . . .	378
GABRYELA ZAPOLSKA: „Szaleństwo,“—przez <i>H. G.</i> . . . . .	379
DR. ROMAN DYBOSKI: „O życiu akademickiem na uniwersytetach angielskich,“—przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	381
ANTONI MENDER: „Prawo do całkowitego wytworu pracy,“ — przez <i>W. D.</i> . . . . .	383
ALEKSANDER GOTTLIEB: „Położenie stróżów kamienicznych w Krakowie,“—przez <i>W. D.</i> . . . . .	385
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Rewizya senatora Neudhardta. — Macierz szkolna w ks. Cieszyńskiem.—W sprawie obchodu Grunwaldzkiego.—Wybory posła w Poznaniu.—Zniesienie autonomii w Finlandyi.—Młodzież polska przeciw kabaretom.—Ziemstwa na Litwie i Rusi . . . . .	388
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	406





De. I 1.

# OPOKA.

## X.

Nazajutrz po zamachu Obroński złożył wizytę wysokiemu dygnitarzowi, któremu szczęśliwie udało się uniknąć śmierci. Ordynat uczynił to z przekonania, a także poniekąd przez duch przekory, dla rozjuszenia partii skrajnej, z chęci oburzenia nieprzejednanych, którzy zarzucali mu służalstwo. Wydrukował jednocześnie w piśmie konserwatywnem list otwarty, zawierający namiętną napaść na sprawców zamętu i skrytobójców, pragnąc wywołać dyskusję, któraby dopomogła do wyświeślenia sytuacji, wydobyła na wierzch ukryte sympatyje rewolucyjne, ułatwiła podział społeczeństwa na dwa wyraźne odciany, bez którego to podziału wszelka poważna robota stawała się niemożliwą. Było to ostatnie jego wystąpienie na szerszej widowni. Gdy w wagonie podczas nocy bezsennej, wśród nękającej zadumy, ukazało mu się widmo zmarowanego życia, postanowił zasłonić je działalnością polityczną i łudził się, że wystarczy mu, jak Cezarowi, przyjść, ukazać się, wyrazić chęć, żeby zdobyć społeczeństwo. Ale rychło przekonał się, że minęły dobre czasy, w których na niego, stojącego na uboczu w pozie pogardliwej czy lekceważącej, zwrócona była uwaga ogółu, kiedy to spodziewano się po nim wielkich rzeczy i zapatrywano się na niego, jak na obiecującą tajemnicę. Był tu i owdzie z wizytami, prowadził rozmowy z wybitnymi mężami, napomykał o swoich zamiarach, puścił w kurs kilka zjadliwych aforyzmów, próbował zapraszać na narady — i doznawał na każdym kroku zawodu. Wytworzyła się dokoła niego pustka, otoczył go kolący żywopłot niechęci. Jedni stronili od niego, zrażeni jaskrawem wystąpieniem zeszlorocznem, inni mieli słuszny żal z powodu złośliwej krytyki, której nie szczędził, inni bali się współzawod-

nictwa, niektórzy narzekali na liche kolacye, podawane podczas zebrań, szerszy ogół zapominał o nim. Wybitni mężowie słuchali go z roztargnieniem, zbywali półsłówkami, robili tajemnicze miny, które oznaczały, że oni posiadają wiedzę i władzę, ale że im nie wolno zdradzać doniosłych sekretów stanu przed pierwszym lepszym niepowołanym... Wybitnym mężom także zależało na tem, by nie utracić nic ze swoich wpływów, i nowy rywal, któremu nie zbywało na zdolnościach, nie wszystkim był na rękę... Role były rozdane, miejsca zajęte... Podczas długiej, prawie sześciomiesięcznej nieobecności ordynata zaszły w życiu społecznem zmiany, ukazały się na niebie politycznem nowe komety czy meteory, dojrzały w gabinetach niespodziane kombinacye. Wiosna wolności, jakkolwiek chłodna, niestała i niepewna, sprzyjała wzrostowi ambicyi, na arenie, a zwłaszcza za kulisami, toczyły się zapasy, szybki prąd wydarzeń wyrzucał na nizki brzeg popularności coraz to innych wodzów, tworzone nowe wyrazy, a stworzywszy wyrazy, budowano jakieś „platformy...”

Trzeba było walczyć, wciskać się gwałtem, zaskarbiać sobie łaski stronnictwa, które rządziło krajem, należało poczynić ustępstwa, niejedno przemilczeć, wyczekiwać przebiegle, a do tego Obroński nie miał ani zdolności, ani skłonności... Ponieważ nie udało mu się zdobyć stanowiska wstępnym bojem, wolał usunąć się w cień. Zabrakło mu wytrwałości i zapewne onej miłości dla celu i sprawy, o której wspominał brat Konstancy, na którą powoływał się sędziwy prezes Marynowski, gdy wypowiadał przed nim swoje żale na „lekkomyślne, bałanutne, zbałamucone“ społeczeństwo, brakowało najbardziej wiary. Krótki epizod zabiegów politycznych minął, nie zostawiając po sobie nawet goryczy. Wśród zajęć codziennych widmo zmarnowanego życia przestało dokuczać, zgasły górne a smutne myśli, które napastowały onej nocy w wagonie.

Obroński bywał w świecie, czytał, zajmował się interesami, prowadził rokowania z robotnikami, często widywał się z panią Bronią Skrzycką, którą wielbił przed rokiem, która zaczynała go nudzić, i spychał dnie za dniami. Było to życie normalne, życie światowe i czynne, pospolite, ziemskie i wygodne, ale on właśnie takiego pragnął dla siebie. Zdawałoby się, że w takich warunkach istnienie powinno być zakwitnąć zadowoleniem. Tymczasem ordynat odczuwał pustkę i niekiedy doznawał wrażenia, że jakaś obręcz otacza go żelaznym pierścieniem, że koło, w którym on jest zamknięty, zaciska się i zwięża, że tak dłużej trwać nie może, że trzeba zdobyć się na coś, ażeby wyjść i wyrwać się.



Nie wiedział zaś, co ma uczynić, albo przedsięwziąć. Trzeźwy rozum potępił oddawna wszystkie projekty i rojenia młodości. Był niegdyś zamiar rozdania całego majątku chłopom i utworzenia wzorowej gminy, marzyły się przez czas jakiś legiony, potem wyrastał w ciszy pałacu wiejskiego plan założenia skarbu narodowego, potajemnej ambasady w Londynie, wielkiego dziennika, szkoły wojskowej w Szwajcaryi... Kosa czasu podcięła i strąciła wszystkie one sny. Zostały po nich jakaś zgrzebna koszula, pług i siekiera, kilka brulionów odezw, trochę zapisanych kartek i trochę wspomnień. Zmieniły się ideały i program, i życie uległo odpowiednim przeobrażeniom. Użyteczność i szczęście zajęły teoretycznie miejsce marzeń o bohaterstwie i doskonałości, na praktyce było dużo pracy, wynikającej z rozumnego administrowania rozległą fortuną, i użycie. A gdy dokuczwała nieznośna tęsknica, *morbis polonicus*, jak ją nazywał Obroński, sprowadzał rządców, obmyślał *exp d'état* finansowe, zagłębiał się w rachunki, wdawał się w spekulacje, kupował i sprzedawał, wybierał się w podróż, albo stawał się ruchliwym światowcem. Widywano go w klubie, na śniadaniach, obiadach i rautach, w teatrze i na wyścigach. Zazdroszczono mu werwy i powodzenia u pań, jego miłostki i przyszłe ożenienie się służyły tematem do rozmów. Ordynat był dowcipny i zabawny, chwilami bawił się szczerze i wierzył, że jest szczęśliwy, chwilami tylko udawał wesołego. Przyglądał się jedynaczkom, z których każda była „do wzięcia,” powtarzał sobie, że należy pójść w ślady brata Konstantego, i urządzić sobie takie spokojne bytowanie, jak w Starodębach, że brakuje mu tylko rodziny, i zatrzymywał najczęściej spojrzenie na księżniczce Marylce, która nie przestawała podobać mu się, a która nie chciała jakoś wyleczyć się z egzaltacyi i nie potrafiła ocenić doskonałej partyi. Czekał więc, a może ociągał się.

Jakkolwiek uznawał w zasadzie, że trwałem i głębokiem jest tylko to szczęście, które daje kobieta, owa wybrana na całe życie, wołał dotychczas szczęście kruche i zmienne, które się zawdzięcza kobietom. I w życiu jego, jak w kalendarzu, każdy dzień niemal miał inną patronkę. Potem i to zaczynało nudzić. A wówczas zamykał się na dni kilka w pałacu, brał z biblioteki jakąś starą książkę, czytał, przypatrywał się swoim obrazom i rzeźbom, myślał, przeżywając zjadliwe uwagi o ludziach i świecie współczesnym. I napełniało go przyjemne poczucie wyższości i odrębności własnej, krzepiła pycha, odzywało się owo dawne przeświadczenie o doniosłem przeznaczeniu ordynata Obrońskiego, na którego kiedyś, może już w blizkiej przyszłości, zawoła wiel-

kim głosem wybitne wydarzenie. W ciszy gabinetu, jakgdyby z wierzchołka, ogarniał spojrzeniem dal czasów i krajów, mocny przekonaniem o drzemiących w nim siłach, pragnął wiedzy, wykreślał drogi, budował dzieje... Marzenie, wyrzucone za drzwi, wracało oknem. Tłumił je i znowu oddawał mu się, jak za młodych lat. Były to dobre godziny, którym kres kładło złośliwe spostrzeżenie, że wszyscy prawie znajomi jego także święcie wierzyli w doniosłe posłannictwo własne, że na polskiej ziemi nie ma ani szeregowców, ani armii, ale zato roi się od feldmarszałków, że upłynęła już lepsza połowa życia... Następowало zniechęcenie...

Jednego z takich dni niespodzianie stanął przed nim Śniałowski. Ordynat przywitał go chłodno, prawie z niechęcią. Gość był zniszczony. Niespokojnym ruchem położył kapelusz na stole, przysunął sobie krzesło. Zapadał już zmierzch, ale Obroński zauważył, że działacz zmienił się i wychudł, że zbladła mu twarz.

— Coś szczególnego sprowadza pana w moje progi — zaczął niezbyt grzecznie.

Śniałowski nie odpowiadał zrazu. Siedział z pochyloną głową, jakgdyby smutny czy znużony.

— Mam do pana prośbę — odezwał się cicho. — Niech to pana nie dziwi. Wiem, że dzielą nas poważne różnice...

— Słucham pana — sucho przerwał Obroński.

— Władze są na tropie, prześladują... praca staje się coraz trudniejszą...

— Tem lepiej... to właśnie cieszy mnie...

— Tak — młodzieniec zawahał się.

— Chcę prosić pana — mówił dalej dość cicho ze spuszczone-  
mi oczami — o schronienie dla kogoś, kto wycofa się na zawsze z szeregow. Pałac pana jest wyborną kryjówką. Nie przyjdzie im na myśl szukać tu... Może pan kogoś, młodą kobietę uratować od zguby...

Zaległo milczenie. Słysząc było senne sapanie psa, który spał na kanapie. Obroński niechętnym spojrzeniem mierzył gościa.

— Nie potrwa to długo... jakiś czas... aż do wyjazdu za granicę — niepewnie tłómaczył działacz.

I znowu zaległo milczenie.

— Nie panie, nie zgodzę się nigdy — była oschła odpowiedź. Śniałowski zaśmiał się nagle krótko, nerwowo.

— Odmówić nie trudno — zauważył.

— Tak. Dlatego też ja bez ceremonii, bez ogródek... Propozycja pańska sprawiła mi przykrość... Przypuszczałem dotych-



czas, że jestem w przekonaniach swoich dość wyraźny, że znają mnie ludzie.

— Liczyłem na odruch uczuć ludzkich...

— Niech pan powie raczej: na słabość, na słowiańską czułośćkowość. Ja zaś, panie, chciałbym przedewszystkiem mieć jakie takie zasady.

Działacz nie nalegał. Siedział w apatycznej pozie i mogło się zdawać, że owa prośba była jedynie pretekstem i że on przyszedł tu tylko dlatego, żeby usiąść wygodnie, odpocząć, zamyślić się. Sięgnął nawet po jakąś książkę ze stołu. Obroński przypatrywał się małej, suchej, nerwowej ręce bojowca, przewracającej karty, i nie podtrzymywał rozmowy, jakkolwiek lubił dokucać Śniałowskiemu i prowadził z nim przy każdym spotkaniu skwapliwie długie spory. Ogarniało go zdziwienie, zaprawione innem niezupełnie jeszcze wyraźnem uczuciem na myśl, że ten pan w fotelu jest jednym z głównych wodzirejów znieawidzonej rewolucyi, że szczupła ręka, zajęta przerzucaniem stronic, zamordowała temi czasy kilku ludzi, i wspominał niemiłą epokę, gdy pewnym był, iż tacy oto młokosi trząść będą krajem. Cieszył się teraz na widok znużenia, bezradności i zgnębienia działacza...

— Miałem także zamiar — rzekł gość — wstawić się za tylni, którzy z przyczyny uporu pana mrą z głodu, ale widzę, że nie warto...

— Pan przyszedł w imieniu komitetu robotniczego — niecierpliwie przerwał gospodarz — rad jestem dowiedzieć się, komu zawdzięczan wyroki śmierci, owe niedorzeczne uchwały i rozkazy...

— Myli się pan. Stoję i stałem od spraw tych na uboczu. Doszły mnie tylko wieści o dziwnem postępowaniu pana, widziałem ludzi błądzących z wyczerpania...

Obroński, który przez cały czas bezrobocia anonimowo wspierał rodziny uboższych robotników, zaśmiał się.

— Czy pan napewno wie, że tak jest?

— Wiem, iż wolałbym zdechnąć pod płotem, niż być robotnikiem na fabryce magnata, który bawi się w zasady.

Obroński śmiał się ciągle.

— Przemysł nie jest poematem — rzekł. — Wy sami twierdzicie, że istnieją żelazne prawa...

— Żelazne prawa?

— Tak. Mogę powołać się na źródło...

— Jest także groźna potęga, której na imię: zemsta ludu.

Ordynat poklepał gościa po kolanie.

— Nie boimy się, panie, nie boimy się!...

Rozdrażnienie ogarnęło obu mówiących. Obroński przywołał swego psa, który spał na kanapie, głaskał go. Pies nieufnie obwąchiwał ubogiego gościa.

— Może im pan powiedzieć, tym od zemsty — szydził ordynat — że nie wymogą na mnie nic ani wyrokami śmierci, których mam pełną szufladę, ani nasyłaniem delegatów. Postanowiłem w tym kraju sentymentalnych półgłówków uratować przemysł, który się chwieje.

— Nie wiedziałem, że pan, cieniując głodnych, spełnia posłannictwo.

— W każdym razie zatarg, mimo uchwał komitetów i rozkazu przewódców, dobiega do końca. Głodni, nad którymi pan się lituje, w tych dniach staną do roboty.

— Wydaje mi się, iż pan głosi zwycięstwo przed czasem — pochmurnie zauważył bojowiec.

Rozmowa wyczerpała się. Śniałowski wziął kapelusz, miał wstać, ale rozejrzał się po raz pierwszy po pokoju, powiódł roz-targnionym wzrokiem po cennych sprzętach, po rzeźbach i obrazach. Spojrzenie zatrzymało się na posągu nagiej kobiety, który stał między ogromnymi oknami. Jakgdyby czyste marzenie o pięknie, rysowała się biała postać w zmierzchu. Działacz ociągał się. Gospodarz z zadowoleniem zauważył zachwyt gościa. Minęło kilka chwil, w których pojednała ich i połączyła górna radość, doznana na widok dzieła sztuki...

Smutek nękał Śniałowskiego. Na progu znużonej duszy sta-nęła tęsknota za spokojem i pięknem, za życiem pogodnem, w któremby nie było ani walki ani zła, za czemś wysokiem a czystem. W tym pałacu, zdawało się odludnym, oddalonym o setki mil od świata, mieszkała kojąca cisza, która, niby woda letejska, dawała zapomnienie, w której słodko było zanurzyć się... Działacz uprzytomnił sobie, że tam na ulicy czeka na niego jego własne życie, bolesne i burzliwe, zatrute i niedobre, i przez mgnienie zazdrości właścicielowi tego mieszkania, panu tego zacisza... Potem natychmiast z zawiści urodziła się zjadliwa złość, która od niej-kiegoś czasu towarzyszyła wszelkiemu jego zetknięciu się z ludźmi. I myślał z rozdrażnieniem, że nie pora tęsknić za spoczynkiem, że najgorszym wrogiem sprawy jest ten pewny siebie, szydzący ze świętej walki ludu, otoczony arcydziełami sztuki magnat, że wybije niezadługo godzina porachunku, że niema naprawdę różnicy między nim, jakkolwiek obciążają mu sumienie zabójstwa i rabunki, a ordynatem, którego bogactwa wyrosły z krzywdy...



Obroński tymczasem z zajęciem przyglądał się gościowi i zastanawiał się nad rewolucją, której jednego z wybitniejszych wodzów miał przed sobą. Ogarniał go prawie żal, że przeciwnik był tak niepozorny i słaby, że głośny w mieście przewodca wygląda na wykolejonego studenta, którego wyczerpała neurastenia, a z drugiej strony, litował się nad młodym marzycielem, którego znał od dzieciństwa i lubił niegdyś.

— Fala na płytkiej wodzie opadła rychło — odezwał się. — Brak wam już dzisiaj zapału i wiary, znużeni jesteście i chwiejni... Ostrzegałem pana przed kilku miesiącami, przepowiadałem...

— Dajemy sobie jakoś rady... potrafimy...

Oczy działacza patrzyły hardo prosto w twarz. Mierzyli siebie spojrzaniem. Była cisza.

— To pan zorganizował napad na pociąg i wykonał zamyślenie — jakgdyby ze zdziwieniem rzekł ordynat.

— Ja — twardo odparł bojowiec.

— Wiedziałem o tem... Działacie wszyscy na oślep, bez wytkniętego celu. Przyjdą na pana niedobre czasy... Nie obliczył pan sił swoich... Złamanie pana ciężar winy — stłumionym głosem życzliwie mówił gospodarz.

Gość zaśmiał się.

— Krwawe są ręce pana... jakże trudno z tem przez długie lata...

Śniałowski zmarszczył się, pochylił na mgnienie głowę.

— A pan bez winy jest! — wybuchnął. — Panu wolno z kazią do mnie!... Przez was jest to złe, z waszej przyczyny krew... Przychodzę tu z przedmieścia nędzy, z podziemi życia...

Urwał nagle, jakgdyby pomyślał, że nie warto jest rzucać słów, wstał.

— Niech pan nie głosi zwycięstwa przed czasem — szepnął złowrogo. — Chciałem ostrzedz... Wolą ludu jeszcze nie zdeptana...

W tej chwili zajaśniały sąsiednie pokoje, zapłonęła elektryczność w gabinecie. W nagłym blasku światła Śniałowski czarno ubrany, blady, z gniewem na twarzy chudej i zmęczonej, wyrósł, jak symbol głodnego, dyszącego zemstą proletaryatu. W ordynacie nanowo odezwało się uczucie niesmaku i odrazy, których doświadczał zwykle wobec motłochu. Nie podobał mu się patetyczny epilog, miał już dość niespodzianej wizyty i chciałby powiedzieć działaczowi, ażeby szedł sobie. Lokaj stanął na progu i zameldował gościa. Po chwili ukazał się Waleryan Zaklika, dobry znajomy. Światowy pan zdumionym wzrokiem obejrzał niezwykłą

sylwetkę Sniałowskiego, poznał, że to jest ktoś z kategorii, nad którą przechodzi się do porządku, i zaczął francuską rozmowę. Działacz wycofał się z pośpiechem. Nowy gość zajął jego miejsce i gadał z uśmiechem i ze swadą mimo opryskliwego zachowania się gospodarza. Opowiadał nowiny dnia. Waleryan Zaklika, stary kawaler, „kawaler złotego widelca,“ bywał wszędzie, znał wszystkich i pierwszy dowiadywał się o wszystkim, był tedy chodzącą kroniką, kroniką w tużurku, jak ktoś wyraził się o nim, a także najdoskonalszem wcieleniem światowości, dokładnem odbiciem ducha, opinii, nastrojów salonu. Dwudziestoletnie ocieranie się wśród ludzi jednego kółka starło z niego wszelką indywidualność, ostatni odcień oryginalności. Nie miał ani myśli własnych, ani poglądów, ani uczuć, nie żywił żadnych ambicji, prócz tej chyba, żeby nie być pominiętym w zaproszeniach, nie ukrywał żadnej namiętności. Odznaczał się umiarkowaniem, wytwornymi manierami, niezmiernym spokojem, śmiał się łatwo i często, nie oburzał się nigdy. Nawet obecnie, w epoce strajków i ruchów ulicznych nie stracił dobrego apetytu, dobrego humoru. O pewnej godzinie wkładał surdut, brał rękawiczki i szedł z wizytami. Przyjmowano go wszędzie, traktowano z lekceważeniem, żartując z jego wszechobecności i wszechwiedzy, nazywano kawalerem złotego widelca — on sam, gdy było potrzeba, zręcznie dworował z siebie samego — ale przyzwyczajono się do jego osoby. Paniom oddawał z wyszukaną galanterią usługi, z panami żył na stopie poufalej koleżeńskości, układał z urzędu menu, listy gości i pary obiadowe. Nie wyróżniał nikogo i nie obdarzał nikogo szczególną sympatią, był równym, jednakowo uprzejmym, życzliwie usposobionym wobec wszystkich, których spotykał w świecie, pozostałej części ludzkości nie ukazywał niechęci ani pogardy z tej prostej przyczyny, że ona nie istniała dla niego.

Wszechświatowa sława, świętość, geniusz nie mogły uratować od zagłady w pamięci Waleryana Zakliki człowieka, którego się nie widywało, albo o którym nie mówiono w salonach. Mikołaj, piesek hrabiny Skomoroch, i Flambogant, derbista Obrońskiego, zajmowały go więcej niż pierwszorzędne dzieło sztuki, nieopatrzone stemplem mody. Przed chwilą spotkał był Sniałowskiego, obejrzał go pobieżnie i natychmiast całkowicie o nim zapomniał. Nie przyszło mu nawet na myśl zapytać, skąd się wziął w gabinecie ordynata młodzieniec, który wyglądał na subjecha z podrzędnego magazynu, a mimo to odbywał z gospodarzem poufną naradę w ciemności. Za to skwapliwie i dokładnie powtarzał, jakgdyby to była misya pierwszorzędnej wagi, wszystkie



dwuznaczne słowa wesołej pani Broni Skrzyckiej, u której był na śniadaniu.

— Pani Wronia — mówił tonem poufałym, przyjacielskim — była pewną, że przyjdiesz. Czekala do w pół do drugiej, chciała czekać dłużej, ale mąż się niecierpliwił, goście byli ździwieni. Hrabina Skomoroch spojrzala dwa razy na zegarek... Biedna Wronia patrzala ciagle w drzwi...

— Hrabina Skomoroch — opowiadał dalej — przywiozła z sobą Mikada. Postawiono mu krzesło przy osobnym stoliku, miał menu, które Wronia ułożyła na prędcie, śniadanie z trzech dań, lokaja, który mu usługiwał...

— Oboje gospodarstwo byli bez werwy — prawil tym samym zlekka żartobliwym tonem — kochana Wronia z twojej przyczyny, Skrzycki zaś, jak zwykle, cierpiął na bóle, raczej, jak wyraził się Karolek, na kamienie zazdrości. Ktoś niedawno przekładał mu, że mąż uroczej i młodej żony winien być przedewszystkiem altruistą, ale to go nie przekonało. Zagroził Wroni rozwodem.

Obroński nie lubił Waleryana Zakliki, ale dzisiaj, rzecz szczególna, rad był jego odwiedzinom. Wolał banalną światową atmosferę od tej, którą wniósł z sobą bojowiec. Śniałowski niegdyś zaciekał go i bawił, dziś wydał mu się uosobieniem proletaryatu, do którego miał odrazę, ulicy, którą pogardzał, i rewolucyi, której nie nawidził. Nie znalazł zaś w nim ani zapału fanatyka, ani wiary apostoła, ani siły wodza, i ulotniła się z rozmowy owa podniecająca przyprawa, którą była mu dawniej myśl, że obcuje oto z wybitnym przeciwnikiem, przeznaczonym może do sprawowania terrorystycznych rządów nad krajem, i bije go na głowę w subtelnym sporze... Krótka wizyta działacza obudziła niesmak, przypominając mu przewlekły zatarg z robotnikami, istnienie zwalczonej na razie, lecz nie ujarzmionej potęgi zrewoltowanego tłumu, znękała niespodzianym niepokojem. Słowa Śniałowskiego były patetyczne, czcze, słabe i pospolite, ale każde spotkanie z bojowcem wydobywało z duszy drzemiące tam zasadnicze myśli, które ordynat tłumil w codziennem życiu. To samo było przed paru miesiącami w wagonie, to samo powtórzyło się dziś. Wstawaly pytania, ogarniała duszę zaduma, płynął nurt smutku. Dlatego to Obroński cieszył się z obecności salonowego pana. Przysłuchiwał się jego opowieści, potem, gdy ten wyczerpał temat dnia, pozwolił mu, jakkolwiek nie go tak nie niecierpliwiło jak dotykane sztuki niepowołanemi rękami, przechadzać się po gabinecie i rozprawiać o malarstwie.

Pojechali razem do klubu na obiad. Byli tam sami swoi, dobrze znani, codziennie spotykani, i rosinowa była dobrze znana, jakkolwiek na różne tematy, codziennie ta sama. Kobiety, sport, polityka, mieszana sałatka, podana w majonezowym sosie światowości i dobrego wychowania. Ordynat posypywał ją od czasu do czasu pieprzem dowcipu i zajadał razem z innymi ku ogólnemu zadowoleniu. Ale chwilami najniespodzianie dla samego siebie popadał w zadumę.

— Czy nie szkoda życia, które jest jedno i krótkie, na to wszystko—myślał, powoli krając indyka i odpowiadając na pytanie sąsiada z prawej strony. Lata uciekają, a treści niema... Jakąż ma być treść życia?..

I natychmiast strofował siebie za wkroczenie w dziedzinę metafizyki, przekładał sobie, że życie jego ukształtowało się podług nakreślonego planu, że mu niczego nie brak, popierał to twierdzenie przykładami, czerpanymi z obserwacyj zebranych. Panowie, których tu spotykał niemal każdego dnia, mogli służyć mu za wzór zadowolenia z siebie, spokoju, umiejętności rozwiązywania zadań życiowych i beztroski. Żenili się i żenili synów, wydawali za mąż córki, bywali w świecie, podróżowali, zarządzali źle albo dobrze majątkami i żaden z nich niczego poza najpospolitszą treścią istnienia nie szukał. Czasami w tem małym kółku, odciętem zdawało się od reszty świata, odgrodzonym grubym murem od nędzy i powszedniej niedoli, wybuchał skandal, skandal rozvodu, wiarołomstwa, bankructwa, i był to niby bolesny wrzód, który czempredziej zalepiano plastrem lekkomyślności, łagodzone waseliną dobrego wychowania... Czasami śmierć albo choroba, na które niema skutecznego sposobu, ciskały tu słowo grozy, czyniły szczerbę, ale rychło ucisziała się i wygładzała zmącona na krótko powierzchnia małej sadzawki i dalej odbijała pogodny dobrobyt. W tem otoczeniu niezmiernie śmiesznymi i niedorzecznymi wydawały się ordynatowi jego tęsknoty, niepokoje i pragnienia, i on, który dumnie nosił głowę, szczycił się odwagą zasad i często działał na przekór opinii, nie potrafiłby i nie zgodziłby się otworzyć duszy przed żadnym z kolegów, a zarumieniłby się ze wstydu, gdyby przypuszczał, iż ktoś z siedzących przy stole czyta mu myśli z czoła. To też zagłuszał zadumę rosinową i spodziewał się, że wyjdzie z klubu uzdrowiony z niemocy, która nie tyle była przykra, ile głupia. Ale obiad się skończył, panowie rozeszli się albo zasiedli do bridge'a, a Obroński nie odzyskał swego zwykłego humoru, na który składały się pewność siebie, poczucie władzy nad sobą i siłą żywotnych. Co pewien czas, jak



gdyby na tle niejasnego wyrzutu sumienia, odzywało się żartobliwe napomknięcie Waleryana Zakliki o tem, że stary Skrzycki zagroził żonie rozwodem, i było mu żal dobrej, wesołej, szczerze w nim zakochanej pani Wroni, której, bawiąc się, złamał być może życie, i odsuwał ten przedmiot tylko po to, by wrócić pamięcią do wizyty bojowca, przykrej z powodu rozmyślań, które się z nią splotły. Ordynat widział Śniałowskiego tak, jak stał przed nim, w nagłym oświeceniu elektrycznym, blady i zuchwały, a za nim szeregi rozjuszonego motłochu, potem znowu przypominał się płacz pani Wroni... I w drodze do domu, i podczas przebierania się we frak, i przed lustrem w chwili wiązania białego krawata ordynat miał chmurę niezadowolenia na czole, grymas niechęci pod płowym wąsem. Przyjrzał się sobie pomimowoli, jak zwykle, gdy się stoi przed zwierciadłem, i wydało mu się, że wygląda niemłodo, że, jak na owym obrazie Boecklina śmierć, tak z poza niego wychyla się starość i gra na skrzypcach smutną melodyę schyłku.

— Przejdzie jeszcze kilka lat i cóż mi zostanie? z czem zostanę? — myślał.

Jakże dalekiemi były ów poranek kwietniowy, gdy wiara i pożądanie szczęścia rozsadały mu piersi, i górna noc, którą spędził przy zwłokach matki! Czary szczęścia okazały się próżnemi, a pragnienie doskonałości, niby ptak spętany, po krótkim rozpędzie usiłowań, zmarniało w płytkim błotku powszedniości. Ogół życie takie nazywa normalnem i pomyślnem, on sam stawia siebie za przykład tym, którzy tracą czas i pieniądze... Więc użyteczna praca, która dźwiga przemysł i rolnictwo, umiejętne używanie nie wystarczają? Brak mu podobno jeszcze miłości...

Ordynat uśmiechnął się kwaśno z tych sentymentalnych dociekań, które wyrzucił był za drzwi istnienia swego, a które przy każdej okazji wracały oknem, kamerdyner zaś, stary Jan, wziął to za dowód, że humor ulega zmianie na lepsze i spróbował przemówić:

— Kręcą się tu ciągle podejrzane figury — rzekł — możeby jaśnie pan do policyi.

— Niech Franciszek zajeżdża — odparł oschle, jak gdyby nie słyszał.

A gdy służący wyszedł, usiadł przy biurku na chwilę i przeglądał dzienniki i wieczorną pocztę. Były tu: list od brata Konstantego, który donosił mu o drobnych zdarzeniach swego cichego żywota, sprawozdanie od kierownika stajni wyścigowej, rządcy

i adwokata, telegramy handlowe. To wszystko podziałało na Obrońskiego, jak powiew świeżego powietrza w dusznym pokoju.

Zadumny, reminiscencye, żale i złorzeczenia wynikają z próżniactwa. Trzeba iść naprzód, nie oglądając się, i krzątać się bez wytchnienia (dla kogo? w jakim celu? co za owoc tych zabiegów? — odezwało się gdzieś w głębi, w sferze myśli, nad którą on nie miał władzy). Teraz jest raut u księżnej (spotkanie z panią Wronią, której złamałeś może życie — odezwało się znów), potem noc i sen, jutro praca i tak dalej, aż do końca...

Podniecając w sobie nastrój energii, zszedł na dół i siadł do karety. Gdy wyjechali z bramy, przypomniało mu się ostrzeżenie lokaja i wyjrzał podejrzliwie przez okno. Wydało mu się, że poznał w dwu przechodniach robotników strajkującej fabryki. Było to może złudzenie...

— Zabiją mnie, nie wielki będzie żal—mruknął nieszczerze. Poczucie niebezpieczeństwa, które przed rokiem stanowiło pewną rozrywkę i podniecało w nim męstwo, dokuczyło mu, i zżymał się na rząd, który nie umiał zgnieść wężej rewolucyi, na proletaryat, na nieznośne czasy. I myślał, że gdyby padł w tej chwili celny strzał, unierałby z tem przekonaniem, że koniec przyszedł za wcześnie, że on nie spełnił rzeczy najważniejszej. Tymczasem w życiu nie wiedział co przedsięwziąć. Zawierała się tu sprzeczność... Z którejkolwiek strony zaczynał, natrafiał zawsze na ową zaporę... Humor, trochę lepszy przez chwilę, psuł się znówu.

## XI.

Na schodach pałacu Mirskich spotkał Pawła Naborowskiego. Zamienili z sobą kilka zdawkowych słów, jak to zwykle bywa po długim niewidzeniu się i razem szli aż do drzwi salonu. Obroński ruszył prosto w tłum ze spokojem światowca, Paweł, zdziczały po całorocznym pobycie na wsi, wahał się na progu. Ogłuszył go gwar, odurzył i przeraził widok tłoku i walczył teraz z chęcią cofnięcia się, mimo że od dwóch dni cieszył się z tego rautu i wybierał się, pełen uśmiechniętych nadziei. Przewyciężył wreszcie nieśmiałość i wszedł. Odszukał księżnę, która uprzejma dla wszystkich dodała mu otuchy przyjaznem powitaniem, potem prezentował się matromom, damom i paniom, przypominał się panięci, witał znajomych i śpieszył kędyś. Zdawało mu się, gdy klaniał się kanapom i fotelom, że matrony nie raczyły



nawet spojrzeć z wyżyn dostojeństwa i cnoty na niego, który przed kilku laty zgorszył był opinię porzuceniem żony i zapisaniem się do party skrajnej. Zdawało mu się, że damy patrzą się na niego badawczo, że panie, gdy oddalił się, szeptały o nim za jego plecami szyderczo. Ale on nie dbał o to i zmierzał prosto do mniejszego salonu, gdzie znajdowała się młodsza część towarzystwa.

Od pierwszej chwili, gdy tylko znalazł się na raucie, odgadł, nie patrząc, w którym miejscu jest księżniczka Marylka. Stała się tam łuna blasku. Zbliżał się, gotując z jakąś trwogą do radości ujrzenia jej, zbliżał się jak gdyby do szczęścia. Spostrzegł księżniczkę i natychmiast minęła owa dziwna bojaźń, owa trwoga pierwszego wrażenia. Spotkały się ich oczy. Z uprzejmym uśmiechem skinęła głową, podała mu rękę, jak dobremu znajomemu – i był jej wdzięczny za tę dobroć. Blask bił od niej, w jasnej sukni wyglądała jak zjawisko wesela. Bawiła się, w oczach figlarnie zmrużonych był śmiech, radość drżała dokoła szczerych ust, wydawała się upojoną weselem. Paweł patrzył w nią i ze zdumieniem przekonywał się, że nie zmieniło się nic, że trwa nieprzeparty jej urok, że zbliżył się do niej, a wszystkie walki, postanowienia, zamiary i smutki rozwiały się niby dym, że ów długi i bolesny rok oddalenia jest snem, że on nie rozstawał się z nią nigdy. Księżniczka stała wśród panien, młodzi panowie utworzyli cercle. Toczyła się jakaś rozmowa, przerywana śmiechem. Na Pawła nie zwrócono uwagi. W łunie blasku, który siał się dokoła niej, ogarnięty szczęściem tej pierwszej chwili, milczał i nie zdejmował z niej wzroku.

Kędyś tam, w zakątku pamięci, wynurzyły się naraz słowa, dawno wycytane, któremi przed wiekami nieśmiertelny pisarz przemawiał do tej, którą miłował, i wybiegły mu na usta. „Uszczęśliwienie moje,“ chciałoby się Pawłowi zawołać na nią. W tem dobrem ingnieniu radości powitania wystarczało mu patrzeć, imnego szczęścia nie pragnął. I miał złudzenie, że księżniczka, żartując z otaczającymi ją panami, mówi dla niego, że każdy wyraz, wypowiedziany przez nią, zawiera inne, jemu tylko wiadome znaczenie, że uśmiechem swoim darzy tylko jego.

We włosach księżniczki drżał i migotał złoty motyl, tak samo migotała w sercu Pawła złota smuga uciechy.

Ale Obrońskiemu, który zbliżał się właśnie, wydało się, że jest wręcz przeciwnie, że Paweł, odsunięty od księżniczki przez młodszych rywalów, stoi zgnębiony, więc rzekł z tą swoją bezwzględnością i lekceważącą szczerością, którą czynił sobie nieprzyjaciół:

— Zaśpiewać panu aryę z „Rigoletta“...

Paweł nie zrozumiał.

— Aryę o zmienności kobiet—tłómaczył ordynat i chłodnym wzrokiem mierzył Pawła, który w rozweseleniu swoim nie dostrzegł złośliwości. Zawiązała się między nimi krótka rozmowa. Obroński ze znużeniem cedził słowa, a jednocześnie przysłuchiwał się konwersacyi młodego kółka i przyglądał się zebrany. Znał tu wszystkich, często spotykał w salonach i sprzykrzyły mu się twarze. Uspсобiony złośliwie, czynił szydercze spostrzeżenia.

... Panna dowcipna, panna sportsmenka, panna od cnót domowych, za to bez posagu, panna piękna... młodzieniec № 1-szy, mający prawo do aliansu i grubego posagu, młodzieniec № 2-gi, polujący tylko na pieniądze... miłe uśmiechy, jasne suknie, doskonale skrojone fraki... łowy i jarmark... coroczna komedia karnałowa, z której ulotniły się zabawa i uczucie...

A gdy oczy jego zatrzymały się na księżniczce, przestał szydzić. Jasna postać dziewczyny, szczerze rozweselonej, zachwyconej pierwszym występem w świecie, była niby uśmiech młodości, jak promień wiosennego słońca, i przypomniawszy się ordynatowi epizod zeszłoroczny, a w sercu gdzieś wynurzył się żal, że nie stało się podług myśli, że on nie umiał zdobyć, że nie potrafił pokochać uczuciem, które zawsze zjednywa i zwycięża. Urażona miłość własna przemówiła gniewem. Z uporu, podrażnionego niepowodzeniem, z uporu człowieka o silnej woli, któremu dotychczas udawało się wszystko, wyrosła przekorna chęć postawienia na swoim, złamania tamtej nieposłusznej woli. Spojrzenie oczu, przez chwilę miękkich i serdecznych, stało się twardem...

Księżniczka dosyć długo nie widziała go, a może umyślnie nie zwracała uwagi, on zaś wpatrywał się natarczywie, znacząco.

— Nietrwałym jest ten motyl—rzekł, gdy spojrzała na niego.

— Jak wszystkie motyle...

— Jak wszystko, co skrzydlate.

— Lepiej bujać krótko, niż długo wlec się po ziemi.

— Będzie i pani chodziła po ziemi, gdy opadną albo złamią się skrzydła—żartował, ale w głosie była nuta rozdrażnienia.

— Czy księżniczka jest aniołem? — banalnie wstawił któryś z młodzieńców i rozmowa urwała się.

Paweł przysłuchiwał się jej z zazdrością. Nie wystarczała mu już radość patrzenia i chciałby zbliżyć się, przemówić, a brakło mu odwagi. Dokoła była mowa o jakimś przedstawieniu na cel dobroczynny, o kotylionie na koniach, o kimś, który się zapisał, a nie mógł utrzymać się na siodle, i wydawało mu się, że



księżniczka, bliska w chwili powitania, staje się coraz bardziej obcą i daleką. Minęło złudzenie, że ona darzy go uśmiechem i każdym słowem, wypowiedzianem do innych, zwraca się w rzeczywistości do niego.

Księżniczka Marylka przestała go spostrzegać i, zapomniawszy zgoła o nim, bawiła się szczerze i śmiała się, słuchając opowiadań o niezgrabnym panu, który trzy razy spadł z konia. Zauważył, że wygoleni młodzi ludzie, nad którymi zrazu przeszedł do porządku, są zaprzyjaźnieni z księżniczką, że ona jest dla wszystkich łaskawą, że w tym pokoju zebrało się jakgdyby kółko poufnych przyjaciół, że wszyscy, prócz niego, grają tu jakąś rolę wyraźną i przyjemną, że każdy, prócz niego, jest na swoim miejscu. Jak kamień padła mu na serce myśl o tem, że księżniczka należy do innego świata, że ten świat jest dla młodych i wesołych, że on nie ma doń przystępu... Nie ku niemu spoglądały dalekie, obce oczy księżniczki, nie do niego uśmiechały się szczęściem młodości jej radosne usta... Napróżno powtarzał, że przychodząc tu, nie żywił żadnej nadziei, nadaremnie wbijał sobie niby gwóźdź w ścianę przekonanie, że można żyć pracą społeczną, ideą, że trzeba wykreślić siebie z listy tych, którym wolno marzyć i spodziewać się. Stał ze zwieszoną głową posepny.

— Pan przyjechał niedawno?—zaczepliła go księżniczka, przypominawszy sobie obowiązki gospodyni wobec smutnego, opuszczonego gościa.

— Przed kilku dniami...

— Nie było pana tu długo...

Jej drogi głos, spojrzenie rozweselonych oczu, widok uroczej postaci podziały na Pawła, jak promień łaski. Rozwiały się obawy, wątplenia, chłodny tuman samotnego smutku. Żył szczęściem obcowania z nią, upajał się radością przyglądania się ręce, która bawiła się wachlarzem, sznurowi przezystych pereł na szyi, spięciu włosów, tej jakiejś wstążce, która opasywała kibić, ustom, na których drżał uśmiech.

— Spędziłem cały rok na wsi — mówił — w wielkiej ciszy i głuszy. Usłuchałem rad księżniczki... pamiętam, jak pani dodawała mi otuchy, zagrzewała do pracy. Znalazłem pracę i cel...

Rozpoczął spowiedź, pragnął zabrać ją stąd i wprowadzić w swój świat, ale zauważył, że wesele zgasło na jej obliczu, że uwaga jej wymyka się, że oczy błędzą gdzieś, że radaby bawić się z tymi, którzy śmieją się -- i urwał.

— Cieszę się bardzo, że pan zmienił zapatrywania—odparła i pod jakimś pretekstem odeszła nagle, tak, jak przyszła.

Był znowu sam i wypadło mu odpowiadać coś panience w różowem, która miała oczy, jak tarki, i szereg drobnych zębów, widny w nieustającym uśmiechu, potem prowadzić rozmowę polityczną z sędziwym panem, który zrzędził i czule zerkał na panny.

Tymczasem Obroński krążył po salonie, starannie unikając pani Wroni. Zjadliwy humor, z którym wyjeżdżał z domu i wchodził na raut, psuł zabawę jemu i tym, do których się zbliżał. Ordynat z panami stawał się opryskliwym i prawie niegrzecznym, paniom gadał prawdy kostyczne. Twarde i ostre powiedzenia jego raziły w miękkiej, dyskretnej, subtelnej atmosferze salonu, jak zapach amoniaku wśród woni róż. Przysiadł się do najszanowniejszej z matron, do hrabiny Skomoroch, i gdy ta ubolewała na brak ofiarności społeczeństwa, na małe dochody z wenty, poradził jej, ażeby co roku zamiast karotowania średnio zamożnej publiczności, sprzedawała po jednej perle... Panią Szydłowską, matkę czterech niewydanych dotąd za mąż córek, znaną ze swoich surowych zasad, zgorszył wychwalaniem mahometanizmu, który tolerując poligamię, ratuje kobiety od staropanieństwa, usuwa potrzebę karnawałów, ułatwia matkom trudne zadanie pozbycia się córek...

Panią Oktawię Nowosielską ugryzł złośliwą aluzją do jej snobizmu, do mitr, których napróżno doszukiwała się w przeszłości rodu, i świeżo upieczonego tytułu; Antoniemu Spotkańskiemu, który z talentem grał rolę ofiary własnej popularności, narzekał na ciężar pracy społecznej, udawał znużonego i zniechęconego — poradził, ażeby też raz zrzekł się wszystkich godności, koronę męczeńską złożył na głowie rywala i odpoczął na wsi...

Przed księżną wyśmiewał rauty, mimo że wiedział, iż chodzi jej o to, by zebrania, które odbywały się w jej domu co dwa tygodnie, miały opinię udanych, najmilszych w sezonie.

— Rauty porównałem oddawna do wozu—żartował. Zaprzęga się sześć matron, czarno ubranych w suknie pod szyje, osiem dam wydekoltowanych, z których każda przyprowadza conajmniej po trzy córki, dwanaście pań, roszczących pretensyę do flirtu, siedmiu panów poważnych, kilku takich, jak ja — i to wszystko ma zawieźć wóz, obładowany dwu tuzinami panien, przed kobierzec ślubny... Niełatwe zadanie...

Były to dowcipy niewyszukane, często trywialne, ale sprawiało mu przyjemność, że oszałamia nimi, gniewa i dokucza.

Hrabiego Tobiasza, brata księżnej, spotkał przy stole jadalnym.



— Boję się—zaczepił go—że „opoka“ pańska będzie nie z granitu, ale z tektury.

— Pan słyszał już o „opoce“ — wymijająco odparł hrabia Tobiasz.

— Któż bo nie wie? Wszyscy łamią sobie głowę nad tem, co to ma być. Stowarzyszenie, bractwo, odgrzewana łoża masoni-ska, spółka akcyjna z kuponami od dywidendy, płatnymi w Królestwie niebieskiem...

Hrabia Tobiasz, który nie lubił żartów, wbił oczy w ziemię i milczał. Obrońskiemu zależało na tem, by coś wyciągnąć z tajemniczego „proroka w tużurku,“ więc mówił jeszcze na poły drwiąco:

— Pan założy tę partję i jak Piłat umyje ręce, t. j. swoim zwyczajem skrzyżuje ręce na piersi... Nie zna pan jeszcze społeczeństwa, które jest żadne nowości, które płynie wartko a płytko.

— Nie będzie to przedewszystkiem żadna partja, powtóre ja zupełnie nie liczę na społeczeństwo...

— Więc na kogoż tedy?—żywo przerwał Obroński—na rząd? Trudno przecież udawać się do Pana Boga, który nie przychodzi na zawołanie.

— My zwracamy się do jednostki...

— Ale z jednostek składa się społeczeństwo.

— Tak, i cel nasz jest społeczny, t. j. powszechny, ogólny. Modne nauki, odrzucając zupełnie znaczenie jednostki, jako pod-rzędneho atomu, wysunęły na czoło abstrakcyjne zrzeszenia, ludzkość, proletaryat, lud. My zaś twierdzimy, że podstawą jest jednostka i jej praca wewnętrzna, że wszelkie odrodzenie zaczyna się w duchu.

— Dlaczego pan mówi my? *pluralis majestaticus*?

— Jest nas kilku...

— Sądziłem, że na opoce stanie pusty kościół Tobiaszowy. Hrabia Tobiasz, zdziwiony tonem i treścią szyderstw, podniósł spojrzenie i chwilę uważnie patrzył Obrońskiemu w twarz.

— Liczyliśmy na pana... Jeśli pana zajmują te sprawy, niech pan przyjdzie kiedy—odparł uprzejmie.

— Na mnie?!—sarknął ordynat—mój program jest zgoła odmienny... Dowodzę głośno, staram się udawadniać na przykładzie własnego życia, że należy nam przedewszystkiem pracować u podstaw, na ziemi, wykuwać opokę potęgi materyjalnej, dobrobytu, ładu, zdobywać zdrowie fizyczne. Za wiele było, panie, w tym kraju najuboższym, rozdartym, ciemnym, hultajskim i niesforenym

gmachów anielstwa, mistycznego bohaterstwa... Potrzeba tu trzeźwego rozumu, chleba, oświaty.

Hrabia Tobiasz słuchał uważnie i, chciał swoim zwyczajem skrzyżować ręce na piersi, ale przypomniał mu się żart Obrońskiego, uśmiechnął się nieznacznie, schował ręce do kieszeni.

— Zapewne panie — rzekł po chwili — ale historia państw, ugruntowanych na owej opoce potęgi ekonomicznej nie jest zachęcająca. Są smutne ilustracje... Jednostka utonęła w zbiorowości i życie utraciło swój cel. Spętano wolę człowieka. Z utilitarnego pozytywizmu—pesymizm i socjalizm, z pesymizmu i socjalizmu, jako reakcja i bunt—anarchia... Wydaje się, że na innych drogach leży przyszłość. Odrodzony człowiek z odrodzonego ducha odrodzi. Z gmachu anielstwa wyjdą ludzie silni, którzy siał będą i budować.

Zwięźle, przez zbytnią lakoniczność trochę niejasno tłómaczył hrabia Tobiasz. Nie lubił wogóle mówić, i żartowano z niego, że zdaniom jego brakuje zwykle albo podmiotu, albo orzeczenia.

Obroński uśmiechał się podczas tej przemowy. Miał na ustach jakąś uszczypliwą uwagę, ale pohamował się i odpowiedział poważnie.

— Nie chcę bynajmniej układać programów dla narodu. Niech naród myśli i radzi sam o sobie. Mnie wystarcza moje własne życie. Zgadzam się z panem tylko pod tym względem, iż niema wyrazów bardziej zgubnych, jak owe zbiorowe terminy: społeczeństwo, ludzkość, ojczyzna i teoryj więcej niedorzecznych, niż na wyrazach tych sklecone doktryny. Każdy Tomek, który roztropnie i wygodnie urządza sobie swój mały domek, przyczynia się do dobrobytu ogólnego.

— O wartości czynu, a więc i życia, stanowią i źródło, z którego wypływa, i cel, do którego zdąża.

— Więc samolubstwo i dobrobyt w najszerszem znaczeniu.

— Miłość winna być źródłem, środkiem i celem.

— Stoimy na dwu biegunach—oschle odparł Obroński, chcąc zakończyć rozmowę.

Ale sztywny i małomówny hrabia Tobiasz, którego tyle wyśmiewana tajemnicza poza wynikła z nieśmiałości, nie chciał tym razem dać za wygraną. Chodziło mu snać o pozyskanie wybitnego sprzymierzeńca, na którego liczył oddawna, którego przeniakał, czy zgadywał.

— Wydaje mi się—rzekł cicho, z prostotą dotykając poufnej struny—że pan znajduje się w epoce przebudowywania...



— Tak pan przypuszcza?... Zbudowałem raz jeden i nie będę zmieniał—niedbale odparł ordynat.

— Ale panu ciasno i duszno. Wydaje mi się także, że panu brakuje odwagi, żeby podnosić się i doskonalić, żeby pracować dla ideału, za którym pan tęskni, poprostu, żeby być sobą... Politycznie płynie pan przeciw prądowi... głoszenie prawd ducha, pełnienie służby ducha wymaga większego i trudniejszego męstwa w czasach dzisiejszych — jak brata, bez wszelkiej pozy nauczał hrabia Tobiasz.

Ordynat zmieszał się, zdumiony tem niespodzianem wkroczeniem człowieka obcego i prawie nieznanego do wnętrza duszy, spuścił oczy pod spokojnym wzrokiem hrabiego Tobiasza i była chwila, że ujęty dobrocią i prostotą braterskiego napomnienia, chciał odpłacić prostotą, ale przemogła pycha. Podniósł zimne spojrzenie, uśmiechnął się, uśmiechem kryjąc zmieszanie.

— Gdy stanie na opoce kościół Tobiaszowy, przyjdę, żeby się przyjrzeć — powiedział lekceważąco, tak, jakby poklepał hrabiego Tobiasza po ramieniu.

I, kładąc ostatecznie kres rozmowie, zbliżył się do stołu, zastawionego zimnemi potrawami. Nie było już miejsc wolnych. Pani Wronia, którą zabawiał stary Pomiarowski, skinęła głową ubolewająco, co miało znaczyć, że nie wypada jej ani wstać, ani wyprawić gadatliwego nudziarza. Ordynat ucieszył się, że z tej strony na razie nie grozi mu niebezpieczeństwo, i nalał sobie kieliszek wina. Pił wolno, niby smakosz, który się delektuje trunkiem, tymczasem myśl, zaniepokojona słowami hrabiego Tobiasza, porzuciła pole spostrzeżeń i zajęć światowych, i kryła się, czyniąc jakąś pracę w głębinach.

Pod ścianą między oknami skupiło się grono panien, jak stado ptaków. Brzmiały tam śmiechy. Obroński odszukał spojrzeniem złotego motyla i chciał ku niemu podążyć, ale księżniczka przysła sama.

— Pan nie posila się i nie rozmawia.

— Czekałem.

— Na co?

— Czekałem, żeby pani przypomniała sobie obowiązki uprzejmości wobec gości, którzy się nudzą.

— Pan mówił mi raz, że nie nudzi się nigdy.

— W domu tak, na rautach bardzo...

— Teraz ja czekam, żeby pan przejął się poczuciem obowiązków wobec gospodyni.

Kilka chwil trwała pusta rozmowa. Docinali sobie wzajemnie bez werwy, bez wesołości. Znać było, że księżniczka skorzysta z pierwszego pretekstu i frunie z powrotem ku stadku rówieśnic. Obroński obejmował spojrzeniem uroczą postać dziewczyny i, rozumiejąc, że ona nudzi się z nim, tem usilniej pragnął, żeby została.

— Pani pamięta?— spytał nagle bez namysłu— czy nie zmieniło się nic od roku?

Rumieniec oblał twarz księżniczki. Zapłoniła się, jak gdyby tylko po to, żeby wydać się tem śliczniejszą ordynatowi. Spuściła oczy i głowę, złoty motyl zachwiał się we włosach.

— Ja stoję zdala i czekam— mówił głosem twardym, prawie przykrym— umiem być cierpliwym i stanowczym.

I spoglądał, szukając oczu, w jej zarumienione oblicze śmiałym spojrzeniem, jak człowiek, pewny swej władzy, jak gdyby wzrokiem chciał rozkazać, ugiąć jej wolę.

— Wiem, że przyjdzie chwila, gdy pani przekona się, że piękne słowa nie dowodzą niczego, że frazesy zastępują zwykłe treść... Może już przyszła ta chwila... Domu szczęścia nikt nie wybudował jeszcze z marzeń i deklamacyj...— urwał.

Milcząc, nie przestawał wpatrywać się w nią. Spozstrzegł jej zaleknienie i chwycił go żal, i nie narzucał jej woli swojej, nie chciał już łamać bezwzględny rozkazem strwożonej dziewczyny. Gotów był przeproszać, dobre, pieszczotliwe wyrazy cisnęły mu się na usta, potrafiłby prosić. Wydało mu się w pewnym mgnieniu, że zdobędzie ją, usłyszał w sercu śpiewanie radości. Spojrzenie jego chłodnych zwykle oczu stało się serdecznym. Ale ona nie widziała tego. Na twarzy księżniczki, która bladła, wzruszenie stłumiło blask wesołej młodości. Drgały jej wargi, rzekłbyś, od słów, których nie miała siły wymówić, drżały powieki. Stała z pochyloną głową, czekając, żeby skończył, modląc się, żeby to minęło, trwożna, zawstydzona, zębkana poczuciem odpowiedzialności i doniosłości momentu, cierpiąc z powodu przykrości, którą za chwilę sprawi odmową... Zdawało się jej, że zawiniła ciężko wobec tego pana, że grzeszy, że jest zła i niewdzięczna, zdawało się, że wszyscy zebrani śledzą ich i przysłuchują się tej rozmowie, wiedziała, że zasmuci matkę, która tak pragnęła dla niej świetnej partyi. Nie mogła wszakże. W duszy, jak ptak trzepotało się pragnienie szczęścia i wołało wielkim głosem... O innym przeznaczeniu marzyła dumając, nie takimi były sny, które zakwitały w dziewiczej świetlicy!...



— Nie, panie, nic się nie zmieniło — szepnęła tak cicho, że nie dosłyszał, ale domyślił się po poruszeniu ust.

— Będę tedy czekał... królewicz z bajki nie przyjdzie...

Szydercze słowa, wypowiedziane twardo, otrzeźwiły ją. Podniosła na niego wzrok, i, opanowawszy bojaźń, spokojnie odparła.

— Dlaczego pan nalega? Ja przecież wiem, że panu nie zależy...

— Samobójstwo sprawiłoby pani przyjemność...

Odzyskała już zupełnie spokój i władzę nad sobą. Nie bała się ani tego pana, który żartował, ani matki.

— Z woli to płynie, a nie z uczucia. Pan postanowił i chce, żeby się spełniło podług zamiaru — mówiła cicho ale bez wzruszenia, odważnie patrząc mu w oczy — ale ja nie mogę i niech mnie pan już nigdy nie pyta...

Zaległo milczenie. Księżniczka nie miała mu nic więcej do powiedzenia, chciałaby odejść, a nie wiedziała, czy wypada. Upłynęło kilka chwil. Ordynat zaowu ogarnął ją spojrzeniem, jak w owem mgnieniu, gdy stanęła przy nim, jasna i wesoła, śliczna młodocianością. Witął ją wówczas, teraz żegnał na zawsze. Żegnał także nadzieję i pragnienie, dobrą myśl o szczęściu rodzinnem, która była mu nieraz ucieczką. Brał go smutek, zaprawiony goryczą prawdy, zawartej w słowach, że postanowienie wyrosło nie z uczucia...

Pani Wronia, której udało się nareszcie wstać od stołu, przerwała kłopotliwe dla obojga milczenie.

— Państwo wyglądają tak, jak gdyby rozmyślali nad marnością rzeczy ziemskich — zaczęła trzepać — pan z tym niedopitym kieliszkiem w ręku, pani szarpie różę, która niczemu nie winna.

— Czemu pan nie był dziś u mnie? — spytała ciszej, gdy księżniczka się usunęła — Nie mógł pan, czy nie chciał?

— *Et l'un et l'autre* — odparł z roztargnieniem.

— Przynajmniej pan otwarcie.

— To jest mój system.

Oczy dobrej pani Wroni zaszczyły łzami. Mrugała szybko powiekami, próbowała uśmiechać się, zaczynała mówić i urywała.

— *Eh bien...* zgadłam... pan nie przyszedł dziś... unika mnie pan od dwu godzin... pan gniewa się na mnie... niech pan powie?! — błagała, nie rozumiejąc, nie mogąc przypuścić, że wszystko się skończyło.

I uśmiechała się przez łzy swoim najmilszym uśmiechem i był w niej wdzięk dziecka, które przeprasza, a pewne jest przebaczenia i wie, że za chwilę minie krótką przykrość i smutek

zamieni się w radość. Ordynat spojrział na nią przelotnie, w jej zapłakane, kochające go oczy i natychmiast odwrócił wzrok. Przeszłość, w której ta mała, wesoła, gadatliwa, trzpiotliwa, puśta, ale niezmiernie dobra i wierna istota podobała mu się, wydawała się bardzo daleką. Obroński przekonał się wiele razy, że, gdy kobieta nie miała już władzy nad nim i kończył się krótki epizod miłosny, gasło w niej jak gdyby jakieś światło wewnętrzne i osoba żywa, miła i bliska stawała się naraz tak martwą, obcą i obojętną, jak bukiet sztucznych kwiatów. Widział teraz ciemno-fioletowy aksamit sukni, koronki, szmaragdy i brylanty, włosy, białe rękawiczki, gronostaje, oczy i usta, każdy pojedynczy szczegół, nie widział tylko całości, t. j. samej pani Skrzycskiej, która była ładną, która kochała go, którą niegdyś lubił. I byłby cofnął się zdruzony i szczerem słowem, jak nożem rozciął zbyt ciężki węzeł, ale bał się skandalu w salonie, wybuchów żalu, sceny dramatycznej. Pani Wronia usiadła, zmusiła go, żeby usiadł, trzepała, to śmiejąc się, to kryjąc za wachlarzem łyzy. Mówiła, że opuści męża, porzuci dzieci, oburzy na siebie opinię, że gotowa jest na wszystko i pójdzie za nim wszędzie, powtarzała, że nie potrafi już żyć bez niego, że on nauczył ją kochać, ukazał jej szczęście i cel. Obroński słuchał, udawał, że nie rozumie, obracał w żart. Nie doznawał wyrzutów sumienia, nudził się i gniewał się na gadatliwą miłość pani Wroni, której to miłości dokuczliwe trwanie obliczał jeszcze na trzy miesiące, myślał, że wolałby, ażeby tak przemawiała do niego piękna i tajemnicza pani mecenasowa Różycka, albo księżniczka Marylka. Księżniczka stała blisko z Pawłem. Rywal zeszłoroczny miał może i dziś więcej powodzenia. Nudna twarz jego jaśniała łuną uszczęśliwienia.

— Są słowa — mówił prędko, chcąc powiedzieć wiele i obawiając się, że ktoś im przeszkodzi—które zostają nazawsze w pamięci... słowa księżniczki, tamte w ogrodzie, przypominały mi się często. Znalazłem w nich pokrzepienie... Przemyślałem dużo w ciszy wiejskiej i zdobyłem ową prawdę, którą mi pani ukazywała.

— A życie, oświetlone prawdą, stanie się panu jasnym i dobrem—odparła przyjaźnie.

— Chciałbym, żeby tak było, księżniczko...

Księżniczka odczuwała szczerą wzruszenie w głosie, nieśmiałość uczucia, porównywała tego z tantym i wdzięczną była Pawłowi za to, że nie dokucza i nie wyszydza, że jest nieśmiały i prosty, że nie wymaga niczego, i zwierza się jej jak siostrze.



Przyjaźń z tym człowiekiem dojrzałym, poważnym, rozumnym, który wiele cierpiał, który pracował dla ojczyzny i szukał Boga, prowadzony przez nią na ścieżki duchowe, mogła być miłą i pożyteczną, uczucie jego, cierpliwe, ukryte, nieśmiałe nie budziło obaw. Rozmawiając z Pawłem, nie tęskniła już jak na początku wieczoru do wesołego śmiechu z tamtymi światowymi panami, słuchała uważnie i życzliwie. A jemu rosło serce, bo zauważył, że oczy jej patrzą jak dawniej, że myśl jej, roztargniona przedtem i niechętna, przebywa z nim, że nie dzieli ich światy. Opowiadał jej trochę rozwlekłe i bezbarwnie o swoich postanowieniach, zamiarach i pracach, o szpitalu i szkółce, nędzy na wsi.

— Pan zabawi tu kilka tygodni—przerwała mu—Niech pan weźmie udział w teatrze... Mam dla pana rolę.

— Rolę pustelnika-anachorety.

— Wcale nie... pan kupi sobie perukę i żabot, naucz się pan pięknych wierszy na pamięć...

— Dobrze księżniczko...

Goście rozchodzili się już. Znikły żałobne i uroczyste matrony, damy zwoływały córki, mężowie zabierali żony. Księżniczka musiała odejść, żeby żegnać, dziękować. Rozmowa urwała się. Odchodząc, obdarzyła Pawła uśmiechem.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

# ZNIESIENIE UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO.<sup>1)</sup>

## I.

Rok 1824 jest przełomowym w dziejach uniwersytetu wileńskiego. Przyniósł ważne i zasadnicze zmiany przez ustąpienie kuratora, ks. Czartoryskiego i Józefa Twardowskiego, rektora wszechnicy. Ludzie nowi, Nowosilcow i Pelikan, wprowadzili do murów akademii niebываły nepotyzm, prywatę, obniżenie ideałów wiedzy czystej i zdrowych zasad etycznych, świecących dotąd blaskiem niepospolitym. Współcześni słowami pełnymi goryczy i oburzenia opisują stan uniwersytetu w ostatnich latach jego istnienia, pod rządami Pelikana. I jeśli nawet pod pewnymi względami uniwersytet utrzymywał się na dawnym poziomie, jeśli niektóre katedry nadal służyły nauce rzetelnej, to zabrakło już tego ducha, co niewolił młode dusze słuchaczy i do szczytnych zapalał działań.

Z chwilą objęcia stanowiska kuratora przez Nowosilcowa zapanowała reakcja bezwzględna, wyrażająca się w utworzeniu czujnej policji uniwersyteckiej, w rugowaniu podręczników i pism „zarażonych“ duchem liberalizmu, w ostrej wreszcie cenzurze prewencyjnej, zaprowadzonej na wzór działającej od paru lat w Królestwie. Wszakże obok tej tak, zda się, gorliwej i nie podejrz-

---

<sup>1)</sup> Artykuł niniejszy oparty został na dokumentach archiwum ministerium oświaty, łaskawie udzielonych nam w odpisach przez p. L. Pantielejewa, znanego literata i publicystę, który z materiałów tych korzystał w pracy swej o uniwersytecie wileńskim („Russkoje bogatstwo,“ 1909 r., № 11, str. 45—69). Inne spożytkowane przez nas źródła cytujemy w przypisach.



nej co do swej prawomyślności i *sui generis* pojętego patryotyzmu akcji Nowosilcowa, prowadzona była na Litwie i Białorusi równoległa, a poczęści nieznaną senatorowi robota delatorska, mająca na celu przyspieszyć „odpolszczenie“ kraju. Niepodobna dziś jeszcze pochwycić wszystkich nici tej polityki, odczuwającej z niesłychaną wrażliwością każdy podmuch reakcyi w Petersburgu. Pionierami tego systemu byli książę Mikołaj Mikołajewicz Chowanski, generał-gubernator białoruski <sup>1)</sup> i Michał Mikołajewicz Murawiew, ówczesny gubernator cywilny mohylowski, po latach z górą trzydziestu słynny wielkorządca w stolicy Litwy.

Ks. Chowanski w 1824 r. wystąpił z memoriałem, wykazującym niebezpieczeństwo polonizacyi Białorusi przez szkołę polską, zależną od uniwersytetu wileńskiego i żądającym wyłączenia gubernii witebskiej i mohylowskiej z wileńskiego okręgu naukowego, podobnie jak to było w stosunku do gubernii kijowskiej, przyłączonej w 1818 r. do okręgu naukowego charkowskiego.<sup>2)</sup> Projekt swój ks. Chowanski uzasadnia koniecznością przeciwdziałania ujemnym wpływom wychowawczym szkół białoruskich, które za jedyny cel mają „wpojenie wychowañcom ducha czystego polonizmu.“ Projektodawca zaleca wprowadzenie niezbędnych zmian, polegających przedewszystkiem na wyjęciu gubernij białoruskich z pod władzy kuratora wileńskiego, wprowadzeniu języka rosyjskiego, jako wykładowego wszystkich przedmiotów, mianowaniu na stanowiska dyrektorów szkół rdzennych Rosyan „dobrego prowadzenia,“ na urządzaniu internatów i pół-internatów, zakładaniu odpowiednich bibliotek szkolnych i t. d.

Stosownie do wniosków powyższych, zaaprobowanych przez Komitet ministrów, oderwano rozporządzeniem z dn. 10 października 1824 r. gubernie witebską i mohylowską od okręgu wileńskiego i przyłączono do petersburskiego. Prawie jednocześnie, zaledwie przed paru tygodniami, podpisany został ukaz inienny, mianujący kuratorem wileńskim senatora Nowosilcowa (1 września st. st. 1824 r.).

Akcya ks. Chowańskiego, uwieńczona tak pomyślnym rezultatem, prowadzona była, jak się zdaje, bez wiedzy Nowosilcowa, a nawet wbrew jego w tej mierze opinii. Tak przynajmniej można

<sup>1)</sup> Władza ks. Chowańskiego rozciągała się na gubernie smoleńską, witebską, mohylowską i kałuską.

<sup>2)</sup> Memoriał ten wydrukowano w „Sbornikie postanowlenij po ministierstwu narodn. prośw.“ t. I, str. 1783—88.

wnioskować na podstawie dalszych wypadków w zakresie spraw szkolnych na Białorusi.

W r. 1826 wysłany został na Białoruś w charakterze wizytatora szkół, Józef Sękowski, znany orientalista, profesor uniwersytetu petersburskiego i z ramienia tegoż działający. Wizytacja Sękowskiego zadała ciężki cios szkolnictwu polskiemu, oskarżonemu przez wizytatora niemal o zdradę państwową. Sękowski, chociaż Polak z pochodzenia, wychowawiec Kontryma, który dopomógł mu do odbycia studyów na Wschodzie, w raportach swych, składanych kuratorowi petersburskiemu, prześcignął samego nawet Nowosilcowa w serwilizmie i ultra-reakcyjnych zamierzeniach rusyfikatorskich. Niepojęta zaiste jest psychika tego człowieka. Pełen goryczy i nienawiści nieuzasadnionej do Polski i Polaków, z całą świadomością swego czynu przykładał się do zniszczenia oświaty na kresach dawnej Rzplitej, dlatego tylko, że była polską.<sup>1)</sup>

Oto najważniejsze wskazania pedagogiczne Sękowskiego, mające, jego zdaniem, „wytepić w szkołach niewłaściwy i przeciwny duchowi państwowemu nacjonalizm polski i wpoić w młodzieży białoruskiej uczucia wiernopoddańcze Rosyan, oddanych tronowi i jednej niepodzielnej ojczyźnie.“ należy zatem mieć najsurowszy dozór nad lekturą domową uczniów i starannie usuwać dzieła, zawierające „marzenia przeciwne duchowi państwowemu“; wpajać poszanowanie i posłuszeństwo dla władzy i miłość do „wszystkiego, co rosyjskie“; w tym celu radzi Sękowski oddziaływać na młodzież w takim duchu, aby „każdy, a zwłaszcza pochodzenia szlacheckiego, uważał służbę państwową za nieodzowny obowiązek obywatelski i zanim nie pozyska zaufania rządu w służbie cywilnej lub wojskowej, aby nie otrzymywał stanowiska z wyborów szlacheckich“; dalej poleca wizytator, aby tematy do wypra-

<sup>1)</sup> O wizytacji Sękowskiego artykuł A. Nowosiółowa w „Żurnale minist. narodn. prośw.“ z 1872 r., t. 160 i 161, oparty na raportach urzędowych. Z licznej literatury, dotyczącej S., wymieniamy rzeczy ważniejsze i mniej znane: A. Jabłonowski: „Sękowski w korespondencji z Lelewelem“ („Echo“ warsz., 1878 r., № 41 i nast.); ustęp ze „Wspomnień“ St. Morawskiego w „Ate-neum“ 1898 r., t. I, str. 476—91; Mochuacki: „Powstanie nar. pol.“ (Berlin, 1863), t. I, str. 251. A. Iskander (Hercen): „Du développement des idées révolutionnaires en Russie.“ Paris, 1851, str. 106 sq. Interesujące podanie Sękowskiego do prezesa komitetu cenzury w Petersburgu z 14 lipca 1855 r. w dziele „Szczyński Sbornik“, t. II. W zachowanej korespondencji rękopiśmiennej Sękowskiego znajdują się liczne wzmianki, rzucające charakterystyczne światło na jego nieprzychylnie stanowisko względem dążeń narodowych polskich.



cowań szkolnych czerpane były wyłącznie z historii Rosyi, starannie zaś unikane przedmioty, mogące „rozpalić młode umysły marzeniami miłości do innej, niż Rosya, ojczyzny“; historia Polski powinna być usunięta z liczby przedmiotów, wykładanych w szkołach i traktowana jedynie w ogólnym kursie historii powszechniej.

Podczas odbywania przez Sękowskiego wizytacji szkół białoruskich wykryte zostały w szkole pijarskiej w Połocku wiersze satyryczne, szkalujące Nowosilcowa, jego przyjaciół i towarzyszy głośnych z procesu Filaretów w Wilnie przed trzema laty.<sup>1)</sup> Sękowskiemu powierzono przeprowadzenie w tej sprawie śledztwa w celu wykrycia winowajców. Dało to powód do nawiązania korespondencji z Nowosilcowem, jako głównym kierownikiem tantego śledztwa wileńskiego, poniekąd z analogicznych wpływającego powodów. I stała się rzecz niebywała. Senator, naj-sroższy gnębiel młodzieży, dopatrujący się w każdym żartobliwym wierszu ulotnym, w każdym wybryku dziecinnego umysłu zdrady państwowej i groźnego przestępstwa, okazał się w danym wypadku sędzią nadspodziewanie pobłażliwym. Twierdził, że wiersze te nie zawierają ostatecznie nic tak bardzo zdroźnego, że są zwykłym wybrykiem łobuzerskim, którego nie warto zbytnio rozmazywać i nadawać mu w ten sposób znaczenia. Przy tej sposobności Nowosilcow twierdzi, że wiersz powyższy napisany został dawniej, przed trzema laty i że obecnie, pod jego twardymi rządami w okręgu wileńskim nic podobnego zająćby nie mogło. To przekonanie daje Nowosilcowowi asumpt do wypowiedzenia szeregu uwag o skuteczności zaprowadzonego przezeń systemu szkolnego, dozoru nad uczniami i profesorami i t. p. środków, które sprawiły, że w społeczeństwie zapanowało zupełnie zaufanie do szkoły i jej kierowników. W konkluzji swoich wywodów, przesłanych ministrowi oświaty, Nowosilcow wyraża życzenie wcielenia do okręgu naukowego wileńskiego gubernij białoruskich, a nawet i kijowskiej, zapewniając, że przy obecnym ustroju szkolnictwa w okręgu wileńskim, można ręczyć za to, „że wychowujące się pokolenie stanie się godnem opieki i dbałości rządu. Ani ich pochodzenie polskie, ani religia, ani język nie będą stanowiły przeszkody do tego, aby zostali wiernymi poddanymi tronu rosyjskiego, jeżeli tylko każdy uczeń od zarania lat swych będzie

<sup>1)</sup> Był to popularny ówczesnie wierszyk: „Wiwat Bajkow, Nowosilcow“ i t. d. Por. „Rocznik Tow. Przyj. Nauk. w Wilnie,“ 1907 r., t. I, str. 29.

uważać Rosyę za ojczyznę swoją i miłość dla niej żywić będzie... czego mamy przykłady wśród szlachty inflandzkiej i kurlandzkiej...“<sup>1)</sup>)

Z całej tej korespondencji, którą na tem miejscu zaledwie w najkrótszych mogliśmy przytoczyć wyjątkach, okazuje się najdowodniej, że Nowosilcow, zagarnawszy wyłączny dla siebie przywilej „reformowania“ szkolnictwa polskiego na ziemiach litewsko-ruskich, był zdecydowanym przeciwnikiem dzielenia władzy, uszczuplania zakresu wpływów, w których wyzyskiwaniu dla korzyści własnych „pan senator“ był mistrzem nielada. Wszakże zabiegi Nowosilcowa, popierane, jak się zdaje, nie bez własnej jego w tym kierunku zachęty i przez Pelikana, nie odniosły pożądanego skutku. W stolicy przeważały możniejsze wpływy reakcyjne, reprezentowane przez sfery wyznaniowe i wszechwładnego Arakcejeewa. Sprawa o wiersze w Połocku została wprawdzie z Najwyższego rozkazu umorzona, na przyłączenie jednak gubernij białoruskich do okręgu wileńskiego nie zezwolono, aczkolwiek nawet minister Szyszkw „uważał to za dogodnie.“ Natomiast poglądy Sękowskiego na sprawę oświaty w Białorusi pozyskały zupełne uznanie czynników decydujących i weszły do programu działań ministerjum w stosunku do szkolnictwa białoruskiego. Wprowadzenie w życie tego programu powierzonom zostało Grzegorzowi Kartaszewskiemu, kuratorowi utworzonego 17 stycznia 1829 roku osobnego okręgu naukowego białoruskiego.<sup>2)</sup>)

Wypadki rewolucyjne 1830 r. wznogły falę reakcyi w zakresie spraw szkolnych na ziemiach litewsko-ruskich. Dnia 22 grudnia st. st. 1830 r. ówczesny gubernator cywilny mohylowski, Murawiew, złożył cesarzowi Mikołajowi I nader znamiennej notę o „stanie gubernii mohylowskiej i sposobach zbliżenia jej z cesarstwem rosyjskiem.“<sup>3)</sup>) Nota powyższa łącznie z analogiczną

<sup>1)</sup> Nowosilcow do ministra oświaty Szyszkowa 26 października, 17 listopada, 1826 r.; tenże do Sękowskiego 28 października t. r.; Szyszkw do Nowosilcowa 29 listopada t. r.; Pelikan do Nowosilcowa 31 października t. r.; Sękowski do Nowosilcowa 4 listopada t. r. (rękopisy).

<sup>2)</sup> Do okręgu białoruskiego przyłączono w 1831 r. gub. mińską, a jednocześnie gub. wołyńską i podolską do okręgu charkowskiego.

<sup>3)</sup> „Russkij Archiw“ z 1885 r., t. II, str. 161–175, przedruk w Szolko-wicz: „Sbornik statiej razjaśniajuszeczych polskoje dieło.“ Wilno, 1885, t. II, str. 298 sq. Obszerne wyjątki z not Murawiewa przytoczone zostały w dziennikach posiedzeń „osobnego komitetu do spraw powróconych od Polski gubernij“ w dziele Kropotowa: „Żizni grafa M. N. Murawiewa.“ Petersburg, 1874, str. 259 sq. i 447 sq.



późniejszą enuncyacją tego działacza mieści najgłówniejsze zasady działań rządu i stanowi niejako polityczne tegoż *credo* w stosunku do Polaków i polsko-katolickiej kultury na Litwie.

Sprawa oświaty przedewszystkiem interesuje Murawiewa. Zdaniem jego fanatyzm duchowieństwa rz.-katolickiego, zwłaszcza zakonnego, wraz z niechęcią do wszystkiego, co rosyjskie i „dążnością do popierania nacyonalizmu, winien zwrócić szczególną najsurowszą uwagę rządu“; dla położenia tamy „złemu“ należy pozbawić zakony prawa wychowywania młodzieży i zabronić kształcenia dzieci w domach prywatnych przez t. zw. kapelanów domowych. W szkołach klasztornych, zamienionych na zakłady świeckie, wykłady powinny odbywać się w języku rosyjskim.

Powyższe wskazania zostały niebawem uwzględnione w ukazie z 4 (16) kwietnia 1831 r., który polecał, aby ministerjum oświaty, a szczególnie kurator okręgu białoruskiego dołożyli możliwych starań do najszybszego wykonania istniejących projektów stopniowego zniesienia szkół, utrzymywanych przy klasztorach katolickich i o zaprowadzeniu wykładów w języku rosyjskim w szkołach świeckich, mających zastąpić klasztorne. Następnie ukaz zaznaczał, że celem wychowania publicznego w tym okręgu winno być zbliżenie tamtejszych mieszkańców z rodowitymi Rosyanami. Te same zasady powinny być stosowane i w szkołach gubernij kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej, gdzie będzie to o wiele łatwiej i skuteczniej, ponieważ większą część ludności tych gubernij stanowią rodowici Rosyanie.<sup>1)</sup>

W ukazie niniejszym odnajdujemy zarówno bezpośredni wpływ noty murawiewowskiej, jako też liczne analogie z referatem Sękowskiego z 1826 r.

W następnej nocie z 29 sierpnia st. st. 1831 r. Murawiew szedł już znacznie dalej. Poraz pierwszy też wyrażony tam został konkretny wniosek o zniesieniu uniwersytetu wileńskiego. Zdaniem projektodawcy niezbędnem jest „zniszczyć to gniazdo litewskiego *wolnodumstwa*“ i przekształcić zarazem stopniowo szkolnictwo tamtejsze na wzór rosyjskich zakładów naukowych, zaś duchowieństwo katolickie pozbawić prawa nauczania. Ciekawy jest pogląd Murawiewa na wszechnicę wileńską. „Uniwersytet ten—według spostrzeżeń gubernatora mohylowskiego—tak sławny w przekonaniu Polaków nie jest bynajmniej źródłem należytej

<sup>1)</sup> Roźdiestwienski: „Istoriczeskij obzor diejatelnosti min. nar. prośw.“ Petersburg, 1902, str. 212.

oświaty. Szlachta litewska posyła tam swoich synów, którzy spędzają czas na lenistwie i wolnomysłności, nie uczą się niczego gruntownie i po kilku latach wafęsanja się (*prazdnoszatanja*) wracają do domów, otrzymawszy pewien zewnętrzny blichtr szkodliwego połowicznego wykształcenia i stanowcze podstawy wolnomysłności.“ Uniwersytet przynosił pewną korzyść dla biedniejszych klas społeczeństwa, dla synów „ekonomów, komisarzy“ i t. p., w zakresie wiedzy duchownej, lekarskiej i prawniczej, wpajał w nich jednak zarazem „ducha wolnomysłności, niewiary i demoralizacyi.“

Prawie równocześnie z wystąpieniem Murawiewa, generał-adjutant Sergiusz Szipow, ówczesny gubernator podolski, w sprawozdaniu swem o stanie gubernii, złożonem cesarzowi, stwierdzał, że „pochodząca z plemienia polskiego szlachta dotychczas jeszcze stanowi tam warstwę obcą, wrogą Rosyi. Urodzeni przed przyłączeniem tego kraju do Rosyi, przypominają swobodę, z której korzystali w czasach oligarchii polskiej, i czują nienawiść do rządu, który opanował tę swawolę. Pokolenia wzrastające dziedczą wrogie uczucia po ojcach, utrwalają je i umacniają w szkołach, gimnazyach i uniwersytecie wileńskim. W tych zakładach wykłady odbywają się naogół w języku polskim, nauczanie i dozór nad uczniami pozostawiony wyłącznie Polakom, urodzonym w Polsce niezależnej. Dozorcy ci, jako ludzie zwyciężeni, czują nienawiść do rządu i narodu rosyjskiego i uczucia te wpajają swym wychowańcom... Tak więc rośnie całe pokolenie, przepętnione uczuciami nieprzyjaźni i zemsty dla tego narodu, którego powinni być współobywatelami, dla tego rządu, któremu zawdzięczają pomyślność i bezpieczeństwo.“ Po kilku uwagach o roli Jezuitów w wychowaniu młodzieży generał Szipow wypowiada przekonanie, że najskuteczniejszym środkiem do zmiany wrogiego względem Rosyi ducha szlachty polskiej jest wychowanie młodzieży, ugruntowane na rzetelnych podstawach państwowych. Zreformowanie szkolnictwa powinno być polecone człowiekowi wykształconemu, patryocie istotnemu i charakteru twardego; nauczycielami, zwłaszcza historyi, powinni być rdzenni Rosyanie lub chociażby i cudzoziemcy, byle tylko nie Polacy.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Kropotow l. c., str. 449 sq. Szipow, znany następnie ze swej gorliwej działalności rusyfikatorskiej w Królestwie Polskiem, był tamże za namiestnictwa ks. Paskiewicza dyrektorem Komisji spraw wewn., duch. i ośw. publ. Szczerbatow: „Kn. Paskiewicz.“ Petersburg, 1896, t. V, passim. M. Pogodin: „Dniew-



Przedstawienia Murawiewa i Szipowa zwróciły uwagę cesarza Mikołaja I, który polecił sekretarzowi stanu Błudowowi, podówczas towarzyszowi ministra oświaty, rozpatrzyć pierwszą notę Murawiewa (z 22 grudnia 1830 r.); ministrowi finansów, Kankrinowi, raport Szipowa.

Błudow był przekonania, że stanowcze wzbronienie duchowieństwu katolickiemu zajmowania się nauczycielstwem w domach prywatnych nie może być jeszcze wprowadzone w życie, ponieważ taki zakaz zbyt silnieby podziałał na społeczeństwo i mógłby „odwlec umysły od współdziałania celom rządu w innych sprawach.“ Zresztą wprowadzenie tego zakazu nie było bynajmniej rzeczą łatwą, kontrola byłaby prawie niemożliwą. Dla uniknięcia szkodliwych następstw wychowania pozaszkolnego należy, zdaniem Błudowa, uczynić wychowanie publiczne wzorowem, tak aby sami rodzice byli przekonani o jego rzetelnej wartości i sami oddawali dzieci do zakładów naukowych. Podzielając zresztą najzupełniej poglądy Murawiewa w sprawie zamiany szkół klasztornych na świeckie z rosyjskim językiem wykładowym, Błudow zwracał szczególną uwagę ministra oświaty na konieczność podjęcia reformy szkolnictwa w duchu wskazań murawiewowskich.

Uwagi Błudowa, przesłane do osobnego Komitetu, pozostającego pod prezydencją rzecz. rady tajnego, A. N. Golicyna, zyskały tamże zupełną aprobatę, co spowodowało ogłoszenie wzmiankowanego wyżej ukazu z 4 (16) kwietnia 1831 r.

Minister Kankrin w uwagach nad raportem Szipowa zaznaczył, że nie widzi na razie możliwości zupełnego usunięcia ze szkolnictwa duchowieństwa katolickiego, zwłaszcza, że „wszyscy nauczyciele, jakichby można przysłać z Rosyi, dalecy są od tego, aby mogli pozyskać więcej poważania, niżeli duchowni polscy.“ Zresztą, zdaniem Kankrina, „nie stoi na przeszkodzie, aby uczono wszędzie po rosyjsku i aby Rosyanie brali udział w wychowaniu.“ Minister poleca między innymi środkami przywiązania Polaków do Rosyi: „zreformowanie uniwersytetu wileńskiego, którego dochody starczyłyby, jak się zdaje, dla dwóch uniwersytetów,“(?) oraz „wychowanie w korpusach kadeckich,“ aczkolwiek ten rodzaj zakładów naukowych posiada, zdaniem ministra, wiele stron ujemnych.

nik.“ Moskwa, 1844, t. I, str. 56—57. Mościcki: „Z powodu jubileuszu Tow. historyi i staroż. ros. w Moskwie.“ Lwów, 1904, str. 5. Ciekawy artykuł o Szipowie ogłoszono w jednym z pierwszych tomów osławionego „Wiestnika Zapadnoj Rossii.“

Osobny Komitet pod przewodnictwem Golicyna wypowiedział się jednak ostatecznie w duchu przychylnym dla opinii Szipowa, projekty Kankrina zaś uznano za niedogodne. Niebawem jednak Osobny Komitet Golicynowski zastąpiony został przez „Komitet dla rozpatrzenia niektórych projektów, dotyczących gubernij od Polski powróconych,“ czyli t. zw. „Komitet gubernij Zachodnich,“ pod kierunkiem prezydyalnym prezesa Komitetu ministrów, księcia Wiktora Koczubeja (16 września st. st. 1831 r.). Komitet rzeczony otrzymał rozkaz Najwyższy „rozpatrzenia projektów zniesienia uniwersytetu wileńskiego i gimnazyum krzemienieckiego.“ Głównymi materyałami Komitetu w tych sprawach były obie noty Murawiewa, raport Szipowa, opinie o powyższych dokumentach Błudowa i Kankrina; nadto dwie noty rektora uniwersytetu wileńskiego, Wacława Pelikana, przedstawione Komitetowi przez członka tegoż, senatora Nowosilcowa. Memoryały Pelikana stanowiły najważniejszy materyał dla prac Komitetu i zarówno ze względu na ich autora, jako też treść wysoce interesującą, zasługują na dokładne zreferowanie.

## II.

„Poszukując przyczyn rozruchów i nieporządków w powróconych od Polski guberniach — tak zaczyna wywody swoje Pelikan <sup>1)</sup> — niektórzy chcieli je znaleźć w uniwersytecie wileńskim. Przejęci swemi domniemaniami nazywali uniwersytet wileński gniazdem, zarodem, źródłem, podstawą wszystkiego złego. Takie jednak oskarżenia są tylko ogólnikami, bez żadnych dowodów, które w podobnych wypadkach winny być jasne i niezaprzeczone; powstały zaś oczywiście tylko na mocy przekonania i w braku należytych wiadomości o faktycznem położeniu rzeczy, o stanie umysłów mieszkańców tych gubernij, o działaniu i wpływie uniwersytetu i tworzeniu tam zamieszek i sposobie dokonania powstania. Takie jednak wnioski, zaciemniając w oczach rządu prawdę i zwracając jego uwagę na przedmioty w gruncie rzeczy małoważne, odciągają od istotnych źródeł, z których poszło wszystko złe...“

<sup>1)</sup> Nota Pelikana jest bez daty.



Uniwersytet ani bezpośrednio ani pośrednio nie brał udziału, ani nie wpływał na wypadki rewolucyjne.

„...Przy byłym kuratorze wileńskiego okręgu naukowego, księciu Czartoryskim, uniwersytet wileński mógł być sprawiedliwie nazwany gniazdem tego zła, które tak niesprawiedliwie przypisują jemu obecnie; młodzież, nie powstrzymywana przez dozór zapobiegliwy, przeciwnie nawet, zachęcana przebiegłą obojętnością Zwierzchnika, pogrążona nadto w rozpuście i zuchwalstwie, skłaniała się do przeciwnego prawu kierunku politycznego, czemu sprzyjało tworzenie towarzystw tajnych, które pod niewinnemi nazwami i pretekstami dążyły do bezprawnych celów politycznych, do obalenia istniejącego porządku. Niema najmniejszej wątpliwości, że dążności ich były znane b. kuratorowi wileńskiego okręgu naukowego; przeciwnie nawet, on tajemnie popierał ich poczynania i jakby przypadkowo powiększał środki do wprowadzenia w czyn ich bezprawnych zamierzeń; ci z pomiędzy profesorów i członków uniwersytetu, którzy najwięcej mieli szkodliwego wpływu na zapalną młodzież i mogli być najskuteczniejszymi narzędziami do zwiększenia liczby towarzystw i rozpowszechnienia występnych pojęć i zasad, znajdowali się pod szczególną jego protekcją. Jego Cesarskiej Wysokości, świętej pamięci Cesarzewiczowi były przedstawione przepisy, wydane przez księcia Czartoryskiego, a dotyczące wychowania panien, którym należało wpajać ideę niepodległej wolnej Polski, w tym celu, aby w przyszłości, gdy zostaną matkami, przekazywały synom wraz z mlekiem matczynem miłość wolnej ojczyzny i nienawiść do Rosyan.<sup>1)</sup> Powiodło się to, jak się zdaje, niektórym niegodziwcom.

„Złe prędko szerzy się i dojrzewa. Zuchwalstwo i zepsuta moralność studentów, rezultaty niedostatecznego dozoru i szkodliwych namów przełożonych, pozbawiły uniwersytet wileński dobrej sławy i wytworzyły o nim mniemanie niekorzystne. Wkrótce, co można było przewidzieć, zasła tam jawne nieporządki zwróciły uwagę rządu. Surowe śledztwo ujawniło wszystkie zbrodnicze zamiary, widoki i środki towarzystw politycznych studentów wileńskich i wykryło również, jak mocno, chytrze i zręcznie były zorganizowane, co było wyraźnym dowodem udziału w nich ludzi bardziej doświadczonych i bardziej niegodziwych. Nastę-

<sup>1)</sup> Być może, iż mowa tu o piśmie ks. A. Czartoryskiego z 1820 roku w sprawie pensyj żeńskich. Por. Żmigrodzki, Zasady pedagogiczne ks. A. Czartoryskiego, „Przewodnik nauk. i lit.“ z r. 1885, str. 1061 sq.

stwem tego śledztwa była zmiana zwierzchności i usunięcie niektórych profesorów, w ich liczbie Lelewela — jako środków zapobiegawczych przeciw knowaniom występnej młodzieży; zarazem wprowadzono nowy porządek w wewnętrznym ustroju uniwersytetu co do nadzoru nad sprawowaniem uczniów i co do instrukcyi dla uczących. Wszakże złe, tak sprytnie i głęboko zakorzenione, nie mogło nie wywołać niektórych jeszcze następstw i chociaż uniwersytet wileński był oczyszczony z ludzi szkodliwych, jednakże oni, rozproszeni po całym Cesarstwie, nie przestawali tajnie i skrycie działać na jego (t. j. Cesarstwa) szkodę. W różnych miejscowościach, nawet w Rosyi, ukazały się dzieła polskie, które zapalając wyobraźnię młodzieńczą, wrażały i wpajały młodzieży wrogie i buntownicze uczucia; <sup>1)</sup> w ostatnich zaś czasach, o ile wiadomo, w głębi państwa, niegodziwcy potrafili skorzystać z głópoty pospólstwa i współdziałali w zakłóceniu porządku powszechnego, chcąc w ten sposób odciągnąć siły Cesarstwa i poprzeć występne zamiary buntowników w Królestwie Polskiem.

„W samem zaś Wilnie, wraz ze wspomnianą wyżej zmianą, zmienił się i kierunek wykształcenia. Obecna zwierzchność uniwersytetu wileńskiego, zbadawszy dokładnie źródła nieporządków, starała się wykorzenić złe, i podległe okręgowi wileńskiemu gubernie moralnie zbliżyć z Rosyą. Wszędzie wprowadzono dokładne i obowiązkowe nauczanie języka rosyjskiego; na katedrę historii powołano profesora Rosyanina; <sup>2)</sup> wykład tego przedmiotu po rosyjsku w całym okręgu dawał uczniom sposobność uczenia się praktycznie języka rosyjskiego. Utworzenie i organizacya policyi uniwersyteckiej dała więcej środków baczenia nad moralnością uczniów, nietylko na lekcyach, lecz, o ile możności, i w domach; każdy wykład profesora znany był zwierzchności uniwersyteckiej; sprawowanie i stosunek profesorów do uczniów również nie wyłamyał się z pod kontroli.

„Wprawdzie wrogowie powszechnego porządku, poniżeni przez wykrycie ich występnych zamiarów, nie przestawali zniesławiać wszystkich środków, jakie były przedsiębrane dla dobra

---

<sup>1)</sup> Pelikan miał tu zapewne na myśli wydanie „Konrada Wallenroda“ w Petersburgu w 1828 roku. Znanie są wysoce nieprzyjazne uczucia Pelikana względem Mickiewicza i innych Filomatów, przebywających w Rosyi na wygnaniu. Por. Wierzbowski: Mickiewicz w Wilnie i Kownie. „Biblioteka Warszawska“ z 1888 r. t. II, str. 42.

<sup>2)</sup> Pawła Kukolnika.



tego kraju i Rosyi; wszystkie środki koniecznej i dobroczynnej surowości wystawiali jako okrucieństwo, ucisk; siebie nazywali niesprawiedliwie prześladowanymi, męczennikami prawdy, i wszędzie, gdzie tylko można, szerzyli jaknajgorszą opinię o zwierzchności uniwersyteckiej; jednakże następstwa tych środków były najlepszem ich usprawiedliwieniem; z roku na rok liczba uczniów wzrastała coraz bardziej i pomimo znacznego ich napływu, żaden najmniejszy nawet nieporządek nie ukrył się przed zwierzchnością, a wychodząca z uniwersytetu wileńskiego młodzież, wiedzą swą i moralnością pozyskiwała wszędzie poważanie i wdzięczność dla zakładu, w którym się kształciła.

„Wszędzie lekarze wileńscy zasługiwali na pierwszeństwo i szacunek. Różne zwierzchności nieraz wznawiały żądania do uniwersytetu wileńskiego o przysyłanie lekarzy, świadcząc przed rządem o ich znakomitem sprawowaniu i wyjątkowej wiedzy, którą wyróżniali się z pośród wszystkich wychowañców innych zakładów naukowych rosyjskich. Wielu z uniwersytetu wileńskiego z korzyścią byli użyci do budowy dróg komunikacyi; Akademii sztuk pięknych, oddając sprawiedliwość wiedzy i biegłości niektórych studentów uniwersytetu wileńskiego, nagradzała ich srebrnymi i złotymi medalami; a w samym Wilnie przyzwoitość, dobre obyczaje i postępy studentów uniwersytetu pozyskiwały powszechną wdzięczność, a nawet podziw i wysoko postawiły uniwersytet wileński w opinii ludzi sprawiedliwych i patrzących na wszystko bez uprzedzeń. Najlepszym jednak dowodem, jaką korzyść przyniosły środki, zastosowane przez zwierzchność uniwersytecką, jest obojętność, ujawniona w ostatnich trwożliwych czasach powszechnych rozruchów przez uczniów i profesorów, i dlatego czy nie jest dziwnem, że przyczynę wszystkiego złego przypisano temu właśnie, co nie brało żadnego udziału w zaburzeniach i powstaniu, przeciwnie nawet, było powodem do oziębienia wielu umysłów i do zmniejszenia wielu okropności buntu?...”

„...Od dość dawna zauważono, że ludzie niegodziwi do zakłócenia spokoju powszechnego używali studentów, jako najskuteczniejsze do tego narzędzie. Od 1817 r., gdy demagogiczne wrzenie umysłów szerzyło się nawet w Niemczech, studenci byli najważniejszymi obrońcami i wykonawcami zamiarów występnych; profesorowie ich przewodnikami. Należy tylko przypomnieć święto w Wartburgu <sup>1)</sup> i inne próby pozornego zjednoczenia wszyst-

---

<sup>1)</sup> Słynna uroczystość, obchodzona w r. 1817 przez burszenszafty niemieckie na pamiątkę reformacyi.

kich pojęć demagogicznych i skierowania ich do celu występnego; niedawno w Paryżu i innych miastach Europy studenci brali wydatny i najszkodliwszy udział w nieporządkach, profesorowie to pochwalali i przewodniczyli im w następnych zbrodniach.

„Wszakże najbliższym i przerażającym przykładem jest Warszawa. Bunt rozpoczęty był przeważnie przez podchorążych i studentów, poparty i kontynuowany przez profesorów i osoby, z pośród których wiele bardzo niedawno miało jeszcze wpływ na młodzież wileńskiego okręgu naukowego. Tutaj wystarczy dla potwierdzenia słów powyższych wymienić byłego kuratora wileńskiego okręgu naukowego, ks. Adama Czartoryskiego; byłych i usuniętych profesorów uniwersytetu wileńskiego: Lelewela i Gołuchowskiego; członka głównego zarządu szkół, byłego wizytatora uniwersytetu wileńskiego, hr. Ludwika Platera; pozostającego poprzednio przy księciu Czartoryskim, a w ostatnich czasach profesora w uniwersytecie warszawskim, odznaczającego się mowami demagogicznymi i występniemi, Lacha Szyrnę. Oprócz tych osób, na których co do uniwersytetu wileńskiego należy szczególną zwrócić uwagę, wszyscy profesorowie uniwersytetu warszawskiego, zapomniawszy i opuściwszy obowiązki swego zawodu, pełnili różne wkładane na nich lub wypraszone u rządu rewolucyjnego urzędy i najwięcej współdziałali w popieraniu bezprawnego entuzjazmu w krzywoprzysiężnych mieszkańcach Królestwa Polskiego i zgubionej młodzieży.

„Gdy w ten sposób, rozpoczęty przez podchorążych i studentów uniwersytetu warszawskiego bunt rozpalili się i szerzył w Królestwie Polskiem, w Warszawie wielkie pokładano nadzieje na studentów wileńskich, przypuszczano, że i oni, za przykładem współrodaków, nie omieszkają wywołać buntu, owładnąć władzami i wspólnymi siłami będą dążyli do powszechnego występnego celu. Dlatego, jak się później okazało, rząd buntowników polskich rozsyłał do wszystkich ważniejszych miejsc gubernij, powróconych od Polski, a zwłaszcza do Wilna, swych agentów, gazety, występne wiersze i mowy, i różne obraźliwe utwory, dotykające nawet osoby Jego Cesarskiej Mości. Tak wielkie zgorszenie i kusicielstwo nie miało powodzenia pomiędzy studentami wileńskimi; przeciwnie, pomimo nielicznego ówczasnie wojska w Wilnie, młodzież ucząca się, w liczbie około trzech tysięcy, utrzymano w karności i możliwym porządku.

„Pomimo wszystkich tych zachęcań, jako też pomimo nieprzyjaznego usposobienia młodzieży i wpajaną w nich przez rodziców, krewnych i znajomych nienawiść do Rosyi, studenci uniwersytetu



wileńskiego nie mogli wywołać najmniejszego poruszenia buntowniczego; sami spostrzegli, że przedsięwzięte środki stawiają ich w zupełnej niemożności wszczęcia czegośkolwiek przeciwnego istnjącemu porządkowi; okazało się to z doszłych do rąk rządu listów niektórych studentów, pisanych do Warszawy do krewnych, namawiających ich do rozpoczęcia buntu; w listach tych tłumaczą, że środki przedsięwzięte przez zwierzchność uniwersytecką nie pozwalają na podjęcie czegośkolwiek; że nawet każdy ich krok, każda rozmowa, każde działanie skutkiem zwiększonego nad nimi nadzoru, znane jest zwierzchności.

„Niezwyczajne okoliczności skłoniły do użycia prócz środków zwykłych, i nadzwyczajnych. Cały skład uniwersytetu z największą jednomyślnością i żarliwością oświadczył gotowość współdziałania i wszystkie polecenia naogół wypełniane były z gorliwością i rozsądkiem...”

Przykładne zachowanie się całego korpusu uniwersyteckiego zwróciło uwagę Najjaśniejszego Pana. Zadaniem zwierzchności uniwersyteckiej było nietylko powstrzymać młodzież od udziału w „buncie,” lecz zarazem wyrzucić w ten sposób dobroczynny wpływ na mieszkańców Wilna i nawet Królestwa, i tem samem zaprzeczyć fałszywym wieściom o powstaniu w Wilnie. „Czyż ta zasługa uniwersytetu może być powodem do jego oskarżenia?” pyta Pelikan.

W dalszym ciągu swoich wywodów rektor opisuje przebieg powstania na Litwie, popieranego przez „tak zwaną szlachtę i duchowieństwo rzymsko-katolickie,” i ustawicznie zapewnia, że tylko niezwykła czujność i zapobiegliwość zwierzchności uniwersyteckiej uniemożliwiła młodzieży wzięcie czynnego udziału w ruchawce zbrojnej. Gdyby nie okoliczności nieprzyjazne, spowodowane wybuchem „buntu,” uniwersytet z pewnością wytepiłby „kłamliwe zasady i nieprzyjazne dla Rosyi uczucia młodzieży,” wszakże i w tych ciężkich warunkach zdziałał wiele.

„...Profesorowie są przeważnie rodem z gubernij powróconych od Polski. Być może, iż niektórzy ukrywają w duszy swój sposób myślenia, przeciwny widokom rządu i żywią względem narodu rosyjskiego i jego rządu uczucia nieprzyjazne i kłamliwy patriotyzm polski, który w ostatnich czasach prawie wszędzie się ujawnił; wszakże żaden z profesorów w wykładach swych nie mógł wpajać w słuchaczy żadnych zasad lub prawideł, przeciwnych widokom rządu.” W przeciwieństwie do profesorów warszawskich wileńscy przez cały czas powstania pozostawali na swych stanowiskach w Wilnie.

W stosunku do uczniów zwierzchność uniwersytecka dołożyła wszelkich starań, aby rozciągnąć nad nimi baczną czujność i dozór, aczkolwiek nie było to rzeczą łatwą. Nadto na młodzież ma wielki wpływ otoczenie domowe, któremu przeciwdziałać trudno. Wszakże na trzy tysiące studentów zaledwie około czterdziestu wyszło do powstania. Jest to liczba bardzo nieznaczna, jeśli zwłaszcza wziąć pod uwagę wyteżoną agitację agentów warszawskich i namowy znajomych, krewnych, nawet rodziców. Zresztą i za tych czterdziestu studentów nie może uniwersytet brać odpowiedzialności, gdyż władza uniwersytecka nie była absolutnie w możności pilnować np. rogatek miejskich, aby przez nie nie przecisnęło się kilku studentów. Wszak nawet z petersburskich zakładów naukowych uciekali uczniowie na wieść o powstaniu w Polsce, uciekali też podchorążowie z Dynaburga, chociaż nadzór nad nimi niewątpliwie musiał być jaknajlepszy.

Gdy wybuchła cholera, studenci zostali uwolnieni z uniwersytetu i wyjechali do domów, wtedy też musiał oczywiście ustać wszelki nad nimi dozór ze strony zwierzchności uniwersyteckiej. Jednakże i wówczas wielu pozostało w Wilnie np. przy szpitalach wojennych, pełniąc służbę gorliwie i zasługując na uznanie rządu.

W konkluzji swego memoriału Pelikan dochodzi do wniosków:

„1) że więcej dziwić się należy temu, jak słaby wywarły wpływ na młodzież wileńską okoliczności przeciwnie; 2) że uniwersytet wileński bynajmniej nie był ani źródłem, ani gniazdem wszystkiego złego, ani niczem podobnem, lecz przeciwnie dobroczynnym środkiem, o ile to leżało w jego mocy, do utrzymania młodzieży litewskiej od buntu i w daniu przykładu stałości... wpływając w ten sposób na utrzymanie całego miasta w uległości...“

Ciekawe są końcowe uwagi memoriału:

„Wielce mylą się ci, którzy mniemają, że poskromienie buntu w tym kraju oziębiło entuzjazm antyrządowy i położyło koniec wszystkim występnyim zamachom; przeciwnie, obecnie więcej niż kiedykolwiek, naród rozjątrzony niepowodzeniami, zniszczony wielkością własnego przestępstwa, zdemoralizowany, pod wpływem przewrotnego duchowieństwa, a co najważniejsze, pozbawiony cnót chrześcijańskich i poważania religii, obecnie, naród ten zachowuje, jeśli nie w większym, to niewątpliwie w równym, jak dawniej, stopniu nienawiści do prawego rządu i Rosyi, i gotów przy najmniejszej sposobności wywołać jeszcze okropniejsze, szkodliwsze nieporządki. Rozsądek i bezpieczeństwo wymaga, aby na przyszłość usilnie i stale przeciwdziałać takiemu szkodliwemu usposobieniu umysłów; w tym celu nie może być pewniejszych środ-



ków, jak zupełne odgrózenie nowego następnego pokolenia od wszelkich szkodliwych wpływów, które wszędzie wielce obficie są rozsiane. Dla osiągnięcia tego celu należałoby zarówno sam uniwersytet, jak i podwładne mu zakłady naukowe przekształcić na zamknięte kolegia (*colleges fermées*), z pozostawieniem wszakże ich nazw uprzednich, przywilejów, nie dopuszczając tylko do nich wolnych słuchaczy. Wszyscy uczniowie, mieszkając razem, tworząc swoje osobne koło, pozostając zawsze pod czujnym dozorem guwernerów i przełożonych — winni stać się moralnymi, użytecznymi i wiernymi Tronowi obywatelami.“ Pożytek z takich zakładów będzie, zdaniem Pelikana, niewątpliwy, powołuje się on, między innymi na podobne zakłady wychowawcze we Francji.

„Ufundowanie takich zakładów w guberniach powróconych od Polski, przyjęte będzie—zapewnia Pelikan—przez dojrzałych mieszkańców tego kraju z radością, ponieważ w ten sposób, za uniarkowaniem wynagrodzeniem, ułatwi się im wychowanie dzieci, a biedni będą utrzymywani z sum specjalnie na to przeznaczonych. Jeśli zresztą liczba uczniów, zwłaszcza biednych zmniejszy się, to rząd na tem nic nie straci, gdyż, należy zauważyć, że w tych stronach wykształcenie stało się przeważnie nie celem, lecz tylko środkiem, ażeby przez otrzymanie stopnia naukowego wyjść z klasy podatkowej. Tacy młodzieńcy, których pociąga do uniwersytetu nie powołanie, lub zdolności wrodzone, lub miłość wiedzy, osiągnąwszy swój cel, stają się ciężarem dla rodziny... są zupełnie bezużytecznymi, a nawet wprost szkodliwymi członkami społeczeństwa...“

Oprócz reorganizacji uniwersytetu wileńskiego i szkół wogóle, Pelikan poleca, podobnie jak to czynił Sękowski i Murawiew, odebrać szkoły duchowieństwu katolickiemu i klasztorom; „należy również wszędzie w tym kraju, poczynając od uniwersytetu stopniowo wprowadzać wykłady w języku rosyjskim, ponieważ różnice językowe zawsze wpajają wzajemne niedowierzanie; filologiczne badanie języka, a nawet zwykłe nad nim studia, obudzają wspomnienia historyczne o byłej niegdyś samodzielności i niepodległości państwa, a w tych źródłach kryją się ziarna nieskończonych usiłowań buntowniczych, jako też uczuć nienawiści i zawiści, co wszystko razem rodzi złe zamiary. Stopniowe wprowadzanie wykładu najpierw jednego przedmiotu, potem dwóch i więcej, wreszcie wszystkich po rosyjsku, zarówno w uniwersytecie, jako też w całym okręgu, może temu silnie przeciwdziałać...“

W drugiej nocy, również bez daty, przesłanej przez Pelikana Komitetowi, rektor rozpatruje zasadniczą tylko kwestyę „czy

korzystnie będzie skasować uniwersytet wileński lub przenieść go gdzieindziej.“ Powołując się na uzasadnione w poprzedniej nocie przekonanie, że uniwersytet nietylko nie brał udziału w rozruchach, a nawet przyczynił się do ich osłabienia, Pelikan przeciwny jest zniesieniu niespełna trzysta lat istniejącego zakładu, „który... zdobył sławę europejską i przyniósł wiele korzyści cesarstwu. Nie można zresztą zupełnie pozbawiać kraju oświaty; jeżeli zaś zamiast uniwersytetu inny jaki otworzyć zakład, to zasadniczej zmiany nie będzie.“ Zwraca wreszcie Pelikan uwagę na akt zatwierdzenia uniwersytetu z 4 kwietnia 1803 r., fundujący *nazawsze* uniwersytet w Wilnie.<sup>1)</sup> Nadto uniwersytet utrzymywany jest z dobrowolnych ofiar, które przestałyby wpływać, o ile uniwersytet zostałby przeniesiony.

Dalej twierdzi rektor, że zaraza umysłów młodzieży litewskiej płynie wraz z mlekiem matczynem, a na to nic nie pomoże skasowanie lub przeniesienie uniwersytetu; jeżeli zaś przypuścić, że młodzież litewska zacznie uczęszczać do wszechnic rosyjskich, to kto wie, czy to nie będzie najgorszem, gdyż wówczas „występne pojęcia będą rozniesione do różnych części cesarstwa i tam... dojrzawszy, spowodują zgubne następstwa i zarażą młodzież rosyjską...“

Oczywiście przeniesienie uniwersytetu na razie zapobiegnie szkodliwemu wpływowi otoczenia wileńskiego na młodzież, lecz w nowem miejscu powstać mogą nowi burzyciele; temu zaś nie można przeszkodzić; najlepszym dowodem jest liceum wołyńskie,

---

<sup>1)</sup> Odpowiedni, wysoce znamienny ustęp z „Aktu potwierdzenia Imperatorskiego Uniwersytetu w Wilnie“ brzmi: „Chcąc wszystkich Prowincyi Naszego Imperium szczęście na oświeceniu powszechnem, iako naturalney onego zasadzie ugruntować; uznaliśmy za rzecz istotną, że naysprzedniejszym i nayspewniejszym w tak wielkim zamiarze jest krokiem staranie o zakłady nowych i urządzenie już założonych dla edukacyi młodzi funduszów: których pożytek wieloletnie doświadczenie okazało; przeto za rzecz przyzwoitą osądziłiśmy tym Aktem Naszym zabezpieczyć nazawsze trwałość starodawnego Uniwersytetu Wileńskiego, w roku 1578 założonego, a w roku 1781 odnowionego stosownie do terażniejszego stopnia Nauk u nayoświecenijszych w Europie narodów. Aby zaś ten Uniwersytet, w swoim nienaruszeniu obwarowany, miał środki do doyscia ważnego swojego celu, iakim jest kształcenie pożytecznych obywatelów, do wszystkich stanów, i wszelkiego rodzaju usług w Państwie; raczyliśmy zatem Imperatorskiem słowem Naszem, za Nas i Następców Naszych postanowić co następuje“ i t. d.



któremu jedynie zawdzięcza Krzemieniec, że stał się miejscem centralnem zjazdów i zebrań mieszkańców Wołynia, Podola i Ukrainy.

Przeniesienie uniwersytetu i jego urzędzeń pochłonęłyby ogromne suny.

Wprawdzie zakładanie uniwersytetów nawet w małych miasteczkach ma swoje dodatnie strony, wszakże i ten środek „w powróconych od Polski guberniach“ nie doprowadziłby do pożądaných rezultatów, ponieważ zawsze znajdują się ludzie występni, którzy jedynie z zamiarem zepsucia młodzieży będą zamieszkiwali w tem miejscu, gdzie zostanie przeniesiony uniwersytet.

Wychodząc z praktycznego punktu widzenia, Pelikan zwraca uwagę na to, że wydział medyczny może pomyślnie rozwijać się jedynie w dużem mieście, gdzie są odpowiednie szpitale, kliniki i t. p. Pozostawienie wydziału lekarskiego w Wilnie, a przeniesienie innych niema racyi, gdyż dwie trzecie studentów uczęszcza na medycynę. W konkluzji pisze rektor, że Wilno zawdzięcza swój rozwój w znacznej części uniwersytetowi, którego zniesienie lub przeniesienie spowodowałoby zupełny upadek i zubożenie miasta.

Noty Pelikana rzucają niezmiernie charakterystyczne światło na kierunek pedagogiczny uniwersytetu wileńskiego w ostatniem siedmioletciu jego istnienia. Rektor z całą otwartością odsłania swój pogląd na działalność Czartoryskiego i jego współpracowników w dziele oświaty na Litwie i Rusi. Uderza z gwałtownością niesłychaną na system wychowawczy poprzedników, zarzucając im występność działań, zdradę, podłość i t. p. Jest w tych słowach zaciętość jakaś nieprzejednana, przewyższająca jaskrawością tonu nawet sekretne enuncyacje Nowosilcowa. Ta niesłychana gorliwość Pelikana aż wydaje się nieszczerą, wszakże wynikającą z chęci utrzymania uniwersytetu w Wilnie *quand même*. Nie ulega wątpliwości, że Pelikan, jak również i Nowosilcow przeciwni byli kasacie wszechnicy, wszakże motywy, dla których chciano teraz zachowania akademii w stolicy Litwy dalekie były od jakichkolwiek względów natury idealnej lub choćby tylko szczerze pojętego humanitaryzmu i miłości wiedzy. Dalszy zaś przebieg wypadków i rola w nich odegrana przez Pelikana nie budzi żadnych wątpliwości co do charakteru i istotnej wartości moralnej rektora.

## III.

Komitet działający pod przewodnictwem ks. Koczubeja, po rozpatrzeniu wszystkich wyżej wspomnianych materyałów w sprawie uniwersytetu wileńskiego, nie powziął żadnej konkretnej rezolucyi. Uznano wprawdzie „zamknięcie lub przynajmniej przeniesienie“ uniwersytetu za środek pożyteczny w celu wytepienia „szkodliwego ducha“ wśród młodzieży, obudzonego dwudziestoletnią występłą działalnością kuratorską ks. Czartoryskiego, — wszakże zwrócono uwagę i na ujemne strony takiego postanowienia.

W razie kasaty wszechnicy wileńskiej młodzież litewska może „zapewnić inny uniwersytet i tam rozpowszechnić zarazę kłamliwych wyobrażeń, wpajanych jej od dzieciństwa, lub też skierować się do uniwersytetów zagranicznych, gdzie wobec panującej obecnie w Europie wolnomysłności, mogłaby utrwalić swe wywrotowe pojęcia i wytworzyć pokolenie, jeszcze bardziej nieprzyjazne Rosyi.“ Nadto zwrócono uwagę na tę okoliczność, że wydział medyczny w Wilnie jest jednym z najświetniejszych w Rosyi, że fakultet teologiczny niezbędny jest ze względu na konieczność wykształcenia duszpasterzy dla 2½ milionowej ludności katolickiej na Litwie i Rusi. Z uwagi przeto na powyższe, uznano za pożądane „na razie pozostawić uniwersytet w Wilnie, lecz ograniczyć teren jego działania do gubernii wileńskiej, grodzieńskiej i obwodu białostockiego oraz nadać mu organizację bardziej odpowiadającą zamiarom rządu.“<sup>1)</sup> Tak zreformowany zakład będzie „z konieczności uniwersytetem polskim,“ tembardziej przeto powinien być dozorowany przez władze; nadto dla zmniejszenia liczby studentów możnaby postanowić, aby przyjmowano wyłącznie młodzież urodzoną w wspomnianych guberniach.

Uniwersytet wileński miał być jednakowoż otwarty ponownie dopiero „po oczyszczeniu co do różnych przepisów i ludzi“ i dokonaniu zaznaczonych reform. Jednocześnie Komitet wypowiedział się za koniecznością utworzenia osobnego rosyjskiego uniwersytetu w Kijowie, jako mieście, gdzie można przewidywać znaczną przewagę Rosyan nad Polakami. Projektowano utworzyć nowy okręg naukowy, do którego miały wejść gubernie kijowska,

<sup>1)</sup> Takie zmniejszenie okręgu naukowego wileńskiego nastąpiło na mocy ukazu z 12 stycznia 1831 r. Kropotow: „Żiżń gr. Murawiewa,“ str. 450 sq.



podolska, wołyńska, mińska, połtawska, czernihowska, chersońska, taurycka, ekaterynosławska i obwód bessarabski. <sup>1)</sup>)

Oświadczywszy się za zachowaniem uniwersytetu wileńskiego, Komitet stanowczo uznał za niezbędne znieść liceum krzemienieckie, jako „utworzone na samej granicy trzech głównych części dawnej Polski z tym zamiarem, aby nieustannie wzniecać w Polakach tych trzech dzielnic pamięć o dawnym istnieniu narodowym wolnej Polski.“ Natomiast większe przywileje i specjalne prawa należało, zdaniem Komitetu, przyznać gimnazyum kijowskiemu.

Projektowany uniwersytet w Kijowie i zreformowane tamże gimnazyum miały być utrzymywane z funduszków skasowanego liceum krzemienieckiego, o ileby to się nie sprzeciwiało woli ofiarodawców, nadto wszelkie zbiory naukowe miały być przewiezione z Krzemieńca do Kijowa; w razie niedoboru Komitet polecał ministrowi oświaty spożytkowanie na cele nowego uniwersytetu dochodów z majątków skonfiskowanych, oraz sum, które wypadłoby odebrać zmniejszonemu okręgowi wileńskiemu.

W ten sposób, „jeżeli projekt założenia nowego uniwersytetu w Kijowie i rozszerzenia tamtejszego gimnazyum pozyska sankcyę Najwyższą, wówczas będzie to—zdaniem Komitetu—łącznie z utworzeniem korpusów w Połtawie i Połocku, najpewniejszym środkiem do wprowadzenia na zachodnich kresach Rosyi wykładów w języku rosyjskim.“

W kwestyi zniesienia szkół klasztornych i zabronienia duchownym katolickim prywatnego nauczania Komitet wypowiedział się przeciw projektowanym przez Murawiewa i Szipowa zmianom radykalnym.

Nowosilcow solidaryzował się w zupełności ze wszystkimi wnioskami Komitetu.

Dziennik Komitetu, datowany 26 października st. st. 1831 r., z dołączeniem zreferowanych wyżej not rektora Pelikana, przedstawiony został do decyzji monarszej.

Dn. 17 grudnia 1831 r. przewodniczący Komitetu, ks. Koczubej, zawiadomił członków, że „Najjaśniejszemu Panu podobało się... rozkazać:

1) Uniwersytet wileński zamknąć. 2) Stosownie do wyrażonej poprzednio woli Najwyższej pozostawić w Wilnie fakultety medyczny i teologiczny; pierwszy urządzić na wzór Akademij

<sup>1)</sup> W następstwie z gubernii kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej i czernihowskiej utworzono 14 grudnia 1832 r. okręg naukowy kijowski.

medyko-chirurgicznych w Petersburgu i Moskwie... fakultet zaś teologiczny przekształcić na szkołę duchowną. 3) Na tem rozporządzeniu na razie poprzestać i tymczasem zaniechać projektu otwarcia gdzieindziej wszechnicy dla gubernij polskich północnych.“ Założenie uniwersytetu w Kijowie dla gubernij południowych uznane było za niedogodne, natomiast polecono, stosownie do uznania ministra oświaty, przenieść do Kijowa liceum krzemienieckie. Wyrażone wreszcie zostało przekonanie, iż o ileby w przyszłości miał powstać nowy uniwersytet, to najodpowiedniejszą dla niego siedzibą byłby Perejasław, „jako miasto nieduże, położone poza obrębem gubernij polskich, jednak od nich niezbyt odległe.“

Minister oświaty, ks. Karol Lieven, otrzymawszy powyższe postanowienia do wykonania, złożył niebawem raport najpoddłuższy, w którym przedstawiony został stan finansowy uniwersytetu i określono przypuszczalny etat akademii medyko-chirurgicznej w Wilnie. Z wykazu ministeryalnego okazało się, że po potrąceniu z ogólnej sumy dochodów uniwersytetu <sup>1)</sup> kosztów utrzymania akademii medyko-chirurgicznej, w kwocie przewidywanej 86,647 rb. sr. rocznie, <sup>2)</sup> wydatków na szkoły, pensye i t. d., pozostawała nadwyżka w sumie około 47 tysięcy rubli srebrem i 326 półimperiałów złotem, oczywiście o ile nie byłoby niedoborów. Nadwyżkę powyższą minister proponował przeznaczyć „na założenie zakładów naukowych rosyjskich w gubernii kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej, oraz na wzniesienie i wyrestaurowanie tamże niektórych budynków szkolnych.“

Z istnieniem uniwersytetu wileńskiego związany był ściśle byt różnych instytucyj: archiwum funduszu edukacyjnego, instytutu praktycznego rolnictwa, instytutu głuchoniemych, obserwatorium astronomicznego, zakładu litograficznego, majątków beneficjalnych, komitetu cenzury. W sprawach wymienionych zakładów złożył ks. Lieven 12 kwietnia 1832 r. raport szczegółowy.

<sup>1)</sup> Dochód uniwersytetu z majątków pojezuickich wynosił 292,497 rt. 98 $\frac{1}{4}$  kop. sr., 3,686 rb. 20 $\frac{1}{4}$  kop. asygn. i 326 półimperiałów złotem rocznie, wszakże niedobór od 1808 r. do 1831 r. wyniósł 434,157 rb. 98 kop. sr. i 3,570 rb. 72 kop. asygn., zaś w 1831 r. przybyło do sumy powyższej jeszcze 140,562 rb. 47 kop. sr. i 2,843 rb. 20 $\frac{1}{4}$  kop. asygn.

<sup>2)</sup> Utrzymanie fakultetu medycznego w un. wil. kosztowało 48,940 rb. 75 kop. sr., część w sumie 22,240 rb. 75 kop. sr. płacił rząd (według etatu z 15 listopada 1820 r., na utrzymanie 100 wychowalców w osobnym instytucie medycznym przy uniwersytecie), resztę pokrywano z ogólnych dochodów uniwersyteckich.



Rezolucye były następujące:

Archiwum funduszu edukacyjnego postanowiono przewieźć do Petersburga i przekazać departamentowi ministerjum oświaty.

W sprawie zachowania nadal instytutu praktycznego rolnictwa, pod kierunkiem prof. Oczapowskiego, w folwarku Zameczek, należącym przedtem do uniwersytetu, postanowiono, zgodnie z wolą monarszą, zasięgnąć opinii wojennego gen.-gubernatora wileńskiego, ks. Dołgorukowa.

Instytut głuchoniemych, w którym stosownie do umowy, zawartej w 1811 r. pomiędzy uniwersytetem a klasztorem o. o. Misyonarzy, znajdowało się dwóch uczniów przez uniwersytet w swoim czasie tam umieszczonych, minister proponował zamknąć, uczniów zaś i nauczyciela, Mołochowca, przenieść do instytutu głuchoniemych w Petersburgu.<sup>1)</sup>

Co do majątków beneficjalnych oraz reorganizacji komitetu cenzury<sup>2)</sup> nie powzięto na razie żadnych postanowień.

Gabinety ze zbiorami, mającymi jakikolwiek związek ze sztuką (malarstwa, sztycharstwa, snycerstwa) oraz zakład litograficzny proponowano przekazać Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, inne zaś projektowanej „szkole nauk wyższych“ na Białorusi (w Orszy).

Obserwatorium astronomiczne miano pierwotnie, stosownie do woli monarszej, przekazać Akademii Duchownej w Wilnie, wszakże minister spraw wewnętrznych zaproponował oddać je w zarząd petersburskiej Akademii Umiejętności, „co umożliwiłoby z czasem mianowanie tam obserwatora Rosyanina.“

W sprawie Akademii medyko-chirurgicznej ks. Lieven porozumiewał się z ministrem spraw wewnętrznych, który zgadzał się na przejęcie rzeczzonego zakładu, zmniejszył wszakże projektowany etat o 15 tysięcy rb. sr., oznaczając go na sumę 71 tysięcy rb. sr. rocznie. Obniżenie etatu dokonane zostało przez zniesienie katedr języków rosyjskiego, łacińskiego, francuskiego i niemieckiego,

<sup>1)</sup> Szkoła głuchoniemych istniała nadal w Wilnie przy Towarzystwie dobroczynności pod kierunkiem tegoż Karola Mołochowca. Por. Kazimierz Rawicz: „Wileńskie Towarzystwo dobroczynności.“ Warszawa, 1907, str. 42.

<sup>2)</sup> Prezesem komitetu cenzury w Wilnie był kurator okręgu naukowego, którego zastępował rektor uniwersytetu. Do komitetu, na mocy postanowienia z 6 lutego 1829 r., należeli czterej profesorowie uniwersytetu, czterej osobni cenzorzy, dwaj specyjalni do cenzurowania dzieł w języku żydowskim i sekretarz; ogólny etat określono w sumie 14,700 rb. rocznie.

oraz zredukowanie pensyi profesorów do 1,200 rb. sr. rocznie, zamiast projektowanej 1,500 rb. sr.

Ostatecznej kasaty uniwersytetu wileńskiego nie spodziewano się tak rychło nawet w sferach wyższej biurokracji petersburskiej. Przeciwny temu był Komitet hr. Koczubeja, Nowosilcow, ks. Lieven, minister oświaty, Kankrin, minister finansów i inni. Wszakże przeważyły wpływy możniejsze. Dn. 1 maja st. st. 1832 r. wydany został na imię ministra spraw wewnętrznych reskrypt następujący:

„Uznając za potrzebne znieść uniwersytet wileński, rozkazaliśmy ministrowi oświaty przekazać ministeryum spraw wewnętrznych fakultety medyczny i teologiczny tegoż uniwersytetu, w celu przekształcenia pierwszego na Akademię medyko-chirurgiczną, drugiego na Szkołę Duchowną; do wykładów i na inne stanowiska mają być powołani ci z dotychczasowych profesorów i urzędników uniwersytetu, którzy okażą się prawomyślnymi.

„Wobec powyższego rozkazujemy sporządzić projekt regulaminu i etatu dla dwóch tych zakładów naukowych i przedstawić takowy do naszego uznania.“

W tym samym dniu wystosowano następujący reskrypt najwyższy na imię Nowosilcowa:

„Mikołaju Mikołajewiczu! Uznając za potrzebne znieść uniwersytet wileński, podległe zaś jemu zakłady naukowe przyłączyć do okręgu białoruskiego, najmiłościwiej zwalniamy Pana z obowiązków kuratora okręgu naukowego wileńskiego, pozostając z cesarską łaską naszą zawsze dla Pana życzliwym. Mikołaj.“

#### IV.

Ze sprawą zniesienia uniwersytetu wileńskiego w ścisłym pozostawał związku los profesorów i wszystkich wogóle osób zatrudnionych w rzeczonym zakładzie. Od końca sierpnia 1831 r. przestano wypłacać pensye etatowe, „niepewna przyszłość wszystkich powszechną przejmowała trwogą.“<sup>1)</sup> Minister oświaty w przedstawieniu swoim z 12 kwietnia 1832 r. proponował tym profesorom i urzędnikom uniwersytetu, którzy już wysłużyli 25 lat, przy-

<sup>1)</sup> Ks. Stanisław Jundziłł: „Pamiętniki.“ Kraków, 1905, str. 131. Minister projektował wypłacać profesorom i urzędnikom, z wyjątkiem pozostających na czynnym ówczynie wydziale medycznym, połowę pensyi, co by wynosiło około 23,260 rb. sr. rocznie.



znać emeryturę, zgodnie z ogólną w tym względzie zasadą, pozostałym zaś bądź wypłacać emeryturę stosownie do lat odbytej służby, bądź też przyznać zapomogi jednorazowe. Minister obliczał wydatki z tego tytułu w sumie 7,450 rb. sr. rocznie, oraz jednorazowo 10,175 rb. sr.

Takie lub owakie rozstrzygnięcie tej ważnej dla wielu osób kwestyi uzależnione było w znacznym stopniu od opinii, jaką zwierzchność uniwersytetu, względnie kurator lub rektor, miała wydać o prawomyślności podwładnych. Na to kładziono nacisk szczególny. Już w pierwszym poleceniu najwyższem, danem Komitetowi hr. Koczubeja, powiedziano: „że profesorowie uniwersytetu wileńskiego i gimnazjum krzemienieckiego, *po należytem rozróżnieniu*, mogą być mianowani do innych uniwersytetów i szkół.“ Minister oświaty zawczasu też, 9 września 1831 r., zażądał od Pelikana dokładnych informacyj o wszystkich, należących do uniwersytetu osobach, zamieszanych do powstania, jako też o tych, którzy opuścili swe stanowiska bez pozwolenia; „z dołączeniem opinii rektora względem ich wartości moralnej i sposobu myślenia.“

Wyczerpująca odpowiedź poufna Pelikana (z 1 grudnia 1831 r., № 768) nieocenioną jest dla jego charakterystyki, odsłania bowiem przed nami z całą brutalnością charakter rektora, dostrajającego się z taką niezwykłą łatwością i skwapliwością do ultrareakcyjnych prądów petersburskich. W tym ciężkim, acz starannie zredagowanym operacie policyjnym, Pelikan szedł dalej, niżeli tego wymagał minister, wypowiedział mianowicie opinię o wszystkich osobach, należących do uniwersytetu; uważał za obowiązek sumienia wyłożyć „z całą szczerością i otwartością myśli swe o każdym,“ aby w ten sposób współdziałać władzy w jej trosce o „moralność uczących i uczniów.“

Przedewszystkiem jednak uznał za niezbędne wypowiedzieć kilka uwag zasadniczych o uniwersytecie wileńskim.

Za rządów kuratorskich ks. Czartoryskiego „zuchwalstwo studentów, wpajane w nich szkodliwe zasady i zły sposób myślenia niektórych profesorów, były przyczyną, że uniwersytet wileński obudził prawie powszechnie niekorzystną o sobie opinię.“ Dopiero, gdy obecny kurator, Nowosilcow, „pewnymi i skutecznymi środkami poskromił zuchwalstwo studentów... gdy, wyróżniając zasługi i gorliwość... dobroczynnymi namowami obudził współzawodnictwo uczniów i profesorów,—wówczas uniwersytet wileński począł... coraz bardziej zyskiwać zaufanie i poważanie.“ W dalszym ciągu twierdzi Pelikan, że do wybuchu powstania, żadna z osób, podległych uniwersytetowi, nie zachwiała się w wierności

względem Tronu, przeciwnie nawet, prawie wszyscy okazali gotowość przeciwdziałania „ruchawce buntowniczej.“ Dopiero „w tych nieszczęśliwych czasach, gdy nierozsądne i fałszywe uczucia występnego patriotyzmu polskiego rozpowszechniły się w zachodnich prowincjach cesarstwa, niektóre osoby, podległe uniwersytetowi, również ochłodyły w gorliwości wobec prawego rządu.“ Był to zresztą, zdaniem Pelikana, objaw podówczas powszechny wśród mieszkańców „gubernij powróconych od Polski.“ Składały się na to: „brak uczuć religijnych, demoralizacya, powszechne zepsucie obyczajów, w szczególności pośród duchowieństwa.“ Dziwnie, zaiste, brzmią te katońskie gromy oburzenia w ustach człowieka, który, zdaniem współczesnych, sam ze siebie dawał pod każdym względem przykład najbardziej gorszący.

Pomimo jednak takiego nastroju całej niemal ludności, z wydziału uniwersytetu zaledwie ośmiu ludzi zdecydowało się wstąpić do „band buntowniczych.“ Byli to: Waleryan Pietkiewicz, kandydat praw, Julian Gros, pomocnik architekta uniwersyteckiego, Marcin Żyliński, pomocnik przy obserwatoryum astronomicznem, Gerard Gronostajski, nauczyciel gimnazyum wileńskiego, Hipolit Klimaszewski, nauczyciel szkoły powiatowej, wreszcie Adam Niewiadomski, Cypryan Kamieński i Szymon Traczewski, kanceliści.<sup>1)</sup>

Wszakże, zdaniem Pelikana, „ludzie ci, jawnie podnoszący oręż przeciw prawemu monarsze, nie mogli być tak szkodliwi, jak wogóle ci wszyscy, którzy, pozostając na miejscu, skrycie podniecali ogień buntu, szerzyli fałszywe wieści i pogłoski, słowem, oddziaływali w sposób szkodliwy na wielkie koło ludzi, których wiedli do zbrodni... Byli zresztą i tacy, w liczbie osób podległych uniwersytetowi, którzy, starając się wprowadzić w błąd przezorność swoich zwierzchników, nie stracić atoli zarazem zaufania buntowników, pozornie okazywali zupełną do wszystkiego obojętność. O tych w załączonym wykazie nic nie powiedziałem, ponieważ trudno jest dokładnie określić ukrywany przez nich sposób myślenia; jednakże takie sprawowanie zawsze powinno być tłómaczone bardziej na złe, ponieważ nie okazali oni dobrego usposobienia względem rządu, wówczas gdy mieli po temu najlepszą sposobność; być może, że okoliczności jedynie nie pozwoliły im ujawnić właściwego sposobu myślenia.“

---

<sup>1)</sup> Referując jedynie opinie Pelikana, nie możemy na tem miejscu wchodzić w polemikę z jego zapatrywaniami na powstanie 1830—31 r., udział w niem młodzieży wileńskiej i t. p.



W słowach powyższych mieści się *implicite* ciężkie wobec władz oskarżenie wielu profesorów i urzędników uniwersyteckich. Nie osłabia rzeczonyj insymulacyi zapewnienie rektora o faktycznem nienależeniu do „występnych, gorszących działań buntowniczych“ członków uniwersytetu.

W dalszym ciągu swego raportu wspomina Pelikan o młodzieży, wciągniętej do powstania przez rodziców i krewnych, dorzuca wreszcie parę uwag ogólnych o nastroju ludności po upadku powstania. Opinia rektora, tchnąca najwyższem uprzedzeniem i nienawiścią do społeczeństwa, do którego sam wszakże należał, może być postawiona na jednym poziomie, zarówno co do treści wewnętrznej, jak nawet i formy wypowiedzenia, z gwałtownymi inwektywami Murawiewa.

„Niepowodzenia, które powinny były rozczarować naród buntowniczy w jego zamierzeniach występnych — pisze Pelikan — zupełnie nie wykorzeniły ani nadzwyczajnego entuzjazmu, ani bezecnej gotowości do wywołania ponownej bezprawnej ruchawki przy pierwszej dogodnej sposobności. Zupełny zanik cnót chrześcijańskich i szkodliwy wpływ duchowieństwa, łącznie z wieloma innymi ważnymi przyczynami, nie zaprzestają podsycać w wiarotłomnym narodzie stałej nienawiści do Rosyan i rządu prawnego, klęski zaś i nieszczęścia tak sprawiedliwie poniesione, jeszcze ich bardziej (t. j. Polaków) rozjątrzyły.“

Szczegółowe informacye o osobach podległych uniwersytetowi poprzedza Pelikan uwagą o niemożliwości zebrania zupełnie pewnych danych co do ich wartości moralnej i sposobu myślenia, gdyż starannie się z tem ukrywano przed osobami oddanymi rządowi.

„Na podstawie wiadomości, jakie do mnie ubocznie doszły i okoliczności, pozornie mało znaczących, wreszcie na podstawie obcowania z nimi (t. j. profesorami i urzędnikami), mogłem dojść do swych wniosków“ — pisze. Zresztą Pelikan był przekonany, że z czasem nadarzy się sposobność potwierdzenia jego opinii o każdym.

„Spis urzędników w zarządzie Imperatorskiego uniwersytetu wileńskiego, przebywających w Wilnie,“ ułożony przez Pelikana, zawiera ogółem 159 nazwisk, w tej liczbie 66 z opinią przychylną i 32 z nieprzychylną, co do pozostałych rektor się nie wypowiedział. Nieprzychylnie świadectwo otrzymali:

*Szymon Malewski*, b. rektor („niestatecznego i wątpliwego sposobu myślenia“); *Jędrzej Śniadecki* („powszechny dla niego w ostatnich czasach szacunek, ujawniony ze strony tak zwanych

mylnie patryotów, budzi wątpliwości co do jego sposobu myślenia; nie należy również zapominać o tem, że syn jego przystał do buntowników w powiecie zawilejskim, wyszedł stamtąd z szajką i połączył się z partją Dembińskiego; obecnie zaś, po zdobyciu Warszawy, powrócił do Wilna; również i zięć jego, Michał Baliński ściągnął na siebie wielkie podejrzenie i był aresztowany<sup>1)</sup>; ksiądz *Michał Bobrowski* („ten szkodliwy kapłan był razem z Lelewelem w 1824 r. wydalony z uniwersytetu za zły sposób myślenia i występne działania; w następstwie był ułaskawiony w przekonaniu, że łaska ta jego poprawi. Choć długo starał się ukryć zdradliwy sposób myślenia, lecz wszystkie jego działania, postęпки i stosunki okazują go, jako człowieka złego, niewdzięcznego i najzupełniej niepoprawionego po odbytej przezeń karze i ułaskawieniu“); *Józef Jaroszewicz* („wielce nieprawomyślnego sposobu myślenia“); *Leon Borowski* (j. w.); *Ignacy Fonberg* (j. w.); ks. *Ignacy Borowski* („w ostatnich czasach całe duchowieństwo rz.-katolickie było ożywione nienawiścią i pogardą dla Rosyan i niema wątpliwości, że i na niego błędy powszechne wpływ miały“); *Aleksander Korowicki* („wielce nieprawomyślny i niezyczliwy“); *Wincenty Giecołd* („zły sposób myślenia ukrywał bardzo umiejętnie i starannie, dlatego nie zasługuje na zaufanie“); *Jan Bohowicz*, ekonom uniwersytecki („człowiek stary, bez wychowania, dlatego więc prawdopodobnie przejął niepewny sposób myślenia od ludzi, którzy na wielu mieli wpływ szkodliwy“); *Bruno Suchecki*, nauczyciel w gimnazyum drugim („nagannego sposobu myślenia“).<sup>1)</sup>

Wreszcie opinię wyraźnie niekorzystną mieli następujący profesorowie i urzędnicy: Antoni Wyrwicz, Zygmunt Rewkowski, Wincenty Karczewski, Jan Szantyr, Leon Rogalski, Henryk Laupman, Leonard Okołów, Augustyn Serwiński, Teodozysus Giecołd, Kacper Trzaskowski, Jan Hilferding, Edward Szaćfajer, Antoni Smorczewski, Franciszek Jabłoński, Józef Pieńkowski, Konstanty Modzelewski, ksiądz Jan Markiewicz, regens Głównego Seminarjum duchownego, Andrzej Kalinowski, Józef Fiżan, Aleksander Staszyński i Grzegorz Misinkiewicz.

Bez specjalnej adnotacyi wymienienia Pelikan 61 osób, wszakże zaliczyć ich należy, w myśl słów rektora, do nieprawomyślnych. Spotykamy tu między innymi: Michała Polińskiego, Mi-

<sup>1)</sup> Suchecki należał do liczby pierwszych członków Towarzystwa Filomatów, w następstwie jednak, jako nieodpowiedni, został zeń usunięty.



chała Oczapowskiego, Karola Podczaszyńskiego, Józefa Jundziłła, Adolfa Abichta, Feliksa Rymkiewicza, ks. Antoniego Fiałkowskiego, Szymona Łukowskiego, Waleryana Górskiego, Teofila Kiślinga, Kazimierza Jelskiego, Hipolita Rumbowicza, Antoniego Szalina, Ignacego Jakowickiego, Aleksandra Woelcka, Józefa Mianowskiego, Józefa Korzeniewskiego, Stanisława Górskiego, Adama Jochera, Ksawerego Dejbla, Michała Fryczyńskiego, Feliksa Mierzejewskiego, Piotra Ostrowskiego <sup>1)</sup>, wszystkich księży przy kościele uniwersyteckim i t. d.

Na przychylną opinię rektora zasłużyli: *Mikołaj Mianowski* („zawsze szczerze okazywał największe przywiązanie do rządu i oddanie Tronowi; dbał i zabiegał o pożytek i sławę uniwersytetu; a w ostatnich czasach z powodu zdrowych swych poglądów, zarzutów ludzi niepewnych i niestałych w dobrem usposobieniu, dokładności i gorliwości w służbie do takiego stopnia był znienawidzony przez mylnie t. zw. patriotów polskich, że życie jego byłoby w niebezpieczeństwie, gdyby zamach buntowników na Wilno miał najinniejsze powodzenie“); *Paweł Kukulnik* („bardzo pewny, sumienny i zupełnie rządowi oddany urzędnik; w ostatnich czasach dokładał starań w celu utrzymania studentów w spokoju i współdziałał w dozorze nad nimi“); *Feliks Drzewiński* („spokojny, skromny i raczej prawomyślny“); *Cypryan Kazimirski* („narażając się na wszystkie nieprzyjemności, jakie w ostatnich czasach nieodłączne były dla ludzi wiernych i oddanych Tronowi, nie przestawał gorliwie pełnić swych obowiązków i zawsze odznaczał się nieograniczonym przywiązaniem do rządu rosyjskiego“); *Wincenty Smokowski* („pod każdym względem człowiek dobry“); *Platon Kukulnik* („znakomitych zdolności jako też obyczajów, sposobu myślenia i oddania Tronowi, wzorowy urzędnik; w czasie zaburzeń w gubernii wileńskiej, zwrócił szczególną uwagę władz wyjątkową swą działalnością i czujnością“); wielkie pochwały oddawał wreszcie Pelikan osławionemu inspektorowi studentów, Wincentemu Naksianowiczowi. Do liczby bezwzględnie prawomyślnych zaliczono nadto między innymi: Aloizego Cappellego, Jana Ruste-

---

<sup>1)</sup> Opinia Pelikana o Mierzejewskim i Ostrowskim jest tem dziwniejsza, że pierwszy, według świadectwa Lclewela, był niemal prawą ręką Nowosilcowa, drugi zaś to ów nauczyciel języka rosyjskiego w gimnazjum wileńskim, Rosyanin, który pierwszy powiadomił gubernatora o „przestępstwie“ ucznia Michała Platera, przypominającego napisem na tablicy szkolnej Konstytucję Majową.

ma, Jana Łobojkę, Jana Wolfganga, Piotra Stawińskiego, Edwar-  
da Eichwalda, Jana Baerkmana, Konstantego Porcyankę, Michała  
Hłuszniewicza, Jana Skidełła, Adama Bielkiewicza, Jana Waszkie-  
wicza, Stanisława Hryniewicza, Jana de Nève, Aleksandra Bo-  
hatkiewicza, księdza Anioła Dowgirda, Stanisława Rodziewicza,  
kasyera uniwersytetu, Nestora Kukolnika, wszystkich dozorców  
i bedeli i t. d.

W ministeryum, po otrzymaniu raportu Pelikana z 1 grudnia  
1831 r., powstały pewne wątpliwości co do „sposobu myślenia“  
osób wymienionych w „Spisie“ bez żadnych adnotacyj. Zażądano  
od rektora bliższych wyjaśnień. Pelikan odpowiedział pismem  
sekretnem, wystosowanem 26 marca 1832 r. № 164 na imię dy-  
rektora departamentu min. ośw., Dymitra Jazykowa. Twierdził  
w niem, że nigdy nie przypuszczał, aby jego opinia, wypowiedzia-  
na z całą szczerością mogła komukolwiek zaszkodzić; starał się,  
zresztą w sposób nader oględny, osłabić zarzuty, wymierzone  
przeciw całemu szeregowi profesorów i członków uniwersytetu,  
powołując się na łaskę monarszą, okazaną urzędnikom z innych  
ministeryów, jawnie biorącym udział w powstaniu. Stosownie do  
żądania ministra zwracał Pelikan dany mu do przejrzania „Spis“  
uprzedni, dołączył wszakże nową listę „nieprawomyślnych profes-  
sorów i innych urzędników uniwersytetu wileńskiego.“ Wymie-  
niono tam osoby następujące: ks. Michała Bobrowskiego, Leona  
Borowskiego, Wyrwicza, Fonberga, Korowickiego, Wincentego  
Giecołda, Szantyra, Trzaskowskiego, Rogalskiego, Pieńkowskiego,  
Szacfajera i Modzelewskiego. Lista niniejsza wraz z ogólnym  
spisem osób, podległych uniwersytetowi, została dołączona do naj-  
poddańszego raportu ministra oświaty z 12 kwietnia 1832 r.

Rezolucya cesarska głosiła: „Prawomyślnych profesorów nie  
zostawiać, lecz przeznaczyć do innych uniwersytetów z pensją  
dotychczasową.“

## V.

Wiadomość urzędową o zamknięciu uniwersytetu przywiózł  
do Wilna kurator białoruskiego okręgu naukowego, Grzegorz Kar-  
taszewskij; „zdaje się być człowiekiem uczciwym, wyrozumiałym,  
przystępnym i nieuprzedzonym,... chociaż kultura naukowa mier-



na,“—pisano w jednym z pism emigracyjnych<sup>1)</sup> o nowym zwierzchniku zakładów edukacyjnych w byłym wydziale wileńskim. Oczywiście, niezbrane były podówczas poufne plany i działania, wymierzone przeciw Unii, a układane jeszcze przed rokiem 1830 przez tegoż Kartaszewskiego, w owym czasie dyrektora departamentu spraw duchownych obcych wyznań.

Nowosilcow „w pożegnalnym swem urzędowym piśmie dnia 18 maja, dziękował profesorom i nauczycielom, jako współpracownikom swoim, za gorliwość i nieskażoną ku tronowi wierność.“ Dnia 28 maja odbyło się ostatnie posiedzenie Rady uniwersyteckiej.<sup>2)</sup> Przed tygodniem, 20 maja, „rektor wileńskiego uniwersytetu, rzeczywisty radca stanu, Pelikan, w nagrodę odznaczającą się gorliwością służby i trudów przez Zwierzchność zaświadczonych i po uznaniu godnym przez Komitet Ministrów, najłaskawiej mianowany (został) kawalerem orderu ś. Włodzimierza 3-go stopnia“...<sup>3)</sup>

Dla przeprowadzenia likwidacji interesów uniwersyteckich utworzony został z polecenia ministra oświaty Komitet tymczasowy szkolny, złożony „z 3 lub 4 profesorów albo adjunktów,“ z prof. Michałem Polińskim, jako przewodniczącym, i Leonem Rogalskim, sekretarzem. Komitet miał polecone: 1) rozstrzygać wszystkie sprawy, wszczęte jeszcze przed zniesieniem uniwersytetu, natomiast w kwestyach nowych, dotyczących np. „zmiany istniejącego porządku,“ decydować mógł jedynie w wypadkach niecierpiących zwłoki, o wszystkim zaś miał powiadamiać kuratora. Komitet wybierał nauczycieli przedmiotów wykładanych po polsku; w tym celu dawane były stosowne ogłoszenia w gazetach; kandydaci składali świadectwa o swem wykształceniu i sprawowaniu; Komitet zaś „prywatnie“ zbierał informację czy dany kandydat na nauczyciela nie należał do powstania; wybór ostateczny zależał od kuratora. Komitet obowiązany był nadto do

<sup>1)</sup> „Pamiętnik emigracji“ (wyd. M. Podczaszyński), zeszyt p. t. „Leszek“ z 8 lipca 1832 r., str. 16, oraz zeszyt p. t. „Mieczysław I“ z 27 lipca 1832 r., str. 8.

<sup>2)</sup> Sobarri: „Obrazki litewskie.“ Poznań, 1874, str. 123 por. str. 154, 157 i in. Jundziłł: „Pamiętniki.“ (1905), str. 132. Do dziejów zniesienia uniwersytetu i rektoratu Pelikana posiadamy dotychczas materiały nader skąpe; oczywiście nie bierzemy w rachubę bezwartościowych elukubracji w rodzaju artykułiku I. K.: „Swiedienja o bywszem wileńskim uniwersytetie s 1823 g. i do uprazdnenja jewo w 1832 g.“ („Wilenski Wiestnik“ z 1869 r. № 51).

<sup>3)</sup> „Kurjer litewski“ z 15 czerwca 1832 r. № 70.

surowej kontroli nad podręcznikami szkolnymi, rozpatrywał raporty wizytatorów, podania urzędników szkolnych, sprawy emerytalne, wreszcie miał nadzór nad funduszami edukacyjnymi. Nadto od 27 października, pod przewodnictwem biskupa wileńskiego, Jędrzeja Kłagiewicza, działała specjalna „Komisya czasowa dla przyjęcia w jej zarządzenie beneficjów duchownych, które zostały w wiedzy b. uniwersytetu wileńskiego, a teraz obracają się na utrzymanie rz.-katolickiej Akademii.“<sup>1)</sup> Czynności Komitetu tymczasowego szkolnego ukończone zostały w 1836 roku.

HENRYK MOŚCICKI.

---

<sup>1)</sup> Sieriebriakow: „Istoricz. oczerk stoletniawo suszczestwowanija wileńskiej I gimnazji.“ Część I (1803—1862). Wilno, 1903, str. 88—89. „Biblioteka Warszawska“ z 1848 r. t. IV, str. 174. „Kur. Lit.“ z 22 sierpnia i 2 listopada 1832 r. №№ 99 i 130. Niektóre szczegóły o Komitecie tymczasowym zawierają niewątpliwie Pamiętniki Michała Polińskiego, pozostające dotychczas w rękopisie.



## *Bilans narodowy.*

Wiek z górą czasu oddzielnego pożycia pod różnymi obcymi rządami, w zupełnie odmiennych warunkach, musiał z konieczności wytworzyć i wytworzył nietylko różne nieraz dążenia w różnych częściach dawnej Rzeczypospolitej, różną politykę każdej z dzielnic, ale nawet różne typy psychiczne Polaków, a co zatem idzie różne typy życia umysłowego, literackiego, artystycznego. Wielkopolska podlega uciskowi praw niewątpliwie barbarzyńskich, ale zawsze praw, i wyteża siły, aby na gruncie tychże praw prowadzić na wszystkich placówkach obronę; a że podczas oblężenia „wobec broni milczą muzy,” typ życia polskiego umysłowo-kulturalnego jest tu może najniższy. W Królestwie mamy także do czynienia z uciskiem, cięższym może do zniesienia teraz, z powodu niedawnych, daleko sięgających nadziei; gorsza, że ucisk ten jest nieobliczalny, daleki od przymusu wyraźnych praw, przeto wymagający ciągle zmiennych metod obrony i budownictwa narodowego; za to dzielnica ta najliczebniejsza, najbardziej rozwinęta ekonomicznie, posiadająca ostatnią stolicę Polski, ześrodkowuje w sobie ruch piśmienniczy i artystyczny polski. Galicya rozwija się w najpomysłniejszych, najbardziej do normalnych zbliżonych warunkach; dlatego tam może kwitnąć sztuka i nauka polityki; tam też pod opieką uniwersytetów i pracowni polskich krzewi się najbujniej i najpożyteczniej nauka polska.

Prócz tych różnic sumarycznych, istnieją najpoważniejsze może na polu gospodarczem. „Podłani pod różne systemy cłowe — mówi prof. Milewski<sup>1)</sup>—nie mamy i mieć nie możemy jednolitego

<sup>1)</sup> Zagadnienie narodowej polityki. Lwów 1909. Str. 27.

kierunku gospodarczego rozwoju, nie mamy praktycznej wspólności interesów, narażeni jesteśmy na wytwarzanie się między nami antagonizmu interesów, sprzeczne gospodarcze dążności, co niszczy jednolitość myśli i działania, utrudnia wspólność idei i pracy, utrudnia ogólny postęp gospodarczy.“ Niebezpieczeństwo to potęguje się „skutkiem coraz wyraźniejszych protekcyjnych tendencji w taryfach cłowych i w całej polityce handlowej rozbiorecznych państw.“

Czy wobec tak wyraźnych różnic może być postawione jedno „zagadnienie narodowej polityki,“ zamiast kilku, chociażby trzech tylko zagadnień? Odpowiedzią na to pytanie jest właśnie cenna praca prof. Józefa Milewskiego. Odpowiedzią, opartą na słusznym przekonaniu, że dzielnice „w nieśmiertelnej“ czują się „jedności,“ że „poczucie tej jedności — acz zaćmione u jednych wpływem obcych prądów, niezupełnie jeszcze uświadomione u drugich — istnieje, rozszerza się — Szlązk! — i pogłębia.“<sup>1)</sup>

Odpowiedź oparta jest na obliczeniu sił i środków narodu — to jego bilans, na szeregu wskazań teoretycznych, z nauki polityki zaczerpniętych, a zawsze do danego przedmiotu zastosowanych, wreszcie na określeniu metody i środków działania, najlepiej prowadzących do określonych celów. Idźmy szlakiem myśli autora, uzupełniając wskazania szczegółami z życia Królestwa, najmniej może w książce uwzględnionego.

\*

\*

\*

W poglądzie na stan spraw narodowych w różnych dzielnicach utarł się u nas pewien łatwy i leniwy optymizm, wyrażający się w jakimś podziwieniu, że „jednak się ruszamy mimo bardzo ciężkich warunków.“ Łatwo ten optymizm usprawiedliwić, ale niepodobna nie zwrócić uwagi na jego niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, polegające na uznaniu *implicite*, że my spełniamy cały nasz obowiązek, wszystko co do nas należy, a odpowiedzialność za nikłe rezultaty nie na nas spada, ale na warunki.

Z tego leniwego kwietyzmu trzeba zedrzyć zasłonę. Bo „rachunek sumienia zapyta nietylko o czyny, dopuszczenia, ale i o za-

<sup>1)</sup> L. c., str. 63.



niedbania, opuszczenia.“<sup>1)</sup> Jeżeli możemy pochwalić się pewnymi zyskami w dziedzinie ideowej—rozwój i pogłębienie świadomości narodowej w szerokich masach, wspaniały rozkwit literatury i sztuki—natomiast musimy zapisać straty w dziedzinie politycznej i gospodarczej. Przypomnijmy tu szereg praw przeciwpolskich w Prusach, osłabienie, sprowadzenie do najmniejszego wpływu i znaczenia reprezentacji polskiej w Izbie państwowej rosyjskiej, kurczenie się ziemi—tej prawdziwej podstawy narodu—nie tylko w Poznańskim i w Prusach, ale i w Królestwie (kolonizacja niemiecka w lipnowskim i w rypińskim), na Litwie, nawet w Galicyi (parcelacja ruska). Słowem „stwierdzić przedewszystkiem należy, że w ciągu ostatnich lat kilku pogorszyło się położenie polskiego społeczeństwa we wszystkich trzech zaborach.“<sup>2)</sup>

Zapewne aby oprzeć się dość rozpowszechnionej jeszcze ciągle tendencji do rachowania w dalszym rozwoju sprawy polskiej na wpływy obce (tak wnosić należy z różnych wzmianek w książce), autor nie uwypukla jej położenia na podstawie stosunków międzynarodowych trzech państw rozbiorczych. Ma słusność, nazywając zewnętrzną—politykę naszą w parlamentach wszystkich tych państw, wewnętrzną zaś—wszelkie prace wewnątrz kraju, bądź kulturalne, bądź w miejscowych organach samorządu, a pomijając zagraniczną, której prowadzić nie mamy możliwości. Nie ma słusności, nie uwzględniając zupełnie międzynarodowego stanowiska kwestyi polskiej, potrzebnego dla całości bilansu, potrzebniejszego jeszcze dla zdarcia pewnych popospolitych złudzeń.

A najprzód, czy kwestya polska jest kwestyą międzynarodową? Potencjalnie, racjonalnie—niewątpliwie tak, jak każda kwestya, na umowach międzynarodowych oparta, a nie rozwiązana. Realnie, ze stanowiska współczesnego, nie, gdyż niema interesowanego mocarstwa, któreby na porządek dzienny wnieść ją mogło i chciało.

Złudzeniem jest opieranie rachub politycznych na antagonizmie państw rozbiorczych. Antagonizmu w polityce Prus i Rosyi nie znają dzieje XIX stulecia. Przeciwnie—solidarność interesów oparta jest właśnie na zobopólnem władaniu ziemiemi polskimi. Z chwilą ogłoszenia konstytucyi w państwie rosyjskiem, ze stanowiska Prus mogłoby być niebezpieczne jakieś porozumienie się społeczeństwa polskiego z rządem rosyjskim, jakiś stan rzeczy, na szerokich ustępstwach oparty, który wytworzyłby mo-

<sup>1)</sup> L. c., str. 1. <sup>2)</sup> Str. 11.

cny kulturalnie kraj pograniczny, zasadniczo Prusom wrogi. To też rząd pruski ze swej strony czynił wszystko, aby temu porozumieniu przeszkodzić, a czynił tak skutecznie, że w obecnej chwili jest ono zupełnie niemożliwe. Obecny stan rzeczy, stwarzający z Królestwa bardzo dogodny *Hinterland* dla wyrobów przemysłu niemieckiego, kraj, w którym na wszelki wypadek kolonie rolnicze niemieckie ciągną się prawie nieprzerwanym łańcuchem od dolnej Wisły do górnego Wieprza i dalej nawet—jest dla Niemiec bardzo korzystny.

Na wypadek nieprawdopodobnej wojny i ewentualnego zajęcia Królestwa przez Prusy, pamiętać trzeba, że obok niewątpliwych korzyści kulturalnych, istniałby ciężki germanizujący aparat rządowy pruski, przy możliwym jednoczesnem usunięciu zdobytego kraju z pod dobrodziejstw konstytucyi. W razie zaś wojny z Austryą—dziś nieprawdopodobnej, chociaż wiele o niej mówiono jeszcze przed paru miesiącami—mógłby zagrażać Królestwu podział, znana z dziejów granica Knesebecka, czwarty rozbiór, a zatem nowe osłabienie spójności i zwartości gromady polskiej. Wniosek zaś z przesłanek powyższych jest taki, że jeżeli nie pogorszyło się położenie międzynarodowe Polski, to pozostało równie niekorzystnem, jak było poprzednie.

Przejdźmy z kolei do położenia Królestwa w Rosyi. Utało się u nas równie pocieszające przekonanie, że pod względem gospodarczym i kulturalnym stoimy nieskończenie wyżej od Cesarstwa i że ta wyższość zapewnia nam niezmiernie korzystne stanowisko w obronie. Przekonanie—słuszne przed laty, już wątpliwe dziś, a może wręcz złudne—jutro.

Rozkład w życiu państwa i narodu rosyjskiego jest w wielu wypadkach pozorny tylko. Niewątpliwa jest dezorganizacja armii i marynarki, niepozwalająca na dalsze ekspansje zewnętrzne i zmuszająca do skupienia na wewnątrz; niewątpliwy jest brak myśli państwowo twórczej w kołach rządzących, ale równie niewątpliwe jest zniesienie wspólnoty, wychodzenie z niej całego szeregu młodszych i energiczniejszych gospodarzy, wczoraj jeszcze we wspólnocie złych, dziś na własnym kawałku ziemi doskonałych, zamierzone i dokonywane ciągle rozszerzenie sieci szkół początkowych. A samodzielni włościanie na większych działkach gruntu, kształceni w szkole ludowej, muszą podnieść rolnictwo na poziom, prędko dorównywający Królestwu o sproletaryzowanej i analfabetycznej ludności włościańskiej. Rolnictwo w Cesarstwie może tak samo prześcignąć Królestwo, jak dziś już zaopatrzone we wszystkie najnowsze narzędzia techniczne przemysł



moskiewski, iwanowo-wozniesieński i inny bije zacofane warsztaty przemysłowe łódzkie.

Rozkład? Ależ występuje on wyraźnie tylko w jednej dziedzinie życia rosyjskiego, w literaturze, i szerzy się pośród jednej tylko warstwy. Ależ oddziaływa on mocno i wyraźnie także na nasze życie i stosunki, czego widomy wyraz mieliśmy w ostatnich wypadkach, do których hasła zapożyczaliśmy ze Wschodu, nie z Zachodu, a które wyszły na korzyść przemysłowi zarówno rosyjskiemu jak niemieckiemu.

Przypatrzmy się teraz położeniu wewnętrznemu, tu, w Królestwie; czyż niema rozkładu? I powiedzmy, że odrębność narodu opiera się w dziedzinie materialnej na ziemi, w dziedzinie duchowej zaś na czynnikach zachowawczych społeczeństwa, na religii, obyczaju narodowym, tradycjach historycznych. Cóż widzimy? Ziemia kurczy się powoli. Dalej, pomijając obojętną przeważnie inteligencję, w masach ludowych podkopywa jedność wyznania maryawityzm, w obyczajach widzimy coraz więcej naleciałości także ze Wschodu, tradycje historyczne podkopywały usilnie badania historyczne, podkopywał następnie nadkrytycyzm nihilistyczny, także ze Wschodu rodem.<sup>1)</sup>

Zatem wynarodowienie ziemi (w bardzo jeszcze małym stopniu), przemysłu i handlu (zupełne) częściowe, ideowe i obyczajowe—oto, co widzimy w Królestwie w latach ostatnich. Te czynniki nie mogą wzmóc spójności narodowej, działają osłabiająco i nie zapewnią skutecznej konkurencji w walce ze społeczeństwem rosyjskiem na wszystkich polach.

W bilansie narodu nie można pominąć kwestyi narodowości, historycznie z nami współzyczących. O kwestyi ruskiej mówi prof. Milewski, że „germanizm pragnie kwestyę ruską uczynić klinem, utrudniającym zbliżenie Słowian, nową kością niezgody między Polską a Rosyą.“ I dalej, „co będzie z Rusi, czy ona wyrobi się na osobny naród ukraiński, czy będzie tylko szczepem o osobnej gwarze ludowej wielkorusyjskiego narodu... dla nas w obu wy-

<sup>1)</sup> Zaznacza wszystkie te czynniki prof. Milewski. I, mówiąc o naszej historyozofii, wyraża żal, że „w głosach tych (historyków) częstokroć słyhać było tylko oskarżenie“ (str. 17). Nie zaznacza jednak, że zarzut ten stosuje się głównie do szkoły krakowskiej: przed dwudziestu kilku laty najpopularniejszą w kołach radykalnych książką były „Dzieje Polski“ obecnego namiestnika Galicji (!). I nie zaznacza współczesnej reakcyi przeciw temu nadmiernemu krytycyzmowi, że wymieniły tylko dzieła prof. Askenazego, podnoszące to, co było dobrego w życiu i dziełach przodków naszych.

padkach występuje i wielka strata i wielkie niebezpieczeństwo.“ W podobnym rodzaju strata i niebezpieczeństwo zagraża nam ze strony litewskiej, a rozwój obu separatyzmów dowodzi słabości naszej państwowo-asymilacyjnej.

Odrębne miejsce zajmuje sprawa żydowska. Odrębne dlatego, że jest to sprawa bardziej niemal ekonomiczna niż narodowa. Życie stawia ją inaczej we wszystkich trzech dzielnicach: ostrzej w Królestwie, łagodniej w Galicyi (może z powodu wyraźnej przewagi w rządach żywiołu polskiego), w Prusach wreszcie ukazuje nam nielicznych Żydów, zupełnie ziemczonych. Nazwalibyśmy tę sprawę raczej ekonomiczną niż narodową, bo antagonizm ekonomiczny występuje tu, jako zjawisko pierwsze, świadomość narodowa zaś, jako wtórne. Żydzi oddawna stanowili naród odrębny w narodzie; od społeczeństwa polskiego dzieliły ich wiara i język, łączył natomiast cały szereg interesów powszednich. Ale jedynym ich zajęciem było pośrednictwo w handlu, zwłaszcza w handlu pieniędzmi. W miarę rozwoju stowarzyszeń współdzielczych, kredytowych i innych, ten grunt zarobkowy zaczął im się z pod nóg usuwać, skutkiem czego musiał się wytworzyć pewien antagonizm między nimi a społeczeństwem rdzennem. Na tem podłożu zaszczepiły się prądy syonistyczne i nacyonalistyczne, wręcz społeczeństwu polskiemu wrogie; trzeba pamiętać i o tem, że część Żydów przeciwstawiała się już społeczeństwu polskiemu, kierując ruchami socyalistycznymi i walcząc w ich szeregach. Nowe położenie każe szukać nowego rozwiązania sprawy, komplikując i tak już trudne położenie Polaków. Nie daje go prof. Milewski, zaznaczając tylko, że „nie można i nie należy powstrzymać tej nowej, lepszej organizacji gospodarczej“<sup>1)</sup> i „słusznie powiedzieć można, że syonizm otwiera nam oczy, ale okazuje właśnie naszą słabość i niebezpieczeństwo,“ bo „siła naszej politycznej przynajmniej asymilacji okazała się za słabą.“<sup>2)</sup> Nie kusząc się oczywiście ubocznie o rozwiązanie sprawy, która może być przedmiotem osobnych, obszernych studyów, zwrócimy tu tylko uwagę, że specjalnie co do Królestwa komplikują sprawę żydowską dwa czynniki: nadmierna ilość Żydów, która uniemożliwia zupełnie asymilację istotną, a gdyby była możliwą, czyni ją niepożądaną, a następnie pochodzenie Żydów, z których znaczna dziś część—w łonie własnego społeczeństwa najczynniejsza—pochodzi z Cesarstwa, jest zupełnie obca tradycyi historycznej polskiej, co

<sup>1)</sup> L. c., str. 33.

<sup>2)</sup> L. c., str. 35.



znowu utrudnia olbrzymio asymilację polityczną. Aby podkreślić trudność kwestyi, trzeba przypomnieć, że Żydzi stanowią 15% ogółu mieszkańców Królestwa, w Warszawie—36,9%, a w 70 miastach i miasteczkach z ogólnej liczby 119-u stanowią większość mieszkańców. Ta statystyka, między innymi, utrudnia bardzo stanowisko w sprawie udziału Żydów w projektowanym samorządzie, w uzasadnionej obawie oddania gospodarki miejskiej ognisk ekonomicznych i kulturalnych polskiej okolicy w ręce ciemnych mas żydowskich, obojętnych, żeby nie powiedzieć wrogich interesom narodowym polskim. Cała zaś sprawa żydowska to także poważna pozycja ujemna w naszym bilansie narodowym.

Przechodząc do ogólnej charakterystyki nastroju politycznego społeczeństwa polskiego wszystkich zaborów, stwierdzimy, wraz z autorem, zupełny zanik chęci powrotu do dawnych tradycji powstańczych. Nie przesądzając w niczem, czy ten lub owy ruch był błędem politycznym, czy koniecznością historyczną, czy nawet objawem korzystnym, wyrazem moralnego odrodzenia narodu (powstanie kościuszkowskie, legiony), podkreślmy, że od dawnych poglądów, od dawnych, tradycyjnych metod politycznego, czynnego działania dzieli nas, współczesnych, przepaść. Nie znaczy to jednak, aby opinia polityczna w ocenie zjawisk była jednaka. Są i „przerażeni,“ „co stracili wiarę w siebie i w naród,“ którym „potęga obca, potęga Rosyi przedewszystkiem, tak imponowała, że bez aprobaty Rosyi nic uczynić, nic podjąć, nic pomyśleć nie śmieli. Pozytywnej winy nie mieli na sumieniu, wprost złego nie uczynili nic, a jednak są winni zaszkodzenia ojczyźnie.“ Mowa tu o przeszłości, ale „minęło z górą sto lat, a niestety, do dziś spotykamy podobne typy.“<sup>1)</sup> Ale wielokroć liczniejsi są ci, którzy mieszały i mieszają pojęcie systemu politycznego chwilowego i ideału politycznego. Błąd ten popełniany jest w dwóch kierunkach: jedni, „biorąc system za ideał,“ obniżają „polot swych myśli, swych aspiracyj, przez co obniżają i program swych prac, ścieśniają zakres obowiązków;“<sup>2)</sup> drudzy, biorąc również chwilowy system za ideał, rzucali gromy potępienia i zarzuty zdrady niemal narodowej przeciw tym, którzy byli zmuszeni dany system stosować; ci są najliczniejsi u nas, w Królestwie. Powyższe bowiem pomieszanie pojęć pochodzi z braku i teorii polityki i praktyki politycznej; otóż, gdybyśmy nawet przypuścili, że poziom teoretycznego wykształcenia politycznego we wszystkich trzech

<sup>1)</sup> L. c., str. 39.

<sup>2)</sup> L. c., str. 40.

dzielnicach Polski jest równie niski, to jeszcze dla Królestwa musimy uznać i zupełny brak, niewyrobienie praktyki politycznej.

Do pogłębienia świadomości politycznej, do wyrobienia znajomości metod, celów i środków, do wykształcenia politycznego narodu zmierza właśnie praca prof. Milewskiego. A stwierdzenie braków w wykształceniu politycznym prowadzi wprost do określenia pojęć zasadniczych, przede wszystkim zaś nauki polityki.

Co to jest nauka polityki? Prof. Milewski ściślej definicji nie daje. Lecz czyniąc przegląd określeń różnych uczonych, stosuje metodę wyłączania, okalania kwestyi, ściskania jej coraz bliżej, aby do możliwej ścisłości dotrzeć. W innym miejscu zresztą, mówiąc o narodzie i narodowości, wyraża zdanie, które i tutaj z pewnemi zmianami zastosować można: „W naukach społecznych przekonano się często, że historyczny rys rozwoju instytucji pełniejsze daje zrozumienie jej istoty, znaczenia pojęcia, niż prosta tylko definicya, gdyż ona zbyt wysuwa stan jednej epoki, wysuwa statyczne a nie i dynamiczne cechy.“<sup>1)</sup> Wogóle wątpić można, czy ściśle określenie nauki polityki jest możliwe, z jednej strony dlatego, że wiąże się tu zbyt silnie teoria z praktyką, czyli nauka ze sztuką polityki, powtóre zaś z powodu względnej młodości nauk społecznych, nieustalonej jeszcze metodologii i trudności, jaką sprawia operowanie faktami z życia zmiennego, nieobliczalnego, działającego nieraz pod wpływem impulsów społeczeństwa polskiego. Dawność badań politycznych, prace klasyczne Arystotelesa i Platona nie osłabiają argumentu o młodości polityki, jako nauki, w realnej bowiem swojej części przedstawiają się one, jako opracowanie materiału politycznego widzianego lub przekazanego przez bezpośrednią tradycję (epoka rewolucyi i częste zmiany formy rządu w Grecyi, które doprowadziły do klasycznego, a przecież niezawsze zastosowalnego podziału form rządu), co było oczywiście niewystarczające do wyprowadzenia w dalszą przyszłość sięgających wniosków. Dostrojenie teoryi do rzeczy widzianych w życiu widzimy także w pismach Monteskiusza, w wystawianiu, jako ideału, parlamentaryzmu angielskiego, co w dalszem następstwie wywołało zastosowanie go w całej Europie; tymczasem jest to formacya historyczna, doskonała dla Anglii, mniej odpowiednia może dla innych krajów, z których każdy powinien był we własnych dziejach doszukiwać się własnych form parlamentarnych i te zaczątki następnie rozwijać.

---

<sup>1)</sup> L. c., str. 144.



Idąc śladami rozwoju nauki polityki, rozróżniamy w niej cztery kierunki. Pierwszy — historyczny, polega jedynie na ścisłym zbadaniu przyczyn i skutków zjawisk, ażeby na tej podstawie określić, o ile możliwości, prawa rządzące temi zjawiskami. Dobry i ścisły ich opis musi być i jest oczywiście podstawą wszelkiego działania, jednakże wyprowadzanie praw politycznych wydaje się bardzo trudnem, jeżeli nie wręcz niemożliwem z powodu nieustannych zmian życia społeczno-politycznego; i tak, prawa, wykryte na podstawie faktów dziejowych starożytności, byłyby meściście w średniowieczu, z owych czasów znowu we współczesności i t. d.; oczywiście, w miarę, jak wzrasta materiał faktyczny, mogą się one zbliżać do ścisłości, która tym sposobem staje w odwrotnym stosunku do dawności i staje się osiągalna jedynie w nieskończoności. Drugi kierunek—prawny, jest właściwie nauką porównawczą prawa politycznego; o wiele ciaśniejszy, bo prawa dają nam jedynie formy, a nie treść życia, przytem formy, które zawsze są nieco spóźnione w stosunku do życia, tam zaś, gdzie przypadkowo są przedwczesne (konstytucjonalizm rosyjski), nie okazują cech żywotności. Kierunek trzeci — idealistyczny, datuje od Platona i liczy w szeregach adeptów wszystkich utopistów; uczy on nas, nie jakim jest państwo i społeczeństwo, lecz jakim być powinno, tymczasem „wiedza, *co* robić, nie starczy dla praktycznej polityki, pozostaje jeszcze kwestya, *jak* robić należy,“ a „kto jedynie ideały wskazuje, a nie podaje sposobów ich urzeczywistnienia, ten ryzykuje, że sprowadzi naród na manowce, bo manowcem politycznym jest skierowywanie umysłów i usiłowań ku celom nieziszczalnym.“<sup>1)</sup> Wreszcie kierunek ostatni, najmłodszy—realistyczny, opiera naukę polityki na nauce społecznej, bodaj najmłodszej, na danych z socyologii, czyli nauki o społeczeństwie. Wydaje się on też najszlachetniejszym, pomimo licznych szkół socyologicznych, a zatem i różnorodności materiału i danych, pomimo niebezpiecznej pokusy analogij przyrodniczych. Jedna z nich — to mechaniczne pojmowanie dziejów, dogmatyzm praw naturalnych, które bynajmniej nie są w naturze immanentne, ale są również tylko koncepcją dążącego zawsze do uogólnień umysłu ludzkiego.

Jedną z kwestyj wstępnych jest sprawa stosunku społeczeństwa do państwa, czyli zrzeszenia naturalnego do zrzeszenia przymusowego. Jeżeli „polityka ma być nauką o celowej działalno-

<sup>1)</sup> L. c., str. 53.

ści, o czynach społeczeństwa, zmierzających do utrzymania jego bytu, zapewnienia mu wszechstronnego dobrobytu i rozwoju moralnego, politycznego, społecznego, gospodarczego,<sup>1)</sup> to oczywiście błędem jest stosowanie jej tylko do państwa, do metod rządzenia, a nie do działalności społecznej. Na państwo składają się trzy czynniki: ziemia, ludzie i rząd, przyczem ten ostatni w kooperacji społecznej jest koniecznym organem, zmuszającym do posłuszeństwa. Nie trzeba jednak przeceniać jego roli. Jest to niebezpieczeństwo, zwłaszcza w społeczeństwie polskim, gdzie dwa rządy państwowe są mu wręcz wrogi i potrzeb jego nie zaspokajają. Jak to zobaczymy dalej, we wskazaniach praktycznych, polityka narodowa polska musi się opierać na najważniejszym momencie akcji społecznej.

Coraz wybitniejsze znaczenie, jakiego nabiera państwo we wszystkich dziedzinach życia, jego monopol, zawarty w dążeniach socjalistycznych, wpływa na rozpowszechnienie błędu teoretycznego ograniczania polityki do działania państwowego. Gdyby nawet stanąć na tem stanowisku, trzeba by uznać nasze położenie za wyjątkowe, skutkiem czego my sami „stworzyć sobie winniśmy swoją naukę polityki, jako podstawę i program politycznego czynu.“<sup>2)</sup> Prof. Milewski, na dowód, że to wyjątkowe położenie zwraca uwagę i uczonych zagranicznych, cytuje zdanie René Wormsa, który, „analizując składowe elementa istoty społeczeństwa, pomieszcza między nimi i organizację prawną i polityczną,“ czyniąc jednak zaraz wyjątek dla społeczeństwa polskiego, które takiej organizacji nie posiada, jednakże „jedność społeczna utrzymuje się tu z powodu, że pamięć jedności politycznej nie zaginęła i że nie znikła dotąd zupełnie nadzieja jej odbudowania.“<sup>3)</sup>

Podstawowem zaś zagadnieniem tej samodzielnej, własnej nauki polityki jest kwestya „istoty narodu,“ zachowanie jej bowiem rozstrzyga o jego bycie. „Braknie nam własnego rządu, ustaw, granicy cłowej, organów opieki, kontroli, reprezentacji, przymusu, rozkazu, a zadania nasze bynajmniej nie są mniejsze, o ile nie chcemy zatracić miana i bytu narodu, a pozostać jedynie odmienną grupą etnograficzną.“<sup>4)</sup> Tu następuje klasyczny przykład stosunku rodziny polskiej do szkoły obcej, konieczność nie tylko uzupełniania jej nauki, ale zgoła przeciwdziałania jej

<sup>1)</sup> L. c., str. 58.

<sup>2)</sup> L. c., str. 64.

<sup>3)</sup> L. c., str. 64.

<sup>4)</sup> L. c., str. 70.



zgunnym, wynaradawiającym wpływom. Takiego położenia nie poprawi sama nauka polityki, niezbędny jest tu jeszcze czyn polityczny.

Jakiż jest stosunek nauki do czynu? Ten sam, co teorii do praktyki. Tylko że w politycznej dziedzinie zjawisk pojęcia mącą się. Nauka, teoria polityki bywa zwykle lekceważoną, nieraz zupełnie ignorowaną, w przeciwstawieniu do sztuki polityki, czyli do szeregu świadomych, celowych, skoordynowanych czynów. Nie brak tu argumentu, że czyny te bywają często dziełem ludzi genialnych, którzy o nauce polityki zgoła nie słyszeli, na co łatwo odpowiedzieć, że geniusze są zjawiskami wyjątkowymi, a życie powszednie wymaga praw i wskazań dla ludzi także powszednich. Tak samo, jak nauki wojskowe nie tworzą wodzów, i nauka polityczna jeszcze nie wystarcza dla polityków. Niemniej jednak lekceważenie nauki przypisuje autor w najznaczniejszej mierze obniżeniu poziomu życia politycznego, które sprawia, że doraźne, nieraz osobiste cele menterów zasłaniają cele dalsze, środki, obliczone na dłuższą metę, trwalsze, których zrozumienie wymaga już wyższego pojęcia politycznego. Przykładów nie brak ani w Galicyi, ani w innych dzielnicach. „Dla chwilowego spokoju — mówi autor najwidoczniej o sojuszu partyi krakowskiej z ludowcami — paktowano z antyspołecznymi prądami i ich menterami, korzono się przed nimi, nie bacząc, że ten chwilowy spokój zemści się niedługo; przedewszystkiem bowiem tkwi w nim system premiovania krzykliwej agitacji, niesumiennego karyerowiczostwa, rozkładowej roboty.“<sup>1)</sup> Stwierdza dalej brak ludzi, zajmowanie wybitnych stanowisk przez ludzi, którzy do nich nie dorosli, otaczanie się rzekomo wybitnych polityków przez ludzi małych, aby tem łatwiej wyższość ich mogła się na tem tle uwydatnić.

Dalsze niedocenywanie nauki tkwi w niezrozumieniu jej istoty, tłumaczenia zjawisk i wyprowadzania wniosków, wreszcie przypisywaniu koniecznie nauce polityki ducha stronniczego, dążenia do grupowania zjawisk celowego, dla uzasadnienia tych, czy innych programów. Ten zarzut subiektywizmu nie jest zbyt poważny, nie są wolne bowiem od niego nawet o wiele ściślejsze nauki przyrodnicze, o ile chodzi nie o szczegółowe badania, lecz o jakąkolwiek próbę syntezy. Wyprowadzenie bowiem wniosku, wydanie sądu nie może opierać się i nie opiera się jedynie na szeregu faktycznych danych i na rozumowaniu; występuje tu także

1) L. c., str. 81.

akt woli, akt wiary, w którym tkwi właśnie ów czynnik subiektywizmu. Gdybyśmy go absolutnie odrzucili, uniemożliwilibyśmy zupełnie powstawanie wszelkich teoryj naukowych.

Jeżeli stanąć na starem, ale trafnem stanowisku Arystotelesa, wedle którego „mąż stanu jest znawcą tego, co jest, a twórcą tego, co będzie,“ trzeba będzie uznać nietylko potrzebę, ale konieczność nauki, która „wyrabia metody politycznego myślenia, daje szereg praw i prawd zasadniczych, których zapoznanie mści się na losach i przeszłości narodu.“ A jeżeli w czasach dawniejszych nauka ta mogła być potrzebna tylko nielicznym jednostkom, rządzącym państwami, to w dzisiejszych czasach, przy rozszerzeniu praw politycznych, powinna być kultura polityczna udziałem szerokich mas narodu. Jedynie rozszerzenie tej kultury może zapewnić poszanowanie prawa, którego nam zawsze brakło w czasach dawnej Rzeczypospolitej, którego nie zdołaliśmy wyrobić w sobie po rozbiorach, widząc niesprawiedliwość wielu ustaw, bezpośrednio przeciw nam skierowanych, a bez którego niemożliwy jest porządek prawny—„potrzeba i siła społeczeństw.“

Idąc od nauki do politycznego czynu natrafiamy na odwieczny, historyczny spór o stosunek celów do środków działania, datujący od czasów Machiawela, który w dziełach swoich uprawnia życie wszelkich, potępianych przez moralność środków dla pożytku państwa. Zaznaczmy, że dla nas w tej chwili wypada wyraz państwo zastąpić wyrazem naród. Prof. Milewski jaknajbardziej zasadniczo oświadcza się przeciw tezie włoskiego polityka, uzasadniając stanowisko swoje głównie tem, że zatrucie państwa (czy narodu, czy społeczeństwa) stosowaniem niemoralnych środków musi się prędzej lub później odbić na jego losach w sposób fatalny.

Nietylko zasady i środki powinno uwzględniać działanie polityczne; trzeba jeszcze brać pod uwagę odpowiedność chwili, którą traci nieraz z oczu gorączka nowatorska. Wynika to stąd, że dawniej, kiedy społeczeństwa były bierne, działalność polityczna polegała głównie na utrzymywaniu, zachowywaniu istniejących stosunków, dziś zaś cechuje mniej więcej wszystkich gorączkowe dążenie do coraz szybszego postępu. Wobec tego kryterjum skuteczności i odpowiedności reform leży w nastroju opinii publicznej. Tu autor bardzo słusznie ocenia usiłowania zmienienia łożyska opinii za czasów porozbiorowych. Skutkiem błędów „właśnie ze strony ludzi, uważających się za realnych polityków, nieraz zimny rozum zawinił, że rozstrzygało uczucie, bo swą antytezą bezwzględna, umiał tylko zrażać uczucia, nie umiał pozy-



skąć, oświecić, pokierować.“<sup>1)</sup> Nasuwa się odrazu na myśl przykład Wielopolskiego, który, „poinimo szerszego programu, wyższych politycznych aspiracyj... jako praktyczny polityk“ stanął niżej od Gołuchowskiego. Trzeba zresztą przyznać, że „oddziaływanie na ludzi, prowadzenie ich do narodowo-politycznych czynów, stało się obecnie trudniejszym już przez sam fakt wzrostu liczby ludzi, na którą trzeba oddziałać.“<sup>2)</sup> Ta trudność operowania wielkimi masami występuje zresztą i w sztuce wojskowej, a rozwiązano ją przez wytworzenie odpowiedniej hierarchii, co zdaniem naszym jednak w polityce tak łatwo zastosować się nie da.

Wogóle, czynem politycznym u nas nazwiemy „wszystko, co utrzymuje i pogłębia naszą indywidualność, co utrwala istotę narodu, podnosi siłę narodu, ulepsza jego warunki bytu.“<sup>3)</sup> Takich czynów politycznych nam potrzeba. Bo błędem takim samym, jakim dawniej było uważanie powstań za cel, jest dziś „uważanie, za treść praktycznej polityki, za czyn polityczny jedynie działania państwa, lub przez państwo, albo przynajmniej jedynie stosunku do państwa, udziału w rządzie, wpływu na skład rządu i na jego tok działania, wpływu na wybory, na stronnictwa, na prasę wreszcie.“<sup>4)</sup>

Powiedzieliśmy już wyżej, że zagadnieniem podstawowym naszej własnej nauki polityki jest kwestya „istoty narodu.“ Trzeba teraz i to pojęcie określić. Zadanie napotka na szczególne trudności, zwłaszcza przy zestawianiu definicyi z różnych języków. „Naród“ bowiem nie odpowiada zupełnie ściśle ani pojęciu niemieckiemu „Volk,“ ani francuskiemu „nation,“ tem mniej rosyjskiemu „narod.“ Mieszają się wszędzie pojęcia narodu i pojęcia ludu, przyczem na określenie musi wpływać także historia urabiania się każdego narodu, stosunek jego do własnego państwa, mniejsza lub większa jednolitość tegoż. Zwrómy tu uwagę, że państwa narodowo jednolite nie istnieją prawie, że mamy Francuzów poza państwem francuskim, Niemców poza niemieckiem i austriackiem, Włochów poza włoskiem, nie mówiąc już o narodach, nie posiadających państwa własnego, wśród których nasz zajmuje pierwsze miejsce właśnie ze względu na przeszłą potęgę państwową.

<sup>1)</sup> L. c., str. 104.

<sup>2)</sup> L. c., str. 107.

<sup>3)</sup> L. c., str. 109.

<sup>4)</sup> L. c., str. 108.

Niedostateczność badań naukowych nad pojęciem „narodu“ i „narodowości“ wynika także stąd, że sama kwestya jest dosyć nową. Jeszcze wiek XVIII nie znał właściwie kwestyi narodowości, tylko państwa; wysunięta ona została dopiero przez wiek ubiegły, pośrednio przez wojny wielkiej rewolucyi i—jak słusznie pierwszy bodaj twierdzi prof. Milewski — przez rozbiory Polski. A to dlatego, że „z jednej strony wywołały (one) próby asymilacyi, strawienia przyłączonych części innego narodu, z drugiej zaś—kwestyę prawa do wynaradawiającej polityki i kwestyę prawa utrzymania narodu wbrew idei i materyalnej przewadze zaborczych państw.“<sup>1)</sup> Stąd zrodziła się kwestya państw narodowych i praw narodowych w obrębie jednego państwa.<sup>2)</sup>

Przytoczmy za prof. Milewskim kilka określeń narodu przez różnych uczonych. Sidgwick uważa za cechę narodu „świadomość wzajemnego należenia do siebie, bycia członkami jednego ciała, tak, że nawet gdyby zniszczono wspólny rząd, oniby jeszcze usiłowali trzymać się razem.“ Renan twierdzi, że „nowożytny naród jest rezultatem historycznym, wytworzonym przez całą seryę faktów, działających w tym samym kierunku;“ odrzucając uważane zwykle za niezbędne cechy narodu: religię, rasę, język, związki gospodarcze, granice naturalne i uzasadniając to przykładami Anglii i Stanów Zjednoczonych, Portugalii i Brazylii, Hiszpanii i rzeczpospolitych środkowo i południowo-amerykańskich, Szwajcaryi i t. d., tworzących państwa odrębne mimo wspólności religii, języka, rasy<sup>3)</sup>—uważa naród za „duszę, za zasadę duchową,“ opartą „na dwóch momentach, jednym z przeszłości, drugim z terażniejszości; jednym jest wspólne posiadanie bogatego dziedzictwa pamiątek, drugim jest aktualna zgodność, pragnienie życia razem, wola utrzymania i zaznaczenia dziedzictwa, które się nie-

<sup>1)</sup> L. c., str. 117.

<sup>2)</sup> Jak pojmovano je na początku wieku, o tem świadczą ciekawe i charakterystyczne słowa cesarza Franciszka I do ambasadora francuskiego, cytowane przez prof. Milewskiego, wedle *Burgessa, Polit. Science*, t. I: „Moje ludy są sobie wzajemnie obce. Tem lepiej. Pakuję Węgrów do Włoch i Włochów na Węgry. Każdy pilnuje swego sąsiada. Nie rozumieją się i nienawidzą się. Z ich nienawiści rodzi się porządek i pokój powszechny.“

<sup>3)</sup> Przykład ten nie jest zupełnie dobrze dobrany. Widzimy tu dość typowe pogmatwanie pojęcia narodu i państwa, tradycyi z terażniejszością. Np. wspólność rasy między narodami, pochodzącymi z jednego pnia w Europie i w Ameryce nie istnieje; tu bowiem zachowana jest względna czystość rasowa, gdy tam mamy krzyżowania z niższemi rasami kolorowemi.



podzielnie otrzymało.“ Worms uważa, że aby naród istniał, potrzeba, by przez czas jakiś trwała wspólność mieszkania, środowiska, rasy, edukacji i języka, zawodów i zajęć, życia domowego i zwyczajów rodzinnych, pojęć i praktyk moralnych, religijnych, estetycznych, technicznych, ustroju sądowego i politycznego. Dochodzi do pojęcia narodu dopiero po określeniu pojęcia społeczeństwa i uważa, że zawiera ono „pojęcie jedności złożonej, zbioru istot, połączonych węzłem, którego istnienia mają świadomość, chociażby do pewnego tylko stopnia.“ Raul de la Grasserie uważa za podstawową cechę narodu wspólność rasy, język zaś raczej za wynik narodowości, za cechę, po której rozpoznać ją można. W naszej literaturze traktowano pojęcie narodu i narodowości ubocznie tylko, głównie w pierwszej połowie ubiegłego wieku, opierając je na idei mesyanicznej posłannictwa narodów. Tylko J. Snitko w dziele: „Zarys pojęć o narodzie“ traktuje kwestyę obszernie i wyczerpująco, dochodząc ostatecznie do wniosku, że „pojęcie o narodzie należy do kategorii abstrakcyjnych pojęć filozoficznych, których istota usuwa się z pod ciasnych, ujętych w ścisłe ramy określeń,“ ogólnie zaś rzecz biorąc mówi, że „narodem jest duchowy związek z sobą ludzi, wytworzony dziejową wspólnością odrębnej a powstałej wskutek szczególnych miejscowych wpływów kultury, opartej na tożsamości używanego przez nich języka.“ Skutkiem tego ciemne masy, pozbawione świadomości, nie są jeszcze narodem, ponieważ spójnia ich z narodem opiera się tylko na czynniku językowym. Co zaś do narodowości, to ta „oznacza poprostu przynależność jednostki do grupy społecznej, dającą się stwierdzić jedynym, konkretnym, widocznym dla ogółu warunkiem tożsamości przyrodzonego języka, łączącego jednostkę z grupą.“ Sam autor wreszcie daje następującą definicyę: „Narody są wytworami historii. Są to większe zrzeszenia ludzi, mające szereg spraw i cech wspólnych, ożywione świadomością swej zbiorowej indywidualności i chęcią jej zachowania, a osiadłe na jednej ziemi.“<sup>1)</sup>

Nie ulega wątpliwości, że pierwotnem podłożem każdego narodu były związki krwi, związki rodzinne, z których na podstawie dziedziczności wytwarzały się wspólne cechy plemienne, fizyczne, zewnętrzne i wewnętrzne, ducha, charakteru; utrwała je dłuższe współżycie i środowisko przyrodnicze, które warunkuje takie lub inne główne środki zdobywania utrzymania. To są

<sup>1)</sup> L. c., str. 144.

właściwe cechy narodu; główną w nich rolę należy przypisać cechom duchowym, etniczne bowiem, zewnętrzne, zacierają się w miarę krzyżowania ras. Naród jednak w ścisłym tego słowa znaczeniu istnieje dopiero wtedy, kiedy powstaje świadomość przynależności, świadomość wspólnej przeszłości i czci dla niej, wspólny kult grobów. Ponieważ w historii każdego narodu bardzo różna była rola różnych jego warstw, więc oczywiście świadomość taka jest udziałem przede wszystkim tych z pośród nich, które ową przeszłość właśnie tworzyły; dlatego wśród ludu później powstaje świadomość przynależności do danego narodu, później zwłaszcza u nas, jak to niejednokrotnie wykazała historia porozbiorowa w stosunku warstw ludowych do powstań zbrojnych.

Jeżeli niezawsze istnieje świadomość przynależności do narodu, tej miłości ojczyzny, która jest przede wszystkim kultem przodków <sup>1)</sup>, to przecież istnieją cechy narodowości, przyrodnicze niejako, naturalne. Autor stawia tu na pierwszym miejscu wspólność języka, a warto jeszcze zaznaczyć — zwłaszcza w naszych stosunkach — wspólność wyznania. Wśród naszych emigrantów zaoceanowych nieraz ostatnim wyrazem poczucia narodowości polskiej, który pozostaje nawet po zanianie w życiu powszednim języka własnego—obcym, bywa udział w nabożeństwach polskich, w kościele polskim, czytanie modlitw z książki polskiej. Z drugiej strony dzisiejsze odrodzenie narodowe Ślązka, rozbudzenie świadomości narodowej, zawdzięczamy nietylko przechowaniu podczas wieków wśród ludu mowy praojców, ale także utrzymaniu się przy religii katolickiej, wyodrębniającej od ucisku otoczenia protestanckiego, dla ludu jednoznacznego z niemieckim; przeciwnie—Mazurzy pruscy, mówiący o wiele lepiej po polsku, jako protestanci, pomimo wpływów pastorów patriotów w przeszłości, pomimo to, że o wiele później oderwani zostali od pnia ojczystego, są do pewnego stopnia Prusakami, mówiący po polsku, i w bliższej lub dalszej przyszłości są zagrożeni germanizacją nietylko duchową, bo ta już w znacznej części nastąpiła, ale i językową. Wogóle, nigdy dostatecznie nie można podkreślać znaczenia czynników uczuciowych w powstawaniu świadomości narodowej, w powstawaniu i spójności narodów. Zwłaszcza przynależność świadoma do narodów ujarzmionych rozumowo żadną miarą uzasadnić się nie da, rozum bowiem zna tylko interes, a interes każe przejść do narodów ujarzmiających, tembardziej, że nie

---

<sup>1)</sup> Zdanie Fustel de Coulanges'a, L. c., str. 148.



braknie w historii przykładów znikania z powierzchni dziejów narodów (zwłaszcza starożytna Grecya i Rzym), które olbrzymią rolę odegrały w kulturze świata. Wprawdzie istnieje sam fakt przyrodniczy, konieczny niejako, rodzenia się w danym środowisku narodowym, używania danego języka, wyznawania danej wiary, ale te czynniki, jak to widzieliśmy wyżej, nie określają jeszcze świadomości narodowej. Później dopiero następuje moment wyższy od rozumowego, moment uczuciowy i ten dopiero świadomość określa. A dlatego że wyższy, że niemożliwy do przewyciężenia, wzbudza właśnie taką nienawiść wrogów i takie prześladowania; dlatego że wyższy, jest niepojęty dla wyznawców mechanicznego pojmowania dziejów, z którego rodzi się kosmopolityzm.

Co to jest kosmopolityzm? Czy to brak poczucia przynależności do jakiegoś narodu, do jakiejś ojczyzny, czy zaś przeciwnie: poczucie przynależności do wszystkich ojczyzn, do wszystkich narodów? Zapewne i jedno i drugie; w pierwszym wypadku kosmopolityzm opiera się na ciasnym, leniwem poczuciu własnych tylko, bardzo ordynarnie pojmowanych, interesów egoistycznych, w drugim zaś bywa najczęściej wyrazem fałszywie pojmowanego idealizmu, lub też fałszywej ideologii historycznej. Tę cechę ostatnią znajdujemy głównie w obozach socjalistycznych romańskich i polskich (w krajach germańskich nie występuje prawie wcale, lub bardzo słabo); opiera się ona na urojonej międzynarodowej solidarności proletaryatu, zupełnie urojonej dlatego, że nie istnieje tam, gdzie tylko występuje walka o chleb powszedni (bicie i usuwanie w Stanach Zjednoczonych robotników włoskich i słowiańskich, tańszych, przez dawno osiadłych, amerykańskich), a z drugiej strony na łatwem wyzyskiwaniu słabszego poczucia świadomości narodowej wśród warstw ludowych. Fałszywie pojmowany idealizm zaś polega na przeciwstawianiu szerszej rzekomo miłości ludzkości—ciasniejszej miłości ojczyzny i narodu własnego, jak często znowu skrajny patryotyzm przeciwstawia miłość ojczyzny—miłości rodziny. Mamy tu do czynienia z błędem. Bo, jak rozum ludzki po szczeblach rozumowania wznosi się od szczegółów do pojęć ogólnych, tak uczucie obejmuje coraz szersze kategorie, siebie, rodzinę własną, naród, ludzkość. Niema tu normalnie żadnej zgola przeciwstawności, lecz tylko stopniowanie, przeciwstawność zaś występuje wtedy jedynie, kiedy którekolwiek z tych uczuć występuje zbyt egoistycznie. W normalnych warunkach uczucie wznosi się po tych szczeblach, od siebie do miłości ludzi z siebie poczętych, do miłości kraju i narodu. Wreszcie i do ludzkości; miłość bowiem jest to dążenie i życzenie

szczęścia; a szczęście ludzkości polega na szczęściu i niezależności składających ją narodów, do czego właśnie zmierza miłość ojczyzny.

Jeżeli jednak przyznamy wraz z prof. Milewskim, że świadomość narodowa u nas nie jest powszechną, to wraz z nim musimy sobie zadać pytanie, „w jakim rozmiarze świadomość jest dostateczną, aby jej przyznać narodotwórcze znaczenie?“ Odpowiedź brzmi, że „na to potrzeba, aby jej wpływ na ogół własnego społeczeństwa był istotnie rozstrzygającym.“ Innemi słowy, celem głównym musi być rozpowszechnienie tej świadomości, aby uniknąć przeciwstawiania przez rządy zaborcze „lojalnych“ warstw ludowych, wiecznie „buntowniczym“ klerowi i szlachcie (w Galicyi przed rokiem 1866, w Królestwie po ostatniem powstaniu, w Prusach jeszcze w r. 1872), przeciwstawiania kłamliwego zresztą (czasem nieświadomie), bo nasze warstwy ludowe były tylko narodowo biernie, a dziś z tej bierności coraz bardziej wychodzą, stając się narodowo czynnemi, czyli świadomemi. Jeżeli bowiem narodowość jest faktem biernym, statycznym, to świadomość narodowa jest czynnikiem czynnym, dynamicznym.

To niedostateczne u nas rozpowszechnienie świadomości narodowej wynika stąd, że „nasze narodowe ugrupowanie wykazywało i wykazuje dotąd liczne braki, i to zarówno wogóle za wielki procent ludności narodowo niezasymilowanej w wielu okolicach kraju, za wielki udział, nieraz nawet przewagę obcego żywiołu w pewnych grupach społecznych, jak dalej stan, że w jednych okolicach (Ślązk) pozostał polski lud, a niema polskich t. zw. warstw wyższych, a znów na naszych wschodnich kresach są te warstwy polskie, a niema polskiego ludu. I stąd przeczą nam prawa do jednych ziem, jako opanowanych obcym kapitałem i wiedzą, przeczą prawa do drugich, jako opanowanych przez inny lud.“<sup>1)</sup> Rozpowszechnienie zaś szerokiej świadomości narodowej wymaga pracy z naszej strony: „Wytworzenie ludzkich warunków bytu, zaznaczenie troski o dolę uciśnionych niedołą, przełamanie beznadziejności ich położenia, jest nietylko moralnym obowiązkiem miłości bliźniego, lecz i warunkiem rozkrzewienia świadomości narodowej, liczebnego wzrostu narodu, utrzymania narodowego charakteru kraju. I te koła winny widzieć i czuć matkę w ojczyźnie, nie macochę tylko. Wtedy i one będą żywym składnikiem narodu, opoką świadomości bytu, władania ziemią narodu.“ A „nasz

<sup>1)</sup> L. c., str. 165.



byt zależy przede wszystkim od samej świadomości,<sup>1)</sup> bo nie mamy ani pomocy ani ochrony swego państwa.

Mamy już zatem podany stan obecny społeczeństwa polskiego w trzech zaborach. Mamy dalej określone najważniejsze podstawy teoretyczne, określenie nauki polityki i czynu politycznego, istoty narodu i zachowania bytu naszego narodu jako celu głównego. Ale ten cel główny rozpada się na szereg poszczególnych. Ażeby je jednak móżdź zaznaczyć ściśle, trzeba, zważywszy na istnienie naszego narodu w trzech różnych państwach, określić rolę i zakres działania państwa z naszego stanowiska.

Na rolę państwa istnieją dwa biegunowo sprzeczne poglądy: jeden, który był dawniej poglądem rzymskim, a teraz można go nazwać niemieckim — to uznanie wszechmocy państwa, jako celu samego w sobie. Pogląd przeciwny, liberalny, mający skrajnych przedstawicieli zwłaszcza w dziedzinie nauki ekonomicznej, w szkole wolno-handlowej—widzi jako jedyne zadanie państwa tylko zapewnienie bezpieczeństwa prawnego obywateli, przy stosowaniu we wszystkich innych dziedzinach znanej zasady *laisser faire, laisser passer*. Nie warto dłużej zastanawiać się nad jednostronnością rażącą obu teoryj; lepiej przytoczyć słuszne zdanie Pawła Leroy Beaulieu: „błędem jest, jakoby państwo było dla ciała społecznego tem, czem jest mózg dla ciała ludzkiego; błędem jest, ażebyśmy mieli do czynienia tylko z państwem i jednostką, społeczeństwo bowiem z zadziwiającą płodnością stwarza, jako ogniewa pośrednie, niezliczoną moc wolnych stowarzyszeń.“ I stwierdzić dalej, że zakres działania państwa zwiększa się wszędzie z każdym rokiem; wynik to rozrastania się organizmów państwowych, wzmoczenia znaczenia siły obronnej, polityki skarbowej, tendencyj centralistycznych, wreszcie—w zakresie polityki ekonomicznej—zwycięski pochód zasad socjalizmu państwowego. Z naszego stanowiska narodowego ten wzrost zakresu działania państwa jest bardzo szkodliwy, wzmaga bowiem jego siły jeżeli nie w kierunku czynienia dobrego, to z pewnością w złem. W dwóch państwach rozbiorczych cały potężny aparat państwowy jest wymierzony przeciw nam; w trzecim—pozornie obojętny—jest przeciż potencjalnie, jeżeli nie kinetycznie, wrogi. I dlatego musimy być z natury rzeczy przeciwnikami wszelkiego wzmoczenia zakresu działania państwa, wszelkiego monopolu, nawet, gdyby w innych warunkach uważany był za dobry. Weźmy dwa typy-

<sup>1)</sup> L. c., str. 168, 169.

we przykłady z dziedziny polityki ekonomicznej i społecznej: upaństwowienie dróg żelaznych i ubezpieczenie robotników. Pierwsze daje w Prusach rezultaty znakomite, zapewnia niezmierną sprawność całemu aparatowi komunikacyjnemu, w Królestwie — przeciwnie — wywołuje kolosalne nieporządki i chaos; zarówno tu, jak tam, służy przez armię urzędników ubocznemu celowi — germanizacyi i rusyfikacyi kolei. Drugie — dla każdego zwolennika reform społecznych jest zjawiskiem pożytecznem i pożądanem; ale, wznagając także atrybuty państwa przez to samo sprzeczne jest z interesem narodowym. A skoro staniemy na stanowisku sprzeciwiania się wzrostowi nacisku państwa, musimy jako jeden z celów postawić wytwarzanie samorzutne tych właśnie wskazanych przez Leroy Beaulieu ogniów, u nas nietylko łączących jednostkę z państwem pośrednio, ile zabezpieczającą jednostkę i ogół od działania wynaradawiającego państwa i stworzenie w społeczeństwie mocnych więzi, siły działalności zbiorowej.

Każdej „działalności politycznej przyświecają trzy gwiazdy przewodnie: ideał, cel, zadanie.“<sup>1)</sup> Ideał — to wyraz upragnionej doskonałości w danej dziedzinie i, cokolwiekby zarzucali nadmierni realiści, to konieczność, utrzymująca typ życia w wyższych dziedzinach, nie pozwalająca mu grzęznąć zbyt mocno w bagnie powszedniości i pospolitości. Rzecz inna, że w praktycznem działaniu nie trzeba go zbyt profanować, wywlekać, mieszać święte z powszedniem, że w naszych warunkach zbyt wiele może o nim pisano i mówiono, jeszcze zbyt wiele się pisze i mówi, podczas gdy należało raczej stosować się do słynnego wskazania Gambetty: *Y penser toujours, n'en parler jamais*.

Ideał nigdy nie da się realizować bezpośrednio; etapami na drodze realizacyi są cele konkretne, do których ze swej strony prowadzą zadania, to jest te prace, które bezpośrednio podejmować i wykonywać można, które zatem są obowiązkiem każdej chwili. Cele i zadania muszą odpowiadać potrzebom, a te „potrzeby należy dzielić nietylko według kategorii, ale i według stopnia napięcia każdej z nich.“ Przytem w naszych zwłaszcza stosunkach należy strzedz się jednostronności, należy uwzględniać możliwie wszystkie dziedziny życia, strzedz się wreszcie pracy na pokaz, dającej jednodniowe, nietrwałe, ale szybkie rezultaty, do której tak bardzo pchają nas dwie wady: lenistwo i próżność.

Wszelka praca wymaga ludzi i środków materyalnych. Co do ludzi, to prof. Milewski stwierdza, że „mamy wymagania, po-

<sup>1)</sup> L. c., str. 189.



trzeby europejskie,“ a „zasoby, środki pokrycia podeuropejskie.“ I ma słusność, wszakże podkreślić trzeba, że u nas ta cecha, ta przepaść, oddzielająca teorię od praktyki, czyli wymagania od możliwości ich zaspokojenia, nie jest tak głęboka na szczęście, jak w społeczeństwie rosyjskiem, gdzie jest zasadniczą tragedią jego inteligencji i główną przyczyną jej niemocy twórczej. Ilekroć zresztą stykamy się, przynajmniej tu w Królestwie, ze znacznymi niedoborami w obu wymienionych dziedzinach, tyle razy doprawdy trudno odpowiedzieć, czego brak bardziej uczuwać się daje: czy środków materialnych, albo ofiarności bogatych, czy też ludzi, t. j. znających się na rzeczy kierowników i wykonawców, w obu wypadkach zaś spotykamy się przeważnie z brakiem poczucia obowiązku społecznego. Może dlatego tak trudno o ludzi, że — wedle pięknego porównania pracy społecznej i narodowej z budową tunelu — „smutną, ponurą, beznadziejną prawie, bo wciąż pozbawioną słońca i swobodnego na świat widoku, wciąż w ciemnicy się mozoląca, a przecież konieczną i pełną zasługi jest praca tych, co środkowe warstwy wyjmują, których zapału pracy nie podtrzymuje ani świadomość, że pierwsi jęli się młota, ani nadzieja, że dzieła dokończą, że z gotową pracą wyjdą na słońce, na swobodny świat,“ w przeciwstawieniu do radosnej pracy tych, „co pierwsi młotem w skałę uderzą, pierwsi zaczną nową drogę borować i tych, co ostatnią ścianę przebiją i wyrzucą.“ A taką pracą jest niewątpliwie praca działaczy społecznych.

Przyświeca jej tylko poczucie konieczności i cel główny: utrzymanie bytu narodu. Więc wzrost liczby ludności, rozwój jej sił fizycznych i zdrowia (dziś cofamy się w przyroście, co gorsza, w kulturalnych kołach społeczeństwa <sup>1)</sup>), bo najpierw żyć trzeba, a potem działać. Więc wzmoczenie ekonomiczne, tem trudniejsze, że nie posiadamy zasobów przekazanych przez poprzednie pokolenia, jak inne bardziej kulturalne narody, konieczność rozszerzenia pola naszej zarobkowości, wytworzenie tradycji handlowych i przemysłowych, obok jedynych prawie dziś agrarnych, czemu nie sprzyja wielka niezamożność społeczeństwa, oraz „pewna rutyniczna zaśniedziałość usposobień, brak śmiałości, rzutkości, po-

<sup>1)</sup> „Mała garstka z trudnością wogóle zapewni sobie warunki bytu w epoce, gdzie waga liczby nabiera coraz większego znaczenia, a i znaczna liczba anemicznych neurasteników i suchotników, zgłodniałych, źle odzianych, źle wyposażonych w narzędzia pracy, walki, obrony, nie zdoła działać skutecznie. Mogą oni być męczennikami idei, lecz nie mają sił, aby jej zapewnić zwycięstwo.“ L. c., str. 214.

sadomania (największa w Galicyi, bo tam najlepsze są w tym kierunku warunki, najślabsza w zaborze pruskim).“

Kiedy przechodzimy do sprawy uprzemysłowienia kraju i unarodowienia konsumpcyi, nasuwa się na myśl niedawna, bieżąca sprawa polityczno-ekonomiczna: bojkot towarów niemieckich. Trzeba odrazu powiedzieć, że bojkot ten nie udał się. Ale nie udał się bynajmniej nie dlatego—jak nam mówili różni domorośli mniej lub więcej w sprawie zainteresowani ekonomiści-pesymiści—że spożyciem i handlem rządzą jakieś żelazne, immanentne, od woli zbiorowej niezależne prawa, lecz dlatego, że handel nasz jest przeważnie w rękach obcych, w danym razie wrogich, a nam przytem brakło, jak zwykle, cnoty wytrwałości; nie jesteśmy podobni do Amerykanów, którzy wyzwolenie się z pod przewagi Anglii, wojnę o niepodległość, rozpoczęli od wyrzeczenia się ulubionego napoju, wrzucenia do morza ładunków herbaty angielskiej. Prof. Milewski wykazuje bardzo słusznie całą jednostronność szkoły wolno-handlowej, która ignorowała zupełnie narodowo-ludnościowe interesa, i uważa za zupełnie uprawnioną i praktyczną myśl ochrony krajowego targu i gospodarczego rozwoju kraju, przyznaje tylko, że program ten napotyka na wielkie trudności z powodu braku odpowiednich organów, możliwości stosowania środków przymusowych, regulowania ceł, taryf i t. d., owszem wobec wyraźnego przeciwdziałania, jak np. w Galicyi, gdzie zalecono prokuraturze pilne baczenie, czy bojkot nie przybiera cech ekstralegalnych, a w gruncie rzeczy przeciwdziałano bojkotowi wszelkimi możliwymi środkami. Mimo to wszystko bojkot ma znaczenie gospodarcze, moralne, polityczne, jako akt woli zbiorowej, jako program konieczny samoobrony, skierowany jeżeli nie wyłącznie ku zaspokojeniu wszystkich potrzeb w kraju, to przynajmniej ku zwróceniu się do „krajów neutralnych, których zyski gospodarcze z naszej kieszeni nie pójdą na prześladowanie nas.“ Rozwiązanie tego zagadnienia leży w rękach konsumentów, w których należy gust do wyrobów krajowych rozwinąć, a potem przez odpowiednich ich gatunek — utrzymać.

Prof. Milewski zwraca słusznie główną uwagę na program ekonomicznego wzmożenia i odrodzenia społeczeństwa polskiego; słusznie, dziedzina to bowiem najbardziej zaniedbana. I w dalszym ciągu kładzie nacisk na utrzymanie ziemi, na niewłaściwość w naszych warunkach równych działów spadkowych, prowadzących do rozdrobnienia własności większej i małej, w końcu do wywłaszczenia, na zapobieganie sprzedaży ziemi w obce ręce (Związek Ziemiaków w Poznańskim), wynaradawiania ziemi przez



oddawanie jej w dzierżawę w obce ręce (zastraszająca ilość dzierżawców Żydów w Galicyi), na podniesienie przemysłu rolniczego. Stwierdza wreszcie, że rozwój gospodarczy może wpłynąć na korzystne ugrupowanie się społeczeństwa, na wytworzenie się narzecz polskiego stanu średniego, którego nam zawsze brakowało, na zmniejszenie różnic majątkowych, na wzbogacenie warstw ludowych, a przez to na wzmożenie wśród nich świadomości narodowej. Oddziaływanie na zmiany ustroju społecznego jest niewątpliwie możliwe, pomimo to, że nie mamy własnego państwa, oddziaływaniem inicjatywy osobistej i ogólnej, wreszcie rozumnej ofiary na rzecz poprawy stosunków społecznych, „ofiary uprzedzeń i lenistwa, ofiary czasu pracy i grosza, współpracy ludzi różnych warstw i zawodów, zrozumieniem, że dla wszystkich przykazaniem samozachowawczem jest czynem stwierdzić swą społeczną doniosłość.“ <sup>1)</sup>

Dla pełnego rozwoju narodu liczba, zdrowie, pomysłowość gospodarcza tworzą dopiero podstawę, podłoże, na które oddziaływa potężny czynnik oświaty. Oświata ma dwie strony: intelektualną i moralną. Przecenia się zwykle stronę pierwszą, czyli jedynie podanie pewnej sumy najniezbędniejszych wiadomości, niedocenając znaczenia wychowawczego, czyli moralnego. Stając na gruncie konieczności jaknajszerszego rozpowszechnienia oświaty, przynajmniej elementarnej, która budzi w masach poczucie godności ludzkiej, jedyną trwałą podstawę poczucia obowiązków, stwierdzić przecież trzeba, że sama tylko nauka i sztuka nie mają dostatecznego wpływu na wolę człowieka. „A bez hartu woli, bez odwagi, pracy i ofiary, bez sumiennosci w spełnianiu osobistych, rodzinnych, narodowych obowiązków nie utrzyma się, nie dźwignie żadne społeczeństwo.“ Tego nie da sama nauka i dlatego „oświata narodowa jest więcej etycznym niż intelektualnym zadaniem,“ „moralność stawia bowiem szereg norm dla życia“ i „jest warunkiem i czynnikiem bytu, dobrobytu i rozwoju społeczeństwa.“ <sup>2)</sup> W tem znaczeniu sposobami krzewienia narodowej oświaty jest przedewszystkiem religia, prawo, historia, one bowiem „określają stosunek jednostki do Boga, do społeczeństwa otaczającego, do ojczyzny i narodu,“ a „skuteczność moralności, nie opartej na religii, jest tylko hipotezą, niestwierdzoną dotąd historycznie.“ <sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> L. c., str. 221.

<sup>2)</sup> L. c., str. 227 i nast.

<sup>3)</sup> L. c., str. 233.

Takie byłyby najogólniejsze cele i zadania polityki narodowej. Na zakończenie wypada przejść do metod i środków działania. Kwestya to najbardziej sporna. Bo każdy prawie musi się zgodzić na tezy poprzednie. Ale, gdy chodzi o drogi do tych celów prowadzące, powstają właśnie różne stronnictwa i różne oceny. I to zadanie rozwiązuje jednak w przybliżeniu prof. Milewski, unikając szczęśliwie zbyt jaskrawych opinij w tym, czy innym kierunku.

Odsuńmy na bok czysto teoretyczne dla nas strony kwestyi, stosunek taki czy inny celów i organów wykonania, kwestyę zakresu władz państwowych i społecznych, czyli samorządnych, przymusu i wolności, złe strony doktrynerstwa, <sup>1)</sup> zgódźmy się wreszcie z autorem na jedno zastrzeżenie, że „zasadniczo nie możemy się zgodzić na teorye ustroju, ścieśniające swobodę i sferę akcji społecznej.“

Polityka jest „sztuką rzeczy możebnych.“ Zatem powoływanie się na naszą absolutną ideę prawną nie zawsze jest możliwe i pożądane, ponieważ ta idea wykracza poza granice istniejące państw rozbiorecznych. W układach i porozumieniach z zewnętrznymi czynnikami trzeba pamiętać o zasadzie handlowej, że do swobodnego obrotu przychodzi jedynie wtedy, kiedy obie strony upatrują w tem korzyść (dlatego np. teraz wszelkie porozumienie nasze z rządem rosyjskim jest wyłączone, ponieważ nie widzi on w niem żadnych dla siebie korzyści). Z tej zasady ogólnej wynika, wniosek oportunistu, żeby nie żądać zbyt dużo, obracać się w granicach ustaw istniejących, zdążając jednak nieustannie do poprawienia ich na naszą korzyść. To prowadzi bezpośrednio do spornego twierdzenia, że wszelkie działania nasze oprócz trzeba bezwzględnie na zasadzie legalności.

---

<sup>1)</sup> Doktrynerstwo przecoza, że „stosunki częstokroć nie pozwalają na wprowadzenie, czy utrzymanie instytucji, w teoryi za pożądaną uznanęj. Słusznie stwierdza Treitschke, że Francya musi dziś być republika, bo straciła narodową tradycyę, stojącą ponad stronnictwami, reprezentującą trwałe interes kraju i narodu dynastyę; rewolucye przemieniły i Orleanów i Bonapartych w stronnictwa; monarchista z przekonania niema na kim się oprzeć w realizacji swej idei. Podobnie u nas, bezdzietne wymieranie królów było jednym z czynników, utrzymujących nieszczęsną instytucyę elekcyi — jedynie Sobieskiego syn nie uzyskał korony. A ten brak narodowej, utrwalonej na tronie dynastyi, był też niewątpliwie jednym z powodów opóźnienia u nas myśli i czynu reformy politycznej.“ L. c., str. 243.



Pojęcie legalności trzeba rozpatrywać z dwóch stron, pozytywnej i negatywnej. Więc przedewszystkiem ze stanowiska poszanowania praw i ustaw zgodzić się trzeba z prof. Milewskim, że tego ważnego przymiotu poszanowania prawa brakowało nam zawsze i brakuje obecnie, że wyrobienie tego przymiotu jest rzeczą niezbędną dla pomyślnego rozwoju przyszłości narodu. W dawnej Rzeczypospolitej poszanowanie prawa wyrobić się nie mogło, z powodu samowoli magnatów i występującej pod ich mozną protekcją szlachty. Po rozbiorach mieliśmy do czynienia z całym szeregiem praw i ustaw, pośrednio lub bezpośrednio przeciw nam skierowanych, które oburzały nasze poczucie sprawiedliwości i nie raz wywoływały nawet moralny nakaz nieposłuszeństwa. Dodać do tego trzeba w zaborze rosyjskim obyczajowe ułatwienie sobie życia przekupstwem, łapówkami, często właśnie za przekroczenie prawa. Skutkiem tego w naszym społeczeństwie tutejszem wyrobiły się specjalne, w wysokim stopniu niemoralne pojęcia o prawie, ściślej mówiąc, obyczajowa anarchia w tym kierunku. Anarchia ta wyraża się w opozycji przeciw wszelkim przepisom i postanowieniom, jako w stosunku do publiczności wrogim, bez względu na to, ktokolwiekby je wydawał, co prowadzi w prostej drodze do takich obyczajowych, tolerowanych oszustw, jak kontrabanda pasażerów na kolejach, fałszowanie deklaracyj podatkowych i t. d. Pewną część winy w tym kierunku ponoszą Żydzi, przyzwyczajeni od wieków do omijania praw i ustaw przy pomocy datków pieniężnych; ich wpływ demoralizujący sięga daleko poza publiczność tylko chałatową. A obecny stan rzeczy u nas musi budzić obawy, że nie ustałby bynajmniej z chwilą wprowadzenia autonomii czy samorządu, czyli rządów polskich, zmiana instytucji bowiem ma bardzo słaby tylko i powolny wpływ na zmianę obyczajów. Dlatego trzeba nieustannie podkreślać konieczność wyrobienia wśród nas poszanowania prawa, instynktów legalnych.

Był okres czasu, kiedy cała opinia nasza wierzyła, że tylko drogą konspiracji oraz za ich pośrednictwem przygotowywanych powstań można osiągnąć lepszą przyszłość narodu. Taki pogląd był i jest błędny i słuszną była reakcja, która przeciw niemu powstała, reakcja mniej smaczna w swych objawach i drwinach z patryotyzmu. Dziś zasady takiej, jaka obowiązywała przed r. 1863, nie stawia nikt i walka z konspiracją, jako metoda, robi poniekąd wrażenie walki z wiatrakami.

Jeżeli prof. Milewski ma na myśli wszystkie ziemie polskie, to wypowiada zbyt śmiało i ryzykowne zdanie, twierdząc, że

trwały pożytek, prawdziwy przybytek sił przyniosły nam tylko prace i instytucje, podjęte i utrzymane w granicach legalnych.“

Stawianie bezwzględnej zasady szkodliwości metody konspiracji wynika z niewczesnej dziś obawy, widzącej poza każdym tajnym działaniem spisek, powstanie, co jest obecnie zupełnym anachronizmem. A jak dalece konspiracja nie leży już dziś w duchu i usposobieniu społeczeństwa naszego, dowodzi wymownie fakt, iż z chwilą ukazania się cienia nadziei, że państwo rosyjskie będzie praworządne, z chwilą wydania liberalnych, ograniczanych w następstwie, przepisów, ustała zupełnie praca konspiracyjna w Królestwie.

Znowu musimy się zgodzić z autorem, kiedy mówi, że działalność legalna polega nie tylko na niespiskowaniu, lecz przede wszystkim na wyzyskiwaniu wszelkich ustaw i praw istniejących dla naszych narodowych celów. Że z tej drogi, jako bardzo ciężkiej i pracowitej, zbyt mało korzystamy—to pewna. I to prawda, że „częste były zakusy rządów i wrogiej prasy sprowokowania nas do dyskusji o dalszej przyszłości, dyskusji nie o naszej pracy i postępowaniu, o podjętych zadaniach, lecz o ideałach. Za wyraźny tkwi w tem prowokatorski cel skonstruowania następnie antytezy między ideałem a obecnym stanem legalnym.“ I to prawda, że „niepotrzebnie dawano się nieraz z naszej strony wciągać w te dyskusye,“<sup>1)</sup> bezcelowe a nieraz wprost szkodliwe.

Do kwestyi metody należy także nieuzasadniona obawa o „przeciskające się do nas prądy obce,“ o „szowinizm nacyonalistyczny“ i uwaga, że „hakata ani rusyfikatorski panslawizm nie mogą być dla nas wzorem.“ Oskarżenia o szowinizm, nacyonalizm, hakatyzm, należenie do „czarnej sotni“ pod adresem pewnych grup społeczeństwa były używane i nadużywane, zwłaszcza podczas okresu t. zw. rewolucyi. Nadawano im dowolne, niesumienne, niewierne znaczenia. Bo cóż to jest „szowinizm?“ — patryotyzm pióropuszowy, którego u nas dziś znaleźć trudno, nawet w Galicyi; hakatyzm—to prąd, zniierzający do zgębienia Polaków, a my żadnych podobnych stowarzyszeń nie zakładamy; nacyonalizm jest określeniem kierunku politycznego, właściwego specyficznemu Francyi i opierającego się na wierze w odrodzenie z podstaw historycznych narodu. I tak dalej. A jeżeli te wyrażenia były używane w znaczeniu patryotyzmu zaborczego, zachłannego, to na taki niema w naszym narodzie miejsca, bo sami jesteśmy zabrani,

<sup>1)</sup> L. c., str. 251.



zabierani i nie o napastniczości, ale o obronie na wszystkich posterunkach myśleć musimy.

Metodą również była dawniejsza polityka dyplomatyczna, rachująca na pomoc rządów i zawikłania europejskie w celu rozwiązania kwestyi polskiej, jak również demokratyczna doktryna rachowania na pomoc ludów; i ludy i rządy zawiodły, pozostając najspokojniej w domu. Dziś zmieniły się poglądy i pracować trzeba dla narodu przedewszystkiem za pośrednictwem aparatów rządowych i parlamentarnych wszystkich państw zaborczych. Autor ostrzega przed popełnianym nieraz błędem rachowania na Koronę, jako na jedyny czynnik względnie bezstronny, na który oddziałać najłatwiej i widzi w nim skłanianie się raczej do stanu bezparlamentarnego; przytacza przytem, że tylko Wielopolski raz użył skutecznie wpływu tego czynnika, a pojedynczy wypadek nie nadaje się do uogólnienia.<sup>1)</sup>

Przechodząc do organizacyi naszych przedstawicielstw w parlamentach, trzeba uznać konieczność solidarności Kół, bo „stanie poza Kołem, przynależność do innej organizacyi, mogą i muszą prowadzić do położenia głosowania przeciw Kołu, a więc głosowania z wrogami narodu przeciw delegacyi narodu.“<sup>2)</sup> Przytem „utrudnić pracę jednego Koła może nieopatrzne odezwanie się Koła drugiego; trudność to olbrzymia naszego położenia, ale nam niewolno zapominać np. w Berlinie, że mamy ważne narodowe interesa i w Petersburgu, stąd i liczyć się z tem trzeba, aby odległe echo naszych słów za pozorny i chwilowy efekt lokalny nie odbiło się niekorzystnie na losach naszej pracy gdzieindziej. Ignorowanie tego względu byłoby spadnięciem na ciasne stanowisko prowincjonalizmu, moralnem perfekcyonowaniem rozbiorów, rozbiorem narodu na trzy odrębne części. A tego nam czynić nie wolno.“<sup>3)</sup>

---

1) Z wielką ostrożnością wtrącimy tu jedną uwagę: niedocnienie tego czynnika przez nas przed i podczas zamętu; błąd ten podzielamy zresztą ze stronictwem wolności ludu, a na usprawiedliwienie przytoczyć można ówczesne pomieszenie pojęć, wiarę powszechną w zwycięstwo rewolucyi albo przynajmniej prądów radykalnych w Dumie. Tymczasem okres zamętu skończył się, czynnik powyższy odzyskał w Rosyi przemożne znaczenie i dziś, za jego tylko wolą, wbrew opinii wszystkich władz miejscowych i lepiej znających stosunki ministrów, nam zagraża oderwanie połaci kraju, a całemu państwu rosyjskiemu rządy konserwatywnych nacyonalistów.

2) L. c., str. 267.

3) L. c., str. 269 i 270.

Nasze reprezentacje parlamentarne łączą w sobie dwoisty charakter przedstawicieli narodu i przedstawicieli poszczególnych społeczeństw dzielnicowych. Ze względu zaś na ich pochodzenie z wyborów, są także wyrazem walki stronnictw. Mniejsza o kwestyę, czy powstawanie stronnictw, bądź co bądź wykładników istniejących ostrych różnic poglądów w społeczeństwie, któremu tak niezbędna jest spójność i solidarność, jak nam, jest pożądane; wystarcza stwierdzić konieczność tego zjawiska. W założeniu stronnictwa są to grupy ludzi, mających interes całości na oku i dążących do pewnych zmian w ustroju społecznym i politycznym za pomocą zapewniania większości swoim poglądom; jako takie są one wyrazem różnorodności, bogactwa duchowego narodu, którego żywotność nie znosi martwoty i jednostajności. W naszych warunkach są to ogniwa, łączące w sobie zadania polityki wewnętrznej i zewnętrznej, bowiem udział w obcych ciałach prawodawczych jest dla nas polityką zewnętrzną.

Pożytek stronnictw występuje w stosunku odwrotnym do ich ilości. Właściwie poważną, pożyteczną grę stronnictw widzieliśmy tylko w przeszłości Anglii, gdzie kolejno zmieniały się u steru dwie partye, z których każda wносиła w życie i rozwój narodu te pierwiastki, których danej chwili najbardziej potrzebował, zachowawczości czy postępu, ekspansji zewnętrznej czy konsolidacji wewnętrznej. Ale różniczkowanie się życia, wyłanianie się na widownię nowych potrzeb, nowych dążeń, nowych grup musiało z konieczności wywołać wszędzie powstawanie stronnictw nowych, w ilości nadmiernej, które stawały się nieraz ekspozyturą chwilowych interesów i ambicji jednostek. Taki stan rzeczy jest dla narodu niekorzystny, a to z kilku względów. Przez nadmierną konkurencję o wpływy i zwycięstwo szerzy partyjność, obostrza i obniża kulturalnie walki polityczne, dla chwilowych względów tracą stronnictwa z oczu interes całości, dla którego pieczy w zasadzie powstają, zasłaniając go powszednim interesem swojej własnej partyi. Obniżenie poziomu kulturalnego życia politycznego oddala od niego jednostki rozumniejsze, chłodniejsze, rozważniejsze, wykwinniejsze, pozostawiając plac boju wolnym dla najgorszego typu karyerowiczów politycznych. Istnienie zaś licznych grup prowadzi nieraz do antinaturalnych kompromisów zrzeszania grup różnorodnych, rozbieżnych, w celu osiągnięcia władzy (Francya).

Nie wszystkie te wady występują w naszym społeczeństwie, jako pozbawionem możności osiągnięcia realnej władzy, ale te, które występują, przynoszą więcej szkody, niż gdzieindziej, nietylko



z powodu naszego nieszczęsnego położenia, ale także i przede wszystkim z powodu naszej niższości kulturalnej. Tak było zresztą zawsze: „Dzieje naszej partyjności wykazują przykre polityczne i etyczne zboczenia, stwierdzają brak rozwoju prawdziwego zmysłu politycznego, przygłuszenie publicznego sumienia. I trudno nieraz ocenić, czy... więcej było braku sumienia, czy braku rozumu.“ I tak jest teraz, może chyba tylko z tą różnicą na korzyść, że niema już ohydneho dążenia w polityce do żłobu pełnego, może dlatego, że ten w obcych nie naszych znajduje się rękach.

Równie szkodliwą, jak stronnictwa, jeżeli nie szkodliwszą jeszcze jest prasa, posiadająca wszystkie ich wady, żadnych zalet, a prócz tego jeszcze nadto tę szkodę przynosi, że pisma dziś wszędzie, a u nas już w części stają się sklepikami informacji, sensacyj i idej. Wszelkie więc uwagi pod adresem moralności prasy są bezpłodne, istnieje tu bowiem jeden tylko wzgląd: zwiększenie ilości egzemplarzy i dojście tym sposobem do bożyszczarubla.

Te szkodliwe działania stronnictw i prasy zwracały nieraz powszechną uwagę. Na pisma nie było sposobu, są to bowiem przeważnie warsztaty prywatne, ale usiłowano nieraz wytworzyć jakieś organy międzypartyjne, czy ponadpartyjne, których zadaniem byłoby czuwanie nad interesem ogólnym narodu i łagodzenie walk stronnictw między sobą. „Bywały wypadki — określa dowcipnie te usiłowania prof. Milewski — że godzono się na nią (taką instytucję), ale tylko w teorii (czasem i w dość śmiesznej praktyce), uznać chciano, byle nic nie robiła, nic nie rozstrzygała, nic nie zabraniała, byle dozwalała na zachowanie przez każdego wolnej ręki, gdyby też kiedy miała dlań wypaść decyzja niekorzystna.“<sup>1)</sup> A wniosek z tego wszystkiego, że i stronnictwa i prasa są to złe konieczne, na które trudno, jeżeli nie niepodobna znaleźć moralnego hamulca. „Była dawniej dobra epoka, gdy uznawano t. zw. parlamentarne wyrażenia za obowiązujące w każdej publicznej dyskusji; parlamenty, zgromadzenia i publicystyka zapomniały, niestety, już o tem, obniżyły, zbrutalizowały ton dyskusji, a trwałość brutalnego tonu wyrabia moralną gruboskórność, obniża myśli, dążenia, czyny, cofa kulturę narodu. My sobie na takie szkodliwe działanie nie możemy pozwalać.“ Była, ale minęła bezpowrotnie, a my właśnie pozwalamy sobie coraz bardziej na takie szkodliwe działania.

<sup>1)</sup> L. c., str. 285.

W liczbie dalszych środków, zmierzających do osiągnięcia celów, wymieniamy dalej propagandę za pomocą zgromadzeń, odczytów, wydawnictw, następnie stowarzyszenia wszelkiego rodzaju, które u nas mają jeszcze większe znaczenie niż gdzieindziej, są bowiem jedynymi kształtami zrzeszeń i szkołą wyrobienia działania zbiorowego, wreszcie naturalna forma najbliższego zrzeszenia—rodzina, której zadaniem jest u nas utrzymanie ciągłości tradycji, zniszczenie zgubnych wpływów zewnętrznych, wychowanie jednostek, które „siłą prawdziwej dzielności indywidualnej“ muszą „zaważyć na losach, ugruntować przyszłość narodu.“

„Zakres naszych prac jest wielki, większy niż innych społeczeństw, bo mamy wszystkie te zagadnienia co one, a oprócz tego mamy swą własną niepaństwową siłą stać na straży swego narodowego interesu. One mają tylko utrzymać i rozwijać swe dziedzictwo i mają po temu organa rządowe i społeczne, my mamy prócz tego i usunąć braki, dogonić, odzyskać, a naszym organem tylko samopomoc społeczna. To też praca nasza winna być intensywniejszą niż innych, winna najświadomiej używać i ulepszać swe metody i organa działania, wciągnąć w pracę wszystkie siły.“

\*

\*

\*

Taka jest cenna praca prof. Milewskiego. W naszych stosunkach, w naszej ubogiej literaturze politycznej ukazanie się jej jest wypadkiem wybitnym, jako pierwsze usiłowanie streszczenia, zestawienia i naukowego uzasadnienia wszystkich zasad i zadań polityki narodowej, poparte szeroką i wszechstronną wiedzą. Jeżeli czasem uderza pewna chaotyczność treści, to dlatego jedynie, że autor objął ogromnie rozległy zakres badań. Jeżeli poszukiwacze jakichś prawd najnowszego stempla powiedzą, że we wskazaniach praktycznych mamy rzeczy znane, to odpowiedzieć można, że największym ogólnikiem jest twierdzenie: „dwa razy dwa cztery,“ a przecież na tym ogólniku budujemy lub budować usiłujemy wszyscy nasze życie osobiste i publiczne. Załuga leży w ich skupieniu i uzasadnieniu.

Podobno właśnie pod względem wskazań praktycznych dzieło prof. Milewskiego zawiodło oczekiwania. Spodziewano się w tej



dziedzinie jakichś odkryć niezwykłych, jakiegoś *panaceum*, specyfiku na wszelkie dolegliwości narodowe, społeczne, polityczne. Tego oczywiście książka nie daje i dać nie może. Autor łączy w jednej osobie i uczonego i polityka praktycznego i te dwie cechy odnajdujemy w jego pracy. Jako uczony — jest ekonomistą, i zaletą książki jest oparcie jej postulatów praktycznych na gruncie ekonomicznym. Zaletą dlatego, że grunt to u nas najbardziej zaniedbany, po macoszemu traktowany, dążenia jednostek w tym kierunku zbyt często i niesłusznie identyfikowane z korzyścią własną, dlatego wreszcie, że w kierunku gospodarczym byliśmy zawsze najbardziej zaniedbani, a rozwój tu najniżej, zwłaszcza w stosunku do potężnych sąsiadów i że walka o utrzymanie i życie narodu na tem polu przedewszystkiem toczyć się będzie, jak nam to wskazują dziś już dzieje zaboru pruskiego. Jako polityk praktyczny, prof. Milewski należy do pewnego obozu politycznego; mimo to w ocenie niektórych objawów polityki praktycznej nie waha się bardzo surowo sądzić pewnych aktów tego właśnie stronnictwa. Świadczy to o szczerości autora i uczciwości jego myśli politycznej. A jeżeli tu i owdzie daje się unosić zbyt daleko i zbyt kategorycznie doktrynom tegoż stronnictwa, dziś zwłaszcza nieco przeżytym (legalizm *à tout prix*), niema potrzeby zbyt tego podkreślać, bo to jest ludzkie.

Wreszcie, na zakończenie, na dobro dzieła zapisać trzeba, że próżnoby kto szukał w niem łatwego i taniego optymizmu. Przeciwnie—autor tak wiele złudzeń rozwiewa, tak wiele od ojczystego społeczeństwa wymaga, tak trafnie ocenia jego wady, że przeżalenie przejawia przed ogromem zadań, które wskazuje. Ale sumienny obywatel kraju, który tę książkę przeczyta, zabierze się do zaniedbanego, najbliższego pola pracy, przekonany, że tem ojczyznę buduje. Do sumień, do charakterów przemawia ta książka, której dążeniem jest kształcenie i rozwój tych cech narodowych, jakich nie mamy, a jakie w sobie wyrobić musimy. Wysoki poziom moralny, wykazanie konieczności rozbudzenia w sobie świadomości narodowej, wyrobienia kultury politycznej, wreszcie woli i chęci do czynu politycznego — oto przynioty, które jej części praktycznej nadają wysokie znaczenie.

# MICKIEWICZ

## w świetle nieznanych pism.

---

### III. Pierwsze próby poetyckie.

Wydane okruchy pierwocin poetyckich twórcy „Ody do młodości“ nie przedstawiają się same przez się liczebnie i jakościowo w sposób imponujący: jest to przeróbka wiersza Woltera „Pani Aniela,“ humorystyczny dyalog p. t. „Dodatek do Cwibaka,“ uzupełnienie wesołej krotchwili Zana „Gryczanne Pirożki,“ wiersze deklamowane podczas obchodów imieninowych Filomatów, a mianowicie: Adamowe, Onufrowe, Janowe, na pożegnanie przed wakacyjnym rozjazdem 1819 roku, Jaroszowe („Hej, radością oczy błysną“ — przysłane w liście z Kowna w pierwotnym brzmieniu), t. zw. jamby powszechnie przed wyjazdem Mickiewicza do Kowna, triolet, wiersz „do Czeczota“ (oba ostatnie wyjęte z listów), „Cztery toasty“ (w tekście autentycznym) — wreszcie przekłady: z Horacyusza, Owidyusza, Schillera, Gleima i Pindara. Próbki te jednak, częścią zgoła nieznanne, częścią wydane w postaci pierwotnej, zyskują ogromnie na wadze w zestawieniu w wymienionem studyum prof. Kallenbacha („O nieznanych pismach Mickiewicza“), który miał szczęście przeglądać autografy, z powodu zakazu poety przez rodzinę trzymane w ukryciu, a mianowicie: „Mieszka,“ „Darczankę“ i „Kartoflę.“ Przedewszystkiem zaś początkowy ten obraz zawiązywania się pędów poetyckich arcymistrza naszego romantyzmu, tak dotąd niezupełny, zyskuje bardzo bogaty materiał w wydanych listach. Posiadaliśmy dotąd z tego czasu listów, o niepewnej w dodatku chronologii, zaledwo 9: najdawniejszy, to list do Lelewela z 1818 roku (autograf w Muzeum



miejskiem w Krakowie) — oraz 8 listów, pisanych pomiędzy 1821 a 1824 rokiem. Obecnie zyskujemy 95 nieznanych dotąd listów z najwcześniejszej doby wileńsko-kowieńskiej; wartość ich bibliograficzna polega na dwóch względach — po pierwsze: dostarczają wielu wiadomości o utworach dotąd nieznanych; po drugie: dozwalają ustalić niejednen szczegół niepewny, usunąć lub sprostować niejedną wiadomość mylną co do utworów znanych. Również wartość ich biograficzna jest pierwszorzędnego znaczenia. W formie jaknajintymniejszej, możliwej tylko w tak bezwzględnie szczerzej atmosferze, jaką wytwarzała przyjaźń filomacka, zwierza się poeta ze swoich przeżyć zewnętrznych i wewnętrznych, zatrudnień literackich, lektury, zamiarów na dziś i jutro i t. d. — co wszystko razem zmusza niejednokrotnie do gruntownej rewizji poglądu na tę lub ową stronę obrazu „młodości Mickiewicza.“

„Pani Aniela,“ najstarszy obecnie znany utwór Mickiewicza, wyprzedzający o 11 miesięcy wiersz do Filomatów i „Zimę miejską,“ jest przeróbką wiersza Woltera „Gertrude ou l'Éducation d'une fille.“ Nie jest to jednak pierwszy utwór, o jakim z archiwum Filomatów się dowiadujemy; na miesiąc z górą przed nim (7-go października 1817 r.), czyta poeta utwór p. t. „Mieszko, Xiążę Nowogródka,“ będący również naśladownictwem Woltera „L'éducation d'un prince.“ Dodać należy, że 16 grudnia tegoż roku odczytuje poeta pierwszą próbkę z rozpoczętego przekładu „Dziewicy Orleańskiej,“ który go dłuższy czas absorbuje, jak widać z listów. Pod hasłem więc „gallomanii,“ a raczej, mówiąc ściślej, „wolteromanii,“ rozpoczyna wielki romantyk swój zawód poetycki. Tę niesłychanie ciekawą kwestyę objaśnia wyczerpująco w wymienionem studyum prof. Kallenbach, który miał w rękę zarówno „Mieszka,“ jak i „Darczankę,“ a oraz i „Kartoflę,“ w której już bardzo dalekie i problematyczne echo wpływu Woltera wykazuje (w pomysle wagi, trzymanej przez św. Michała). Pragniemy rzecz tę kilku uwagami od siebie uzupełnić.

„Wolteromania“ Mickiewicza jest odkryciem nowem, lecz naturalnem, a poniekąd spodziewanem. Wypływa ona z ogólnej hegemonii, jakiej dzieła Woltera jeszcze z początkiem XIX wieku zażywają. Przekłady polskie Woltera z pierwszego 10-tka „nowego wieku,“ które cytuje prof. Kallenbach, są oczywiście skutkiem, nie przyczyną. Przyczyną jest „wolteryanizm,“ t. j. ta ogólna suma charakterystycznych znamion, która stanowi wewnętrzną treść „wieku oświecenia,“ a którą określa się imieniem najbardziej typowego tych znamion przedstawiciela. Ten „wolteryanizm“ ogarnia umysłowość polską najpełniej w dobie *fin de siècle'u*, jak

tego dowieść usiłowałem gdzieindziej, <sup>1)</sup> a wkorzenia się u nas tak silnie, że zwycięsko potrafi przetrwać okres reakcyi pomiędzy 1793—1816 rokiem; kiedy zaś około 1816 roku rozpoczyna się u nas wyraźna restytucya haseł „wieku oświecenia,“ dzieło Woltera odzyskuje w całej pełni wartość autorytetu. Zwłaszcza zaś satyryczne wycieczki autora „Dziewicy orleańskiej,“ skierowane przeciw klerowi, odzyskują w tym czasie u nas pełny kurs. Tendencya ta przebija jaskrawie w osobnym jakby rodzaju satyry społecznej, która pełni się bujnie na łanach „Pamiętnika warszawskiego“ pomiędzy 1816—19 rokiem (artykuły Stanisława Potockiego, Fr. hr. Skarbka i in.), gorliwie przez Filomatów czytwanego, a i w najbliższem otoczeniu Mickiewicza, w „Tygodniku wileńskim“ (1819, t. VII), ba, nawet w „Wiadomościach brukowych“ (1817 r. n<sup>o</sup> 3), których współpracownikiem poniekąd był tłómacz „Darczanki.“ Wytwarza się jakby osobna „literatura świstków“ (nazwa od felietonów Potockiego p. t. „Świstek krytyczny“), działająca pod patronatem wskrzeszonego racjonalizmu, z wyraźną „wolteryjską“ tendencją antyklerykalną. Towarzystwo Szubrawców, utrzymujące z jednej strony „czucie“ z łozami wolnomularskimi, których działalność w tym czasie znowu się wzinağa, z drugiej strony zaś pozostając w wyraźnym kontakcie ze związkami filareckimi, bynajmniej nie oszczędza w swoim organie kleru: „Wiadomości brukowe“ potępiają edukacyę Jezuitów, wytykają księżom prywatę, chciwość, unysłowe ograniczenie etc.<sup>2)</sup> To jest atmosfera, w której dojrzewa młody poeta; jego „wolteromania“ na tem tle jest zjawiskiem zgoła zrozumiałem, niemal nieuniknionem.

Bo że Mickiewicz w pierwszej młodości znał dobrze i cenił wysoko poezyę Woltera—o tem wiedzieliśmy i dawniej. W uwagach nad „Jagiellonidą“ powołuje się na Woltera kilkakrotnie z naciskiem: mówi — używając porównania Woltera — że poemat bez jednościby byłby jak obraz bez ram, pamięta dobrze nawet szczegóły z „Henryady,“ pisząc, że Niezgoda i Fanatyzm w poemacie Tomaszewskiego przypominają „podobnież w *Henryadzie* allegoryczne obrazy,“ poruszając wreszcie kwestyę użycia świętych w epepei, dodaje: „dał już tego przykład jeden z największych przeszłego wieku poetów, chociaż w nagannym sposobie.“ W głębi ducha nie bardzo musiał „ganić“ ten sposób, skoro jednocześnie pracował nad przekładem wolterowskiego paszkwilu.

<sup>1)</sup> „Génie du Christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej“ str. 44.

<sup>2)</sup> Tamże, rozdział „Powrotne fale“ passim.



W przekładach Woltera stara się Mickiewicz o pewną samodzielność; samodzielność ta nie tyle dotyczy zmian istotnych w treści, ile dążenia do czysto zewnętrznej asymilacji Woltera, polegającej na zmianie imion osób, biorących udział w akcji, środowiska, wśród którego akcja się rozgrywa oraz innych drobnych zmian w akcesoryach—jak to wykazuje prof. Kallenbach. W ten sposób „Wychowanie księcia“ zmienia się na „Mieszka, księcia Nowogródka“, „Gertruda“ zaś na „Anielę.“ Szczególnie ta ostatnia transformacja imion ciekawa, bo wiąże się z nieznaną dotąd kartą dziejów serca poety. Pod tym względem wydane materiały sprawiają pewnego rodzaju przykry zawód. Opinia, jakoby „serce Mickiewicza w chwili poznania Maryli było zupełnie dziewicze,“<sup>1)</sup> musi być dzisiaj bezpowrotnie zarzuconą. „Kobiety zawsze robiły na mnie wielkie wrażenie“ — pisze w jednym z wydanych listów<sup>2)</sup> — „i zajmowały więcej, niż były warte.“ Tak: Maryla miała poprzedniczki i to — niejedną. Nie idzie nam o natężenie tych uczuć, z których miłość ku Maryli największym i długotrwałym zapłonęła ogniem, szukając ujścia w najwspanialszych kwiatach twórczego natchnienia; nie można wszakże pominąć milczeniem i tamtych, mniej lub więcej przelotnych miłostek, które również w pewnej mierze odbiły się na młodzieńczych utworach twórcy IV części „Dziadów.“

Pierwszą, o ile wiemy obecnie, była Joasia, ta sama zapewne, o której w 1846 roku opowiadał Mickiewicz Chodźce, dziewczyna „śliczna, świeże usta, białe zęby. W domu ich, małym zaścianku, samo życie i radość.“<sup>3)</sup> Wprawdzie Chodźko podaje, że na imię było jej Józia, zdaje się jednak, że zaszła tu pomyłka. O niej to pisze poeta w chwili największej depresji ducha, odwiedzając dom rodzinny w lipcu 1821:<sup>4)</sup> „Widziałem się z kobietami, z ową Johasią, niegdyś dosyć lubianą, lubo pospolitą istotą.“ A jednak „dosyć lubianą“ była Joasia jeszcze w maju 1820 roku, kiedy dla niej to, nie zaś dla Maryli, przeznaczał „To lubię,“ pisząc do Zana (z Kowna około 18 maja): „Zapomniałem prosić Jarosza, aby *To lubię* było na osobnej kartce dla mnie wydrukowane—*muszę postać Johasi, dla której pisałem.*“ Dopiero w ostatecznej korekcie wiersza „Johasia“ zastąpiona została „Marylą,“

1) Tretiak, op. c. I, str. 173.

2) Do Jeżowskiego z Kowna 1820, w końcu listopada.

3) Wł. Mickiewicz, op. c. I, 40, 1.

4) Do Czeczota, z Nowogródka, list 52.

o czym dowiadujemy się z listu Odyńca do Czeczota (29/VII 1823). Do tej pierwszej również Beatryczy zdaje się odnosić „śpiew“ Adama z obchodu imienninowego w grudniu 1818. Rozczulony solenizant, widząc na jego cześć płonący transparent, rozpoczął śpiewać:

Te bałwanki,  
Ich twarze, ich fletnie  
Przypominają mi obraz kochanki,  
*Której czasy trzyletnie*  
*Z pamięci mej nie wygladziły.*<sup>1)</sup>

Wspomnienie więc, sięgające jeszcze czasów Nowogródzkich, niemal w „dzieciństwo sielskie anielskie“; wspomnienie tem dziwniejsze, że w tych trzech latach serce poety zdążyło już uleść wdziękom innej bogdanki — Anieli.

Ta Aniela, to postać zupełnie nowa w dziejach serca Mickiewicza, o której, choć niewiele, dowiadujemy się z wydanych listów. O niej to mówi w całości pierwszy i drugi list poety do Jana Czeczota, pisany z Wilna około 1816 roku. Mówi zaś o końcowym momencie romansu—o rozstaniu z Aniela. U wstępu usprawiedliwia się poeta przed przyjacielem, który mu widocznie czytał jakieś wyrzuty, zupełnie podobnie jak później Zan co do Maryli.<sup>2)</sup> W dalszym ciągu dowiadujemy się, że u Anieli, mieszkającej z matką, zapewne wdową, i siostrą cioteczną zwykł był Adam bywać codziennie, że musiały ich łączyć serdeczne stosunki, jeżeli Aniela „uniała pięknymi kolorami malować przyszłe szczęście nasze.“ Zresztą dalszy tok listu nie pozostawia co do tej „serdeczności“ żadnej wątpliwości: poeta z płaczem, całując po rękach, przedstawia Anieli, że „gotów jest wszystko poświęcić, ale nie poświęci nierozwadze losu i szczęścia jej samej,“ na co ona „zaczęła równie płacząc mówić, że gdyby ją tyle kochał, ile jest kochany, nie powiedziała by, że to może być dla niej nie-szczęście.“ Wreszcie dała się nakłonić „na męczarnie więcej jak całorocznego nie widzenia się,“ o czym postanowili oboje powiadomić matkę, która, jak widać, musiała być wtajemniczoną w sercowe sprawy córki.

O epilogu tego epizodu dowiadujemy się z następnego listu do Czeczota; dla krótkości czasu nie opisuje wprawdzie poeta

1) Kallenbach „O nieznanym utworach.“

2) Pod koniec listu prosi poeta przyjaciela: „w przyszłym twoim liście nie pisz nic z ironią i nie łaj mojej Anieli.“



szczegółowo „najnieszcześniejszego zakończenia swoich nadziei“— ale i z tego, co pisze, zakończenie to przedstawia się wyraźnie. Matka opuściła Wilno, zabierając Anielę; uznała może, że w miejsce jednorocznego rozłączenia lepiej wogóle zerwać z młodzieutkim studentem, który oczywiście dla córki nie był żadną „partią“. „Teraz“—kończy poeta — „zostając sam jeden w obrzydłym Wilnie, nie widząc Jej i Ciebie, nie dość, że jestem nieszczęśliwy — o, gdybyś wiedział o reszcie...?!“ W związku z tajemniczem zakończeniem listu powstaje widoczna ulga z ostatecznego rozwiązania sprawy, jaką wyczytać się daje pomiędzy wierszami listu. Choć bowiem poeta pisze, że czuje się nieszczęśliwy, to jednak dodaje, że od „dni kilku jest spokojniejszy i zdrowszy, gdyż... tragiczna ta akcja przyłożyła się do pęknięcia wrzodu w głowie, skąd po wyjściu trochę materii znaczną uczuł ulgę.“ Zdaje się, że cała ta historia ciążyła poecie i że jej rozwiązanie było także pewnego rodzaju pęknięciem moralnego wrzodu. Odtąd nie słyszyny więcej o Anieli, choć o pierwszej pani serca, Joasi, wspomni poeta jeszcze po tylu latach: ta jednak miała urok pierwszeństwa— Aniela przysłała już po niej, a jedyny zda się refleks, jaki ta miłośka (trudno to nazwać inaczej) na poezję młodzieńczą twórcy balad rzuciła, jest zmiana wolterowskiej „Gertrudy“ na Anielę, ograniczająca się zresztą jedynie zmianą imienia w tytule.

„Anielę“ napisał poeta wierszem trzynastozgłoskowym, formą, którą tak wspaniale rozwinął w „Panu Tadeuszu.“ Nie sama jednak forma, lecz i typ wolterowskiej bohaterki znalazł, jak sądzę, w arcydziele poezji polskiej swoje rozwinięcie. W ogólności, jak wiadomo, jest „Pan Tadeusz“ renesansem przeżyć pierwszej młodości: poprzez szereg lat, poprzez długie pasmo dni, na które życie nanizało krótkie chwile szczęścia i pogody i dłuższe bólu, zawodów, wewnętrznych starć i kataklizmów — wzrok poety spoczął na jasnej glori, która upowija zawsze

Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie  
Biegł, jak po łące, a znał tylko kwiecie  
Miłe i piękne, jadowite rzucił,  
Ku pożytecznym oka nie odwrócił.

Pod czarodziejskiem dotknięciem tego wzroku wstają, niby żywe, wspomnienia Nowogródka oraz czasów i ludzi, z nim związanych—i wtedy wszakże nietrudno przypomnieć Anielę „w młodych latach dziwo Nowogródka,“ która, choć „trzydzieste jabłko z swego zjadła już ogródka, Jednak czas, prześladowca niewieś-

ciej urody, Ledwo drobne jej wdziękom śmiał wyrządzić szkody; Zawsze miła, poważna, ale nie nadęta, Przy ziemi ognia pełne trzymała oczęta. Gors śnieżny, jak alabastr, sztuką utajony, Gdzie-niegdzie z pod zazdrośnej wyglądał zasłony. Lice, jeżeli skaził lat wiosennych schyłek, Jest na to sztuczna białość, jest karni-nów pyłek... Aniela, choć na wielkim nie znajoma świecie, Długi jednak trawiła czas przy toalecie.“

Jest to bez mała portret — Telimeny, zwłaszcza, że jak ta opiekuje się Zosią, tak i Aniela wychowuje siedemnastoletnią córkę Zuzię, która jest „równa Anieli wdziękiem i żywością oczek.“

U matki jak pod skrzydły u Anioła stróża,  
Swobodnie ta prześliczna wywiła się róża  
Nie skaził jej zgubnego świata dech zatruty,  
Nie znała, co są maski, baliki, reduty.

W zewnętrznem i wewnętrznem uposażeniu przypomina Telimena-Zosia w uderzający sposób Aniełę-Zuzię.

Nie jest to, jak sądzę, przykład sporadyczny, w którym powrotna fala wspomnień wyrzuciła w „Panu Tadeuszu“ reminiscencyę literacką z pierwszej młodości. Na razie dodać tu można, że głośny w kołach filomackich, cytowany wielokrotnie utwór Zana p. t. „Tabakiera,“ opiera się w całości o tę samą koncepcyę, która urodziła nieśmiertelny opis tarczy Achillesa u Homera — oraz Mickiewiczowski serwis w „Panu Tadeuszu.“ Wśród wspomnień z młodości, które otoczyły kołem poetę w czasie tworzenia epepei, mogło z całym prawdopodobieństwem nie braknąć tak żywo z filomackimi czasami związanej „Tabakieri“ (czytanej w pierwszym roku posiedzeń—ob. Pietraszkiewiczówna l. c.), oczywiście opierającej się o prażródło w Homerze. Być może, że w tym kierunku uzyska się więcej szczegółów po ogłoszeniu w całości archiwum filomackiego.

Ogłoszone w „Nieznanych pismach“ imieninowe wiersze Mickiewicza nie mają pretensyi do trwalszej wartości artystycznej; wyjątek chyba stanowi pieśń-hasło filomackie „Hej! radością oczy błysną,“ przedrukowana z kopii Czeczota w brzmieniu znacznie odmiennem od znanego. Wiersz ten, jak wiadomo, ogłoszono po raz pierwszy dopiero w wydaniu zbiorowem 1885 roku. Wątpliwości co do autorstwa usunął ostatecznie dopisek Zana w „Śpiewniku filareckim,“ który objaśnia: „Hej radością oczy błysną“ Adama Mickiewicza, podana do konkursu miłośnikom cnoty



w Wilnie, muzyka Sukulskiego, ze śpiewów Franc - Maçońskich, tamże.“<sup>1)</sup>

Obecnie należy objaśnienie to sprostować o tyle, że wiersz pierwotnie nie był „podany do konkursu,“ lecz z końcem października 1819 roku wysłany z Kowna w liście wraz z życzeniami dla Franciszka Malewskiego — odczytał zaś go Cieczot na „fecie Jaroszowej“ (t. j. Franciszka Malewskiego), obchodzonej 1 listopada 1819 r.

Odmienne okoliczności urodziły odmienny wiersz imieninowy, odbiegający tonem od innych tego rodzaju utworów: od dwóch miesięcy przebywa poeta w Kownie zdala od życia, do którego nawykł, odczuwając przykro brak tej ciepłej atmosfery, jaką wytwarzało współzycie filareckie. W takich warunkach nie sposób było obudzić w sobie nastrój żartobliwy, pogodny humor, jaki owiewa inne imieninowe utwory Mickiewicza. „Same powolności i flakowatości w głowie“ — tłumaczy w liście wymienionym — „próżno chciałem się śmiać, same smutki. Owoż niema jambów... Macie choć lichą piosnkę; śpiewając, przypomnicie Adana.“ Wyrosła też „pieśń Adamowa“ nie z wesela, nie z anakreontycznej niefrasobliwości, do jakiej skłania „czara złota,“ okrażająca gro- no młode i do życia się rwące—lecz powstała pieśń ta z tęsknoty za tem życiem, które tak budującą miarę umiało zachować pomiędzy pracą a zabawą, za owem braterstwem dobranych serc, którego brak dotkliwie dawał się pocie uczuwać.

Wiersz ten w ogłoszonej formie różni się znacznie od znanej jego postaci. Przedewszystkiem jest o wierszy ośm dłuższy (liczy 26 ww.—w znanej redakcyi 18 ww.). Trzy pierwsze strofy różnią się w układzie: strofa trzecia („Pochlebstwo, chytrość i zbytek“) stanowi w brzmieniu pierwotnem drugą strofę, druga zaś („Braterstwa ogniwnem spięci“) trzecią. Zdaje się, że to przedstawienie zwrotek wywołała chęć ściślejszego złączenia myśli: dwie pierwsze zwrotki w układzie drugim podkreślają braterstwo „myśli i chęci“ zgromadzonych, poczem następuje rozwinięcie ostatniego wiersza zwrotki drugiej („Święte, co tu objawione!“):

Bo tu święty ma przybytek  
Ojczyzna, nauka, cnota.

<sup>1)</sup> Wedle listu Zanowej do Juliana Horoszkiewicza, ogłoszonego w „Pamiętniku literackim,“ 1888, II, 140—142; toż w edycyi dzieł „Towarzystwa literackiego,“ t. I, str. 250.

Również ostatni wiersz pierwszej zwrotki: „To wszyscy bracia! To Nasi!“—zmieniono w drugiej redakcyi na: „Bo to wszystko bracia nasi.“ Zmianę tę wywołała, jak myślę, analogia budowy rytmicznej ostatniego wiersza, przyczem jednak dawny amfibrachis, wraz z anaforyczną budową zdań (to bracia — to nasi), wydaje mi się w wyrazie energiczniejszy, aniżeli późniejszy.

Jeszcze bardziej zasadnicze zmiany wprowadzono do drugiej połowy wiersza. Jest to istotnie połowa *druga*, ponieważ poeta wprowadza w niej myśli nowe, w odróżnieniu do pierwszych trzech strof, za czem również postępuje zmiana w formalnej budowie: po trzech regularnych 4-wierszowych zwrotkach następuje w drugiej redakcyi 6-wierszowe zakończenie wiersza, czemu odpowiada w brzmieniu pierwotnem wierszy 14 a mianowicie: 6-wierszowa strofa, oraz dwie 4-wierszowe, odpowiadające trzem pierwszym zwrotkom. Te formalne zmiany wywołała zmiana wewnętrzna, wpływająca z widocznej chęci zatarcia zbyt ściśle ze związkiem filomackim związanego charakteru wiersza. I tak skreślono wiersze następujące:

Tu wspólne koją cierpienia  
Przyjaźń, wesołość i pienia.

Śród pracy, czy śród zabawy

.....  
Niechaj pomni na *Ustacy*.

Dojdziemy, choć przykrą drogą,  
Gdy brat bratu rękę poda,  
Bo nam i Nieba pomogą  
*I Mężtwo! praca i zgoda.*

Zwłaszcza ostatnie wiersze, których brak w redakcyi drugiej, są wielce charakterystyczne: do celów dążenia „ojczyzny, nauki, cnoty,“ dodawał poeta środki, którymi cele owe mogą być osiągnięte: męstwo, pracę i zgodę. Przytem najwyraźniej w tych skreślonych wierszach pobrzmiewa głos, który huraganem zagrzmi w „Odzie do młodości.“ „Dojdziemy, choć przykrą drogą, Gdy brat bratu rękę poda“—przemieni się na zew gromki:

Razem młodzi przyjaciele!..  
*Choć droga stroma i śliska.*

Wiersz powyższy, choć na imienniny Malewskiego przysłany, nie do niego był skierowany, lecz ku pokrzepieniu całego grona,



którego duchowym kierownikiem Mickiewicz nie przestał być, choć z Wilna musiał wyjechać. W charakterze swoim i przeznaczeniu różni się od innych wierszy imieninowych, które o tyle dzisiaj mogą być ciekawe, o ile stanowią przyczynek do charakterystyki wesołej strony życia filomackiego, uzupełniając przez to poważne artykuły organizacyjne Mickiewicza. Co do ewolucji talentu twórcy ballad, trudno wydobyć z tych okolicznościowych, bezpretenzyjonalnych „jambów“ jakieś ważniejsze szczegóły. Jedyną, ważną wiadomością, jakiej dostarczają, to ich charakter w przeważnej części improwizatorski. Zdolność improwizowania nie obudziła się, jak widać, dopiero w bazylińskiej celi. Talent w tym kierunku zabłysnął już na zebraniach towarzyskich Filomatów. Opowiada o tem wyraźnie Czeczot w opisie imienin „Adamowych“ 1818 roku: „Nie pomnę, czy już po drugiego spełnieniu było kielicha; czy więc drugi kielich dodał Adamowi rezonu i większej śmiałości?... ale zda mi się wyższą, miłszą były zapewne od wina pobudką, wewnętrzne uradowanie i czułość, że się Adam odkrył w tej chwili z improwizatorstwem, *bardzo mało znanem na imieninach Tomasza*, po trzech nawet, czy czterech kielichach. Od tego czasu zaczyna się karyera Adamowej improwizacji, która zawsze po dwóch kielichach następuje, obfita najbardziej w tryolety śpiewane, ginące nam po łąkach i lasach, gdzie ich spisać nie było podobna.

Adam wówczas tak *improwizował*: „O, przyjacioły łaskawe! i t. d.“

Sądząc z niewyraźnego określenia Czeczota po raz pierwszy objawił poeta talent improwizatorski na imieninach Zana, poprzedzających „Adamowe.“ Nas doszły jednak pierwsze improwizacje Mickiewicza, wygłoszone w oktawę Bożego Narodzenia 1818 roku (początek stycznia 1819), a pomiędzy nimi i owo ciekawe wspomnienie miłości dziecięcej do—przypuszczalnie—Joasi.

Również w brzmieniu pierwotnem wydano „Cztery toasty pewnego chemika na cześć istot promienistych,“ wiersz powstały, jak wiadomo, pod wpływem schillerowskiej „Punschlied.“ Odmianki są tu znacznie mniejszego znaczenia, aniżeli w wierszu „Hej! radością oczy błysną.“ Są one natury formalnej, np. 7 w. „Witaj więc słoneczna dziatwo“—pierwotnie: „*Witajcież, słoneczna dziatwo!*“, metateza w 10 w. „Ciepła trzeba“—pierwotnie: „*Trzeba ciepła*,“—lub polegają na zmianie w doborze określeń: wiersz 6 „zimno“ — pierwotnie: „*mroźno*,“ 8 w. „światło“ | „ogień“, 9 w. „Lecz cóż po“ | „*Niedość na*,“ 11 w. „Zimny... zimne“ | „*Chłodny... chłodny*,“ 14 w. „silny“ | „*tegi*,“ 15 w. „zbliżyć“ | „*związać*.“

Stosunkowo najwięcej zmienioną została zwrotka ostatnia, w której w miejsce „okrąg wielki“ widniała, przypominająca „Ode do młodości,“ „bryła wielka.“

Podajemy pierwotne brzmienie ostatniej strofy:

A gdy zrośnien w bryłę wielką,  
Przez magnesowaną styczność  
Z lejdejską w dłoni butelką  
Krzyknem: wivat elektryczność!

#### IV. Przekłady Mickiewicza.

O filologii Mickiewicza pisał w niewielu słowach prof. Kaltenbach w „Księdze pamiątkowej“ na cześć Kazimierza Morawskiego,<sup>1)</sup> mówiąc właśnie o filologicznych studyach w okresie wileńsko-kowieńskim przyszłego profesora uniwersytetu w Lozannie. Tam to ogłoszono po raz pierwszy z rękopisu przekład pierwszej ody olimpijskiej Pindara, oraz fragment z pieśni Horacyusza „Nullus argento“ i Owidyusza elegii „Si qua meis“; „Nieznane pisma“ przynoszą, oprócz olimpii Pindara, oba tłumaczenia klasyków łacińskich w całości, nadto „Nullus argento“ w dwóch odmianach. Warto zauważyć, że przekłady te pochodzą już z tego samego okresu, w którym powstawały ballady: tłumaczenia Horacyusza i Owidyusza były czytane na posiedzeniu Filomatów 4 października r. 1819;<sup>2)</sup> w tym to czasie pisał poeta do Czeczota: „Tłumaczę kawałeczki z Wirgilego i Owidiusza, którego teraz *nocturna et diurna manu* wertuję.“

O zamiarze napisania „Metryki Horacyuszowej“ donosi poeta Jeżowskiemu z Kowna 15 października 1819 r., do czego skłania go obowiązkowe nauczanie w szkole kowieńskiej „metafor, metonimii, stylu etc.“ (w tymże liście). A jednocześnie próbuje utworzyć oryginalną tragedję, opartą na osnowie antycznej, p. t. „Demostenes“ (list do Jeżowskiego, 8—9/X 1819 r.). Praca nad tą, niedochowaną, niestety, tragedją, zaprzęta umysł poety czas dłuższy: w liście z kwietnia 1820 r. do tegoż Jeżowskiego, którego wiedzę filologiczną wysoko w kołach filomackich ceniono, skarży się, że

<sup>1)</sup> Stromata in honorem Casimiri Morawski. Cracoviae, MCMVIII, str. 223—231.

<sup>2)</sup> Pietraszkiewiczówna l. c. Przedtem jeszcze, w maju 1818 r., czytano na posiedzeniu Mickiewicza „Ode do Pyrrhusa,“ naśladowaną z Horacego (Carm. III. 20).



„Demostenes“ nie idzie, jak potrzeba.“ O tejże pracy wspomina w liście do Czeczota z 2 sierpnia 1820 r. (z Miłaszewa).

1 listopada 1820 r. donosi z Kowna Pietraszkiewiczowi, że myśli wybrać się do niego „na wakacje“ (zapewne ferie Bożego Narodzenia) z „Demostenesem“; w tymże miesiącu pisze do Jeżowskiego, że „Demostenes“ milczy, a powinienby się dokończyć.“

Wreszcie odę Pindara posyła w liście, adresowanym z Kowna wspólnie do Zana i Jeżowskiego, a pisanym w styczniu 1821 r., przyczem dołącza dla Jeżowskiego następujące objaśnienie: „Posyłam, ile uchwyciłem olimpii Pindarskiej; porównaj, poczyń uwagi, daj zdanie, czy warto dalej tłumaczyć. Zresztą jest to pierwszy rzut pióra. Stanałem, gdyż dalej nie rozumiem, jeśli mam dalej tłumaczyć, Tirsza i komentacyi.“ W tymże zaś liście, łącznie z odą Pindara, posyła poeta „Romantyczność.“

Cała ta „filologia“ Mickiewicza dokonywa się równolegle z tworzeniem utworów romantycznych, nie psując zgoła „romantycznego“ nastroju; wpływa też ona nie jako droga, na której poeta szuka ujęcia dla twórczych natchnień, lecz jako rodzaj praktycznego ćwiczenia, związanego tak ściśle z zawodem nauczyciela literatury klasycznej w szkole kowieńskiej i kandydata do stopnia magistra filozofii, będącego właśnie w trakcie przygotowywania łacińskiej dysertacyi dla prof. Grodka.

Podkreślić przytem należy dobór obu przekładów łacińskich, które były czytane na posiedzeniach filomackich i mają też charakter filomackich wierszy: oda Horacyusza mówi o pogardzie ziemskich bogactw i zaszczytów, elegia Owidyusza wyraża tęsknotę za przyjaciółmi i krajem rodzinnym (doskonale przeto zgadza się z dyspozycją wewnętrzną tęskniącego w Kownie poety).

Odę Horacyuszowską przełożył poeta po raz wtóry, niezadowolony z pierwszej próby; widać to wyraźnie z zestawienia przekładów z oryginałem: pierwszy z nich jest słabszy, w wyrażeniu bledszy, choć miejscami wierniejszy—drugi opracowany jest staranniej, oddaje myśl oryginału dosadniej, niekiedy trafniej, a tam, gdzie od tej myśli swobodniej, aniżeli w pierwszej redakcyi, odbiega, zyskuje na śmiałości i poetyckim polocie. Już znamienity jest sposób, w jaki poeta przerobił pierwszą zwrotkę wiersza; pozwalamy sobie przytoczyć oba brzmienia:

#### 1. DO PRYSKA.

Nie świecą kruszcze w ziemi skwarnem łonie,  
O, nie lubiący pleśni złotej, Pysku!  
Jeśli jej mądre nie udzielią dłonie  
Użytkiem błysku.

## 2. NULLUS ARGENTO.

Srebrne pod ziemią nie świecą się jądra,  
 Ni sztaby tajne w łakomym sklepisku,  
 Chyba dziedzica dłoń użyciem mądra  
 Doda im błysku.

Przedewszystkiem sędzę, że zmianę w tytułacyi wywołała wewnętrzna zmiana zamiaru poety: „Do Pryska”—czego, mówiąc nawiasem, niepodobna uważać za pomyłkę zamiast *Crispa*, lecz za świadomą przemianę imienia, wywołaną koniecznością rymu (do: *błysku*)—zastępują w redakcyi drugiej po prostu początkowe słowa łacińskiej ody: *Nullus argento...* Lecz i w tekście wyrzuca poeta w drugi brzmieniu imię, pod którego adresem kieruje wiersz swój Horacyusz (*inimice lamnae Crispe Salusti*), odstępując w ten sposób od filologicznej wierności tłumaczenia, lecz czyniąc to, jak się zdaje, celem nadania wierszowi charakteru ogólniejszego; zaciera więc to, co oryginałowi nadaje formę poetyckiego listu, zaczem idzie i zmiana w tytułacyi przekładu. Wynikają z tego dalsze zmiany, powodujące, że pierwotne brzmienie przekładu zwrotki pierwszej jest wierniejsze; natomiast druga redakcyja tejże zwrotki śmielsza i poetyczniejsza. W miejsce usuniętego wiersza drugiego: „O, nie lubiący pleśni złotej, Pryska!” (*inimice lamnae Crispe Salusti*)—wstawił poeta wiersz: „Ni sztaby tajne w łakomym sklepisku,” którego w oryginale zgoła niema. Również pierwszy wiersz w tej redakcyi: „Srebrne pod ziemią nie świecą się jądra”—jest aż nazbyt swobodnem przełożeniem: *Nullus argento color est avaris Abdito terris...* I tutaj pierwotny przekład trzyma się znacznie ściślej oryginału, choć trudno nazwać „skwarne łono ziemi” zbyt szczęśliwem oddaniem łacińskiego: *terrae avarae*.

Zakończenie zwrotki: *nisi temperato Splendeat usu* — oddaje pierwszy przekład słabo i niejasno, drugi pięknie, choć zbyt wolno.

Tak więc kosztem wierności przekładu dokonywa się już w pierwszej zwrotce podniesienie polotu poetyckiego, widoczne już z zestawienia obu brzmień; a ciekawy ten proces staje się zupełnie wyraźny, jeżeli przekłady porówna się z oryginałem.

W strofie drugiej spotykamy charakterystyczny wariant w wierszu trzecim:

- |  |  |
|--|--|
| 1. <i>Wabi go</i> spocząć nie lubiące pierze | 2. <i>Wzniesic go</i> spocząć nie lubiące pierze |
| Wieczystej sławy.                            | Wieczystej sławy.                                |



Przez zmianę jednego słowa dokonała się tu, jak widać, zmiana myśli całego zdania. W oryginale brzmią te wiersze: *Illum aget penna metuente solvi Fama superstes. Aget*, przełożone w redakcyi pierwszej przez *wabi*, uczyniło myśl całą niejasną, po części wprost przeciwną intencji oryginału — poprawił to poeta w redakcyi drugiej.

Zwrotka następna, różniąca się w obu brzmieniach w mało ważnych szczegółach, nie oddaje myśli oryginału w sposób właściwy, zwłaszcza w wierszu trzecim: „Niż gdybyś posiadał (1. złączył) krańce oceanu,“ który brzmi w oryginale: *quam si Libyam remotis Gadibus iungas*.

Natomiast korektura dwóch wierszy początkowych w czwartej strofie w drugiej redakcyi wyszła na korzyść wierności tłumaczenia w wierszu pierwszym—na niekorzyść w wierszu drugim:

1. Napitków sobie opuchli nie skąpią, 2. Napitków wzdęci puchliną nie skąpią,  
Pragnienie rośnie i dopóty gore... Łechce pragnienie i pragnienie gore...

Oryginał: *Crescit indulgens sibi dirus hydrops,  
Nec sitim pellit, nisi causa morbi...*

Przełożenie: *hydrops* przez *wzdęci puchliną* jest, jak widać, wierniejsze i trafniej myśl oryginału oddające, aniżeli *opuchli*. Natomiast wiersz następny w drugiej redakcyi jest niezbyt szczęśliwą tautologią.

Dwie ostatnie strofy wiersza stanowią w oryginale formalną i rzeczową całość; przekład nie dochował tej całości, lecz rozbił ją na dwie samoistne formalnie zwrotki, przyczem nie w jednym miejscu odstąpił od oryginału. Zakończenie to przytaczamy w oryginale i obu redakcyach tłumaczenia:

1. Gmin wielbi jasność i szczęście Fraata,  
Lecz pozornego niecierpiąca względu  
Wbrew gminnym zdaniom wytrąca go cnota  
Z szczęśliwych rzędu.  
Temu przystoją w laur więzione włosy  
I z prawem berłem tygryjska powłoka,  
Zwalonych skarbów kto pominął stosy,  
Nie krzywiąc oka.
2. Fraata, wschodnie władającego trony,  
Cnota z poczciwych wystrugała rzędu,  
Gardząc głos ludu pozorem łudzony  
Zwierzchniego względu.

Tego niech zdobią w laur więzione włosy  
 I z berłem prawem Tyryjska powłoka,  
 Bogactw zwalonych kto, mijając stosy,  
 Nie zwróci oka.

Oryginał: *Redditum Cyri solio Phraaten*  
*Dissidens plebi numero beatorum*  
*Eximit Virtus populumque falsis*  
*Dedocet uti,*  
*Vocibus, regnum et diadema tutum*  
*Deferens uni propriamque laurum,*  
*Quisquis ingentis oculo inretorto*  
*Spectat acervos.*

Przemianę Fraata na Fraota w pierwszej redakcyi wywołała, podobnie jak Crispa na Pryska, konieczność rymu (do *cnota*), co też poeta szczęśliwie prostuje, zbliżając się wogóle w wierszu pierwszym drugiej redakcyi do oryginału. Mniej możnaby się pisać na przemianę *wytrąca* na *wystrugała*, na co również wpłynąć musiał wzgląd formalny, konieczność zastąpienia 3-zgłoskowego wyrazu słowem 4-zgłoskowym.

Dwa pierwsze wiersze strofy ostatniej są już zupełnie wolną przeróbką oryginału.

Pod względem formalnym cały przekład, dokonany wierszem 11-zgłoskowym, jest udatną próbą zachowania budowy oryginału. Pozatem w redakcyi drugiej jest staranie rytmicznego wygładzenia, widoczne głównie w szczęśliwych metatezach, np.: 1) większy król, 2) król większy; 1) z prawem berłem, 2) z berłem prawem; 1) zwalonych skarbów, 2) bogactw zwalonych.

Staranność ta świadczy bądź co bądź o wyrobionem na wzorach klasycznych poczuciu rytmiki.

Wogólności stwierdzić można, że ta, jedna z najwcześniejszych próbek Mickiewiczowskiego tłumaczenia, jest wolnym, nie zawsze szczęśliwie przeprowadzonym przekładem ody Horacyusza. Odnosnie zaś do obu redakcyj tego przekładu można na ogół powtórzyć to, co powiedziano o pierwszej strofie: redakcyja druga, tracąc na wierności, zyskuje na formalnem i rzeczowem udoskonaleniu wiersza, jest więc ciekawym przyczynkiem do poznania ewolucyi poetyckiego talentu w dobie najwcześniejszej.

Przekład elegii Owidyusza „*Si qua meis...*“ (Tristium liber, IV, 1) obejmuje zaledwo 14 wierszy początkowych i może być uznany za bardziej udatny, aniżeli tłumaczenie Horacego. Zwrot do czytelnika (*excusata... lector... habe...*), zastąpił tłumacz zwro-



tem do przyjaciół (darujcie błędom, przyjaciele), mając na uwadze otoczenie, wśród którego wiersz był czytany. Przytem i to jest raczej przekład, aniżeli tłumaczenie, choć tak znacznych odbieżeń od oryginału, jak w przekładzie Horacyusza, nie spotykamy. W tych zaś miejscach, gdzie tłumacz postępuje sobie swobodniej, nie zacierając myśli, lecz, rzekłbym nawet, oddaje ją nieraz barwniej i plastyczniej. I tak: *Mens intenta suis ne foret usque malis*—przekłada: Pieśń dźwiga myśli w gorzkiej grającej się toni.

W dalszym ciągu wprowadza *flisa*, nadając wierszowi jakby swojski charakter i ożywiając obraz przez wprowadzenie personifikacji:

Gdy flisa tratwy z nurtem klóćce się nagną,  
Pieje flis, stopy w lipkie zatapiając bagno—

co odpowiada w oryginale następującym wierszom:

*Cantat et innitens limosae pronus arenae,  
Adverso tardam qui trahit amne ratem.*

Słowa: *Fessus... incubuit baculo, saxove resedit Pastor*—przełożono: ...„na kopie wsparł się lub usiadł na darń spocony pasterz.“ Epitet „spocony“ oddaje obraz plastyczniej; natomiast mniej szczęśliwie przełożono *baculo*—na kopie. Jeszcze niezgrabniej wypadło zakończenie tego okresu: (Spocony pasterz) *stomkę* nuci swej owczarni,—w oryginale: *arundineo carmine mulcet oves*. Konieczne rozwinięcie metonimicznego określenia „t. zcinnej pieśni,“ nie mogłoby się pomieścić w tym samym wierszu—widocznie zaś chodzi tłumaczowi o zachowanie tej samej liczby wierszy, skoro woli w przekładzie zachować metonimię *stomkę*, która jednak czyni tekst zgoła niezrozumiałym, aniżeli rozwinąć myśl: pieśń grana na piszczałce z trzciny (*ze stomy*—mniej odpowiednie).

Zainteresowanie się poety Pindarem obudziły—jak i całą „filologię“—wykłady Grodka o liryku greckim. Z wykładów tych wyrosło dzieło p. t. „Initia Historiae Graecorum litterariae,“ którego drugie wydanie pojawiło się w 1821 r. W 1824 r. wydaje w Wilnie Jan Wiernikowski, Filaret i uczeń Grodka, tłumaczenie „niektórych celniejszych ód Pindara,“ w przedmowie zaś powołuje się na wzmiankowane „nieocenione dzieło drogiego sercom miłośników starożytnej nauki Profesora Ernesta Gottfrieda Grodeck“ (str. 6). Do rozbudzenia zajęcia się Pindarem w duszy Mickiewicza mogła wystarczyć charakterystyka greckiego pieśniarza, jaką zapewne z katedry uniwersyteckiej słyszał, a następnie i w dziele Grodka czytał: *Ingenium huius poetae, quem novem lyricorum*

*longe principem vocat Quintilianus, prope divinum, magni et imperterriti animi indolem, phantasmatum vim et novitatem, sententiarum gravitatem, poetici denique sermonis magnificentiam, copiam atque audaciam, abunde testantur carmina eius, quae supersunt, nullis comparanda* (str. 63). <sup>1)</sup>

Ogłoszony obecnie początek przekładu ody olimpijskiej na cześć Hierona Syrakuzańczyka obejmuje 29 wierszy oryginału, rozłożonych w przekładzie na 41 wierszy; jest to mianowicie tłumaczenie strofy, antistrofy i epodu pierwszego (α). Poeta nie kusi się o zachowanie postaci formalnej oryginału, bodaj w tym stopniu, jak to czyni Wiernikowski, który zresztą tej ody nie tłumaczył; nawet oryginalne tytułacye części ody (strofa, antistrofa, epodos) zastępuje przez: chór I, chór II i obadwa chóry. Przekład o tak znacznie zwiększonej liczbie wierszy jest rymowany. Rymowanie jednak dość niedbałe, zwłaszcza w krzyżujących się wierszach, często zbyt daleko od siebie odbiegających. Natomiast w oddaniu myśli oryginału widoczna pracowita staranność.

Tłumacz stara się, mniej lub więcej szczęśliwie, dorównać lapidarności oryginału a zwiększoną liczbę wierszy trzeba położyć w znacznej mierze na karb obrania krótkiej 8-zgłoskowej budowy wiersza. Z tego dążenia do lapidarności wynikają skrócone a oryginalne formacye syntaktyczne, np.:

Nigdzie ty jaśniejszej słońca  
Dniem innej nie patrzaj gwiazdy  
W przepaścistym niebios łonie.

Niezwykłe to użycie dopełniacza porównawczego oraz narzędnika na określenie czasu odpowiada w oryginale następującym wierszom:

Μηκέτ ἀελίον σκόπει  
ἄλλο θαλπνότερον ἐν ἀμέρα φαεινὸν ἄστρον ἐρήμας δι' αἰθέρος

Podobnie eliptyczny skrót w epodzie: Blask jemu w dalekiej stronie—odpowiada w oryginale: λάμπει δὲ αἱ κλέος.

Kiedyndziej wiersze:

δρέπων μὲν κορυφὰς ἀρετῶν ἄπο παρᾶν  
ἀγλατίζεται δὲ καὶ  
μουσικὰς ἐν ᾠτῶν...

<sup>1)</sup> Cytuje również Wiernikowski l. c. w przypisku, str. 7.



oddano pięknie, choć wolno, zapomocą określeń metaforycznych:

On wszystkich cnót blaskiem płonie,  
Muzyków on kwiat i czoło...

Wiersze: (Ale weź bardon ze ściany)  
I piej na doryckiej stronie,  
Jeśli ci *pizańskie łany*  
Myśl do słodkich dumań bodą  
I *konia wygrańca* chluba...

są roz biciem jedno ści wiersza greckiego, a więc czemś przeciwnem lapidarności wyrażenia. Zdaje się, że z tej lapidarności zrezygnował tłumacz skutkiem wymagań rymu do poprzedniego—*ściany* (łany), oraz skutkiem zamiaru łatwo się tłumaczącego spolszczenia *Φερώνικος*, które jednak niezbyt się udało, gdyż *konia wygrańca* sam tłumacz uznał za właściwe objaśnić w przypisku nazwą grecką. W oryginale podkreślone słowa tworzą jednolite zdanie:

...ἔι τι τοι Πίσας τε καὶ Φερώνικου χάρις  
νόον ὄπο γλυκυτάταις ἔδηκε φροντίσιν

Zupełnie swobodnie przełożono wiersze następujące, które zamykają antistrofę (koń wygraniec):

Co ponad Alfeju wodą  
Lotnem ciałem u rydwana  
Zwycięstwo zgonił dla Pana.

Oryginał: ὅτε παρ' Ἀλφεῖο σὺτο δέμας  
ἀκέντητον ἐν δρόμοισι παρέχων,  
κράτει δὲ προσέμιξε δεσπότηαν.

Zgoła nieszczęśliwie wypadł przekład wierszy o Pelopie w epodzie. Miejsce to, domagające się zresztą znajomości frygijskiego mytu o ulubieńcu Posejdona, brzmi w oryginale:

τοῦ (sc. Πέλοπος) μεγασθενὲς ἐράσσατο γαῖαχος  
Ποσειδᾶν, ἐπεὶ νιν καθαροῦ λέβητος ἔξελε Κλωθῶ,  
ἐλέφαντι φαίδιμον ὦμον κεκαδμένον.

W przekładzie zupełnie niezrozumiale:

Którego ty, ziemio władzy,  
Ukochałeś Possejdonie,  
Gdy młodzieńca nad kadź złotą,  
Ująwszy za ramię słońce,  
Jasnego dobyła Kloto.

Ustęp ten stanie się dopiero jasny, jeżeli dodamy, że „ramię słońce,“ jest nieszczególnie sformowaną przydawką dla rymu z *Possejdonie*—zamiast *słoniowe, z kości słońciowej*. Bez tego objaśnienia zdanie całe wygląda na absurd. Również uważniejszej lektury, z powodu szczególnego szyku zdania, domaga się zakończenie epodu:

O niesłychane cuda,  
Tak śmiertelnej mowy treści  
Nad prawdą umie obłuda  
Kraśnemi oplątać wieści.

Wreszcie w złożonych epitetach zachowuje Mickiewicz postać pierwotną, na wzór Trembeckiego, np.: *rumakoluba* króla =  $\iota\pi\pi\omicron\chi\acute{\alpha}\rho\mu\alpha\nu\beta\alpha\sigma\iota\lambda\eta\alpha$ ; *ziemiowładcy* Possejdonie =  $\gamma\alpha\iota\acute{\alpha}\omicron\chi\omicron\varsigma\ \Pi\omicron\sigma\epsilon\iota\delta\acute{\omega}\nu$ ; również, choć rzadziej, przez opisanie, np.:  $\acute{\epsilon}\nu\ \pi\omicron\lambda\upsilon\mu\acute{\alpha}\lambda\omega\ \Sigma\iota\kappa\epsilon\lambda\acute{\alpha}$  = Syccylii *możnej w stada*.

Przekład Pindara im bardziej okazywał się trudny, tem lepszą stawał się szkołą nie tylko dla pogłębienia „filologii“ Mickiewicza, lecz zarazem jako praktyczne ćwiczenie w opanowaniu formy przez twórcę ballad. Pod tym względem poranie się z trudnościami technicznymi w oddaniu greckiej strofy, widoczne z zestawienia przekładu z oryginałem, musiało przynieść niemało korzyści. Nie wiemy, w jakim stopniu zachwyił się Mickiewicz pięknnością pieśni Pindara; w każdym razie musiał rozumieć praktyczne znaczenie tego rodzaju pracy. Choć równocześnie zajmowały poetę oryginalne koncepcye, pracy nad przekładem Pindara nie zamierzał zaniechać. Jeżowskiego objaśnia, że posyła „ile uchwycił Olimpii Pindarskiej,“ tłumaczy, że „jest to pierwszy rzut pióra,“ zamierza przekład prowadzić dalej, lecz dalej „nie doskonale rzecz widzi, a zatem porywać się do tłumaczenia nie może“—prosi więc o poczynienie uwag nad posłanym fragmentem i przysłanie komentarzy (Thierscha,<sup>1)</sup> którymi wówczas powszechnie się posługiwano, a na które również powołuje się Wiernikowski.<sup>2)</sup>

Obok przekładów „klasycznych,“ przynoszą „Nieznane pisma“ tłumaczenia z okresu „germanomanii.“ Są to dwa przekłady

<sup>1)</sup> Fr. Thiersch: *Πινδαρου τα Σωζόμενα* — Pindarus Werke, Urschrift, Uebersetzung u. Erläuterungen. Leipzig, 1820. Bd. I/II.

<sup>2)</sup> L. c., str. 27. Poeta, mówiąc w wierszu „W imionniku J. Wiernikowskiego,“ „Żegnaj mi Parnaski bracie,“ ma niewątpliwie na myśli wspólną obu pracę nad przekładem Pindara.



z Schillera: całkiem nieznaną dotąd wierszyk „Światło i ciepło,“ przesłany Jeżowskiemu w liście z czerwca 1820 r., oraz „Amalia,“ wydrukowany potem w zmienionej formie w IV części „Dziadów“ (daty pierwotnego przekładu nie podano), nadto przekład z Gleima p. t. „Nauka.“ Czas powstania tego ostatniego przekładu (w autografie brak daty) dałby się mniej więcej określić, jeżeli przyjmiemy, że wiersz „Cztery toasty“ faktycznie powstał w 1822 roku, jak poucza data pod tym wierszem, umieszczona w wydaniu zbiorowym 1844 r., dokonaniem pod kontrolą poety. „Nauka“ bowiem spisana jest na tej samej karcie, na której również własnoręcznie wpisał „Cztery toasty pewnego chemika,“ tamże również ręką Czeczota przepisano ostatnie wiersze „Pani Twardowskiej.“ Z trzech więc tych wierszy najwcześniejszą jest, już przez Czeczota przepisana, „Pani Twardowska“ (powstała zapewne pod koniec 1821 r.), „Toasty“ zaś i „Naukę“ należałoby odnieść do 1822 r., zaczem i przekład z Gleima ogłosić po przekładzie z Pindara, dokonany w styczniu 1821 r. Gruntowniejsze studia nad językiem i literaturą niemiecką rozpoczął poeta jesienią 1819 r., jak sądzić można z listu do Czeczota (koniec listopada 1819 r.), w którym czytamy: „W języku niemieckim bardzo wiele od przyjazdu postąpiłem i za pomocą dykcyonarza (fatalnego) czytam dosyć prędko.“ To zajęcie się literaturą niemiecką było wynikiem ogólnej przemiany pojęć w literaturze, na którą w pierwszej linii wpłynęła książka pani de Staël „O Niemczech“ wydana w 1813 r., W szczególności zaś na Mickiewicza i skupiające się około niego grono poetów-Filomatów oddziałać musiała w 1816 r. ogłoszona rozprawa Kaulfussa, rektora gimnazjum poznańskiego i członka warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, p. t.: „Dlaczego język i literatura niemiecka zdolniejszymi są do ukształcenia rozumu i serca, niż język i literatura francuska“; z autorem bowiem tej rozprawy wiązały widać Filomatów jakieś bliższe stosunki, skoro w liście do Jeżowskiego (luty 1821 r.) radzi Mickiewicz posłać Kaulfussowi prenumeratę Jeżowskiego na tłumaczenie Horacyusza wraz z listem („Do Kaulfussa, Poznań, może być także bilety i list?“).

Na dwa miesiące przed „Światłem i ciepłem,“ 8 kwietnia, jest już „skończone tłumaczenie baladki Szyllera *Handsouch*,“ którą Malewski odczytuje na posiedzeniu Filomatów 8 maja. Pośyłając w czerwcu przekład „Licht und Wärme“ Jeżowskiemu, dołącza poeta uwagi następujące: „Dziś rano, leżąc w łóżku, tłumaczyłem Szyllera wierszyk i tu dołączam. NB. Szyller jest od dawna jedyną i najniłszą lekturą. O tragedyi *Reiber* nie umiem

pisać. Żadna ani zrobiła, ani robi na mnie tyle wrażenia. Trzeba tam ciągle być to w niebie, to w piekle; nie masz środka. A szczególne obrazy, myśli, sposób tłumaczenia się. Już boję się wspominać o Demostenesie.“ Załączywszy przekład, zapytuje: „Napisz do mnie, czyś zrozumiał myśl piękną autora w tem tłumaczeniu. Jużbym i tak wiele wygrał; bo też Szyllera tłumaczenie jest niezmiernie trudne. Zabieram się do boskiego wierszyka *Resignation*, ale nie wiem, czy co dokażę.“

Myśl „Światła i ciepła“ musiała się pocie wydać szczególnie piękną, bo doskonale dostosowywała się do stanu serca poety, do wewnętrznej ducha jego dyspozycji. Ideą wiersza: przeciwstawienie chłodnym blaskom prawdy, gorącego waru uczucia. Myśl tę określi niebawem poeta własnymi słowy: *Czucie i wiara mówi silniej do mnie, niż mędrca szkiełko i oko*, a przytem wskaże wyraźnie Schillera, jako źródło tej idei. Tłumaczenie jest na ogół wierne: formalnie upodobnia się do oryginału, oddając myśl w trzech sześciowierszowych strofach, złożonych na przemiany to z dłuższych (11 zgłoskowych — w oryginale 8 zgłosek), to z krótszych wierszy (8 zgłoskowych — w oryginale 7 zgłosek), przyczem i rymuje identycznie (2 pary krzyżujące się, ostatnia para parzysta). Pod względem rzeczowym ważniejszych odstępień od oryginału nie znajdujemy i chętnie możemy przyznać pocie, że przekładem tym „wiele wygrał,“ że przedewszystkiem „myśl piękną autora“ zrozumiał dokładnie i oddał wiernie.

Nie wiemy, czy i o ile dokonał poeta przekładu „boskiej“ *Rezygnacji*. W każdym razie napotkał tam inie *Laury* („Gib mir das Weib, so teuer deinem Herzen, Gib deine Laura mir,“ wiersz 36-7), którą wprowadza do sonetu „Przypomnienie.“ Fakt ten zdaje się potwierdzać przypuszczenie Chmielowskiego (Ad. Mickiewicz, I, 37-8), że „inię Laura dopiero za pośrednictwem Schillera przeszło do sonetu „Przypomnienie,“ a zarazem mógłby wskazywać, że sonet Mickiewicza powstał po czerwcu, najprędzej pod koniec wakacyj 1820 r., jako wspomnienie epizodu wakacyjnego a zarazem „na pożegnanie“ („Łza ze łzą i z westchnieniem miesza się westchnienie!“).

Gdybyśmy się na to przypuszczenie zgodzili, to przekład „Amalii,“ spisany na tej samej kartce, na której również Czeczot odpisał a następnie Mickiewicz własnoręcznie poprawił sonet „Przypomnienie,“ pochodziłby również gdzieś z początku jesieni 1820 r. Być może, że oba wiersze miały być wysłane Maryli bezpośrednio po rozstaniu z nią. Wszak w charakterze są oba ogromnie zbliżone do siebie. „Przypomnienie“ mówi o scenie, która się



rozegrała w miejscu zwykłego spotkania, bodaj czy nie tam, gdzie Maryla „była raniona gałęzią“ („Chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata, strumień, co z miłym szmerem po łące się kręci“), scenie, która się zakończyła łzą i westchnieniem, więc bodaj czy nie jest przypomnieniem ostatniego, pożegnalnego spotkania (przed zamążpójściem Maryli), które odbyło się „o 12 wieczór w tem miejscu“<sup>1)</sup> („A księżyc, z pod bladego wyjrzawszy obłoku, śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie, boskiego wdziękom twoim przydając uroku“). „Amalia“ jest także jakby tej sceny „przypomnieniem“: w pierwszych zwrotkach opiewa piękność kochanki i żar miłostnego uścisku, lecz kończy rozpaczliwie:

Niemasz jej! daremnie, ach! daremnie  
 Myślą ścigam za pamiątek cieniem.  
 Niemasz jej! i wszelka rozkosz ciemnie,  
 Jako lekki dym uszła z westchnieniem.

(Por.: „Łza ze łzą i z westchnieniem miesza się westchnienie.“)

Scena owa, której odbicie widzę w „Przypomnieniu“, przeszła do „Dziadów“, jak wszedł tam i wiersz o „Amalii.“ Więć chyba wolno postawić hipotezę, że oba wiersze powstały pod koniec sierpnia lub z początkiem września 1820 r. (w sierpniu opuścił poeta Tuhanowicze, udając się do Wilna).<sup>2)</sup>

Pomiędzy oryginałem a przekładem jest jedna zasadnicza różnica, którą wprowadził poeta stosownie do własnego położenia i nastroju serca. Cały bowiem wiersz w oryginale deklamuje Amalia pod adresem kochanka, który odszedł i nie wróci:

Er ist hin—vergebens, ach vergebens  
 Stölnet ihm der bange Scufzer nach!  
 Er ist hin, und alle Luft des Lebens  
 Wimmert hin in ein verlornes Ach!

Poeta przestawił role, zmieniając wiersz Amalii do kochanka na wiersz kochanka do Amalii, co doskonale odpowiadało stanowi jego własnego uczucia i tem bardziej podtrzymuje nasze przypuszczenie co do czasu napisania przekładu. Bliskie pokre-

<sup>1)</sup> Wł. Mickiewicz, op. cz. I, str. 63.

<sup>2)</sup> Przypuszczenie co do czasu powstania sonetu „Przypomnienie“ w 1820 r. osłabia wiadomość dochowana w niewydanych papierach filomackich, że wiersz pod takim tytułem czytano na posiedzeniu w dn. 19 maja 1818 r. (Kallenbach: „Lata uniwersyteckie...“).

wieństwo ideowe „Amalii“ i „Przypomnienia“ wskazują dalsze koleje, jakim tłumaczenie Schillera ulegało, zanim w zmienionej postaci pojawiło się w IV części „Dziadów.“ Zrazu figurował wierszyk Schillera w „Dziadach“ w niezmienionej, jak się zdaje, formie. W liście bowiem do Czeczota z 16 marca 1823 r. czytamy: „*Amalią tak odmień*: Strofa druga:

Jej całunek rajskie zachwycenie,  
Jako ogień z ogniem, jak dwa głosy  
Arf anielskie zgodne leją pienie,  
Harmonią czarując niebiosy.

Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ścisła,  
Lica, usta łączą się, drżą, palą,  
Dusza wionie w duszę, niebo, ziemia pryska  
Roztopioną dokoła nas falą.

Drugą strofę można odmienić, lub dawną zostawić, trzecia koniecznie odmienioną być musi, chociaż zawsze niedoskonała. Wolałbym całą tę pieśń wyrzucić.“

Jeżeli zestawimy wariant ten, zwłaszcza drugą strofę, z pierwotną jej postacią, oraz oba jej brzmienia z oryginałem, obaczymy znaczny postęp w wierności przekładu:

Pierwsza redakcyja:

Pocałunek jej, ach! nektar boski!	Seine Küsse— <i>paradiesisch Fühlen!</i>
Jako płomień gubi się w płomieniu,	Wie zwei Flammen sich ergreifen, wie
Jak dwóch fletów żeniących się głoski	<i>Harfentöne</i> in einander spielen
Ku rajskiemu nastrojone pieniu.	In der himmelvollen <i>Harmonic.</i>

Toż samo, choć w mniejszym stopniu, da się stwierdzić o waryancie strofy trzeciej, z którego też poeta nie jest zadowolony („zawsze niedoskonała“).

Ciekawszy jest następny list do Czeczota (z 17 marca), w którym poeta obiecuje nadesłać wiersz Schillera w postaci ostatecznej: „W *Dziadach* czwartych przyszlę trochę odmienioną *Amalią: najpiękniejsza jak Aniołek* etc. etc.“ Jednakże i z tej odmiany nie jest poeta zadowolony, dodając: „Podaję do twego rozwiązania, czy nie lepiej wyrzucić całkiem to boskie miejsce Szyllera, niedobrze wytłómaczone, bo i poprawy nie robią go doskonałem; a *raczej powtórzyć tu sonnet Laura, poprawniejszy i delikatniejszy.*“ Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że słowa podkreślone odnoszą się do sonetu „Przypomnienie,“ wiersza o pokrewnej, jak zaznaczyliśmy, treści, do którego jedynie odnosić się może określenie: *sonnet Laura.* „Amalia“ w „Dziadach“ po-



jawia się z opuszczeniem zwrotki ostatniej. Dwie pierwsze zwrotki nie różnią się wiele od pierwszego brzmienia, z wyjątkiem zmiany wiersza ósmego, zbliżającego się do tegoż wiersza w waryancie:

Harmonijnem ożenione brzmieniem.

Natomiast strofa trzecia równa się w zupełności tejże strofie w liście do Czeczota z 16 marca.

„Nauka“ jest przekładem wierszyka Jana Wilhelma Ludwika Gleima p. t. „Die Schule“<sup>1)</sup>. W porównaniu z oryginałem jest przekład o dwa wiersze krótszy (liczy 12 wierszy), skutkiem opuszczenia 3 i 4 wiersza: *Feuer, Wasser, Luft und Erde, Alles kann Euch unterrichten*. Przekład jest wolny. Przeciwwstawienie w wierszu trzecim: (uczy) „Lew mocy, a lis obrotów“ — jest pomysłem tłumacza; w oryginale wiersz ten opiewa: „Löwen lehren tapfer streiten.“ Przeciwwstawienie to jest tem ciekawsze, że mniej więcej powtórzy się jako motto w „Konradzie Wallenrodzie“: „Dovete adunque sapere come sono due generazioni da combattere — *bisogna essere volpe e leone*.“ Wiersz: „Bobry, jak budować chatki“ jest przesunięty o dwa wiersze dalej. Do zakończenia wprowadzona *Karusia*, której oczywiście niema w oryginale (*Lernt von mir und meinem Mädchen*), a którą poeta uczynił był bohaterką „Romantyczności“, jednakże już w ostatecznej formie tego wiersza (w miejsce dawnej *Elżusi*).

Literatura niemiecka, zwłaszcza Schiller, nie przestawała być długi czas najulubieńszą lekturą Mickiewicza. W październiku 1820 r. pisze poeta do Jeżowskiego: „Przeczytałem ostatni tom najmilszego Szyllera. Co za Marya Stuart! ale i wszystkie przdziwne. Zmiłujcie się! cokolwiek niemieckiego, bo już niemam co czytać w lepszych chwilach.“ W tymże liście żąda przysłania: „Wertera“, Klopsztoka „Fausta“ i „Walerie“ (pani Krüdenner). Jest to pierwsza, chronologicznie ustalona wiadomość o zapoznaniu się Mickiewicza z „Werterem“, słynnym romansem baronowej Krüdenner, oraz „Faustem“ Goethego, utworami, których wpływ niedługo tak wyraźnie miał się zaznaczyć w „Dziadach.“ Żądaniu bowiem poety, co do nadesłania wymienionych utworów, rychło uczyniono zadość: z listu do Jeżowskiego z końca listopada t. r. dowiadujemy się już o lekturze „Messyady.“ O Goethem zaś, który z kolei, choć nigdy w tym stopniu, zastąpił Schillera, sły-

<sup>1)</sup> Gleim's sämtliche Werke — erste Originalausgabe... ed. W. Körte. Halberstadt, 1811, I. Bd., str. 18.

szymy w liście do Czeczota z końca maja 1821 r.: „Szkoda, że nie czytasz Göthego; jest tam jeden słodziuchny anakreontyk, przednio wymyślony: Przedaż ptaków miłości.“

8 października 1822 r. prosi poeta Zana o kupienie „Oberona“ Wielanda, zaś w znanym liście do Malewskiego z 22 października lub listopada 1822 r. zapytuje: „Może niedrogie w Berlinie dzieła Göthego, jeśli niżej dziesięciu rubli, kup i przyslij...; jeśli zaś droższe, kup choć *Gedichte* we trzech tomikach. Nie czytałem dotąd jednego tylko z dzieł Göthego: *Reinecke Fuchs* i niemam skąd dostać.“ A choć list następny do Malewskiego donosił, że po „germanomanii nastąpiła brytanomania,“ nie oznacza to jednak wcale zupełnego zaniedbania lektury „germańskiej,“ skoro w wydanym liście do Jeżowskiego z 1 lutego 1823 r. donosi poeta, obok wzmianki o lekturze tragedji Sofoklesa, o „najwięcej go interesującej spowiedzi Göthego,“ dodając następującą uwagę: „NB. Göthe znał człowieka, który, znudzony jednostajnością, życzył, aby słońce coraz z innej strony i w innych wschodziło kolorach.“

Wreszcie dla uzupełnienia dodać należy, że zewnętrznym dowodem wpływu umiłowanej w młodości lektury Schillera jest—obok „idealizmu“ Schillerowskiego, przepajającego wiersze filareckie, w szczególności „Odę do młodości,“ obok pokrewieństwa koncepcyj w „Toastach“ („Punschlied“), „Przypomnieniu“ i „Romanetyczności,“ o czem niżej, oraz w wierszu „Do \* w stambuchu“<sup>1)</sup>—jest jeszcze tłumaczenie ustępu z „Don Carlosa,“ pochodzące prawdopodobnie z 1821 r., jak wskazuje wiersz „Do \*,“ napisany w lipcu t. r., a czerpiący ideę ze sceny 2 aktu I tragedji Schillera. „Światło i ciepło“ i „Amalia,“ niewątpliwie wcześniejsze, były niejako przygotowaniem do tej obszerniejszej, choć ledwie rozpoczętej pracy.

D-R MARYAN SZYJKOWSKI.

<sup>1)</sup> Dzieła... op. cz. I, str. 281.



# EDWARD ROD.

Niespodzianie i przedwcześnie zmarły w styczniu roku bieżącego powieściopisarz Edward Rod zajął w piśmiennictwie francuskim stanowisko wybitne i odrębne. Cechy szczególne i charakter jego twórczości, poglądy, jakie rozwija, i sposób ich wyrażenia, nie pozwalają zaliczyć ściśle jego utworów do żadnej ze znanych kategorii, które przyzwyczajono się rozróżniać we francuskiej literaturze powieściowej ostatniego dwudziestopięciolecia. Z wielu względów zbliża się Rod niewątpliwie do kierunku psychologicznego, nadanego powieści nowoczesnej przez Pawła Bourget, ale od przedstawicieli tegoż różni się on wszakże zasadniczo tem, iż stanów ducha, które go w zjawiskach życiowych wyłącznie zajmują, nie poddaje obiektywnej analizie w celu postawienia ich dyagnozy, lecz stara się jedynie odsłonić i ukazać te najtajniejsze uczucia, myśli i dążenia, najgłębiej ukryte i nie ujawniające się nigdy lub wyjątkowo, które stanowią prawdziwą istotę wewnętrzną człowieka — jego duszę. Jednocześnie zastanawiają go również zagadnienia: czem jest właściwie to życie, na które jesteśmy skazani? Czem szczęście — cel niedościgły, do którego każdy dąży, pomimo doświadczenia drugich i własnych zawodów? Skąd pochodzi pojęcie obowiązku, tak często temu ułudnemu szczęściu zagradzające drogę? Czy można, i w jaki sposób, pogodzić ideał szczęścia z ideałem obowiązku? Oto, co znajdujemy we wszystkich pismach Roda i co stanowi właściwą podstawę ich treści.

Ale karierę swą literacką rozpoczął Rod w czasie, gdy naturalizm, choć już na schyłku, panował jeszcze prawie wyłącznie i dlatego też pierwsze jego utwory powieściowe, jak „Palmyre Veulard,” „Côte à Côte“ i parę innych, mają wszystkie cechy tej

szkoły. To jednak nie trwało długo. Rod spostrzegł się wkrótce, że skłonności jego ciągną go w inną stronę, do czego dopomogły mu poczynające wówczas objawiać się tendencje filozoficzno-spirytualistyczne. Pod ich to wpływem zwrócono się od drobiazgowej obserwacji faktów, w znaczeniu wyłącznie zewnętrznym i mechanicznym, do poszukiwania ideałów poza bezpośrednią rzeczywistością życia materyjalnego.

Wpływy te podziały tem silniej na Roda, że odpowiadały w zupełności jego naturze i potrzebom jego ducha, które, w formułkach naturalizmu nie mogły znaleźć zadowolenia. Jednak i później Rod zachował z realizmu zmysł konkretnej rzeczywistości, który uchronił go nader szczęśliwie od zgubienia się w abstrakcyi. Poznawszy wreszcie swą prawdziwą indywidualność, postarał się dać jej wyraz w romansie wewnętrznym, z którego byłyby wyłączone wraz z upiększeniami sztucznymi i zbyt zbytnimi opisami, także szczegóły i okoliczności, stanowiące zwykle osnowę powieści, a równie charaktery zanadto osobiste, któreby odbierały postaciom cechy ogólniejsze. W tym celu, zamiast szukać wzorów w obserwacji świata otaczającego, zwrócił się po nie wewnątrz samego siebie, bo gdzie znaleźć można najdostępniejsze do badania odbicie uczuć wszechludzkich, jeżeli nie w sobie samym? Według jego zasady trzeba „patrzeć w siebie nie po to, by siebie poznać i miłować, ale, aby poznać i umiłować drugich; szukać w mikrokosmie własnego serca gry serca ludzkiego, aby stąd wyszedłszy, pójść dalej poza siebie, bo w nas, w istocie, świat się odzwierciedla. Traci się czas, gdy się liczy uderzenia własnego serca, ale nie traci się go, gdy się słucha ich odbicia w nieskończonym szeregu serc innych.“

Metodę swą nazwał autor „Intuitywizmem.“ Intuitywizm nie wytworzył szkoły w ściślejszem znaczeniu, choć nie przeszedł bez pewnego wpływu, który, w nieco odmiennej postaci, dziś jeszcze da się odnaleźć u niejednego z młodszych powieściopisarzy francuskich, ale najlepsze rezultaty dał w twórczości głębokiej i oryginalnej samego Roda. Twórczość ta ma jeszcze jedną niezmiernie wybitną cechę znamioną — pesymizm, pogrążający wszystkie powieści Roda w atmosferę smutku i melancholii i dochodzący w niektórych do rozpaczliwości i moralnego nihilizmu. Do tych ostatnich należy zwłaszcza pierwszy jego utwór w którym objawił się rzeczywisty charakter jego oryginalności — „La Course à la Mort.“

Bohater tej powieści kocha z wzajemnością pełną wdzięku, młodą panienkę, Cecylię, ale jest on do tego stopnia przesubteli-



zowany, iż stał się istotą sztuczną, niezdolną do życia i szczęścia. Ucieka więc przed tą miłością, szuka zapomnienia w podrózach, które go nudzą i męczą, wreszcie powraca, by się dowiedzieć o śmierci Cecylii. Wtedy dopiero rozumie, że szczęście, którego szukał daleko i które własnowolnie utracił na zawsze, było tu, przy niej, w prostocie szczerzej i silnej miłości. Odtąd, w życiu bez uroku i bez nadziei, pragnie on tylko zbliżyć się choć trochę do ideału pół-świadomej prostoty. I oto, do czego prowadzi na-  
dużycie myśli!

Bo, gdy się głębiej zastanowić, życie jest nudne i bezcelowe. Niema celu, najwięcej pożądanego, któregooby osiągnięcie warte było poświęconych mu trudów, jak niema nagrody, któraby je mogła opłacić. Sława jest próżnym dźwiękiem, który zginać musi wraz z mową ludzką. Szczęście, to ułudna chimera, której nikt nie uchwycił, odkąd ludzkość, od początku swego istnienia, napełnia przestrzeń bolesnym jękiem nieustającej skargi na cierpienia życia, bo zło jest jedynie rzeczywiste i prawdziwe, gdy dobro jest tylko oderwanem pojęciem ludzkiego umysłu. I na to niema żadnego środka! W miarę rzekomego postępu cierpienia powiększają się. Im więcej duch ludzki się rozwija, im bardziej staje się złożonym i udoskonalonym, tem jest dostępniejszym dla większej sumy różnorodniejszych cierpień. Stąd też smutek i niepokój, które trawią człowieka, nie pochodzą z przyczyn przypadkowych i przemijających, lecz mają swe źródło w samym życiu, od którego są nieodłączne.

To są myśli, które się wynosi z tej powieści. Pesymizm Roda nie jest egoistyczny. „Czem są dla nas nasze biedne cierpienia! — mówi autor. — To płacz wszystkich wzbiera w naszych piersiach; domyślamy się bólów ukrytych i nieświadomych siebie, które w nas wywołują wewnętrzne drżenie. Serca nasze są pełne uczuć nienaszych, bo wyczytaliśmy zbyt wiele tajemnic w oczach smutnych. A chcielibyśmy wyczytać ich więcej jeszcze, pragnęlibyśmy przeniknąć wszystkie dusze, aby podzielać ich udręczenia, utożsamić się z tymi nieznanymi braćmi, których nieszczęście, nie będąc naszym, jest jednak naszym udziałem.“

Rod posiada ogromną zdolność cierpienia, a nawet jego szczególną potrzebę, jeżeli nie zadowolniając się własnem i tem, którego tyle widzimy wkoło siebie, pragnie jeszcze odgadnąć i wydobyć na jaw nawet takie cierpienia, które same siebie nie są świadome! Zdawałoby się, że pesymizm taki działać powinien rozstrajająco, odbierać siłę i ochotę do życia. Rod nie jest tego

zdania. Pesymista jest przecież człowiekiem, który żyje, jak wszyscy, różni się tylko od innych tem, że umie życie osądzić.

Kto, poznawszy życie bez sztucznie upiększających je obłonek, traci energię i czuje się raz na zawsze złamanym, ten nie był już zdolnym, aby zostać człowiekiem. Winna temu mierność jego charakteru i brak woli. Kto ma rozum i wolę, ten sam sobie znajdzie pochop do życia i przy pomocy twórczości swego umysłu potrafi je upiększyć i dodać mu znaczenia. W taki tylko sposób, przywiązawszy się do postawionego sobie zadania i nadając mu tem samem wartość, użytkować można wszystkie swe zdolności i osiągnąć to, co się nazywa szczęściem.

Myśli te rozwija dalej autor w następnej swej powieści „Le Sens de la Vie.“ Tutaj bohater, podobny do poprzedniego, w poszukiwaniu prawdziwego znaczenia życia, którego swym umysłem skomplikowanym dostrzedz nie może, żeni się, ale nie czuje się szczęśliwym, bo żyje w ciągłej obawie utraty tego kruchego szczęścia. Zostaje ojcem i to go nabawia nowej troski, bo to dziecko może nie być szczęśliwe. Choroba dziecka przyczynia mu zmartwienia. Wreszcie wyzdrowienie dziecka dało mu odczuć całą siłę ojcowskiego przywiązania. Pomimo to nie jest szczęśliwym, bo „upodobawszy sobie siebie samego, zostaje raz na zawsze samotnym i zamkniętym w sobie.“ Ale, jeżeli nie może korzystać z życia dla własnego szczęścia, to przynajmniej zaczyna pojmować niezrozumiałe dlań dotąd jego „znaczenie.“ Żyć dla siebie samego nie warto. Tymczasem człowiek waha się narazić swą niezależność przez połączenie swego losu z losem drugiej istoty, gdy powinienby conajprędzej wyzbyć się swego osamotnienia. Obawia się obowiązków ojca rodziny aż do chwili, gdy, doświadczywszy trosk stąd pochodzących, zacznie oceniać dobrodziejstwa. Wtedy bowiem wszystkie korzyści życiowe, które dotąd lekceważył, nabierają dlań wartości, gdy ich potrzebuje dla istot drogiej, równie jak samo życie jego, od którego zależy istnienie tych osób. Czuje on, że ma względem nich obowiązki, które sam sobie stworzył i które spełnić musi i w spełnieniu ich znajduje zadowolenie i spokój. Cała wartość życia polega na miłości, czyli poświęceniu, i wierze. Niestety, nie wszyscy mogą kochać, nie wszyscy są w stanie wierzyć. Miłość, opiewana przez poetów wystarcza do wypełnienia życia—wiedzą o tem ci, którzy jej zaznali. Ale taka miłość, jeżeli się trafia, jest wyjątkową, napotkanie jej od nas nie zależy, a nic tak nie jest do niej niepodobnem, jak te marne i blade jej naśladownictwa, które zwykło się wogóle nazywać jej mianem. W pogoni za miłością chywyta



się zaledwie jej cień utudny, by doznać gorzkiego zawodu, bo nie może nam dać tych nadludzkich porywów, tych niewypowiedzianych rozkoszy, których się po nim spodziewaliśmy.

Rzeczywistość niczem nie przypomina wymarzonego ideału, który zresztą może istniał tylko w wyegzaltowanej wyobraźni poetów. A może też minęły już czasy wielkiej miłości?—„Uczucia przemieniają się, jak idee i miłość dzisiejsza nie więcej jest podobną do miłości wczorajszej, niż obecne formy polityczne do takichże form dawnych.“ Miłość jednak ma znaczenie szersze. Ponad miłością-namiętnością, ponad miłością rodzicielską i rodzinną, jest miłość ludzkości, uczucie wyższe, szlachetniejsze, bo bezinteresowne. W jaki sposób wznieść się do tej wysokości? Byli ludzie, którzy jej dosięgli — apostołowie i święci. Ale ci mieli wiarę. Czy tę wiarę można zastąpić nowszymi pojęciami, które nam przyniosła nauka? Jest wiara w postęp, ale postęp, czyli rozwój całego rodzaju wymaga poświęcenia i cierpienia pojedynczych osobników, z czem trudno się pogodzić. Jest także zasada solidarności, ale opiera się na kruchej podstawie, bo nie można się czuć solidarnym z postępowaniem wszystkich. Wymyślono wreszcie „religię cierpienia,“ ale i ta religia nie może nas pociągnąć i zadowolnić, bo brak jej głównej sprężyny—wiary nadprzyrodzonej, która podnosi serca. I oto wszystko ściąga się do tego stanu sprzeczności: potrzeba wiary i niepodobieństwo wierzenia. Takim też jest charakterystyczny nastrój ducha bohatera powieści „Le Sens de la Vie,“ a z nim samego autora i jemu współczesnych.—„Ach! po trzykroć biada temu, kto został dotknięty zgubnym dyletantyzmem! Bez namysłu, bez wyrachowania, ulegając własnej naturze i duchowi czasu, poddał się on jego urokowi, którego nie dojrzał niebezpieczeństwa: tak łatwą, miłą i wykwiśloną grą jest zabawiać się ideami, pieścić niemi umysł, wydobyć ich treść istotną i, jak bogacz wylewa na chustkę wonie, za których cenę wyżywiłby można całą rodzinę, przystroić sobie niemi wytwornie życie. Te przyjemności tępieją wszakże, jak wszelkie upojenie. Faryzeusz ma wreszcie dość tych tęcz, które zapalają wkoło niego przynny jego umysłu. Żal go chwytą, starość nadchodzi, uczuwa się on człowiekiem i oto doznaje naraz nieprzeprzartej potrzeby pogrążenia się w modlitwie, w zakątku kościołów i złożenia tam swych cierpień, z przekonaniem, że zostanie wysłuchany. Ale teraz Bóg traktuje go ironicznie, jako równego sobie, który dyskutuje i rozumuje i zwraca mu teraz stawiane przezeń pytania i wodzi go, sztydząc, poprzez łańcuch błędnych kół, który on wykuł. Wtedy nakoniec pycha go opuszcza, odczu-

wa jakoby ucisk materialnego ciężaru i próżnię, która go otacza, i pochłania. I napróżno buntuje się przeciw tyranii swego umysłu, z którego uczynił niezdobytą twierdzę.“

Tęsknota za niedostępną dlań wiarą nadprzyrodzoną spotyka się nieustannie w pismach Roda i wyraża się niekiedy bardzo bezpośrednio, jak między innymi w tym ustępie z powieści „Le Silence“: „Bóg!... Chcę wierzyć w Niego!... Potrzeba mi, aby był... Widzę Go, odczuwam Go, nie we wspaniałości widoków ziemskich, gdzie Go szukają duchy pospolite (?), lecz w sobie samym, poza myślami, których monotonna gra rozpoczyna się co rano, w chwili rozwiewania się snów, których nie chcę końca, które On utrwalić może po wszystkie czasy. Droga powolną, krętą, usłaną przeszkodami, podążam do Niego. Nicość świata przybliżyła mnie. Może już Jego bliżej jestem, niż piasku, w który zagłębiają się moje nogi, lub wody, w którą się zanurzam dla odświeżenia. Przywołuję Go z całą siłą mego pragnienia wieczności. Chciałbym, czując się w Jego rękę, zostać uwolnionym od tyłu więzów, które mi ciężą!... I oto niewysłowione pieśni zaczynają śpiewać w mem sercu.“

Ogólny nastrój ówczesny, wywołany zwrotem najwybitniejszych umysłów od materializmu naturalistycznego i naukowego pozytywizmu poprzedniego okresu do zagadnień natury duchowej, powstających w głębi sumienia i dających przewagę uczuciu nad rozumowaniem, przybiera u Roda, jak widzimy z tych ustępów, charakter szczególnie naprężony, bolesny. W sercu jego rozgrywa się prawdziwa tragedia porywów ducha, przeczuwającego, że poza klatką, w której go uwięziła własna niemoc, są sfery wyższe, idealne; pragnącego wyzwolenia i szamocącego się napróżno, po to tylko, aby tem silniej odczuwać niewolę i poniżenie. Przy takim usposobieniu, nie dziwnego, że Rod stał się „par excellence“ „powieściopisarzem sumienia.“ Zobaczymy dalej, że jest on także szczególnie subtelnym i przenikliwym powieściopisarzem namiętności. Dotąd, zastanawiając się nad tajemnicami bytu i rozbiegając skomplikowane stany duszy współczesnej, poruszał się przeważnie w sferze idei abstrakcyjnych. W następnym okresie swej twórczości, w którym studyjuje namiętność i jej spustoszenia, zstępuje on do życia rzeczywistego. Namiętności, tej sile ślepej i bezwzględnej, człowiek nie ulega nieświadomie. Czując jej ucisk i tyranie, rozumie potrzebę oparcia się jej, którą mu dyktuje sumienie, i przeciwstawia jej wolę. Niestety, ta najczęściej zostaje złamana w strasznej walce egoistycznej namiętności z obowiązkiem, która się wywiązuje w głębi wewnętrznej istoty czło-



wieka. Zwycięstwo, jeśli go dostąpi nadludzkim prawie wysiłkiem, jest szczytne, ale kosztuje tak wiele, że pozostawia go wyczerpanym, przynosząc mu w nagrodę smutek i gorycz. Jeśli ulegnie lub podda się bez walki, wtedy cierpi wskutek swego poniżenia i niewoli. „Życie przedstawia w ten sposób położenia wysoce tragiczne, których dramat rozgrywa się wewnątrz; których wszystkie nitki znajdują się w sumieniu, a które, przecież, wzruszają nas do głębi naszej istoty.“

Wszyscy bohaterowie Roda, szlachetni, ale słabi, są szarpani tą walką wewnętrzną. Miłość prawdziwa, miłość wielka, która zwycięża wszystko i czyści, jak ogień — taką miłość jest dla nich niedostępną. Udziałem ich może być tylko miłość-namiętność. Są istoty, które, uniknąwszy skalania rozpusty, zachowały w całości nieznanne im samym energie. Ich prawdziwa szlachetność ducha czyni je niezdołnemi do kompromisów, które bronią innych od katastrofy. Nie umieją one szanować obyczajów, gwałcąc obowiązki; gardzą rozkoszami zmysłów, które pozostawiają serce pustem i nie chcą związków, które mogą się rozluźnić. Zbyt wspaniałomyślne, by się dzielić, oddają się całkowicie i żądają wzamian tegoż samego. Ich najlepsze przymioty: bezinteresowność i szczerość, będą właśnie powodem ich zguby. Będą bezbronni wobec niebezpieczeństwa, na które nie były przygotowane i z którem spotkają się niespodzianie. Ale istoty te nie zatrzymują się w pół drogi i pójdą do końca, aż do ruiny i zguby.

Takimi studjami namiętności są więc powieści: „Les Trois Coeurs“, „La Sacrifiée“, „La Vie privée de Michel Teissier“, „La Seconde Vie de Michel Teissier“, „La Silence“, „Les Roches blanches“, „Dernier Refuge“, „L'Ombre descend sur la Montagne.“

„Les Trois Coeurs“ zaliczyć można właściwie zarówno do poprzedniej kategorii. Bohater tej powieści ma z taintymi wiele wspólności charakteru. Poszukuje on zadowolenia namiętności, ale i w tem przeszkadza mu nadmierny jego egoizm. Po długim i bezskutecznem błędzeniu, pozostawiwszy ofiary swych kaprysów, zawiedziony, zniechęcony i zbolący powraca do swego gasnącego już domowego ogniska, aby nareszcie pogodzić się z rzeczywistością i przyjąć życie takim, jakie ono jest, bez wzruszeń, jakich pragnął, ale i bez zbyt bolesnych zawodów.

O wiele więcej charakterystyczną pod tym względem jest powieść „La Sacrifiée.“ Tu ów konflikt sumienia z namiętnością ukazuje autor w następującej sytuacji: doktor Morgex ma dla żony swego przyjaciela, Klotyldy, serdeczne uczucia, podzielane przez nią, które wszakże oboje, uczciwi i szlachetni, umieją trzy-

mać na wodzy, nie przekraczając granic dozwolonej przyjaźni. Ale los sprzymierza się przeciw ich woli i czystym zamiarom. Mąż Klotyldy, po ataku apopleksyi, zostaje sparaliżowany. Doktor Morgex dogląda go z całym poświęceniem, by mu przynieść ulgę, lecz chory, w obawie przed życiem w strasznem obezwładnieniu, które go czeka, błaga, by mu przyspieszył koniec. Morgex opiera się pokusie z całych sił, aż do chwili, gdy mu tych sił zabrakło. Wtedy, ulegając jakoby życzeniu przyjaciela, a naprawdę tajemnemu, wewnętrznemu pragnieniu własnemu, zastrzykuje mu taką dawkę morfiny, jakiej ten żądał, pomimo, iż wie, że go to zabije. Przyjaciel umiera, a po upływie czasu żałoby, Morgex żeni się z Klotyldą.

Zaledwie jednak osiągnął szczyt swych marzeń, sumienie jego się odzywa i sprawia mu takie udręczenia, że życie staje się dlań niemożliwem. Daremnie stara się oskarżający go głos wewnętrzny oszukać sztucznymi sofizmatami, prawda bezwzględna, niezbita jest od nich silniejszą. Morgex takiej męczarni zniesć nie może, zbrodnię swą odpokutować musi, a pokutą będzie dlań rozstanie z Klotyldą. Ale w tem wszystkiem Klotylda niczemu niewinna, jest poświęconą—„La Sacrifiée!“

Nie weselszą jest historia Michała Teissier w dwóch następnych powieściach. Michał Teissier ma najlepszą żonę i dwie córki, które kocha. Jest człowiekiem wysoko cenionym i szanowanym i posiada, jako głowa katolickiego stronnictwa, duże znaczenie i powagę. I rzeczywiście jest on prawdziwym filarem, na którym wspierają się nadzieje społeczne i polityczne katolików, on bowiem najwymowniej umie bronić spraw religii, moralności i wszystkiego, co piękne i wzniosłe. Wpływy jego, którymu dodaje siły doskonała harmonia zasad i postępowania, działają aż na przeciwników, którzy muszą skłaniać głowę przed jego wysoką wartością moralną. Niestety, pod tą śpiżową zbroją ukrywa się słabość, której nikt się nie domyśla, a która stanie się przyczyną jego zguby. Michał Teissier pała ukrytą namiętnością do pewnej młodej dziewczyny. Człowiek mniej szlachetny, o sumieniu więcej giętkiem, znalazłby zapewne na jego miejscu sposób wyjścia pośredni, by zadowolnić namiętności bez narażenia ani swego stanowiska i opinii, ani swego domowego ogniska. Inaczej się dzieje w wypadku Teissiera. Jego prawość właśnie go gubi i każe mu postąpić, jak nędznik. Nie mogąc przewyciężyć namiętności, zmuszony jej uleść, nie czyni on tego przez pół, nie szuka kompromisów dla uratowania pozorów i bez względu na olbrzymi skandal, którym zada dotkliwy cios sprawie, której słu-



żył dotąd gorliwie i z przekonania; bez względu na ruinę szczęścia swej rodziny i naprzekór własnym szczerze wyznawanym zasadom rozwiedzie się z żoną, aby z tej ruiny szczęścia najbliższych, z tych szczątków, które pokryły własną jego godność, uczynić podstawę nowego gmachu egoistycznego szczęścia w niepoświęconym związku.

Taka podstawa jest równie kruchą, jak zawodną, jak krótkotrwałą jest namiętność. Gmach, zaledwie wzniesiony, runął w gruzy, szczęście wymarzone przysło, jak bańka mydlana, i do liczby ofiar, które prawość Michała Teissier poświęciła namiętności, przybyła jedna więcej — ta, dla której, jak mu się zdawało, podeptał najświętsze obowiązki, zniszczył dzieło całego życia.

„W tej samej chwili, gdy poraz pierwszy czuje, że ukochana należy do niego całkowicie, że może zabrać ją z sobą, gdzie zechce, poprzez świat, szeroko otwarty dla ich miłości; w tej samej chwili, gdy jego usta zbliżą się do jej ust tak upragnionych, powstanie między nimi okrutne widmo serc skrwawionych, które on rozdarł, ruiny jego domowego ogniska, klęski jego życia i wszystkich niegodziwości, które popełnił, aby złożyć z nich to szczęście. Wobec tego widma czuje się on małym i nędznym, sam siebie nie poznaje: wydaje mu się, że nie ma już duszy, potrzebnej do szczęścia i do miłości, swej dawnej duszy, którą utracił.“

Konkluzję wreszcie całej historii zawierają te słowa Michała Teissier: „Szczególne to moje przeznaczenie! Nigdy chyba nikt tak nie ukochał dobra i nie wierzył w nie tak silnie, jak ja, a przecież niema może człowieka, któryby zrobił tyle złego samemu sobie i tym, których kochał.“

I tak być musi. „Prawie zawsze najlepsi upadają najniżej i są powodem największego zgorzenia. Inni, posiadający dusze mierniejszego gatunku, bez trudu umieją pogodzić obowiązek z namiętnością, co im pozwala prowadzić życie bez walk i klęsk, jeżeli zaś padają, ponieważ nie jest to ze szczytu, więc nie robią sobie wielkiej krzywdy, nikogo nie dziwią, nie wywołują wielkiego poruszenia, tak, iż ostatecznie mają możność wyleczyć się, by nanowo to samo rozpocząć. I to jest gra, która niewiele przeskadza światu w jego zwyczajnym pochodzie.“

Niestety, i w wyrzeczeniu się namiętności na korzyść obowiązku, człowiek u Roda nie znajduje zawsze zadowolenia. W „Les Roches blanches“ bohater, Trembloza, poświęcenie nie podnosi. Przeciwnie, odkąd wyrzucił z serca „uczucia: tkliwości, oddania, litości, które pozwalało mu znajdować życie wyższem i Boga lepszym,“ dusza jego ulega napadom zwątpienia i buntu. Rozbiera

on wartość poświęcenia względnie do praw, którym je ofiarował, i nie wie ostatecznie, czy jego zwycięstwo nie jest porażką, czy życie, które pragnął zachować bez skazy, nie będzie dlań żywym grobem? Bo namiętność wyniszcza serce, które nawiedziła choćby na chwilę, i wyjaławia je raz na zawsze. Tak samo, jak Trembloz zapytuje, dlaczego jego wyrzeczenie, zamiast napełnić go radością, jak każdy czyn cnotliwy, pozostawia mu tylko wstręt do samego siebie, bardzo podobny do wyrzutu sumienia, Teissier stawia sobie ze swej strony pytanie, czy miłość warta jest tych strat, tych żalów, wyrzutów sumienia, które znosi się dla niej, gdy się zanadto posłuchało jej głosu?

Ha! nie dostępują szczęścia zarówno ci, którzy poddają się namiętności, jak i ci, którzy potrafią się jej oprzeć—niema szczęścia dla nikogo! Wszędzie jest cierpienie, a miłość je powiększa, bo świat jest zły, rządzony przez prawa nieczne, których niesprawiedliwość jest krzycząca. Wszystko mija, wszystko upływa, wszystko się rozpada! Trzebaby mieć jakiś punkt stały ponad życiem, ponad miłością. Rod zdaje się chwilami go spostrzegać. Ale ten punkt stały spoczywa albo w wierze nadprzyrodzonej—dla autora, a przynajmniej dla jego bohaterów niedostępnej, albo w koncepcjach tak oddalonych od rzeczywistości życia ziemskiego, że dla przeważnej części ludzkości jest niedostrzegalnym.

„Jesteśiny sami sobie wrogami—mówi autor—nasze życzenia, nasze żądania, nasze namiętności są to majaki, które pociągają nas, aby nas zawieść. Jedyną jest mądrością wyrzec się ich ostatecznie, w pokornem poddaniu się wyrokowi, skądkolwiek on pochodzi, który nam rozkazuje uwolnić od nich ducha, aby był zawsze gotów przyjąć łaskę lub śmierć i wolnym i czystym wejść do wieczności lub pogrążyć się w nicość.“

Bohaterowie Roda, jak Teissier, jak Morgex i inni, którzy dla miłości poświęcili obowiązek, szczęście drugich i własne, nie mogą, jak widziliśmy, tej miłości zaznać, bo szukają w niej wyłącznie zadowolenia własnego egoizmu: „gdy tylko kto szuka samego siebie, miłość się w nim tłumi.“ Czy wszakże miłość, oczyszczona z namiętności, choćby wybiegała poza wyznaczone przez prawa ludzkie szranki, jest koniecznie zgubną?

W powieściach „Le Silence“ i „L'Ombre descend sur la Montagne“ ukazuje autor do jakiego stopnia taka miłość, gorejąca czystym i jasnym płomieniem zupełnego wyrzeczenia w głębi skazanych na milczenie serc, te serca uszlachetnia, podnosi je do niedostępnych innym wyżyn bezinteresowności, budzi najidealniejsze dążenia i zaostrza najlepsze ich władze. Jednakże „w tych sub-



telnych sprawach sercowych kto potrafi oznaczyć granicę między dobrem i złem? Kto może powiedzieć, kiedy miłość, zabroniona przez prawa ludzkie, jest też zabronioną przez te prawa wyższe, których przeczuwamy niekiedy boską pobłażliwość? Kto powie, kiedy błąd jest przez cierpienie odkupionym lub może zostać odmienionym aż w swej istocie?"

Nie porzucając studyów nad zagadnieniami sumienia, uczucia i namiętności, Edward Rod w dalszym szeregu swych utworów powieściowych zwraca się do obserwacyi obyczajów, zwłaszcza najlepiej mu znanych obyczajów szwajcarskich z kantonu Vaud, których nader zajmującą charakterystykę daje już w wymienionej powyżej powieści „Les Roches blanches,” a następnie w *Là-Haut*,” „Mademoiselle Annette,” „L'Eeau courante,” „Le Ménage du pasteur Naudié” i innych.

W powieściach tych, których dramat rozgrywa się zawsze wewnątrz, autor schodzi nieco z górnych sfer filozofii i abstrakcyi, aby przyjrzeć się trochę bliżej objawom życia więcej materialnym. Ton ich jest też nie tak wysoki, mniej surowy, ale za to barwniejszy, swobodniejszy, niż powyższych. Wątek tych utworów ciągnie się pośród scen żywych, zajmujących i charakterystycznych, roztańczających się na tle wspaniałych widoków górskich. Wśród tych powieści, z których każda ma pierwszorzędnę zaletę, wyróżnia się „Le Ménage du pasteur Naudié.”

Pastor Naudié, wdowiec z czworgiem dzieci, które mu trudno wychować, tembardziej, że środki jego są bardzo skromne, żeni się z pewną bogatą panną, która swe uczucia, od pobożności i miłosierdzia, przenosi na niego. Z początku wszystko jest bardzo pięknie—młoda pastorowa zastępuje matkę jego dzieciom, pastor Naudié przywiązuje się do niej. Ale to trwa niedługo. Pastor wprawdzie kocha żonę coraz więcej, ale żona kocha go coraz mniej. Przytem dochody swe wydaje na fantazyje tak, iż Naudié z tej strony zamiast pomocy ma raczej uszczerbek. Dzieci pozostają bez opieki. Wreszcie pani Naudié bierze sobie kochanka i biedny pastor, któremu godność nie pozwala pozostać na miejscu, musi opuścić swój dom i resztę życia poświęcić nawracaniu niewiernych. Na tej kanwie życiowej przeprowadza autor swego bohatera w oczach czytelnika przez wszystkie fazy uczuć, które powstają w jego sercu w takich okolicznościach i czyni to z tą samą intuicyjną subtelnością, jak to już widzieliśmy w poprzednich jego dziełach.

Powieść „*Là-Haut*” daje obraz cichej wioski szwajcarskiej, zagrzebanej w górach, i panujących w niej starodawnych obczy-

jów, nienaruszonych dotąd przez falę nowoczesną, która zmieniała charakter tylu innych podobnych jej zakątków, czyniąc z nich miejscowości modne, uczęszczane przez świat kosmopolityczny. Ale i tej spokojnej wiosce Vallanches, gdzie życie jej mieszkańców płynęło od wieków równem, jednostajnym korytem, wśród pracy znoјnej, lecz w skutkach swych przynoszącej zdrowie fizyczne i moralne, grozi przewrót, który ten stan skromnego, ale pewnego i szczęśliwego bytu, przemienić ma na działalność gorączkową pod parciem wzmagających się ambicyj, zazdrosnego współzawodnictwa, wywołanego widokami łatwego zysku i szybkiego z bogacenia. A dzieje się to skutkiem wyboru Vallanches na stację klimatyczną przez pewnego przedsiębiorczego finansistę, za którego inicjatywą, nieznaną dotąd uroczemu ustroniu stanie się niebawem rojnie od złotodajnych cudzozienców, eleganckim miejscem leczniczym i źródłem rozrywek.

I autor w szczególnie delikatny sposób odczuwa i odczuć daje ten dziwny smętek, wkradający się do serca na widok takich nieuniknionych zmian, które prowadzi za sobą niepowstrzymane w biegu życie; żal za tem, co było, co jest jeszcze i co staje się tak drogiem, bo jutro już nie będzie; tęsknotę za dawnymi formami bytu, czystą i szczęśliwą prostotą obyczajów, jedynie dającą człowiekowi ten pewny spokój wewnętrzny, oparty na niezachwianej zwątpieniem wierze w wysokie ideały, przekazane przez przodków z pokolenia na pokolenie i przyjęte bez zastrzeżeń, którego próżnoby szukać w skomplikowanym, zmiennym, nieustannie wstrząsanym życiu nowoczesnym.

W takich nastrojowych ramach, w wiosce, posiadającej jeszcze cały swój dawny urok, choć już zagrożony, w charakterystycznym otoczeniu miejscowego życia, umieszcza Rod śliczną idyllę dwojga młodych ludzi, którzy, przyniósłszy z szerokiego świata serca w zaraniu dotknięte cierpieniem, znajdują tutaj w zbawienym spokoju górskim ożywcze ciepło wzajemnej miłości.

W ostatniej fazie swej twórczości, tak niespodziewanie przerwauej, Edward Rod traktował przeważnie kwestye społeczne, zawsze jednak z ich strony moralnej, t. j. w wywoływanych przez nie konfliktach wewnętrznych. Gwałtowna i radykalna ewolucya idej, objawiająca się zwłaszcza w ostatnich latach w społeczeństwie francuskim, uderzyła go swym charakterem rewolucyjnym, anarchicznym, zagrażającym wprost podstawom społecznym. Pomimo, iż w jego często krańcowym pesymizmie dopatrzeć się można pewnych skłonności do moralnego nihilizmu w sferze filozoficznej, to w sferze życia i czynu zajął on stanowisko przeciwne



przewrotowi i wystąpił w obronie moralności tradycyjnej. Ale w dziełach Roda granice są tak nieuchwytne, że klasyfikacya ich nie może być bardzo ścisłą. Taką np. powieść „L'Inutile Effort“ zaliczyć można na równej zasadzie do rodzaju psychologicznego, jak i do rodzaju społecznego. Cechy powieści społecznej przeważają za to w „Un Vainqueur,“ w „L'Indocile“ i w ostatnim jego dziele „Les Unis,“ w którym ukazuje na przykładach, z życia wziętych, fatalne skutki dla rodziny i jednostki, wynikające z zastosowania w sposób poważny w życiu wolnego związku, który wedle życzeń i dążeń burzycieli form tradycyjnych, w nowoczesnym społeczeństwie, wolnym od „tyrańskich przesądów“ przeszłości, zastąpić powinien małżeństwo.

Całość dzieła Edwarda Roda, tak różnorodna w swej jedności, przedstawia wartość rzeczywistą i niepospolitą. Wznosi się ono pośród twórców współczesnej powieściowej literatury francuskiej, jak szczyt wyniosły i samotny, tak jest od nich różnem. Tę odrębność charakteru jego twórczości tłumaczyć można do pewnego stopnia pochodzeniem autora nie-francuskim. Rod był Szwajcarem, wprawdzie pochodzącym ze szczepu najbliższej z rasą francuską spokrewnionego, którego synowie wzbogacili już niejednokrotnie francuską literaturę, ale którego wszakże umysłowość urobiła się na odrębnych tradycjach i wzorach. Zanim sam zaczął tworzyć, Rod zaznajomił się najpierw jaknajszerszej z twórcami ducha innych. Sąd o nich własny i konkluzye z nich wyciągnięte dał on w swych szkicach krytycznych—„Etudes sur le XIX Siècle,“ „Les Idées morales du temps présent“ i t. p., ujawniając kierunek swego umysłu w wyborze pisarzy, których myśl rozbiera, i w predylekcyach, które przytem okazuje. W szkicach owych spotykają się: Renan obok Zoli; Tołstoj obok Schopenhauera; Leopardi obok Wiktora Hugo;—Dumas syn, Paweł Bourget, Juliusz Lemaitre, Brunetière;—Ryszard Wagner, Boecklin, angielscy prerafaelicy i t. p., oraz w studyach oddzielnych—Dau-te, Lamartine, Goethe, Stendhal. Sympatye jego i skłonności naturalne, zwłaszcza od czasu wyzwolenia się z pod wpływów naturalizmu, prowadziły go zawsze do tych, których myśl najwznioślejsza, uczucie najgłębsze, dążenia najbardziej idealne. I takim też jest dzieło Roda, nacechowane czystym spirytualizmem i umoralniające swym wysokim nastrojem i ideą szlachetną, czem nagradza i równoważy nadmiar nagromadzonego w niem pesymizmu i wynikającego stąd smutku.

## Zagadnienie polskiej filozofii narodowej.

Problemat, będący przedmiotem naszego artykułu, daje się ogólnie sformułować w pytaniu następującem: czy filozofia danego narodu posiada cechy swoiste, które różnią ją wybitnie i zasadniczo od filozofii innych narodów, t. j. czy i jak objawia się fizyognomia duchowa narodu w jego filozofii?

Jeśli dla należytego krytycznego rozpatrzenia wszelkiego zagadnienia należy zapoznać się z jego genezą, to metoda taka w niniejszym wypadku jest tem potrzebniejsza. Bowiem ani starożytność, ani wieki średnie nie znają zupełnie zagadnienia narodowej filozofii, choćby dlatego, że nie znają pojęcia narodowości w nowoczesnem rozumieniu. Antyteza Hebrejczyk-Niehebrejczyk nie jest antytezą narodowościową, lecz religijną i oznacza właściwie: Hebrejczyk-Poganin. Antyteza Grek-Niegrek nie jest również antytezą narodowościową, lecz kulturalną i oznacza właściwie: Grek-Barbarzyńca. Interesującą jest więc rzeczą zbadać drogi i warunki powstania i szerzenia się idei filozofii narodowej. I dlatego spróbujemy dać najpierw — na tle najogólniej zarysowanego rozwoju idei narodowościowej — zwięzły zarys historyczny narodzin i rozrostu idei filozofii narodowej, ograniczając się przytem, ze względu na szczupłe ramy artykułu, do idei filozofii narodowej polskiej.

Historyk niemiecki, Sybel, scharakteryzował w swoich wykładach koniec wieku XVIII słowami: „Stulecie zakończyło się mordem króla i mordem narodu.“ Nie chcemy wchodzić w rozbiór kwestyi, czy epoka ta we Francyi nie dałaby się dużo trafniej określić innym, większym, silniejszym i znaczeniu jej dla ludzkości odpowiedniejszym symbolem. Zgoła nietrafnym, a nawet błędnym, jest ten aforyzm w stosunku do Polski. Sto



lat historii porozbiorowej jest tego najlepszym dowodem. Ograbiono naród polski z jego państwowości, unicestwiono go — jak zdawało się wówczas — politycznie, ale go nie tylko nie zabito, lecz przeciwnie, dano mu bodźca do wzlotu na takie wyżyny ducha, na jakie w normalnych warunkach bytowania może nie wstąpiłby nigdy. „Jest jakieś drzewo — powiada Mochnacki — drzewo, wspomniane przez jednego z pisarzy kościelnych, które wtenczas zielenieje, kiedy je okrzusują, drzewo to idzie w zapasy z żelazem, śmiercią żyje, krzewi się wycięciem, gdy go już nie masz, wtenczas rośnie.“

Uważa się zazwyczaj za szczególnie tragiczny w historii polskiej fakt, że rozbiory przyszły właśnie wtedy, gdy poczęto przeprowadzać poważne i głęboko sięgające reformy, które zostały przerwane zanim nastąpił ład i porządek, bądź też naodwrot, że naród ocknął się dopiero wtedy z letargu, gdy grabież sięgnęła już po byt polityczny Polski. Zapewne, że to fakt tragiczny. Ale temu faktowi tragicznemu przeciwstawić można fakt drugi, fakt szczęśliwy, że upadek polityczny Polski przyszedł dopiero wtedy, gdy w indywidualistycznym i kosmopolitycznym wieku XVIII i na początku wieku XIX, budziła się idea narodowa. Polska, z mapy politycznej wykreślona, zaczęła zaraz zajmować i wypełniać miejsce na mapie narodów i zdołała przerwane odrodzenie polityczne kontynuować jako odrodzenie narodowe.

Idea narodowa stanowi przełom w historii, zaś początek jej jest właściwie przejściem od średniowiecza do czasów nowożytnych. Najwidoczniejszym znakiem owego przełomu jest zastąpienie w literaturze języka łacińskiego przez języki narodowe. Bardziej zajmować umysły zaczyna idea ta od połowy wieku XVIII, kiedy Montesquieu zastanawia się nad stosunkiem ustaw do ducha narodu, Voltaire pisze o obyczajach narodu i jego duchu i kiedy wogóle zaczynają się szerzyć we Francji przeszczepione z Anglii idee swobody. I Russa należy tu wspomnieć jako źródło nowoczesnego światopoglądu. Atoli krwi nabiera dopiero idea narodowa wraz z ruchem emancypacyjnym trzeciego stanu i uzewnętrznia się wreszcie w rewolucyi francuskiej. Zebranie narodowe odrzuca postawioną przez Mirabeau'a propozycyę określenia się jako przedstawicielstwa ludu francuskiego i przyjmuje nazwę zebrania narodowego. A do deklaracyi praw człowieka proponuje Gregoire dodatek o samodzielności poszczególnych narodów, wyłączającej mieszanie się jednego narodu w sprawy drugiego. Zasady te mają — jak zresztą wszystkie zasady przez rewolucyę proklamowane — charakter czysto racjonalistyczny, ale trzeba przy-

znać, że idea demokratyzacyi ze swemi zasadami równości i wolności była potężnym bodźcem dla idei narodowości, gdyż z owych zasad równości i wolności każdej jednostki wypływały konsekwentnie także zasady dla jednostek wyższego rzędu, jakimi są narody.

Dopiero co wspomniane zasady otrzymają właściwe oświetlenie, jeżeli rzucimy je na tło wiary w postęp rodzaju ludzkiego, wyhodowanej przez oświecenie. W Lessingu, Herderze i Kancie, w Turgocie i Condorcecie zapoczątkowują się teorye o postępującym rozwoju ducha i jego rosnącej doskonałości, teorye, które miały nadać pierwszej połowie XIX wieku rys specjalny, napętniły ją gorącym pragnieniem usunięcia krzywd społecznych i zrodziły niezliczoną ilość projektów reformatorskich. Jakkolwiekby się kto zapatrywał na tę epokę, to jednak przyznać musi, że ona w niesłychany sposób podniosła samopoczucie człowieka i narodu, że wzmogła nadzwyczajnie aktywność życia i jako niezniszczalny spadek przekazała potomnym wiarę w czyn, przekonanie o możliwości przekształcania stosunków współżycia ludzi.

Odmiennej od racjonalizmu barwę przyjmuje idea narodowa u narodów zagrożonych przez Napoleona, który rozbijał całości narodowe na odłamy dla tworzenia nowych państw według swoich potrzeb politycznych. W pierwszym szeregu stoją tu Niemcy, gdzie w ogólnej reakcyi przeciw suchemu racjonalizmowi zrodził się romantyzm, który tak znaczny wpływ wywarł na całą umysłowość europejską, ożywiając i ubarwiając prądy wyżej naszkicowane. Zasadnicza jego cecha: zwrot ku swojskości, ku pierwiastkom i tradycjom rodzinnym, narodowym, wytwarza koncepcję romantyczną narodu, jako indywidualności wśród nieskończonego bogactwa indywidualności we wszechświecie, której utrzymanie koniecznem jest dla tem bogatszego rozwoju całej ludzkości. Już w r. 1801 Schiller pisze, że każdy naród ma swój dzień w historii. W poezyi romantycznej i w idealistycznej filozofii niemieckiej rośnie ta koncepcya, aby tylko przypomnieć słynne „Mowy“ Fichtego, i dochodzi wreszcie do szczytu u Hegla, uczącego, że naród jest objawem ducha świata, absolutu, i że w każdej epoce dziejów istnieje naród dziejowy—ein weltgeschichtliches Volk—jako wyraz każdoczesnego stopnia rozwoju ducha powszechnego, naród, mający skutkiem tego absolutne prawo do panowania w tej epoce nad innymi.

Pod wpływem hasła oświecenia i prądów rewolucyjnych oraz pod wpływem owej romantyczno-idealistycznej koncepcyi, zaczynają budzić się narody słowiańskie, a wyolbrzymionym dzięki na-



szym szczególnym warunkom i dzięki nim religijnie silniej, niż gdzieindziej, zabarwionym tego odzwaniem jest idea mesyanistyczna w naszej poezji i filozofii, idea posłannictwa Polski, jako narodu-męczennika i narodu-wzoru, idea Polski, jako Chrystusa narodów, idea specjalnej misji Polski dla sprowadzenia Królestwa Bożego na ziemię.

W Polsce idea narodowa odzywa się poniekąd samodzielnie, dzięki wyjątkowym stosunkom naszego ówczesnego bytowania i dopiero później zlewa się z całym odrodzeniem narodowym Europy. Ma ona już w swoich pierwszych zaczątkach w tej epoce—jak widać z pieśni konfederacji barskiej—silną przymieszkę religijną. I to jest przyczyną, że mimo wprowadzonych przez reformę wpływów francuskich, mimo iż z Polski łaćńskiej droga do Polski polskiej, narodowej, prowadzi przez Polskę francuską, dalszy rozwój idei narodowej nie idzie w kierunku racjonalistycznym, przez rewolucję francuską przyjętym, lecz bliższym będąc ze swej natury romantycznej koncepcji niemieckiej, wejdzie w krąg jej wpływów i tych wpływów francuskich, które od Chateaubrianda i Lamartine'a, od de Maistre'a i Bonalda, od Lamennais'go i Leroux'a począwszy, w reakcji porewolucyjnej zbliżyły się do koncepcji romantycznej i nadały jej zabarwienie religijne.

W epoce stanisławowskiej, a zwłaszcza ku jej końcowi, przybiera w idei narodowej element historyczny, ujmowanie narodu, jako całości w przeszłości i teraźniejszości, będącej zarazem podstawą przyszłości, i ten element pozostaje już zasadniczym jej składnikiem. Objawia się to w zapoczątkowaniu badań przeszłości i usilnych staraniach o zachowanie i rozwój mowy rodzinnej i rodzinnej twórczości. Z idei narodowej płynące i teraz obudzone poczucie pobratymstwa z innymi Słowianami, prowadzi do idei solidarności szczepowej Słowian, krzewionej nie tylko w Polsce, ale i u innych narodów słowiańskich. Podjęte więc są badania nad początkami narodów słowiańskich i starania około wzajemnego poznania i zbliżenia się tych narodów, że wspomniemy tylko Potockiego, Kossakowskiego, Aleksandra Sapielę i Lindego.

Nie zapomniano u nas jednak przytem bynajmniej o roli Polsce w tem zbrataniu przynależnej, co dzisiaj może znowu przypomnieć warto. W samym zaraniu tego ruchu — w roku 1801 — stwierdza Jan Albertrandy na posiedzeniu publicznym Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, które miało właśnie na celu budzenie rodzinnej twórczości duchowej, „że z tylu języków, pochodzących ze słowiańskiego źródła, z tylu narodów, które nimi od Śródziemnego morza do Północnego, od niemieckiej do azya-

tyckiej mówią granicy, przeszedł zdawna język polski inne—polo-rem, jak naród inne narody—nauką.“ I zgodnie z tem Polska, jako kwiat Słowiańszczyzny, stawała się odtąd u nas w każdej szerszej myśli historyozoficznej wykładnikiem Słowiańszczyzny: mówiąc o Słowianach, rozumiało się przedewszystkiem Polskę i Polaków, mówiąc o Polakach i Polsce, mówiło się o narodzie w Słowiańszczyźnie reprezentatywnym. Podnosimy to tu z naciskiem, gdyż umożliwia to właściwe zrozumienie tendencyj t. zw. filozofii słowiańskiej u nas: filozofią słowiańską jest tu przedewszystkiem filozofia polska, filozofia polska oznacza zarazem filozofię słowiańską, w niej Polska jest zawsze—o ile niema wyraźnego zastrzeżenia—*optima pars pro toto*, misya jej zaś—misyą Słowiańszczyzny.

Wysiłki, zdążające ku rozwinięciu twórczości rodzimej i wyniki ich obchodzić nas tu mogą oczywiście tylko o tyle, o ile dotyczą filozofii.

Jaką była u nas filozofia w wieku XV i XVI, czy mieliśmy wówczas taką samą filozofię, jaką miano na Zachodzie, czy też mieliśmy tylko znaczny ruch humanistyczny, lecz pod względem prac z zakresu filozofii nie staliśmy narówni z Europą, to jest dotąd jeszcze kwestyą sporną. Pewną jednak jest rzeczą, że w okresie, obejmującym wiek XVII i pierwszą połowę w. XVIII, w okresie, w którym Polska odcięta się pod względem umysłowym od Europy i duchowo skostniała i zniedołężniała, panuje u nas najzupełniejsza martwota na polu filozofii. Dzięki Włochom, Francuzom i Niemcom zaczynają przenikać do Polski prądy umysłowe zachodnio-europejskie. Wypada tu wymienić ks. Antoniego Maryę Portalupi'ego i Wawrzyńca Mitzlera de Kolof, jako krzewicieli filozofii Wolffa. Usiłowania Konarskiego popierają godnie Śliwicki i Wiśniewski. Zwycięza t. zw. neoteryzm czyli filozofia recentiorum filozofię „perypatetyczną,“ a raczej zrutyinizowaną i skostniałą jej karykaturę i z nim wchodzą do szkół i społeczeństwa wogóle nauki ścisłe i przyrodnicze.

W ostatniem ćwierćwieczu XVIII stulecia zaaklimatyzowały się bardziej poglądy empiryzmu i sensualizmu, dzięki Cyankiewiczowi, który zapoznał nas z Locke'm, i Janowi Znosce, który zapoznał nas z Condillac'em. Cały jednak ten tak doniosły ówczesny przewrót umysłowy nie wywołał poważniejszej twórczości na polu filozofii.

W Niemczech zjawił się tymczasem Kant. Naukę jego u nas krzewią Józef Kalasanty Szaniawski i Feliks Jaroński. Zwalcza zaś Kanta namiętnie Jan Śniadecki, propagując szkołę angielską.



Początek epoki idealistycznej w naszej filozofii kładzie się zazwyczaj na rok 1830. Ściśle biorąc, początek ten właściwie należy kłaść na czas między 1815 a 1820 r. Analogicznie, jak w naszej poezyi, czas od tej chwili aż do r. 1830 uznalibyśmy za okres przejściowy, który—w analogii do walki klasyków z romantykami—nazwalibyśmy okresem walki empiryzmu z idealizmem. Pomijając mniej znaczące pióra, wystarczy wymienić, jako reprezentanta empiryzmu, Jana Śniadeckiego, a jako reprezentantów drugiego obozu Józefa Gołuchowskiego i Maurycyego Mochnackiego, który bardzo gorąco propagował wówczas filozofię Schellinga. Od r. 1830 wreszcie zaczyna się właściwy okres idealizmu filozoficznego u nas, okres t. zw. filozofii słowiańskiej czyli polskiej filozofii narodowej. I czyż to nie było, że tak powiemy, koniecznością? Bo jeśli od lat około 30 rozbrzmiewało w ówczesnem społeczeństwie hasło dźwignania własnego ducha i rodzimej twórczości; jeśli ukazała się na horyzoncie duchowym poezya romantyczna, której rysem zasadniczym jest właśnie swoistość w twórczości; jeśli wreszcie, jak to widać z prac owej epoki przejściowej, prac, jak Brodzińskiego „Głosy ludów słowiańskich,“ Majewskiego „O Słowianach i ich pobratymcach,“ Surowieckiego „Śledzenie początku narodów słowiańskich“ i t. p. i analogicznego ruchu u innych narodów słowiańskich, jeśli—powiadamy—rośnie równocześnie poczucie szczepowego pobratymstwa słowiańskiego i poczucie leżących w tym szczepie a dotąd nieużytkowanych wartości kulturalnych, to jest rzeczą zupełnie naturalną, że w owej epoce, w której w Europie filozofia zajmowała przemożne stanowisko, wyłania się i u nas myśl i pragnienie stworzenia również swoistej, rodzimej, słowiańskiej, narodowej filozofii. Najpierw zjawia się ona niejako negatywnie. Klasycy nasi mianowicie, w walce swej przeciw romantyzmowi, występują przeciw Schellingowi z powołaniem się na to, że „filozofia niemiecka, w Niemczech urodzona, z niemieckiego charakteru moralnego i narodowych wyobrażeń wynikająca, nie gdzieindziej, jak w Niemczech, może robić postępy, dla niczyjego też więcej dobra, tylko dla Niemców;“ zachwalają natomiast filozofię z ogólnej cywilizacji płynącą. Tak występując przeciw filozofii narodowej, klasycy nasi może poraz pierwszy u nas podkreślają pojęcie odrębnej, z charakteru moralnego narodu i jego wyobrażeń płynącej filozofii, pojęcie, które wkrótce miało stać się u nas bardzo głośnem i nadać całemu okresowi piętno zasadnicze i odrębne, i w ten sposób, negując ją, mimowoli fundują jej przyszły byt.

Po Gołuchowskim, który w pracy „O stosunku filozofii do życia całych narodów i poszczególnych ludzi“ bardzo pięknie przedstawił znaczenie filozofii dla narodu, chociaż wyraźnie o polskiej narodowej filozofii nie mówi, i po Janie Nepomucenie Kamińskim, który w rozprawie p. t. „Czy język nasz jest filozoficzny?“ nawołuje do stworzenia filozofii z wewnątrz, otwiera już niejako same wrota tej filozofii narodowej Maurycy Mochnacki w wydanej w r. 1830 pracy „O literaturze polskiej w wieku XIX.“ Żali się przede wszystkim na to, że cywilizacya ujednostajnia i mechanizuje się, zacierając właściwości indywidualne i wszystkie pierwotne cechy narodowe, że różnice istnieją tylko w zewnętrznym kroju, na zwierchniej szacie myśli. Rozważa następnie, co to jest naród i co to jest duch narodu i na podstawie uzyskanych w ten sposób kryterjów stwierdza, że „rzeczy około siebie cudzym pojmujemy rozumem..., że wszędzie wprawdzie jednaka natura i te same prawa, podług których działa, ale nie wszędzie jednaki sposób pojmowania tego i tłómaczenia i w tem się właściwość każdego niemal oświecześniego wybija narodu. Naukę trzeba mieć w sobie i z nas samych, z jestestwa naszego wszelką wyciągnąć umiejętność... Czas już zalecić tę rzecz obmyślaniom i gruntowniejszej ziomeków rozwadze, czas wezwać filozofii z głębi ducha naszego i wysnuć ją z istoty naszego jestestwa, żeby uplodniła, ożywiła myśl... Wyrwawszy się z niemowlęctwa estetycznego, czyż nazawsze pozostać mamy w niemowlęctwie filozoficznym?“ Mochnacki zarzuca jeszcze, że naśladownictwo i ciasny empiryzm, obwołujący wyłącznie doświadczenie jako źródło prawdy, ograniczają w Polsce władzę myśli i utrzymują rozum teoretyczny niby w więzieniu albo w okowach. Twierdzenia swoje ilustruje przykładem literatury rzymskiej, która nie zdołała wytworzyć ani filozofii swojej, ani poezyi, bo miała za dużo empiryzmu, „ujęła się wewnątrznie tylko empirycznie, nie zaś idealnie..., duch rzymski wyraził się samą rzeczą praktycznego życia, działaniem, ale nie wyraził się w systemie idealnych tworów, oderwanych pojęć i myśli.“ Empiryzm więc i naśladownictwo greckie zabiły ducha rzymskiego.

Taką jest treść pracy Mochnackiego, nad którą zatrzymaliśmy się dłużej, jako nad objawem prawdziwie potężnej indywidualności, jako nad pierwszym zasadniczym manifestem filozofii narodowej, manifestem, z którym w kwestyi tej zawsze trzeba się będzie liczyć i rozprawiać. Pisał go przecież człowiek „najzdolniejszy, najlepiej piszący i najwymowniejszy z owej epoki, którego styl i sposób pisania sprawiał wrażenie, którego pojęcia



trafiały do uczuć i namiętności“ — jak mówi Stanisław Tarnowski — i na powstanie i rozwój filozofii narodowej niewątpliwy wpływ wywarły.

Wtem nastąpił namiętny poryw narodowy, luna nocy listopadowej zaświeciła krwawo i zgasła, pogrążając naród w otchłań rozpacz. Z tej Gehenny duszę polską unosi przecudna poezya, która już jest ową wielką, wymarzoną filozofią narodową, choć nie jest nią może w ściślejszem, fachowem znaczeniu. Jednocześnie postępuje nieprzerwanie ruch umysłowy w Słowiańszczyźnie, budzenie się ducha słowiańskiego w przeróżnych dziedzinach umysłowości—aby tylko przypomnieć u nas pracę na polu literatury, historyi i prawoznawstwa, aby wspomnieć Szafarzyka, Kollara i Palacký'ego u Czechów, Kirejewskich, Aksakowa i Chomiakowa w Rosyi. Szerzy się filozofia Hegla, zwłaszcza zaś jego filozofia historyi, która czyni z narodów reprezentacyę „idei czasu,“ której wpływ zresztą i w poezyi naszej jest silny. I tak oto zaczyna się na polu ściślejszej twórczości filozoficznej u nas intensywna działalność, najpierw w pismach peryodycznych, z których—odmiennie od dzisiejszego stanu rzeczy—każde uważało zamieszczanie rozpraw filozoficznych za swój kulturalny i społeczny obowiązek, aż wreszcie wykwita filozofia narodowa *Hoene-Wrońskiego*, *Trentowskiego*, *Kremera*, *Libella*, *Cieszkowskiego*, *Królikowskiego*, *Bukatego*, *Tyszyńskiego* i innych jeszcze pisarzy o mniejszej może od tamtych zdolności, ale niemniej gorącego od nich serca.

Śledzenie krok w krok rozwoju tego ruchu, wyszukiwanie i zestawianie cegiełek, z których urosła potem tak piękna budowla, jest rzeczą nader zajmującą, lecz, niestety, dla braku miejsca, tego zadania podjąć się tu nie możemy. Ograniczymy się więc do krótkiego podkreślenia tych zasadniczych momentów u wybitniejszych przedstawicieli tej epoki, które dla naszego problematu są konieczne.

Hoene-Wroński bierze za punkt wyjścia krytycyzm Kanta i podobnie jak Fichte, Schelling i Hegel—atoli w sposób odmienny i oryginalny—dochodzi do pojęcia absolutu jako syntezy świadomości (wiedzy) i bytu. Jego natura aktywna w ówczesnem otoczeniu po-rewolucyjnem i powszechnym zwrocie ku działalności reformatorskiej, społecznej i politycznej, zwraca się ku tej właśnie działalności i wewnętrznie, a nawet w ekscentrycznej szacie zewnętrznej z nią się spokrewnia. Chce on dać „nową, a może ostatnią naukę filozoficzną, która wyrasta bezpośrednio z wielkich wypadków filozofii niemieckiej i zbieża do ostatecznego wypełnienia wiedzy ludzkiej.“ Podstawą jej jest absolut i o tyle ona jest bezwzględna i speku-

lacyjną, celem jej jest odkrycie ostatecznych przeznaczeń rodzaju ludzkiego i w tym względzie jest ona mesyanizmem i, jako taka, filozofią praktyczną. Obydwa te kierunki syntetyzują się w trzecim, w filozofii teleologicznej, stanowiącej harmonię samodzielności rozumu i bezwładności natury, konieczności i wolności. Antynomię racjonalizmu i mistyki, z której wypływają przeróżne inne antynomie, zdoła pokonać tylko światło rozumu twórczego, bezwzględne, achrematycznego, mającego zapanować w zbliżającej się erze trzeciej, erze Ducha świętego. Zapanowanie tej umiejętności bezwzględnej zbudzi tęsknotę za cnotą bezwzględną, a po jej zniszczeniu się rozwiąże się wszelka antynomia, wiara i umiejętność zleją się w jedno i zaświta czas spełnionego odkupienia. Przeprowadzenia tych zamysłów dokonać ma unia mesyaniczna, którą Hoene-Wroński zakłada i do przystąpienia do niej wzywa rządy, narody i wszelkich ludzi światła i dobrej woli. Wywodzi wreszcie, że Francya, Niemcy i Rosya otrzymały posłannictwo poprowadzenia ludzkości do ostatecznych celów i ugruntowania mesyanizmu na ziemi. Francya dokonywa praktycznej, a Niemcy teoretycznej strony tego posłannictwa. Ze Słowiańszczyzny zaś wyjdzie—i to przez niego już wychodzi—achrematyczność twórcza, parakletyzm, znoszący sprzeczności, usuwający biedę i niedolę i zbawiający świat. Narody słowiańskie są nowym narodem Bożym i do nich należy sternictwo ludzkością na drogach do ostatecznych celów.

Trentowski w poglądzie na istniejące w filozofii i w życiu antynomie i na sposób ich usunięcia pokrewny jest poniekąd Hoene-Wrońskiemu. Stwierdza on, że w dotychczasowej filozofii stoją naprzeciw siebie dwa światy: realizm i idealizm, empirya i spekulacya. Pierwszemu hołdują Francuzi, a drugiemu Niemcy. Otóż szczepowi indo-słowiańskiemu przypadło przeznaczenie spojżenia w świat nowy i pomnożenia europejskiej mądrości świeża, rozległa, trzecią dzielnicą, będącą syntezą wspomnianych antynomij. Ten swój system nazywa Trentowski uniwersalizmem i syntetyzuje duszę i ciało w jaźń, zmysł i unysł w myśl, treść i formę w istotę (valentia), względną różnię i bezwzględną jednię w filozoficzną różniodedną — jako zdobycze filozoficzne szczepu słowiańskiego. I nietylko w filozofii ma szczep słowiański zadanie godzenia sprzeczności istniejących i wyprowadzenia syntezy, lecz podobnie i w innych dziedzinach twórczości duchowej i w życiu. Ta syntetyczność, jako wyraz filozofii narodowej, jest zarazem najgruntowniejszym wyrazem duszy polskiej i Polacy taką właśnie filozofię, stapiającą w sobie przeciwieństwa i osta-



teczności, urobią ku zbawieniu Europy, której przodują zacnością, cnotą, poświęceniem i niebiańskim czynem. Na Polskę bowiem w owem posłannictwie słowiańskim patrzy Trentowski zgoła inaczej, niż Hoene-Wroński. Panslawizm Wrońskiego i wyznaczanie Rosyi przewodnictwa w bractwie św. Ducha, które zbuduje — według niego — kościół św. Ducha, nie jest wprawdzie ani zaprzaństwem narodowem, ani zaprzaństwem religijnem, jak to niejednokrotnie zaznaczano, lecz jest pro prostu wynikiem jego utopijności, tego, że spełnienie swych pragnień widział zbyt blisko przed sobą. Dlatego Rosya, jako najpotężniejsza państwowość słowiańska, wydawała mu się odpowiednią do ziszczenia jego społecznych snów. Trentowski patrzy dużo realniej, oddziela w Słowiańszczyźnie Polskę, która zawsze za wolność walczyła, od owych „pobratymczych niewolników, którzy zawsze walczą za niewolę i zagrażają swobodzie Europy.“ Dlatego nazywa naród polski słowiańskiego szczepu królem, podkreśla silnie jego rolę w Słowiańszczyźnie i woła: „nam stać oddzielnie potrzeba, bo jaźń nasza i dzieje nasze innej zupełnie natury.“ Wierzy wreszcie gorąco, że przyszłość jest otwartym teatrem dla czynów Słowian i gdy ci wystąpią na scenę, narody romańskie i germańskie pójdą za kulisy.

Kremer znowu jest stosunkowo najwierniejszym tłumaczem filozofii Hegla u nas, od którego różni się zwłaszcza tem, że ideę absolutną Hegla zastępuje osobą Boga, bez czego brak — zdaniem jego — poszukiwanej przez Hegla syntezy między duchem a przyrodą. Dopiero w idei osoby bezwzględnej urzeczywistnia się idea wszechobecności ducha. Zwolennikiem filozofii narodowej jednak Kremer nie był. Twierdzi mianowicie, że byłoby bardzo piękną rzeczą, gdyby każdy naród miał swoją własną filozofię, „jak każda dobra gospodyni ma swoją apteczkę domową,“ że jednak filozofia, mająca więcej od innych umiejętności piętna czysto rozumowego i mniej od nich podlegająca „wpływowi uczuć, temperamentu i całej potędze miejscowości,“ mniej niż inne może mieć piętno narodu.

Libelt jest też przeciwnikiem spekulacji niemieckiej jako zbyt jednostronnej i twierdzi, że rozum nie wypełnia całkowitej istoty ducha, że samowładztwo rozumu prowadzi do martwej abstrakcyi i pominięcia żywej rzeczywistości, zbyt mało uwzględnia pierwiastek woli, a zupełnie zaniedbuje wyobraźnię. Żywa i nierozzerwalna całość rzeczywistości może być ujęta tylko przy pomocy wyobraźni, unu. I Libelt zastępuje idee Hegla bezwzględną indywidualnością, Bogiem. Nowa filozofia, unikająca jedno-

stronności filozofii innych narodów, i jego zdaniem ma być dziełem Słowian, u których zachował się pierwiastek narodowy nie-skażony i którzy „nie zmarnotrawili swojego ducha.“ Swój pogląd na filozofię słowiańską czyli narodową ujął Libelt w dekalog, w którym jako cechy główne przyszłej filozofii słowiańskiej podaje: uznawanie jedności świata widomego ze światem niewidomym, pojmowanie ducha jako indywidualności ukształtowanej, jako osoby, której istotą jest czyn, pochodzenie władzy od Boga a braterstwa wszystkich członków narodu z jedności myśli boskiej, usunięcie wszelkiego dualizmu a wreszcie uznanie religii Chrystusa jako religii słowiańskiej, z filozofią zgodnej.

Cieszkowski twierdzi, że filozofia nie może być inną i odrębną dla każdego narodu. Nowy naród może wnieść tylko nowy zaród czyli nowy żywioł do nauki, dawne zaś i cudze absorbować, przyswajać i podnosić do wyższej potęgi. Cieszkowski godzi historyozofię Hegla z chrystyanizmem w ten sposób, że również na miejsce absolutu stawia Boga, historję zaś dzieli na trzy epoki, na świat przedchrystusowy, na świat pochrystusowy aż do współczesnej mu epoki i na świat przyszły, który ma być syntezą tamtej tezy i antytezy. Widzi bliskość nowej, trzeciej ery, ery św. Ducha, w której królestwo Boże będzie z tego świata. Będzie to trzeci świat czynu, epoka zbratania się narodów, epoka, w której zasady prawdziwego chrześcijaństwa nie już do stosunków między ludźmi, lecz do stosunków między narodami będą stosowane. Tę trzecią erę trzeba stworzyć przez czyn, przez zasługę, a do tego trzeba „nowego ludów pokolenia, nowego szczepu, który jest w pogotowiu, ogromny, rozległy, silny, a ponad podziw poniewierany i poniżony.“ Są nim właśnie Słowianie, których pełnomocnictwa do tej misji zaświadcniają ich pierwiastkowe prawa i podania, ich przygotowawcze cierpienia i zasługi. Przez Słowian rozumie tu Cieszkowski przedewszystkiem Polskę i Polaków, którzy, nauczywszy się przez długie wieki kochać wolność, zaszczepią ją w Europie i we własnem dźwiganiu się z niewoli ku wolności będą przewodzili zamianie prywatnej miłości chrześcijańskiej na miłość chrześcijańską publiczną.

Pozostają z główniejszych Królikowski, Bukaty, Tyszyński.

Królikowski przenosi formy Ewangelii na stosunki społeczne i pragnie zbawienia ludzkości przez sprowadzenie królestwa Bożego na ziemię. Neguje przytem indywidualną nieśmiertelność, bo celem Boga jest ludzkość, która tu na świecie ma swój byt nieśmiertelny, gdy tymczasem człowiek, jako jednostka, niknie.



Bukaty jest wogóle wiernym apostołem Hoene-Wrońskiego, ale odmiennie od niego patrzy na stosunek Polski do Rosyi i twierdzi, że Słowianom przypadło posłannictwo wprowadzenia zasad chrześcijańskich do polityki.

Tyszyński wreszcie uważa również uniwersalizm za zasadniczą cechę filozofii narodowej i twierdzi, że „całoziemskość, całość i całościowość“ stają się w niej żywiołem filozofii.

Przypomnijmy w tem miejscu mesyanizm naszych wieszczów, zgodny z historyzofią dopiero co scharakteryzowanych myślicieli, a będziemy mieli w głównych zarysach gotowy obraz powstania i rozwoju naszej filozofii narodowej.

Jeśli teraz krytycznie rozważymy tę epokę, to uderzy nas przede wszystkim w niej dążność do syntezy. Trudno się jednak zgodzić z przekonaniem, aby tendencja syntetyczna była rysem charakterystycznym filozofii polskiej. Dążność do syntezy jest rysem każdej filozofii, gdyż filozofia właśnie sili się dać jednolity pogląd na świat i stworzyć syntezę przeróżnych sprzecznych objawów. Czy mamy powołać się na przykład Leibniza, dążącego do syntezy arystotelizmu i kartezyanizmu, celowości i konieczności, religii i nauki, dla wykazania, że dążność syntetyczna nie jest specyficzną cechą polskiej filozofii? Czy mamy powołać się w tym względzie na Kanta, syntetyzującego racjonalizm i empiryzm w swoim krytycyzmie?

Zasady dekalogu Libelta są prawdziwe i trafne, jako rysy naszkicowanej tu przez nas epoki filozoficznej u nas, ale niepodobna zgodzić się na to, by to były rysy filozofii polskiej wogóle. Przekonanie o związku między światem widowanym a niewidowanym spotykamy w Niemczech, w Anglii i we Francyi, że przypomniemy w tym względzie choćby cytowanych na wstępie myślicieli francuskich. Spotykamy je zresztą wszędzie z wyjątkiem filozofii materialistycznej. Twierdzenia jego o pochodzeniu władzy od Boga i o religii Chrystusa, jako religii słowiańskiej, można odczuć i zrozumieć jako żarliwość, pragnącą odrodzenia czystego chrystyanizmu w poniżonych a dźwigających się narodach słowiańskich, ale niepodobna widzieć w tem zasady filozoficznej, lub uważać chęć pogodzenia wiary z nauką za rzecz specyficzną polską.

I na pogląd Mochmackiego, że natura jest wszędzie jedną i według tych samych praw tworzy, że jednak nie wszędzie jest jednaki sposób pojmowania tego i tłumaczenia, zgodzić się nie można, bo prawdziwem może być tylko jedno tłumaczenie i ono u wszystkich narodów musi być jednakie.

Henryk Struve podkreśla jeszcze dwie cechy specyficzne polskiej filozofii. Popierwsze, jej dążność praktyczną, dążność życiową. Jest tu mowa o owej aktywności, o owym czynie, jaki zaznaczyliśmy u Wrońskiego, Libelta i Cieszkowskiego, o owym czynie, który według dekalogu Libelta jest istotą ducha. Ale i na ten pogląd niepodobna się zgodzić. Czy mamy przypomnieć słowa Macaulay'a o Bakonie, że on to właśnie odkrył użyteczność jako cel filozofii i zdanie samego Macaulay'a, że drzewo wiedzy należy oceniać jedynie według owoców? „Jeśli chce się ocenić jakąś filozofię, trzeba rozpatrzyć jej wyniki; dziełami jej nie są jej książki, lecz jej czyny,“ powiada on jeszcze. Czy mamy przypomnieć, że Kant postawił zasadę pierwszeństwa praktycznego rozumu i że nikt potężniej od Fichtego nie głosił, iż istotą ducha jest czyn? Cała zresztą filozofia angielska, francuska i niemiecka od szkoły szkockiej, encyklopedystów i myślicieli niemieckiego Oświecenia począwszy aż do obecnej chwili, wykazuje dążność praktyczną jako rys zasadniczy, woluntaryzm, stosowany — poza czysto teoretycznymi zagadnieniami—do potrzeb życiowych. A cóż mówić o utopistach społecznych pierwszej połowy XIX wieku we wszystkich narodach europejskich?

Powtóre zaś, jako taką cechę specyficzną, wymienia Struve żywość i obrazowość wysłowienia. Ta cecha zauważyć się daje istotnie u przeważającej liczby naszych filozofów. Jest z jednej strony wynikiem większego temperamentu, z drugiej jest ona oznaką pewnej młodszości filozoficznej. Nie może jednak uchodzić za rys specyficzny filozofii, gdyż jest rysem wszelkiego naszego wystąpienia w słowie i piśmie.

Obok owej dążności syntetycznej uderza nas jednak w przedstawionej dziś epoce drugi, dużo potężniejszy rys, rys mesyjanistyczny. Czyby może ten rys był cechą swoistą naszej filozofii? Jeśli idzie o mesyanizm jako taki, to i ten nie jest specyficznym polskim objawem. Nie będziemy się w tym względzie odwoływali wcale ani do mesyanizmu starohebrajskiego, ani do św. Augustyna, ale wystarczy wskazać, że od połowy XVIII wieku, od „Nowej Jerozoliny“ Swedenborga, zaczyna szerzyć się przeświadczenie o nadejściu nowej ery, która u niego i u Schellinga np. nazywa się kościołem św. Jana, a u Leroux'a np. erą św. Ducha, której czekają powstające sekty przeróżne w Europie i którą zapowiadają liczni w owym czasie mesyasze. Wszystko to wskazuje, iż objaw podobny u nas jest tylko jednym tonem w akordzie ówczesnego życia, jakkolwiek przyznać trzeba, że jest to ton osobisty, indywidualny, a przytem najsilniejszy, najgłośniejszy i naj-



gorętszy w tym akordzie. Rodząca się wówczas wszędy aktywność zbiorowa, na tle głębiej zakorzenionej u nas wiary, na tle nieszczęść ojczyzny i stąd specjalnie ustosunkowanej potrzeby działania, przyjmuje u naszych myślicieli i wieszczów — dzięki tym właśnie czynnikom — odrębne formy i specjalne u nich ma akcenty. W tem rozumieniu też, a więc w swej treści, mesyanizm nasz, którego pierwsze ślady spotykamy w pieśniach konfederacyi barskiej, a potem w Sybilli Woronicza i w Bardzie polskim Czartoryskiego, jest z naszej duszy narodowej wysnuty, jest oryginalny, jest polski.

Ścisły węzeł wreszcie między religią a filozofią w tej epoce u nas, który z jednej strony sprawia zastąpienie absolutu Hegla przez osobę Boga a z drugiej strony przystosowuje odgłosy myśli europejskiej do zasad Ewangelii, skutkiem czego np. spodziewanym Parakletem jest nie ludzkość, jak u Leroux'a i u innych, lecz indywidualność, osoba spodziewana — jak to zresztą i w Towianizmie widzimy — jest istotnie z narodowych właściwości płynącym rysem filozofii w przedstawionej dziś epoce i tłumaczy się wspomnianem już głębszem zakorzeniem wiary. Filozofię teistyczną spotykamy jednak i w Anglii, i we Francyi, i w Niemczech, i trzeba powiedzieć, że u nas jest ten rys ówczesny kategorią czasową i dlatego za rys zasadniczy polskiej filozofii wogóle uchodzić nie może. Dowodem tego jest zresztą rozwój filozofii u nas w drugiej połowie XIX wieku do obecnej chwili, która na równi z Zachodem przeważnie wyłączyła kwestye teologiczne z zakresu filozofii.

Czyżby te wywody nasze miały więc oznaczać, że filozofia narodowa jest niemożliwą, że fizyognomia duchowa narodu nie odbija się w jego filozofii? Czyż miały więc racyę Kremer, którego pogląd przytoczyliśmy wyżej? Zdaje nam się, że tak nie jest.

Jeśli przejdziemy do teoryopoznawczego rozpatrzenia naszego zagadnienia, to po zastanowieniu się prostem nad tem, czem zajmują się poszczególne działy filozofii — w zbyt obszernem, ale dziś powszechnie używanem znaczeniu — a więc logika formalna, teoria poznania, etyka, psychologia, filozofia prawa i religii, a wreszcie synteza filozoficzna czyli metafizyka, i po rozpatrzeniu danych z historyi filozofii, musimy przyjść do oczywistego przekonania, że w żadnej z tych dziedzin nie mogą istnieć prawdy, będące prawdami tylko dla jednego narodu, ani też posuwanie tych nauk naprzód nie jest i być nie może wyłącznym udziałem jednego narodu. Postęp myśli w walce ducha ludzkiego z otacza-

jącami go tajemnicami i zagadkami nie wykazał dotąd żadnej zasadniczej zależności ani od pojedynczych narodów, ani od specjalnych czynników charakteru narodowego, nie wykazał ani specjalnie narodowych źródeł, ani specjalnie narodowych rezultatów poznania, nie wykazał wreszcie stałych, niezmiennych cech twórczości duchowej u poszczególnych narodów.

Atoli naród w każdej epoce swej ewolucyi przedstawia pełną indywidualność duchową, w której możemy odróżnić treść i formę. Treścią są jego poglądy, zwyczaje i tradycje, tęsknoty i pragnienia w nim nurtujące, jego potrzeby i dążenia, formę zaś objawiania się tej treści określają właściwości charakteru narodowego w danej epoce, właściwy narodowi a urobiony z warunków jego i dotychczasowego rozwoju sposób akcji i reakcji. Ten całokształt psychicznej dyspozycji narodu sprawia—naogół wzięwszy—że w pewnej chwili dziejowej naród jest bardziej usposobiony do kwestyj metafizycznych np., w innej znowu do kwestyj np. etycznych. Nie podejmując się wcale rozwikłania zagadki, jaką jest misteryum twórczości duchowej, możemy jednak powiedzieć, że na tem tle warunków ogólnych osobiste warunki myślicieli w narodzie decydują o zjawieniu się takich lub innych zagadnień filozoficznych na horyzoncie duchowym narodu i o sposobie ich rozwiązania, który leży oczywiście w granicach możliwości kulturalnych tak danego narodu, jak ogólnego stanu kultury. W tem rozumieniu np. Eros Platona jest najgłębszem filozoficznym ujęciem poznania w duchu współczesnej mu epoki greckiej i o tyle „Uczta“ jest dziełem narodowej filozofii greckiej. W tem rozumieniu filozofia Platona czy Arystotelesa i filozofia stoicka są obie — mimo gwałtownych różnic, jakie między nimi zachodzą—narodową filozofią grecką, gdyż obie są wyrazem ducha greckiego w dwóch odmiennych epokach kulturalnych, pierwsza w epoce jego rozkwitu, druga w epoce jego upadku. A to, cośmy przed chwilą mówili o narodzie, tyczy się także grup poszczególnych, bo w żywym narodzie różne ścierają się ze sobą pragnienia i dążenia, które w odmiennem postawieniu i rozwiązaniu zagadnień szukają zaspokojenia. Tem tłómaczą się ścierające się z sobą w pewnej epoce w narodzie, a nawet wyłączające się wzajemnie poglądy i zwalczające się szkoły filozoficzne, z których o żadnej nie wolno powiedzieć, że jest nienarodową.

Momenty, określające filozofię narodu w pewnej epoce jako filozofię narodową, a leżące zewnątrz niej, poza jej treścią, możemy nazwać momentami zewnętrznymi i na tej zasadzie filozofia każdego narodu jest narodową z momentów zewnątrz-



nych, natomiast ze swojej treści, ze swoich momentów wewnętrznych, będzie ta filozofia filozofią całego ogółu kulturalnego lub pewnych grup jego. Tak np. była pozytywistyczna filozofia Locke'a czy Hume'a, lub idealistyczna filozofia niemiecka Kanta i jego następców z momentów zewnętrznych angielską, względnie niemiecką filozofią narodową, ale ze swej treści, ze swych momentów wewnętrznych stała się własnością ogólnokulturalną i znalazła zwolenników i wyznawców u innych narodów.

Jasną jest rzeczą, że te same momenty, które w przedstawiony sposób określają filozofię narodu w danej epoce, określają analogicznie twórczość jego we wszystkich innych dziedzinach.

Czyż jednak nie może istnieć filozofia już z momentów wewnętrznych, z treści swej, narodowa? Sądzimy, że tak. Istnieje bowiem dziedzina filozofii, którą pominieliśmy dotąd a w której jest miejsce na filozofię z momentów wewnętrznych, z treści swej, narodową: jest nią filozofia historii. Nie filozofia metodyki historycznej, teoria poznania historycznego, lecz filozofia treści historii, historyozofia. Brak nam oczywiście miejsca na przedstawienie sporów naukowych, toczących się około zagadnienia samej historyozofii i jej stosunku do socjologii. Ograniczymy się tedy do przyjęcia z Bernheimem, że zadaniem socjologii jest: z danych form współżycia ludzkiego zbadać i ustalić ogólne formy, procesy i normy wzajemnego zachowania się grup społecznych i jednostek, gdy filozofii historii przypada ujęcie całokształtu rozwoju historycznego ludzkości, względnie części jego t. j. narodu, w rozwiązaniu dwóch zasadniczych zagadnień: zagadnienia celu, sensu i wartości rozwoju i zagadnienia czynników rozwoju. W filozofii idealistycznej na tej niwie właśnie wykwitł pomysł narodu jako reprezentacyi idei czasu, wyrosła koncepcya o zadaniach i posłannictwie narodów. I idea ta jest głęboka i prawdziwa nawet ze stanowiska czysto naukowego, nawet dla tego, kto z badań naukowych wyłącza wszelkie symbole teologiczne. Bowiem każdy naród z całokształtu swych warunków ma dane do spełnienia pewnych celów w rozwoju swoim i w ogólnym postępie ludzkości, celów, które w różnych epokach mogą być różne, a których inny naród w danej chwili do spełnienia nie ma. Zbyteczną dowodzić, że np. niesienie cywilizacyi zachodniej przez Polskę na Wschód, było jej zadaniem, nie zaś zadaniem Francyi czy Anglii. Takie np. cele są zadaniami narodu, jego misya, jego posłannictwem kulturalno-historycznem.

Zadania ma naród najpierw wobec samego siebie dla wydobycia ze swoich warunków i możliwości, najintensywniej urabia-

nych, tego wszystkiego, co jest w nim najlepszego. I ma zadania wobec całej ludzkości, by spełnić leżące w jego zakresie cele i przyczynić się jaknajbardziej do wybudowania nowego, wyższego szczebla kultury. Ma więc każdy naród dziejowe posłannictwo w ogólnym rozwoju ludzkości.

Otóż samouświadomienie sobie przez naród zadań, wyłaniających się z całokształtu jego bytowania, zadań, które nakładają konieczność historyczna — nie przyrodnicza, bo to zgoła inna kategoria — a które na się wziąć musi dla zdobycia najwyższych dóbr duchowych i bogatego wszechstronnego życia narodowego; założenie celów, do których na wszystkich polach twórczości duchowej i materialnej dążyć mu należy dla dobra własnego i ogólnego; ciągle wyężdżanie sił i możliwości energetycznych dla osiągnięcia wytkniętych celów; samouświadomienie sobie jednym słowem swego posłannictwa dziejowego — stanowi filozofię historii narodowej, historyzofię narodową, jest przedmiotem filozofii z momentów wewnętrznych, z treści swej narodowej, jest filozofią narodową we właściwym tego słowa znaczeniu. Im większym jest geniusz filozofa, tem głębiej sięga w duszę narodową, za trzewia ją targa i z jej najtajniejszych głębin wyciąga te zadatki, z których rodzą się nowe funkcyje, nowe możliwości i kierunki czynu dla narodu. On zogniskowuje w sobie siły narodu i reprezentuje jego ducha. Rezultat zaś tu — odmiennie, niż w innych dziedzinach filozoficznych — staje się z momentów zewnętrznych, poza tą treścią leżących, częścią ogólnego rozwoju historycznego.

Sformułujemy tedy naszą odpowiedź na postawione zagadnienie o możliwości filozofii narodowej w ten sposób, że możliwą jest filozofia z momentów zewnętrznych narodowa, filozofia funkcjonalnie narodowa, i możliwą jest filozofia z momentów wewnętrznych, ze swej istoty, narodowa, filozofia organicznie narodowa. Tam jest filozofia objawem ducha narodu, tu duch narodu jest przedmiotem filozofii. Pierwsza — funkcjonalna — wchodzi ze swych momentów wewnętrznych w całość kulturalną ludzkości, druga — organiczna — z momentów wewnętrznych staje się częścią całokształtu historycznego.

Jeśli teraz z uzyskanymi w ten sposób kryteriami przystąpimy do oceny przedstawionej epoki naszej filozofii, to możemy stwierdzić, że nasza filozofia ówczesna była rzeczywiście narodową funkcjonalnie i organicznie, że w epoce owej nasi wieszczowie i filozofowie — jak pragnął Maurycy Mochnacki — wezwali filozofię z głębi swego ducha i wysnuli



ją z istoty swego jestestwa, że w nich naród przeniknął do swej istoty i wyciągnął ją na jaśnięć.

Obok tego faktu nasze rozwiązanie stwierdza jednak zarazem i to, że dziś filozofii z wewnętrznych momentów narodowej, niestety, nie mamy. Czy nie odczuwamy jej potrzeby? Fakt, że tematy, z filozofią narodową związane, od niejakiego czasu zaczynają być przedmiotem odczytów i artykułów czasopiśmiennych, dowodziłyby raczej, że domaga się tu głosu dawno utajone pragnienie. Pragnienia nasze jednak, jeśli są, potrzebują pomocy i poparcia. Zajmujemy się intensywnie filozofią całego świata, a własna nasza filozofia leży prawie ugiorem. Jedną z poważnych przyczyn takiego stanu rzeczy jest brak źródeł do naszej filozofii. Jesteśmy, jak bogacze, którzy zatracili klucz do skarbca swego. Posiadając wielkie tradycje filozoficzne, nie mamy do nich niemal dostępu. Źródła do naszej filozofii narodowej domagają się natarczywie wydania i naszej Akademii Umiejętności narzuca się tu zadanie, jedno z najpierwszych i najszczytniejszych. Potrzebujemy źródeł. Jeżeli Akademia usiłowania te poprze, otworzą się może dla myśli filozoficznej polskiej nowe drogi, gdyż słusznie mówi mędrzec, że „pragnienia nasze, to przecucia spoczywających w nas zdolności, zwiastuny tego wszystkiego, czego dokonać jesteśmy zdolni.“

D-R STANISŁAW GARFEIN-GARSKI.

# ZAPIS STASZICA

## I WARSZTATY JEGO IMIENIA.

Jakiś smutny los zawisł nad wielkimi fundacyami, przekazanemi nam przez przeszłość. Hrubieszów Staszica, Sztabin Brzostowskiego — jakże dalekie są te instytucye od tego, o czem myśleli wielcy ich założyciele. Do takich zmarnowanych wprost instytucyj należy zapis Staszica na Dom Zarobkowy w Warszawie.

Przez długie lata instytucya ta służyła różnym celom, lecz nigdy tym, dla których Staszic przeznaczył fundusz. Sprawa ta wymaga rewizyi i wejrzenia w nią przedewszystkiem Magistratu, jako gospodarza zakładów dobroczynnych i szpitali.

Aby wyrobić sobie o tem zdanie, niezbędnem jest rozejrzanie się w niezwykle dziwnych dziejach i losach, jakie przebywał zapis Staszica.

W r. 1824 Stanisław Staszic zapisał 500,000 złp., zabezpieczonych na majątku Wisznice, na różne cele, a mianowicie:

„Dobra moje dziedziczne, miasto Rubieszów i wszystkie należności, wsie, karczmy, młyny, stawy, lasy, folwarki, zgoła wszystko, co tę włość Rubieszowską składa i jest moją prawą własnością, przeznaczam na uszczęśliwienie mieszkańców tej włości, uwalniając ich od wszelkich powinności, danin, robót czyli pańszczyzny, nadając im grunta dziedzictwem pod warunkiem zawarcia między sobą towarzystwa rolniczego, dla wspólnego ratowania się w nieszczęściach, stosownie do ustawy temu stowarzyszeniu się przezemnie przepisanej, a od wszystkich mieszkańców tej gminy zgodnie przyjętej i już przez Najjaśniejszego Pana łaskawie zatwierdzonej. Kapitały zaś, których osobny spis pod



literą A do tego testamentu niniejszego załączam, rozporządzam następującym sposobem:

„Z sumy pięććroć sto tysięcy, hypotekowanej na całym kłuczu Wysznic z wszystkimi przyległościami w województwie Podlaskiem, zapisuję dwakroć sto tysięcy złotych polskich na szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie, z tym warunkiem, aby jedne sto tysięcy złotych robiły fundusz stały, od którego procent, czyli roczny dochód, ma być stałym corocznie dochodem na opłacenie mamek wiejskich. Drugie zaś sto tysięcy złotych ma stać się wiecznie stałym kapitałem zarobkowym, od którego coroczny procent ma być jedynie obracany na ciągłe powiększenie powyższego funduszu, opłacającego mamki, tak: że procent rocznie pobierany, jeżeliby wynosił po pięć od sta, powiększałby co lat dwadzieścia stu tysiącem złotych fundusz opłaty mamek. Sumy te tylko na pierwszej czystej połowie hypoteki lokowane być mają. Z tychże sum, hypotekowanych na dobrach Wysznickich, zapisuję dwakroć sto tysięcy na zaprowadzenie domu zarobkowego w Warszawie, lub zaprowadzenie przynajmniej sal zarobkowych, przy jakim w Warszawie instytucie lub szpitalu ubogich, czego wybór i stosowne do tego zamiaru urządzenie zostawiam Rządowi, z tym przecież warunkiem i uproszeniem:

„Pierwszy, aby jedno sto tysięcy złotych robiło stały fundusz, którego roczny dochód będzie obracany jedynie na opatrywanie sal zarobkowych, drugie zaś sto tysięcy złotych będzie składać wieczny stale zarabiający kapitał, od którego corocznie procent ma być obracany na powiększenie powyższego funduszu do utrzymywania domu lub sal zarobkowych, podobnie jak to wyraziłem przy zapisie na szpital Dzieciątka Jezus.

„Drugi mój warunek, aby w tym domu, czyli salach zarobkowych, ubodzy zarabiający byli podzieleni na klasy swych zdolności: w pierwszej klasie mieścić się mają tacy, którzy zarabiają tylko dwanaście groszy na dzień, z tych dziewięć groszy będą obracane na żywność, a trzy grosze na oszczędność zapasową dla właściwego indywiduum. W drugiej klasie mieścić się mają tacy, którzy zarabiają dwadzieścia groszy na dzień. Z tych piętnaście groszy ma być na żywność, a pięć groszy na oszczędność zapasową dla indywiduum. W trzeciej klasie mieścić się będą tacy, co zarabiają złoty polski na dzień, z tego dwadzieścia groszy na opatrywanie potrzeb życia, a groszy dziesięć na zapasową oszczędność. W czwartej klasie mieścić się mają tacy, co zarabiają więcej jak złoty na dzień, z takiego zarobku tylko połowa może być użyta na żywność, a druga połowa powinna się zbierać na

oszczędność zapasową dla właściwego indywiduum przy wychodzie z domu zarobkowego. Sumy powinny być lokowane na pierwszej połowie hipoteki.

„Z tychże sum, hipotekowanych na majątności Wysznic, zapisuję sześćdziesiąt tysięcy na fundusz czwartej klasy, czyli czwartego profesora szkoły Wydziałowej, w mieście Rubieszowie. Gdyby zaś kiedy ta szkoła Wydziałowa miała ustać, albo przeniesioną była do innego miasta, w takim razie fundusz niniejszy ma stać się własnością Towarzystwa rolniczego Rubieszowskiego, a procent od sumy sześćdziesiąt tysięcy ma być obracany na powiększenie funduszu Banku tegoż Towarzystwa rolniczego, albo jeżeliby dochody bankowe już przechodziły potrzeby pożyczek mieszkańców, w takim razie ten kapitał może być użyty na ten zamiar, do jakiego przeznaczone są zbywająca od pożyczek sumy w tytule szóstym artykułu 45 Towarzystwa Rubieszowskiego wskazane.

„Z tychże sum, hipotekowanych na Wysznicach, zapisuję resztę czterdzieści tysięcy z procentem zaległym, również sumę moją tysiąc dwieście czerwonych złotych, lokowaną na majątności w Tykocinie, w województwie Augustowskiem, sumę tysiąc czerwonych złotych, lokowaną na Opatowie w województwie Sandomierskiem, i sumę sześćset dukatów, lokowaną na dobrach pozostałych po Ignacym Działyńskim, o co sprawa w Trybunale Płockim. Ogółem te wszystkie sumy, wynoszące z procentami sto tysięcy złotych polskich, zapisuję na fundusz utrzymywania przy klinice wydziału lekarskiego, w Uniwersytecie Warszawskim Królewskim, kilku osób chorujących na pomieszenie władz umysłowych, czyli zwanych pospolicie waryatów, te zaś wszystkie sumy mają być lokowane na pierwszej połowie hipoteki.

„Mam zaległą a wysłużoną pensję w Skarbie, czterdzieści pięć tysięcy, oblikwidowaną i przyznaną, ale dotąd nie wypłaconą, chociaż podobno wysłużone pensje innym mojego stopnia urzędnikom popłacono. Raczy więc Rząd łaskawie tę zaległość pensji, za ciągłe przezemnie pełnienie służby należąca mi się, obrócić i użyć na własny swój dobroczynny Instytut głuchoniemych w Warszawie, na który ja tę moją własność czterdzieści pięć tysięcy zapisuję.

„Dla Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół Nauk zapisuję całą moją bibliotekę, rękopisma i wszystkie własne moje przedrukowane dzieła...”

Zapisy powyższe zatwierdziła Rada Administracyjna Królestwa Polskiego przez postanowienie z dn. 7 października 1826 r.



Nadmienić należy, że myśl Staszica, zawarta w jego testamencie, miała swe źródło w potrzebach, silnie odczuwanych przez ówczesne społeczeństwo. Jeszcze w r. 1819 Komisya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji zwracała uwagę Urzędu Muncypalnego m. Warszawy na potrzebę zaradzenia włóczęgostwu i żebraniu w stolicy i do sprawy tej wciąż wracała, ponawiając wciąż swe reskrypty. W r. 1821 (8 marca, № 274/3338) Komisya Rządowa oświadcza Urzędowi Muncypalnemu, że „mimo licznych reskryptów, zalecających mu staranność o poskromienie w stolicy żebractwa, dostrzegając coraz liczniej po ulicy żebrzących, przy przekonaniu o koniecznej potrzebie obmyślenia środków skuteczniej zaradzających tej zdrożności, poleca przedstawienie projektu względem założenia w tej stolicy domu zarobkowego, w którym ci ludzie, żebranie oddający się, do robót i zatrudnień rozmaitych, zdolności i siłom fizycznym każdego odpowiednich, zagnani być mogli.“ Nagłona też była Komisya Rządowa w tym kierunku i częstymi wnioskami analogicznymi ze strony Rady Obywatelskiej Województwa Mazowieckiego. To też w ciągu lat 1822 i 1823 też Komisya po parę razy do roku zapytuje Urząd Muncypalny, „co przedsięwzięciem zostało ku zamierzonemu dawniej założeniu domu zarobkowego, jako najskuteczniejszego środka ku poskromieniu żebractwa i włóczęgostwa.“

Kiedy w r. 1824 Komisya znów przypomniała sprawę, Urząd Muncypalny złożył raport (11 maja 1824 r.), że „potrzeba założenia domu zarobkowego coraz gwałtowniej czuć się daje nie tylko dla żebraków z profesyi, pracować mogących, i dla służących, nie chcących służyć, lecz bardziej jeszcze dla winowajców z więzień po wysiedzeniu kary wychodzących.“ Dalej Urząd Muncypalny żąda oznaczenia naprzód funduszów, a także porusza pytanie, czy nie praktyczniej dla taniości zakład urządzić na prowincyi. Komisya Rządowa, pod dn. 17 sierpnia 1824 r., czyli na 3 dni przed datą testamentu Staszica, odpowiada Urzędowi Muncypalnemu, że „dom zarobkowy naprzód w Warszawie urządzony być winien, fundusz zaś na pierwotny zakład onegoż w etacie zaprojektowany być może.“

Oczywista więc, że projekt Staszica wzięty był z życia i miał na celu zaspokojenie pilnej naówczas potrzeby. Są nawet ślady, wskazujące, że Staszic pierwszy podał myśl urządzenia domu zarobkowego. W każdym zaś razie później, jako członek Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych w propagowaniu tej sprawy czynny brał udział. Jednakże ani w testamencie Staszica, ani w reskryptach Komisji Rządowej, ani w postanowieniu Na-

miestnika niema mowy o domu zarobkowym dla przymusowej pracy lub dla więźniów. Nawet o żebrakach w swym testamencie Staszic nie wspomina, mówi jedynie o „ubogich,“ którzy czy to z powodu choroby, czy innych okoliczności stali się czasowo niezupełnie zdolnymi do pracy. I w tym właśnie punkcie nastąpiło pierwsze spaczenie myśli wielkiego Staszica.

Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol. oraz Urząd Muncypalny m. Warszawy mieli wciąż pilną i kłopotliwą sprawę, której załatwienie ciągle odkładano — mianowicie konieczność urządzenia w Warszawie aresztu policyjnego. Widzieliśmy, że myśl tę wyraził Urząd Muncypalny w odezwie swej do Komisji Rządowej w r. 1824.

Zapis Staszica nasunął myśl pogodzenia zamiarów jego z zaspokojeniem potrzeby aresztu. Referendarz Stanu, Jan Chyliczkowski, dyrektor generalny kancelaryi Rady Stanu, wniósł na posiedzenie ogólne tejże Rady (30 lipca 1827 r.) sprawę przyspieszenia Domu zarobkowego z funduszków Staszica, przyczem proponował, by z zakładu tego korzystać mogli i więźniowie, kończący swoją karę. Wobec gorącego zajęcia się tą sprawą Rady Stanu, Rada Administracyjna 9 sierpnia 1827 r. poleciła Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol. urzeczywistnienie Domu zarobkowego w myśl legatu Staszica. Sprawą tą zajęto się względnie dość energicznie, lecz odtąd w projekcie wciąż miano dwie połączone instytucje, t. j. Dom zarobkowy w myśl Staszica oraz areszt policyjny, pomimo tego, że już wówczas odczuwano wadliwość i niebezpieczeństwo takiego połączenia, albowiem Komisya Rządowa w odezwie swej do Rady Administracyjnej czyni uwagę: „byleby tylko tamże należycie oddzielone były.“

Ostatecznie projekt zyskał uznanie Rady Administracyjnej, która na posiedzeniu 7 kwietnia 1829 r. orzekła:

„Rada Administracyjna Królestwa, zważywszy potrzebę urządzenia w m. Warszawie osobnego aresztu policyjnego, w którymby osoby za przewinienia policyjne na mocy księgi III Kodeksu karnego przekonane, też karę przez Sąd właściwy na nie wymierzoną odsiadywać mogły, tudzież potrzebę zakładu dla żebraków i tułaczy, występniemu próżnowaniu oddanych i dla służących bez służby w myśl postanowienia Namiestnika Królewskiego z dn. 24 grudnia 1823 r. pod ściślejszy dozór policyjny przechodzących, w którymby zamiar dobroczynny ś. p. Ministra Staszica dania przytułku i dostarczania roboty ludziom mógł być do skutku doprowadzony, upoważnia Kom. Spraw Wewn. i Pol., aby na zakład, w mowie będący, zarządziła obranie i zakupienie lub wystawienie



domu w Warszawie, zamiarom wzwyz wspomnianym odpowiadajacego, uzyła:

1) Polowe kapitalu 200,000 zl., przez s. p. Staszica na Dom zarobkowy zapisanego, a z dobr Wysznickich juz podniesionego i stalego ulokowania potrzebujacego, z zastrzezeniem, iz suma, jaka na ten przedmiot uzyje, na hipotece rzeczzonego domu zapisana i osobne sale pod nazwiskiem Staszica w owymze urzadzone zostana;

2) Gotowy fundusz w Biurze kontroli sluzacych dotad uzbierany;

3) Procent od sum na zaprowadzenie Domu lub sal zarobkowych, przez s. p. Ministra Staszica zapisanych, od czasu smierci Testatora uzbierany.

„Na utrzymanie zas dalsze tego nowego zakladu przeznaczamy zaproponowane przez Kom. Spraw Wewn. i Pol. fundusze, a mianowicie:

1) Fundusz na utrzymanie wiezienia policyjnego na etacie Urzadu Muncypalnego m. Warszawy corocznie zamieszczany;

2) Dochod biezacy z Biura kontroli sluzacych, ile go po potraceriu juz dysponowanych stalych wydatkow wystarczy;

3) Procent od procentu drugich stu tysiecy, ktore w mysl dyspozycji, w testamencie s. p. Staszica zawartej, maja uksztaliec kapital, tak i biezacy procent ciagle w kapital na byc obracany, a procent od niego na utrzymanie sal zarobkowych uzywany. Wykonanie tego Kom. Spraw Wewn. i Pol. poleca.“ (Podp. Sekretarz Stanu Gen. Dyw. Kossecki).

Zgodnie z powyzszem postanowieniem nabyto posesye za rogatką Wolską № 3102/3 na prawie emfiteutycznym, ktorej *dominium directum* nalezalo do Zgromadzenia ks. Misyonarzy, a ktora byla w posiadaniu Kahla za czynszem rocznym 324½ zl. Posesye te, zlozona z budynkow murowanych i bardzo obszernego placu, bo 94,056 lokci kwadr. liczacego,<sup>1)</sup> kupiono za sumę 96,800 zl., wzieyta z funduszu Staszica. W akcie sprzedazy prawo wlasnosci zapisano na imie Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol., lecz w tej formie akt ten, jak zobaczmy nizej, nie zostal zatwierdzony przez Wydzial hipoteczny.

Po dokonaniu tej transakcji, przystapiono do koniecznych przerobek i wewnetrznego urzadzenia. Na ten cel wydatkowano:

<sup>1)</sup> Wedlug pomiarow geometry przysieglego, Kolberga, przestrzen placu wynosila 1,672 pretow i 8 precikow, czyli 94,056 lokci kwadr.

1) z funduszu Staszica 19,173 złp. 23 gr. i 2) z funduszu Biura kontroli służących 6,838 złp. 18 gr. Razem przeto z funduszu Staszica użyto: 115,973 złp. 23 gr.

W maju 1830 r. zakład otwarto pod nazwą „Domu zarobkowego,“ zmienioną wkrótce przez Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol. (8 czerwca 1830 r.) na „Dom przytułku i pracy.“

Już w pierwotnym planie i programie zakładu widać połączenie celów i zamiarów Staszica z potrzebami rządowemi. Według bowiem tymczasowego urzędnika Domu zarobkowego w Warszawie z dn. 30 października 1829 r. zakład miał służyć: 1) na sale zarobkowe Staszica<sup>1)</sup>; 2) na areszt policyjny; 3) na areszt za długi. Zorganizowanie całego zakładu Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol. poleciła Fryderykowi Skarbkowi. Ponieważ zakład miał charakter instytucji dobroczynnej, przeto Skarbek, zgodnie z zezwoleniem Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol. z dn. 17 lipca 1830 r., zwrócił się o pomoc do społeczeństwa. Na odgłos ten przedewszystkiem odezwało się Zgromadzenie kupców warszawskich ze starszym swym Fr. Sejdlem, którzy drogą składek nabyli urządzenia wewnętrzne, meble, bieliznę, pościel, oraz niezbędny dla warsztatów inwentarz, a nadto zobowiązali się do rocznych dobrowolnych składek na ten cel w sumie 5,839 złp. 10 gr. Z ofiar kupców przedewszystkiem miał być utrzymywany oddział kalek i starców.

Zakład otwarty w dn. 26 maja 1830 r. funkcyonował do 1 grudnia tegoż roku. Wobec Rewolucyi zmienił przeznaczenie. Mianowicie naprzód został obrócony na szpital wojskowy, później zaś na więzienie polityczne i jako taki stał się przedmiotem pamiętnych zajść w nocy z 15 na 16 sierpnia 1831 r., kiedy tłum zburzył po części budynek. Reszty dokonał ogień: dn. 8 września 1831 r. w czasie szturmury Warszawy zginęły wszystkie budynki wraz z całym inwentarzem ruchomym.

Po stłumieniu Rewolucyi, Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol., za upoważnieniem Rządu Tymczasowego, przystąpiła do odtworzenia Domu przytułku i pracy. W ciągu lat 1832 i 1833 wzniesiono nowe budynki, istniejące do dnia dzisiejszego, na co użyto gotówki z dwóch źródeł: 1) z wynagrodzenia od Towarzystwa ogniowego złp. 33,933 gr. 10 i 2) z Biura kontroli służących złp. 39,746 gr. 20.

---

<sup>1)</sup> „Sale zarobkowe Staszica przeznaczone są dla żebraków, włóczęgów, tułaczy i ludzi luźnych bez stałego zamieszkania. Mają być ciągle zatrudniani bądź to posługami domowemi, bądź robotami fabrycznemi lub w ogrodzie.“



W styczniu 1834 r. zakład został ponownie otwarty, przy czem jednocześnie wydano nową instrukcyę. Według niej zakład został przeznaczony dla zajęcia uczciwą pracą włóczęgów, próżniaków i wogóle ludzi złego prowadzenia, zatrzymywanych przez policyę. Zakład był podzielony na dwa oddziały: męski i żeński. Do męskiego przyjmowano: 1) włóczęgów, zatrzymywanych na ulicach m. Warszawy, nie mających stałego zamieszkania i sposobu do życia; 2) żebraków zdatnych i niezdatnych do pracy; 3) służących, zostających bez służby dłużej nad miesiąc; 4) przestępców uwolnionych z więzień, nie mających przytułku i środków do życia; 5) nieletnich do lat 14, włóczących się i żebrzących po ulicach miasta. Do oddziału żeńskiego przyjmowano: 1) kobiety nierządne, które po wyjściu ze szpitala św. Łazarza nie wskażą stałego zamieszkania i uczciwych środków do życia; 2) żebraczki zdadne lub niezdatne do pracy; 3) kobiety bez stałego zamieszkania i zajęcia, oddające się włóczęgostwu i nierządowi; 4) dziewczynki do lat 12, ujęte na włóczęgostwie i żebractwie.

Środki na utrzymanie zakładu wyznaczono z następujących źródeł: 1) fundusz corocznie wypłacany z Biura kontroli służących 30,000 złp. (4,500 rb.); 2) roczna zapomoga rządowa 20,000 złp. (3,000 rb.); 3) zarobki osób pomieszczonych w zakładzie; 4) dochód z ogrodu instytucyjowego; 5) dobrowolne ofiary.

Zakład—a przynajmniej liczba jego pensyonarzy szybko rosła, tak że wkrótce etat powiększono do 200 osób, a w r. 1840 otwarto podobny zakład w Górze Kalwaryi, który stał się filią Domu przytułku i pracy. Zakład w Górze Kalwaryi, jako filia, pozostawał pod tym samym zarządem i przeznaczony został wyłącznie dla starców i kalek, zatrzymywanych na ulicach m. Warszawy.

Chociaż, jak widzieliśmy, Dom przytułku i pracy miał charakter zakładu państwowego, był aresztem policyjnym i zakładem poprawczo-karnym i w tym okresie dalekim był od zamierzeń Staszica, jednakże nie przestawał być zaliczany do zakładów dobroczynnych: pamiętano bowiem, że zakład ten powstał z fundacyi Staszica. Że Rząd ówczesny tak na to patrzył, świadczą o tem dokumenty. W 1833 r. (30 kwietnia, № 27784) Komisya Rządowa Przychodów i Skarbu oświadczyła, że „podzielając zdanie Kom. Spraw Wewn., iż Dom zarobkowy, na który uczyniony został testamentem ś. p. Staszica zapis 30,000 rb., jest rzeczywiście domem ubogich, opłatę stempla kollateralnego, od tego zapisu poszukiwaną, uchyliła.“

Następnie, kiedy 2 marca (18 lutego) 1842 r. na podstawie Najwyższego Ukazu wszelkie zakłady dobroczynne i wogóle opieka nad biednymi przekazane zostały Radzie Głównej Opiekuńczej Królestwa Polskiego, wówczas i Dom przytułku i pracy oddano pod zarząd tejsze Rady Głównej. Wkrótce wydano nową instrukcyę dla zakładu, zatwierdzoną przez Radę Gł. Opiek. 19 lipca 1844 r., obowiązującą do 1884 r. Podług tej instrukcyi przyjmowano do zakładu dla zajęć pracą pożyteczną: 1) włóczęgów zatrzymanych na ulicach Warszawy, nie mających stałego zamieszkania i godziwych środków utrzymania; 2) żebraków; 3) służących obojga płci, nie mających miejsca dłużej, niż trzy miesiące; 4) więźniów, mężczyzn i kobiet, uwolnionych z więzień i nie mających przytułku ani środków do życia; 5) kobiety nierządne, uwolnione ze szpitala, a nie życzące sobie nadal pozostawać w domach publicznych. Dla przyjęcia do zakładu osób, należących do powyższych kategorii, niezbędnem było każdorazowo specjalne rozporządzenie oberpolicmajstra Warszawy z oznaczeniem powodu umieszczenia w zakładzie, oraz terminu, do którego dana osoba miała być trzymana w zakładzie.

Po objęciu kierownictwa Domem przytułku i pracy, Rada Opiekuńcza postanowiła uregulować prawne położenie zakładu. Mianowicie, jak wyżej wzmiankowałem, posesya № 3102/3 została nabyta w 1829 r. z funduszu Staszica na imię Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Pol. W 1845 r. taż Komisya wyjaśniła<sup>1)</sup>, że przepisanie

<sup>1)</sup> Ze względu na ważność, przytaczamy odnośny dokument:

Komisya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Wydział Rady Głównej Opiekuńczej. Warszawa, dnia 5 (17) kwietnia 1845 r. № 1403/32871. Do Rady Opiekuńczej Domu Przytułku i Pracy w Warszawie.

W rozwiązaniu uczynionego przez Radę Opiekuńczą pod dn. 25 lipca (6 sierpnia) z. r. № 1616 wniosku względem wyjednania u Rady Administracyjnej zezwolenia na to, aby tytuł własności posesyi № 3102 i 3103, w których mieści się zakład przytułku i pracy, mógł być uregulowanym na imię tegoż Instytutu, Komisya Rządowa oświadcza:

Że nie widzi potrzeby udawać się w tej mierze po decyzję do Rady Administracyjnej, albowiem taż Rada postanowieniem swoim z dn. 7 kwietnia 1829 r., upoważniając b. Komisję Rządową Spraw Wewn. i Pol. do zakupienia z funduszu przez ś. p. Staszica zapisanego jakiej nieruchomości w Warszawie, wyrzekła zarazem, iż nabycie to ma się uskutecznić w celu urządzenia zakładu zarobkowego dla żebraków i włóczęgów nałogowych; uregulowanie zaś tytułu własności na imię Rządu zakupionych z mocy powyższego upoważnienia posesyi № 3102 i 3103 nastąpiło stąd, że delegowany przez Komisję Rządową



w r. 1829 prawa własności na imię Rządu było nieprawidłowe i że nabyta z rozporządzenia Rządu nieruchomości stanowi prawną własność Domu przytulku i pracy. Zgodnie z tem nieruchomości № 3102/3 w dziale II wykazu hipotecznego zapisano jako własność Domu przytulku i pracy.<sup>1)</sup>

---

do tej czynności ówczesny b. radca prawny Tarczewski zadeklarował w kontrakcie kupna i sprzedaży 30 września 1829 r. to kupno na rzecz Rządu, wskutek czego treść w tej sprawie do działu II wykazu hipotecznego zaprojektowaną i przez wydział hipoteczny b. Województwa Mazowieckiego na dniu 30 listopada 1829 r. zatwierdzoną została.

Gdy zaś wola zapisodawcy, jako też wzmiankowane wyżej postanowienie Rady Administracyjnej, przeznaczają w sprawie będącej nieruchomości na rzecz i użytek Instytutu Domu Przytulku i Pracy, a tem samem zachodzi potrzeba sprostowania tytułu własności, Komisya Rządowa upoważnia Radę Opiekunczą do zeznania przez Delegowanego wniosku w księdze wieczystej posesyj № 3102 i 3103 objaśniającego:

Że nieruchomości te kontraktem z dnia 30 września 1829 r. nabyte są z upoważnienia Rządu na założenie Domu Przytulku i Pracy i że stanowią istotną własność nie Rządu, ale raczej powołanego Domu Przytulku i Pracy.

A następnie żądać:

Aby stosownie do tego objaśnienia tytuł własności posesyi № 3102 i 3103 na rzecz Domu Przytulku i Pracy w Warszawie był uregulowany.

Prezes Radca Stanu (podp.) Hr. Skarbek.

<sup>1)</sup> Nieruchomość omawiana posiada urzędową hipotekę. Księga hipoteczna № 3102 i 3103 przechowuje się w Archiwum hipotecznym miejskim warszawskiego Sądu okręgowego.

W wykazie hipotecznym znajdują się następujące pozycje: Dział I. Nieruchomość № 3102 i 3103 przy ul. Wolskiej w Warszawie leży na gruncie emfiteutycznym. Dział II. Posiada Dom Przytulku i Pracy na prawie własności na podstawie następującej: Postanowieniem władz hipotecznych z dn. 30 listopada 1829 r. prawo własności tej nieruchomości, nabytej od poprzedniego właściciela Karola Kahle za kontraktem z dn. 30 września 1829 r., zapisane zostało na imię Rządu Królestwa Polskiego. Na mocy rozporządzenia Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Duch. z dn. 17 kwietnia 1845 r. za № 1403/32871 prawo własności tej nieruchomości przepisano na Dom Przytulku i Pracy, jako rzeczywiście nabytej przez Rząd w celu urządzenia wymienionego zakładu z funduszu legowanego przez ministra sekretarza stanu Staszica. Nieruchomość nabyto za sumę 96,800 złp. (14,520 rb.). Zapis do wykazu hipotecznego uczyniony na mocy postanowienia hipotecznego z dn. 26 września (8 października) 1845 r. Dział III. Posiadacz nieruchomości obowiązany jest corocznie wносить do skarbu jako czynsz 48,62¼ rb. Zapis ten do wykazu hipotecznego uczyniony na mocy postanowienia hipotecznego z dn. 16 (28) maja 1866 r. Dział IV. Żadnych zapisów niema.

Jakkolwiek sytuacja prawna zakładu została uregulowana, jakkolwiek prawnie była to instytucja prywatna, powstała z fundacji Staszica, Rząd (Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Duch.) nie przestawał korzystać z zakładu dla celów własnych rządowych. Niefortunne połączenie zakładu prywatnego dobroczynnego, założonego w myśl legatu Staszica, z instytucją czysto rządową (areszt policyjny) prowadziło wciąż do coraz dziwniejszych powikłań skutkiem późniejszych zarządzeń. Doświadczenie z lat 1830 i 1832 pouczyło, że takie współzycie dwóch odrębnego typu instytucyj jest niemożliwe. Lecz korzystać z tego doświadczenia nie chciano.

Ponieważ w rzeczywistości był to zakład poprawczo-karny i areszt policyjny, nie mający nic wspólnego z zamiarami Staszica, przeto chciano sztucznie stworzyć coś, coby odpowiadało planom Staszica. W 1846 r. na mocy postanowienia Namiestnika Królestwa Polskiego urządzono warsztaty tkackie i sukiennicze, lecz już po trzech latach warsztaty te zamknięto (rozporządzenie Rady Gł. Opiek. z dn. 15 (27) lipca 1849 r.) z tego powodu, że warsztaty te nie przynosiły zysków.

O ile zaszczerpienie elementu dobroczynnego w tym dwoistym zakładzie nie udawało się, natomiast charakter instytucji rządowej zakładu poprawczo-karnego rozwijał się coraz bardziej. Podług instrukcyi 1844 r. do zakładu mogły być przyjmowane tylko osoby, które popełniły jakieś wykroczenie. Jeżeli ktoś brał na służbę lub wogóle do pracy osobę z Domu przytułku i pracy, musiał być składać poręczenie, że osoba ta w przyszłości nie dopuści się przewinienia, za które przedtem została zatrzymana w Domu przytułku przez policję. Już sam fakt, że umieszczanie osób w Domu przytułku i pracy dokonywało się jedynie przez policję, świadczył o charakterze zakładu. Charakter ten uwydatnił się bardziej jeszcze wobec tego, iż art. 649 Kodeksu kar głównych i poprawczych 1847 r., oraz art. 635 Ustawy gminnej nakazywały umieszczać włóczęgów w Domu przytułku i pracy. Dlatego też w opinii ludności Dom przytułku i pracy był nie zakładem dobroczynnym, lecz więzieniem.

Już współcześni działacze społeczni i autorzy zwracali uwagę, że zakład przybrał charakter niezgodny z celami Staszica, który zamierzał stworzyć zakład nie poprawczo-karny, ani też czysto dobroczynny (przytułek), lecz pragnął dać sposób zarobkowania tym, którzy skutkiem osłabienia po chorobie lub innych warunków czasowo nie byli zdolni do pracy cięższej.



Nawet i władze administracyjne odczuwały nienormalność położenia. Parokrotnie, jak widzieliśmy, były usiłowania stworzenia obok aresztu policyjnego i sal zarobkowych w myśl legatu Staszica. Lecz próby te były bezskuteczne. W 1853 r. zamierzano uczynić krok bardziej stanowczy, mianowicie zupełne oddzielenie dwóch instytucyj. Mianowicie Namiestnik postanowił, aby Dom przytułku i pracy zachował dotychczasowy charakter zakładu karnego i jako taki został oddany pod bezpośredni zarząd Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Duch., zaś sale zarobkowe miały być urządzone w innem miejscu. Lecz i to postanowienie nie weszło w życie i wszystko pozostało po dawnemu.

Jednym z ostatnich aktów zniesionej w 1870 r. Rady Gł. Opiek. Zakładów Dobroczynnych w Królestwie był projekt reformy sal zarobkowych Staszica. Na posiedzeniu, odbytem 3 stycznia 1870 r., Rada uchwaliła: Ze względu, że kapitał w końcu r. 1869 wynosił przeszło 96,900 rb., zachować podług testamentu podział sumy na kapitały stałe i zarabiające, a z reszty: a) urządzić dla ludności wyrobniczej roboty rolnicze i ogrodnicze, a także rąbanie, tarcie i rozwózkę drzewa, powroźnictwo, wyroby słomiane, koszykarstwo, krajczarstwo, przerabianie włosów, wełny, darcie pierza, szarpi, szycie, robienie pończoch, siatek, worków, bielizny szpitalnej, szewctwo, krawiectwo i t. p.; b) odbyć wyrobów ułatwić przez łączną ich dostawę dla wszystkich zakładów dobroczynnych w Warszawie; c) istniejąc przy jednym z instytucyj dla ubogich, sale zarobkowe mogłyby mieć dostateczny fundusz na 250 do 300 osób dziennie, chociaż byłoby pożądanem otrzymanie bezpłatnie jednej z posesyj rządowych z obszernym ogrodem; d) do składu Rady Zarządu tego zakładu powołać osoby trudniące się czynnościami handlowo-przemysłowemi i rzemieślniczemi; e) utworzyć Komitet z opiekunów szpitali i domów schronienia w Warszawie dla obmyślenia rodzaju i sposobu dostarczania przedmiotów dla każdego z tych instytucyj; f) przy projektowanych salach urządzić biuro informacyjne do wynajmu robotników poza obrębem zakładu: do prania bielizny, do robót w ogrodach wiejskich i t. p.

Projekt ten wprowadził dwie nowe zmiany: pracę w zakładzie dla ubogich przychodzących, oraz pracę poza zakładem. Projekt ten Komitet zarządzający przekazał przyszłej Radzie Miejskiej Warsz. Dobr. Publicznej, która jednak dalszego biegu mu nie nadała.

Jak wspominaliśmy, pierwotna fundacya Staszica została zwichnięta przez połączenie jej z aresztem policyjnym dlatego, że w momencie jej zakładania Rząd potrzebował lokalu na areszt

policyjny. Ta przygodność, obracanie zakładu na jakiś cel, ilekroć tego wymagała gwałtowna jakaś potrzeba, prześladowała zakład stale w ciągu długich lat.

Już wyżej zaznaczyliśmy, że wkrótce po otwarciu zakład został obrócony na szpital wojskowy, później na areszt więźniów politycznych. W 1848 r., w czasie epidemii cholery, zakład był przekształcony na szpital choleryczny; także przeznaczenie miał w czasie epidemii cholery w latach 1852 i 1855. W 1854 r., wobec wielkiego przepełnienia szpitali warszawskich, Kom. Rząd. Spraw Wewn. i Duch. poleciła urządzić tu szpital czasowy dla 200 chorych, który funkcjonował od 25 czerwca do 26 września 1854 r. Również urządzano czasowe szpitale: w 1855 r. na 150 chorych (od 14 marca do 15 maja) i w latach 1861 i 1862. W 1846 r., wobec bardzo surowej zimy, urządzono na mocy postanowienia Namiestnika sale zimowe, jako przytułek dla ubogich mieszkańców m. Warszawy. W 1844 r. Rada Gł. Opiek. nakazała urządzić przytułek dla małych dzieci, znajdujących na ulicach bez dozoru. Wreszcie w 1853 r. sposobem próby urządzono tu sale poprawcze dla żebrzących dziewczyn i sale te istniały od 1 sierpnia 1853 r. do 31 lipca 1854 r.

Dla ścisłości historycznej nadmienić należy, że przez pewien czas Dom przytułku i pracy połączony był z innym zakładem dobroczynnym, mianowicie z Instytutem moralnie zaniedbanych dzieci. W r. 1834 na terytorjum Staszica zbudowano z funduszków Instytutu oficynę, w której pomieszczono od 1 stycznia r. 1835 Instytut moralnie zaniedbanych dzieci: w miejscu tym Instytut przetrwał do r. 1845, skąd był przeniesiony do t. zw. Domu zdrowia przy ul. Ordynackiej.

Jak widać z powyższego wyliczenia, było tu wszystko, prócz tego, czego chciał Staszic.

Lecz wszystkie te cele były przygodne, zależnie od potrzeb bieżących, stałem zaś, głównem przeznaczeniem był areszt, więzienie policyjne.

Kiedy w r. 1876 nastąpiła reforma sądowa i sądy policyjne zostały zniesione, zniknął naraz cel istnienia Domu przytułku i pracy o dotychczasowym charakterze. Policja, nie mając już atrybucyj sądowych, przestała wysyłać do tego zakładu osoby, skazane na czasowe zamknięcie w Domu przytułku. I znowuż zakład miał zaspokajać przygodne potrzeby. Naprzód zaczęto tam przyjmować niedołążnych starców i chorych nieuleczalnych, dostarczanych z rozporządzenia oberpolicmajstra.



Lecz już w początku r. 1877 (17 marca) z polecenia Warszawskiej Rady Miejskiej Dobroczynności Publicznej, która przejęła w r. 1870 obowiązki i władzę Rady Głównej Opiekuńczej, wobec braku szpitali w Warszawie otwarto szpital pod nazwą Szpital czasowy przy Domu przytułku i pracy, który w r. 1883 został przekształcony na szpital stały pod nazwą Szpitala Wolskiego.

Takie zwichnienie instytucji leżało szczególnie na sercu gen. Radoszkowskiemu, kuratorowi zakładu, który przedsięwziął starania, by wola Staszica została wreszcie urzeczywistniona. Dzięki temu 21 września r. 1884 wydany został Ukaz Najwyższy, nakazujący otwarcie przy szpitalu Wolskim warsztatów im. Staszica, a zarazem polecający ministrowi spraw wewnętrznych opracowanie dla tych warsztatów czasowych przepisów, które po upływie lat trzech powinny być ostatecznie opracowane i zatwierdzone. Stosując się do tego Ukazu, opracowano projekt budowy nowego gmachu na terytorium Staszica na warsztaty. W r. 1890 wzniesiono nową oficynę kosztem 33,000 rb. z funduszu Staszica i w tymże roku otwarto warsztaty imienia ofiarodawcy.

Ponieważ zgodnie z powyższym Ukazem po 3 latach należało uzyskać ostateczne zatwierdzenie czasowej instrukcji, przeto gen. Radoszkowski przedstawił w r. 1894 Radzie Miejskiej Dobr. Publ. projekt, opracowany przez komisję pod jego przewodnictwem. Projektu tego Rada Miejska nie zatwierdziła, lecz wyznaczyła w r. 1898 nową komisję pod przewodnictwem inspektora szpitali P. Troickiego. Jednak wyniki pracy i tej komisji nie uzyskały zatwierdzenia. Powstało bowiem pytanie, kto jest prawnym właścicielem zakładu b. Domu przytułku i pracy, i sukcesora jego — szpitala Wolskiego i warsztatów im. Staszica? Znów przeto w r. 1901 wyznaczono nową komisję pod przewodnictwem A. Ziętkowskiego, która również nie posunęła sprawy dalej.

Dla pełności obrazu musimy tu podać jeszcze nieco danych o finansowem położeniu zakładu.

Jak już zaznaczyliśmy, nabycie posesyi № 3102/3 i budynków nastąpiło z funduszków Staszica. Urządzenie wewnętrzne zakładu dokonaniem zostało poczęści również z funduszu Staszica, a poczęści z ofiar dobrowolnych od społeczeństwa oraz z zasiłku z Biura kontroli służących. Po pożarze nowe budowle zostały wzniesione z funduszu otrzymanego od Towarzystwa ubezpieczeń i z sumy 5,962 rb., zaczerpniętej z Biura kontroli służących. Środki na utrzymanie swe instytucya czerpała z jednej strony z Biura kontroli służących, zasiłku skarbowego, z drugiej — z fundacyi

Staszica (dochód z ogrodów instytucyjnych) i ofiar prywatnych, wreszcie z zarobków pensjonarzy. W r. 1844 Komisya Rząd. Spr. Wewn. poleciła, aby na utrzymanie Domu przytułku i pracy były obracane także odsetki pierwszej części kapitału Staszica. Lecz rozporządzenie to nie weszło w życie. Natomiast Rada Gł. Opiek. poleciła odsetki te dołączać w listach zastawnych do ogólnej masy funduszu Staszica. Ponawiając to rozporządzenie z poleceniem wnoszenia procentów do Banku polskiego, Rada Gł. Opiek. w r. 1850 zaznacza, że pieniądze te są przeznaczone na urządzenie sal zarobkowych, które mają powstać w myśl legatu Staszica.

Oprócz kapitału głównego, legowanego przez Staszica, z czasem przybywały legaty innych osób na tenże cel, t. j. na instytucję Staszica. <sup>1)</sup>

1) 1) Legat Wierzejskiego . . . . .	1835 r. — 48.72 $\frac{1}{4}$ rb.
2) " Jaskowica . . . . .	1849 " — 125 rb.
3) " Flataua . . . . .	1865 " — 500 "
4) " Józefa Cieślińskiego Junoszy. . . . .	1855 " — 450 "
5) " Maksymiliana Jelinka. . . . .	1892 " — 100 "
6) " Jana Stopeczyka . . . . .	1901 " — 600 "

Stan funduszy obu instytucyj, t. j. warsztatów imienia Staszica i szpitala Wolskiego przedstawia się w dniu 1 stycznia 1907 r. jak następuje:

Kapitały warsztatów Staszica:

A. Kapitał stały, od którego odsetki użytkowane są na potrzeby zakładu:

196,000 rb. w 4% rencie państwowej.

43,800 rb. w 5% listach zastawnych m. Warszawy.

4,700 rb. w 3 $\frac{1}{2}$ % listach Banku ziemskiego szlacheckiego.

96.23 rb. w gotowiznie w Kasie oszczędności.

Razem . . . 244,596.23 rb.

B. Kapitał zarobkowy w wysokości 15,000 rb., od którego odsetki dołączają się do kapitału pod literą A wymienionego:

24,300 rb. w 4% rencie państwowej.

100 rb. w 3 $\frac{1}{2}$ % listach Banku szlacheckiego ziemskiego.

64.29 rb. w gotowiznie w Kasie oszczędności.

Razem . . . 24,464.29 rb.

C. Kapitały szpitala Wolskiego:

3,850 rb. w 5% listach zastawnych m. Warszawy.

100 rb. w 4% udziałach Warsz. Bydgoskiej Drogi Żel.

2 rb. " " " "

600 rb. w 3 $\frac{1}{2}$ % listach zast. Banku szlacheckiego ziemskiego.

30,600 rb. w 4% rencie państwowej.

191.85 rb. w gotowiznie w Kasie oszczędności.

Razem . . . 35,343.85 rb.



Dotknąć tu jeszcze należy sprawy pochodzenia kapitału, stanowiącego własność szpitala Wolskiego, a wynoszącego 1 stycznia 1907 r. 35,343.85 rb. Historya tego szpitala, który powstał zupełnie przygodnie i znikąd nie otrzymał ani legatów, ani jakichkolwiek zasiłków, wyłącza fakt, aby szpital mógł istotnie posiadać jakikolwiek własny kapitał. Jest to niewątpliwie pozostałość po dawnym Domu przytułku i pracy, która w r. 1870 w chwili przejścia zakładu pod zarząd Rady Miejskiej Dobr. Publ. wynosiła 30,885.79 rb. W jakim stopniu suma ta zawdzięcza swe pochodzenie dochodom z fundacyi, a w jakim dochodom z innych, wyżej wzmiankowanych źródeł—rozstrzygnąć obecnie niepodobna.

Jednym z najbardziej charakterystycznych momentów w dziejach omawianego zakładu było powstanie szpitala Wolskiego. Z jednej strony w r. 1876, zresztą jak i obecnie, w Warszawie odczuwał się brak szpitali; z drugiej zaś był lokal chwilowo opróżniony z aresztantów skutkiem reformy sądowej. Postanowiono skorzystać i umieścić tu szpital, tembardziej, że były już precedensy, gdyż jak to widzieliśmy zakład ten stale służył do zaspakajania różnych potrzeb miasta. Sprawy fundacyi Staszica wtedy nie poruszano. W 10 lat później, bo 6 kwietnia r. 1887 Warszawska Rada Miejska sprawę losów tego zakładu i nadania mu charakteru bardziej dobroczynnego, postanowiła odłożyć na czas nieokreślony. Niezmiernie też ciekawymi są późniejsze metamorfozy szpitala, uwidoczniające się w jego nazwach urzędowych. Pierwiastkowo nowy szpital nie otrzymał nawet nazwy szpitala. Nazywano go, jak dawniej, Domem przytułku i pracy. Wynikało to stąd, że—jak mniemano wówczas — było to czasowe pomieszczenie chorych w cudzym lokalu. Później pomieszczenie to nazwano szpitalem czasowym przy Domu przytułku i pracy, a później jeszcze szpitalem Wolskim przy Domu przytułku i pracy. Jednocześnie ze zmianą tych nazw zmieniał się charakter i położenie prawne zakładu. Pierwiastkowo Dom przytułku i pracy był gospodarzem, czasowy szpital—lokatorem. Później jednak role się zmieniły. W r. 1884, kiedy były wydane czasowe prawidła dla warsztatów Staszica, we wspomnianym wyżej Ukazie Najwyższym warsztaty są już nazwane: „Warsztaty Staszica przy szpitalu Wolskim,“ t. j. szpital Wolski występuje już jako zakład zasadniczy, jako właściciel, zaś warsztaty, jako lokator, korzystający z gościnności szpitala.

I te metamorfozy sprawiły, że nie dość było faktu zajęcia fundacyi Staszica, lecz później już teoretycznie i prawnie poczęto kwestyonować prawa tej fundacyi do całej instytucyi i posesyi

№№ 3102-3103. To właśnie było jedną z przyczyn tworzenia licznych bez końca komisyj, które do żadnego rezultatu nie doszły.

Aby zbliżyć się do rozstrzygnięcia sprawy, musimy tu streścić przebieg historyczny zakładu.

W r. 1829 z rozporządzenia Rządu została nabyta posesya № 3102/3 z funduszu Staszica, składająca się z 6,837.95 sążni kwadratowych i budynków, a to w celu stworzenia instytucji w myśl legatu Staszica. Rząd, któremu Staszic w testamencie swym pozostawił „wybór i stosowne do tego zamiaru urządzenie,“ postanowił założyć Dom zarobkowy. Lecz jednocześnie Rząd przy instytucji tej otworzył areszt policyjny, który był wówczas władzom potrzebny. Wobec tego logicznem jest, że w wykazie hipotecznym posesyi № 3102/3 jako właściciel jej zapisana została instytucja Staszica, Dom zarobkowy, później nazwany Domem przytułku i pracy. Rząd, względnie jego instytucja, t. j. areszt policyjny w stosunku do Domu przytułku i pracy był tylko dzierżawcą lub lokatorem. Wszakże areszt policyjny nie mógł uchodzić za instytucję, o której myślał Staszic. Z początku prawna sytuacja była jasna.

Wkrótce jednak sprawa zaczyna się gmatwać. Po pożarze zakładu nowe budynki powstają częściowo z funduszków Staszica (wynagrodzenie z Dyrekcji ubezpieczeń, jako zwrot strat za uszkodzenie nieruchomości nabytej z funduszków Staszica), częściowo z funduszków Biura kontroli służących. Tę ostatnią pozycję można było traktować jako zasilek Rządu dla zakładu dobroczynnego, albo też jako wkład Rządu na budynki, z których sam Rząd korzysta dla własnych celów. Instrukcye rządowe z 1834 i 1844, nadające zakładowi charakter podwójny—aresztu policyjnego oraz jakiegoś zakładu dobroczynnego, mającego na celu walkę z żebractwem, zaciemniły sprawę jeszcze bardziej, a jednocześnie nadały mu charakter zupełnie niezgodny z zamiarami Staszica i z pojęciem zakładu dobroczynnego wogóle. Pomimo to nietylko społeczeństwo, lecz i władze rządowe uważają zakład za instytucję dobroczynną. W r. 1839 Komisya Rząd. Przych. i Skarbu zwalnia fundację Staszica, jako zakład dobroczynny od opłaty stempla. Później zaś prawo r. 1842 o zakładach dobroczynnych zalicza Dom przytułku i pracy do prywatnych zakładów dobroczynnych i z tego powodu oddaje go pod pieczę Rady Głównej Opiekuńczej. Pomimo to w dalszym ciągu zakład spełniał funkcje instytucji czysto rządowej.

Wprawdzie zakład ten utrzymywał się częściowo z funduszków skarbowych. Lecz fakt ten nie może wpływać na prawo



własności względem instytucji i posesyi № 3102 3. Rząd korzystał z prywatnego zakładu dla swoich celów, dla zakładu państwowego i utrzymywał go też z własnych funduszków. Zresztą, jak to przekonywa szkic historyczny, Komisya Rząd. Spr. Wewn. patrzyła stale na Dom przytułku i pracy, jako na zakład prywatny. I istotnie Komisya nosiła się wciąż z myślą przekształcenia zakładu w myśl legatu Staszica, lecz brakło zawsze czasu, a natomiast zjawiały się coraz nowe potrzeby, dla których Dom przytułku i pracy nadawał się bardzo, stając się coraz bardziej zakładem „do wszystkiego.“ I społeczeństwo patrzyło zawsze na ten zakład jako na instytucję dobroczynną. Wszakże jeśli były ofiary i zapisy na Dom przytułku i pracy, to nie dlatego, że tam się mieścił areszt policyjny, lecz dlatego, że był to zakład prywatny dobroczynny, opromieniony pamięcią Staszica.

Największe jednak powikłanie sprawy powstało, gdy Warszawska Rada Miejska Dobr. Publ., korzystając z nieokreślonego przeznaczenia zakładu, urządziła tam szpital, który stopniowo z roli skromnego, nieproszonego zresztą lokatora, stał się panem, gospodarzem.

I po tem wszystkim, jakby korona licznych a smutnych perypetyj fundacyi Staszica, w oczach pewnych osób zjawiała się nawet wątpliwość i kwestya sporna, czyją własność stanowi prawnie posesya zajmowana przez szpital Wolski i warsztaty Staszica.

Taka gospodarka, nielicząca się z prawem, lecz kierująca się doraźnymi, dostosowanymi do chwilowych potrzeb względami, ujawniła się i w szczegółach. Całe terytorjum, stanowiące jedną całość i własność zakładu Staszica, rozdzielono na dwie części. Podziału tego dokonano „na oko“: żadnych pomiarów nie było. Za podstawę służyła pewna ścieżka, wydeptana przez pracowników, część placu na prawo (od strony miasta) od ścieżki ma należeć do warsztatów Staszica, część zaś na lewo (od strony Woli) — do szpitala Wolskiego. Obszerne place pod ogrodami zaliczono do warsztatów Staszica. Z części placów tych (ogrodów) korzysta intendent szpitala, z części siostry miłosierdzia, a reszta ogrodów wdzierżawia się osobie prywatnej. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Stosunek placów zajmowanych przez obie instytucje przedstawia się jak następuje:

*Warsztaty Staszica:*

pod budynkami . . . .	400.46 sążni kwadr.
ogrody . . . . .	5,509.16     "     "
razem . . . . .	5,909.62 sążni kwadr.

Całą nienormalność położenia, że się tylko tak delikatnie wyraziły, społeczeństwo nasze zawsze odczuwało. Wyżej już zaznaczyliśmy, jak żywo zajmowano się u nas losami zapisu Staszica. I w późniejszych czasach to zajęcie się nie ustawało. Ludzie starsi pamiętają dyskusję w latach 1874—76, jaka wywiązała się z powodu memoriału przedstawionego Radzie Miejskiej Dobr. Publ. przez Teodora Wedemana, obrońcę przy Senacie. Już wtedy też Rada Miejska uznawała, że dziwaczne są losy zapisu Staszica, bo wyraziła życzenie, by T. Wedeman memoriał swój drukiem ogłosił w celu wywołania dyskusji publicznej (uchwała Rady Miejskiej z d. 23 XI 1874 za № 19396). Do wezwania tego zastosował się Wedeman i ogłosił drukiem swój memoriał, w którym wyrażał myśl, by z funduszu legowanego przez Staszica założyć szkołę rzemieślniczą. To rzadkie w naszych stosunkach zwrócenie się organu urzędowego do opinii publicznej, wywołało ożywioną wymianę zdań w prasie.<sup>1)</sup> Jedni popierali myśl Wedemana, inni proponowali, by zapis Staszica obrócić na zakładające się wówczas Osady rolne. Większość jednak domagała się ścisłego spełnienia woli Staszica, tembardziej, że myśl zapisodawcy nie

*Szpital Wolski:*

pod budynkami . . . . .	261.25 sążni kwadr.
podwórze . . . . .	667.08 „ „
razem . . . . .	928.33 sążni kwadr.

Place zajęte przez ogrody dzielą się na części, mianowicie 1) 158.99 sąż. kw.; 2) 287.43 sąż. kw.; 3) 125.61 sąż. kw.; 4) 122.21 sąż. kw.; 5) 4,758.34 sąż. kw.; 6) 56.58 sąż. kw. (Razem 5,909.16 sąż. kw.).

Z pierwszych czterech ogrodów korzystają: siostry miłosierdzia, intendent, oraz chorzy szpitalni i pensjonarze warsztatów. Piąty dzierżawi prywatny przedsiębiorca za czynsz roczny 720 rb.; ostatnią zaś pozycję (56.58 sąż. kw.) zajmują dwa skwery przed głównym budynkiem od ulicy.

Takie współzycie, nieuregulowane żadną słuszną zasadą, rozeiņa się i do innych szczegółów. Tak np. warsztaty Staszica nie posiadają kuchni własnej, lecz korzystają z kuchni szpitala Wolskiego. Z drugiej znów strony szpital nie posiada pralni, lecz korzysta z pralni warsztatów. Przyczyna takiego stanu rzeczy jest dość oryginalna, choć zgodna z całą gospodarką: mianowicie przy podziale, o którym była wyżej mowa, opartym na kierunku ścieżki, pralnię oddano na użytek warsztatów, albowiem znajdowała się po prawej stronie, zaś kuchnię znajdującą się po lewej stronie ścieżki zaliczono do szpitala.

<sup>1)</sup> „Gaz. Polska“ 1874, №№ 277—278; „Niva“ 1874 grudzień; Dom zarobkowy z powodu legatu Staszica przez Tadeusza Ryłskiego i t. d. i. t. d. W 1875 r. Justyn Wojewódzki wydał pracę p. t. Myśl Stan. Staszica w zapisie na Dom zarobkowy. (Warszawa, druk Noskowskiego).



straciła bynajmniej na wartości. Z późniejszych głosów podnieść należy także pracę Eryka Jachowicza, znanego filantropa, <sup>1)</sup> sędziego Moldenhawera <sup>2)</sup> i dr. J. Jaworskiego. <sup>3)</sup>

Pierwiastkowo opinia publiczna domagała się jedynie wprowadzenia w życie instytucji Staszica i wtedy zastanawiano się nad jej celem i zadaniami. Lecz początkowo nikt jeszcze nie śmiał kwestyonować prawa własności instytucji Staszica względem posesyi № 3102,3. Tego rodzaju wątpliwości zjawyły się dopiero w komisji r. 1898, która nie ukończyła zadania swego, t. j. ułożenia prawideł dla warsztatów Staszica, odkładając sprawę do czasu rozstrzygnięcia wzajemnego stosunku prawnego szpitala Wolskiego i warsztatów.

Komisja szpitalna, utworzona w r. 1900 w celu poprawy szpitalnictwa m. Warszawy pod przewodnictwem prof. Kosińskiego, specjalnie tą sprawą się nie zajmowała. W liczbie jednak projektów zaproponowała budowę nowego szpitala Wolskiego na posesyi № 3102,3, w czem tkwiło przypuszczenie, że terytoryum to stanowi własność szpitala. Taka decyzja wywołała obszernie umotywowaną opozycję tak poważnych prawników, jak K. Nowakowski i A. Suligowski. <sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> Nasze miłosierdzie publiczne— „Bibliot. Warsz.“ 1883--wrzesień.

<sup>2)</sup> Domy moralnie zaniedbanych dzieci, „Zdrowie“, 1896.

<sup>3)</sup> Szpital Wolski, „Kron. Lek.“ 1898.

<sup>4)</sup> Opinię tę podajemy tu w całości:

„Terytoryum b. Domu przytulku i pracy stanowi własność prywatną, ponieważ w dziale II wykazu hipotecznego zapisany jest tylko Dom przytulku i pracy; w zbiorze zaś dokumentów znajduje się odezwa b. Komisji Rządowej Spr. Wewn. i Duch. z d. 5/17 kwietnia 1885 r., wykazująca, że pierwotne nabycie na imię Rządu nastąpiło omyłkowo, że Rada Administracyjna Król. Polsk. postanowieniem z d. 7 kwietnia 1829 r. zezwoliła b. Komisji Rząd. Spr. Wewn. i Pol. nabyć nieruchomość w celu urządzenia zakładu zarobkowego dla żebraków i włóczęgów z funduszu, legowanego przez Staszica, i że z tego powodu Komisya pozwała Radzie szczegółowej opiekuńczej wniesć do księgi hipotecznej, że nieruchomość stanowi własność nie Rządu, lecz Domu przytulku i pracy. Wobec tego Dom przytulku i pracy nie był instytucją rządową. Jeżeli zaś na nabycie nieruchomości Rząd wziął fundusze z legatu Staszica, to jedynie na podstawie testamentu samego Staszica, który pozostawił Rządowi „wybór i stosowne do tego zamiaru urządzenie.“ Stąd wynika, że Rząd występował jedynie w roli wykonawcy testamentu, a nie w roli władzy, wypożyczającej pieniądze. Wprawdzie sama Komisya Spr. Wewn. zaciemniła sprawę, wydając w 1832, a zwłaszcza w r. 1834 instrukcję, która Dom przytulku i pracy przeznaczała dla włóczęgów i wogóle ludzi złego pro-

Komisya r. 1901 pod przewodnictwem A. Ziętkowskiego z udziałem prawników stanęła na stanowisku K. Nowakowskiego i A. Suligowskiego, uznając niezaprzeczone prawo fundacyi Staszica względem całej posesyi.

Lecz wychodząc z tego zupełnie słusznego założenia prawnego, też Komisya doszła do oryginalnych wywodów praktycznych. Mianowicie, ponieważ z jednej strony fundacya Staszica ma ze swych placów dochód niezmiernie mały, z drugiej zaś strony szpital Wolski gwałtownie wymaga rozszerzenia, albo raczej wzniesienia nowych zupełnie budynków, przeto szpital Wolski, zdaniem Komisyi, powinien kupić od instytucyi Staszica jej obszerne, a zajęte pod ogrody place. Dotąd—wszystko jest słusne i sprawiedliwe. Lecz praktyczne załatwienie sprawy, proponowane przez Komisję, nie może nie wywoływać zarzutów. Ponieważ szpital Wolski posiada własnego kapitału 35,000 rb., przeto Komisya proponuje, aby szpital ofiarował fundacyi Staszica owe 35,000 rb. za posiadłość, liczącą blisko 100,000 łokci kwadr.; następnie zaś szpital część placów mógłby sprzedać po znakomicie

---

wadzenia, zatrzymywanych przez policję na mocy artykułów kodeksu karnego; według instrukcyi r. 1844 nikt już nie mógł być przyjęty do zakładu inaczey, jak tylko na zasadzie rozporządzenia oberpolicmajstra. Wszystkie te jednak instrukcyje, nadające Domowi przytułku i pracy charakter jakiegoś zakładu więziennego, nie są zgodne z zapisem Staszica, a stąd i niezgodne z prawem, albowiem żadna instrukcyja nie może zmieniać zapisu (por. Art. 1035 kod. cyw.). Stąd też zamknięcie Domu przytułku i pracy, jako więzienia, powinno było nastąpić nie z powodu reformy sądowej, lecz daleko wcześniej, dla restytucyi woli zapisodawcy.

„Powrót do testamentu polegał na urządzeniu sal zarobkowych na nieruchomości, przeznaczonej na to jeszcze przez Radę Administracyjną Król. Polsk. w 1829 r. Z tego powodu nieruchomość ta w obecnym czasie powinna być uważana, jako prawna własność funduszu Staszica, przeznaczonego na urządzenie sal zarobkowych Staszica, a hipoteka powinna być zapisaną na imię sal zarobkowych im. Staszica; sukcesorowie zaś Staszica, jeśli oni istnieją, i państwo, jeżeli ich niema, nie mogą wobec istniejących praw występować względem niej z żadnemi pretensyami. W takim stanie rzeczy uważamy, że budowa nowego pawilonu szpitala Wolskiego na terytoryum b. Domu przytułku i pracy przedstawia to same niebezpieczeństwo, jak i przeniesienie szpitala św. Rocha na terytoryum szpitala św. Łazarza. Jedyным środkiem, któryby usuwał wszelkie trudności, byłoby nabycie niezbędnie potrzebnych placów na możliwie korzystnych warunkach, a w ostatecznym razie uzyskanie wyłącznego pozwolenia na dzierżawę wieczystą.“

Podp. K. Nowakowski,—A. Suligowski.



wyższej cenie prywatnym nabywcom, a z otrzymanego funduszu możnaby zbudować nowy, odpowiadający wymaganiom szpital.

Takiej operacji finansowej na fundacyi Staszica czynić nie wolno.

W zasadzie, jak rzekliśmy, byłoby słusznem i sprawiedliwym, gdyby fundacya Staszica odprzedała dużą część swych placów, leżących bezużytecznie, na szpital. Lecz sprzedaż powinna nastąpić według cen powszechnie praktykowanych przy nabywaniu placów, a nie po śmiesznie niskiej cenie, dlatego tylko, że szpital Wolski posiada akurat sumę 35,000 rb.

Nabywcą tych placów powinien być Magistrat m. Warszawy, który zresztą nie potrzebowałby odrazu wykładać całej sumy szacunkowej, lecz wnieść jedynie do rocznego budżetu pewną sumę na spłatę odsetek i amortyzację długu. Na placu tym Magistrat powinien zbudować duży, odpowiednio urządzony szpital. Domaga się tego nie tylko gwałtowny brak szpitali w Warszawie, lecz fakt, że dzielnica Wolska bardzo potrzebuje takiego zakładu i że istotnie obszerna ta posesya pod każdym względem nadaje się na szpital.

Tyle co do strony prawnofinansowej. Pozostaje jeszcze omówienie przeznaczenia i urządzenia warsztatów Staszica.

Warsztaty te rządzą się t. zw. czasowemi prawidłami, wydanemi w r. 1884, t. j. przed 25 laty. Jako cel zakładu prawidła te wskazują niesienie pomocy biednym, pozbawionym pracy i wspieranie ich zapomocą dostarczania pracy zarobkowej. Pracę tę zakład dostarcza w ten sposób, że funkcyonują tu warsztaty stolarskie, szewckie i krawieckie w oddziale męskim, w oddziale zaś żeńskim szyją bieliznę. Lecz w obecnych warunkach jest to niewątpliwie instytucya martwa, wymagająca zupełnej reorganizacyi. Nie jest to bowiem zakład, dostarczający pracy zarobkowej ludziom czasowo jej pozbawionym, lecz właściwie przytułek dla chorych nieuleczalnych, zniedołężniałych i osób pozbawionych opieki. Tu korzystają z opieki stali pensjonarze, którzy przeważnie pozostają aż do dnia śmierci. Taki ustrój nie tylko nie jest zgodny z ideą Staszica, lecz i ze względów ogólnospołecznych niepożądany: wszakże bowiem bogatą fundacyę Staszica możnaby pod względem społecznym wyzyskać o wiele pożyteczniej, niż przez założenie przytułku dla nieuleczalnych i zniedołężniałych starców.

Właściwie mówiąc, w znacznym stopniu idea Staszica i dziś, po 80 i kilku latach, może być z pożytkiem wyzyskana. Wprawdzie może być tu mowa jedynie o idei, lecz nie o szczegółach

praktycznych w testamencie Staszica zaznaczonych: okres kilkudziesięcioletni sprawił, że niektóre szczegóły są obecnie niemożliwe do uwzględnienia. To jednak nie może obrażać woli ani pamięci Staszica. Natomiast sama idea jego, niesienia czasowej pomocy i dostarczania pracy zarobkowej osobom z chwilowo zmniejszoną zdolnością do pracy jest i obecnie pożyteczna. Z instytucji takiej mogliby korzystać rekonwalescenci, wychodzący ze szpitalów, zwłaszcza wyrobnicy niezdolni jeszcze do ciężkiej pracy fizycznej, służący, którzy przez chorobę stracili miejsce i nie są jeszcze w stanie podjąć się dawnych obowiązków i t. d. Lecz obok poczynienia zmian w kategorii osób, przyjmowanych do zakładu, niezbędnem jest jednocześnie przekształcenie wewnętrznego jego urządzenia. Ze względu na rodzaj warsztatów są one dostępne dla niektórych tylko pracowników: ślusarz, mularz, prosty wyrobnik i t. p. nie mogą tu znaleźć pracy, bo istniejące warsztaty wymagają fachowego uzdolnienia. Właściwem przeto wydawałoby się wprowadzenie takich zajęć, które nie wymagałyby specjalnego przygotowania i byłyby dostępne dla szerszych sfer pracowników (wyrabianie koszyków, plectenie słomianek, klejenie kopert, pudełek i t. p.).

Reasumując zasadnicze punkty naszych wywodów, możemy dojść do wniosków następujących: 1) posesya № 3102/3 przy rogatce Wolskiej stanowi niezaprzeczną pod względem prawnym własność fundacyi Staszica; 2) ponieważ z jednej strony Magistrat potrzebuje i prędyż czy później będzie musiał wznieść większy szpital dla dzielnicy wolskiej, z drugiej zaś — fundacya Staszica posiada obszerne place, leżące dotychczas nieużytecznie, przeto Magistrat powinien nabyć niezbędną przestrzeń od fundacyi Staszica według cen praktykowanych na budowę nowego szpitala; 3) Należność fundacyi Staszica Magistrat może w razie potrzeby spłacić nie jednorazowo, lecz corocznie wypłacać pewną sumę, obejmującą odsetki oraz amortyzację długu; 4) Fundacya Staszica po otrzymaniu pieniędzy ze sprzedaży placu Magistratowi, uzyskawszy w ten sposób poważniejsze środki, powinna być gruntownie przekształconą.

D-R WACŁAW MĘCZKOWSKI.



# PIŚMIENNICTWO.

J. U. NIEMCEWICZ. *Pamiętniki z 1830—31 roku.* Wydał Maryan Antoni Kurpiel. Źródła do dziejów Polski porobiorowych, IV. Kraków, 1909.

Świeżo wydane przez Komitet do dziejów porobiorowych Polski pamiętniki Niemcewicza obejmują ciekawy okres czasu od początków roku 1830 do 11 lipca 1831 roku. Dzieło powyższe składa się właściwie z dwóch części: z notatek, czynionych współcześnie w roku 1830, i dziennika rewolucyi, prowadzonego systematycznie od nocy 29 listopada, z przerwą miesięczną od ogłoszenia się Chłopskiego dyktatorem, do dnia 8 lutego. Zdawałoby się, że pamiętniki pisane współcześnie przez człowieka tej miary co Niemcewicz, autora nader cennych wspomnień z epoki Księstwa Warszawskiego, będą pierwszorzędnym materiałem do dziejów rewolucyi listopadowej, mającej jeszcze wiele momentów ciemnych, niewyświetlonych dostatecznie; tymczasem, po przeczytaniu tych wspomnień, doznaje się pewnego zawodu.

Przedewszystkiem wobec ukazania się w ostatnich czasach tak cennych publikacyj, jak Dyaryusz sejmu z r. 1831 lub pamiętniki Prądzyńskiego, niniejsze wspomnienia przynoszą zaledwie nieco szczegółów. Natomiast sądy o ludziach i wypadkach grzeszą bądź bezkrytycznem zaślepieniem, bądź stronniczem uprzedzeniem do pewnych kół i osób niemiłych autorowi. Uderza to szczególnie w części drugiej. W chaosie rewolucyjnym, w wirze wypadków nadzwyczajnych, następujących po sobie z piorunową szybkością, sędziwy autor „Śpiewów historycznych“ zatracił zmysł krytyczny, tak ongi bystry w dawniejszych pamiętnikach, oraz wszelką orientacyę w sytuacji rzeczywiście nader zawikłanej, jaka się podówczas wytworzyła. Podeszły wiek autora, liczył Niemcewicz bowiem 74 lata, wiele zapewne usprawiedliwia,

w każdym jednak razie dziwną wydaje się apologia Skrzyneckiego, i to po dniach klęski ostrołęckiej i wyprawy łysobyckiej. W wynurzeniach Niemcewicza z tej epoki znać ciąglą obawę przed rewolucją społeczną, o której właściwie nikt podówczas nie myślał, usiłował przeto paraliżować wszelkimi sposobami działalność klubistów, skierowaną, jak mniemał, w tym kierunku. „Poszedłem za rewolucją—pisze w swoim dzienniku—lubom ni czasu, ni sposobu, ni osób, które ją zaczęły, nie aprobowałem; poszedłem, gdym ujrzał, że cały naród poszedł za nią. Starłem się w niej walczyć, oddalać wszystkie zamiary szalonych Jakobinów.“ W ocenie działalności Lelewela, Mochnackiego lub innych klubistów nie szczędzi Niemcewicz zjadliwych uwag pod adresem Lelewela, uważa go za „szatana złego, który wszędzie nienawiść rozsiewa, wszędy po wszystkich krajach i za granicą ma swoje korespondencye, zysyłając nowiny, które, zniweczając najzabawniejsze widoki ludzi cnotliwych, jego tylko ambitnym zamysłem dogadzać mogą. Nie lepszą żywi opinię względem drugiego przywódcy klubowego Mochnackiego, z którym się zetknął na posiedzeniu Rady Administracyjnej 2 grudnia. Mochnacki, „chudy, blade, srodze ospowaty, z białemi, biegającymi oczkami,“ wydał mu się podówczas jakimś zmartwychwstałym Maratem, nie zawahał się cisnąć nań oskarżenia, że podczas paniki po bitwie Grochowskiej Mochnaccy skryli się i dodaje—„tak zawsze czynią polityczni junacy.“ Było to oczywiście nieprawdą, ponieważ Mochnacki leczył się podówczas z ciężkich ran, odniesionych pod Wawrem.

Odzyskuje siebie Niemcewicz przy opisywaniu wybryków Wielkiego Księcia lub działalności „Zyzowatego,“ jak nazywa Nowosilcowa, którego chłoszcze biczem niemilosiernej satyry. Zmuszony w epoce rządów Wielkiego Księcia do milczenia, wylewał swobodnie na karty pamiętnika żółć, gorycz i gniew, jakie budziło w nim postępowanie obu tych ludzi.

Zauważyć jednak należy, że i tutaj, folgując żółciowemu temperamentowi, mijał się niekiedy z prawdą, nie dostrzegł zmiany, zaszłej w Wielkim Księciu i jego położeniu z chwilą wstąpienia na tron cesarza Mikołaja; stąd wynikło błędne, fałszywe przedstawienie stosunku W. Ks. do brata i do Nowosilcowa. Tak samo mylnie przedstawiony jest stosunek cesarza Mikołaja do Królestwa, jak i cała charakterystyka tego monarchy. Myli się też Niemcewicz, przypisując W. Księciu inicjatywę zwołania w roku 1830 sejmu, rzekomo dla wywołania na nim opozycyi przeciw ks. Lubeckiemu, W. Książę bowiem, jak wiemy obecnie, był temu przeciwny.



Mimo tych wszystkich zarzutów i zastrzeżeń, stwierdzić wypada, że są te pamiętniki bądź co bądź ciekawą ilustracją nastroju wpływowych, poniekąd, nawet kierowniczych kół w powstaniu listopadowym, zawierają też sporo ciekawych, nieznanych skądinąd szczegółów. Interesującym jest, co pisze Niemcewicz o zachowaniu się duchowieństwa podczas odsłonięcia pomnika Kopernika lub o ks. Misyonarzach Warszawskich, odmawiających absolucyi żołnierzom podczas spowiedzi wielkanocnej z powodu złamania przez nich przysięgi wierności monarsze. Tłómaczy to Niemcewicz względami, jakimi zaszczycała ten zakon ks. Łowicka. Podaje też Niemcewicz ciekawą rozmowę, prowadzoną przez W. Księcia z posłami kaliskimi podczas sejmu 1830 r. lub z nim samym o papierach Alloego z r. 1813, dodaje też nieco ciekawych szczegółów o czerwcowych aresztowaniach w Warszawie.

Należy uczynić jeszcze uwagę co do samego wydania niniejszych pamiętników, które Szanowny wydawca opatrzył licznymi przypisami, zdaniem naszym, często zgoła zbytecznymi; podawanie bowiem w odsyłaczach imion wszystkich osób, wspomnianych w tekście, jest niepotrzebne.

J. I.

---

MARYLSKI ŁUSZCZEWSKI ANTONI. *Historja włościan w Polsce; czasy najdawniejsze do początku XVIII wieku i wolna ludność wieśniacza.* Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910.

Historycy fachowi, posiadający nawet wybitne zdolności, dobrać metodę i erudycję, zamknięci często przez życie całe w ścianach biblioteki czy w archiwach, odwykają, jeśli rzecz tak można, od życia powszedniego i z tego powodu nie zawsze są w stanie zrozumieć te codziennie objawy, z jakimi spotykają się przy badaniu dziejów. Zdarzało się już kilkakroć, że ludzie, nie zajmujący się fachowo nauką, ale za to praktycznie obeznani z życiem, umieli, opierając się na materyałach wydobytych przez historyków fachowców, nowe światło rzucić na badane przez siebie dzieje. Jeżeli na jakim polu, to właśnie na polu historii włościan historycy nie fachowi, ale za to znający dobrze wiejskie stosunki, a przede wszystkim warunki pracy na roli, mogą oddać nauce nie małe usługi. Tak np. przed kilkunastu laty T. Seebohm, zabrawszy się w późniejszym już wieku do dziejów chłopów angielskich, napisał swe świetne „The english village community,” w którym, zajmując stanowisko sporne do niemieckich erudyków,

zupelnie nowe światło rzucił na dzieje angielskiej gminy. Dzieło Seebohna stało nam żywo w pamięci, gdyśmy brali do ręki historię włościan w Polsce, napisaną świeżo przez p. Antoniego Marylskiego.

Pan M. rzeczywiście posiada wszelkie warunki do napisania dobrej historii włościan; ma bowiem nie małą erudycję, a do tego, jako ziemianin, zna wieś, zna włościan, stworzył też dzieło pożyteczne. Nowych zdobyczy wprawdzie nauce polskiej nie przysporzył, ale usystematyzował i uprzystępniał dla ogółu rezultaty badań naszych historyków, a to jest zasługą nie małą. Historię włościan p. Marylski dzieli na pięć okresów. Pierwszy obejmuje czasy najdawniejsze aż po wiek trzynasty, drugi mieści w sobie „historię ludności czynszowej“ aż po wiek XVI, trzeci obejmuje czasy od wieku XVI—od doby przywiązywania włościan do gleby—poza drugą połowę XVIII wieku, czwarty okres obejmuje czasy od drugiej połowy XVIII wieku do uwłaszczenia włościan, w piątym zawierać się będą czasy pouwłaszczeniowe. Dotąd pan Marylski wydał dopiero dzieje pierwszego okresu i zaczął od opisanego tworzenia się ładu, na którym znajduje się Polska; opisując następnie zjawienie się pierwszych mieszkańców naszej ziemi, autor stoi na stanowisku autochtonizmu. Przedstawiając w krótkości najpierwotniejsze dzieje naszych przodków, autor przypuszcza, że przeszli oni przez trzy stadya rozwoju, że z myśliwców stali się pasterzami, a potem rolnikami. Naszem zdaniem skoro autor chciał już zacząć historię włościan od stworzenia świata, warto było uwzględnić także wyniki badań najnowszych badaczy kultury indogermańskiej, np. Schradera i przedewszystkiem Hirta. Otóż Hirt „Die Indogermanen“ Strasburg 1905, uważa, że rolnictwo u ludów indogermańskich w swej formie pierwotnej gospodarstwa motykowego, „Hackbau,“ wyprzedziło znacznie pasterstwo, wymagające przyswojenia dzikich zwierząt, które nie może się udać ludom nie stojącym już na pewnym rozwoju umysłowym. Prahistorią rolnictwa p. Marylski nie zajmuje się wcale, natomiast może za dużo miejsca poświęca pierwotnym dziejom politycznym Słowian i ustrojowi społecznemu plemion polskich przed powstaniem państwa polskiego, zatrzymując się dłużej, i to nie bez polemicznego zacięcia, nad kwestyą własności. Nie będąc zwolennikiem teorii podboju, powstanie klas społecznych w Polsce, a zatem i stanu włościańskiego, przypisuje p. Marylski różniczkowaniu się społeczeństwa w pierwotnym państwie piastowskim. Wśród wieśniaków widzi autor cztery kategorie: 1) ludność wolną tuziemczą, 2) niewolną, pochodzącą od brańców, 3) wolnych



przybyszów hospites, 4) wreszcie ludność rzemieślniczą osiadłą po wioskach. W dziele swem jednak autor zajmuje się obszerniej tylko kategorią pierwszą, natomiast nie mówi nawet wyraźnie czy rzemieślników wiejskich uważa za ludność wolną, czy też za niewolną. Takie ignorowanie niższych klas włościańskich pochodzi zapewne stąd, że autor, zdaje się, nie przypisuje im wielkiego znaczenia. Chłopów wolnych uważa autor nietylko za używalników, ale nawet za głównych właścicieli ziemskich.

Za wielką zasługę należy poczytać panu M., że nie ogranicza się do przedstawienia społecznego położenia włościan polskich, lecz zatrzymuje się obszernie nad życiem materyalnym, a nawet kulturalnym wsi piastowskiej, o ile naturalnie pozwalają na to nasze tak skąpe źródła. Dowiódłszy więc, że wieś Polska miała charakter rolniczy, rozpatruje autor formy osadnictwa, przyczem osadnictwo jednodworcze odnosi do dalekiej przeszłości. Z tem zdaniem pana M. możemy się zgodzić tylko z pewnemi zastrzeżeniami.

Osadnictwo jednodworcze wy pływało niejednokrotnie z warunków, w jakich znajdowała się dana miejscowość. Tak np. na Podhalu jeszcze w wieku XVI powstawały oddzielne dworzyszczca, które dopiero stopniowo wskutek rozrodzenia się właścicieli zamieniały się we właściwe wioski. Na Mazowszu nad Wisłą podobnie w wieku szesnastym jeszcze można spotkać osady, składające się z oddzielnych dworów rozrzuconych po pagórkach.

Nie zaniedbał pan M. zwrócić uwagi na szachownice, istniejące po wsiach już w dobie piastowskiej, opisał przypuszczalne typy chałup ówczesnych, przedstawił technikę rolniczą, zapoznał czytelników z cenami zbóż, z bartnictwem, myśliwstwem i rybołówstwem ówczesnych chłopów.

Dobre dopełnienie książki pana M. stanowi dołączony przez niego króciutki pogląd na położenie włościan we współczesnym świecie europejskim.

Autor odda rzetelne usługi czytelnikom polskim, jeśli w krótkim czasie wypełni resztę swego planu i da obraz stosunków włościańskich także w czasach późniejszych.

I. B.

DIVÉKY ADORYAN DR. *Magyarország szerepe a Lengyel Renaissanceban.* Budapest 1910.

Dwa sąsiednie państwa Węgry i Polska wywierały na siebie silny wpływ, który odbił się zarówno na ich ustroju, jak i na samej kulturze. Niestety, polscy historycy dotąd zamało zajmowali się stosunkami polsko-węgierskimi, jakkolwiek mogą służyć one za klucz do rozwiązania wielu kwestyj wątpliwych w naszych dziejach wewnętrznych. Natomiast wśród młodszych dziejopisarzy węgierskich budzić się zaczyna zainteresowanie historią Polski. Zasługa to w znacznej części profesora uniwersytetu peszteńskiego, d-ra Hadara Ballago, który w wykładach swych wpa-jał w słuchaczy przekonanie, że nie można zrozumieć dziejów Wę-gier, nie znając historii polskiej.

Jeden właśnie z uczniów prof. Ballago, dr. Adoryan Divéký, poświęca się specjalnie stosunkom polsko-węgierskim. Przed pa-ru laty dr. Divéký ogłosił źródłowe studyum o związkach handlo-wych, istniejących między Górnemi Węgrami a Polską, obecnie czyni w Krakowie specjalne studia nad kulturalnem współdzia-łaniem Polski i Węgier. Owocem tych studyów jest właśnie naj-nowsza praca młodego uczonego, poświęcona wpływowi Węgier na rozkwit renesansu w Polsce. Dr. Divéký konstatuje, że w ar-chitekturze polskiej do końca wieku XV panuje niepodzielnie go-tyk; natomiast w Węgrzech, już w drugiej połowie tego stulecia, styl odrodzenia znajduje się w rozkwicie. Na Węgrzech też za-poznał się z renesansem Zygmunt Stary, który przed objęciem tronu polskiego w latach 1498—1501 przebywał w Budzie u brata swego Władysława. W podróżach swych po Węgrzech Zygmunt zapoznał się z budowlami renesansowemi w Wyszegradzie, Ostrzy-choniu i w samej stolicy, zawarł także znajomość z arcybiskupem ostrzychońskim, Bakócz, jednym z krzewicieli odrodzenia w kró-lestwie Ś-go Stefana.

Zygmunt, porwany na Węgrzech pięknnością budowli rene-sansowych, przywiózł stamtąd do Polski mistrza Franciszka Ita-lusa, który stał się twórcą renesansowego sarkofagu Jana Olbrach-ta. Ma to być, zdaniem d-ra Divéký'ego, jednym z dowodów, iż renesans wkroczył do Polski nie wprost z Włoch, lecz przez Wę-gry. Na poparcie swej hipotezy przytacza dr. D. i więcej dowo-dów: w początkach wieku XVI do Polski z Węgier przybywają kamieniarze węgierscy, również cały szereg robotników polskich, wyszedłszy na robotę do Węgier, powraca wówczas do ojczyzny,



przynosząc z sobą znajomość kamieniarstwa, wreszcie w ówczesnych pomnikach renesansowych polskich panuje niepodzielnie czerwony marmur węgierski. Przy budowie słynnej kaplicy Zygmuntońskiej, pamiętał król Zygmunt o wrażeniach swych wywiezionych z Węgier, starając się wzorować pewne szczegóły na katedrze ostrzychońskiej. Za przykładem króla szli i magnaci. Tak np. prymas Łaski w Ostrzychoniu obstał nagrobki dla katedry gnieźnieńskiej.

Oto w najwybitniejszych zarysach rezultaty badań d-ra Divyky, który nie tylko pracuje nad opracowaniem wzajemnych stosunków między Polską a Węgrami, ale jednocześnie stale informuje swych rodaków o ruchu historycznym w Polsce.

I. B.

GABRYELA ZAPOLSKA. *Szalwistwo*. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka, 8 o, str. 394.

Zdawałoby się, że Rena Brzeziwiczowa, bohaterka ostatniej powieści Gabryeli Zapolskiej pod przytoczonym w nagłówku tytułem, powinna czuć się szczęśliwą. Ma męża, uczonego i wziętego lekarza, ma dziecko, które kocha nad życie, ma dobrobyt, zaspokojenie nie tylko wszelkich potrzeb, ale i zachcianek, czegoż chcieć więcej?

A jednak ta kobieta, piękna i dumna, jest naprawdę nieszczęśliwa. Jeden błąd popełniła w życiu, kiedy, uległszy potężnym nakazom budzących się w niej, pod wpływem obcowania z wiosełką, w pełni sił rozrodczych naturą, instynktów, zapomniała o swych powinnościach małżeńskich.

Ale jakże ciężko odpokutować musiała za tę chwilę upojenia, rozkoszy! Jej dusza subtelna, nerwowa, arystokratyczna nie umie żyć wedle podwójnej buchalteryi. Męczy ją i drażni jej własna obłuda, na każdym kroku sama siebie smaga biczami bolesnej autoanalizy. Jest przykra, jest zła dla męża, dla kochanka, dla dziecka, dla otoczenia, dla siebie samej najbardziej, nie budzi w sercu czytelnika, mimo że jest naprawdę nieszczęśliwa, żadnej sympatyj; niemniej jednak i odrazy budzić nie może, gdyż o ileż wyższa jest moralnie od tych żon wiarołomnych, tak częstych w literaturze (nawet i u samej Zapolskiej), które z lekkim sercem przechodzą z objęć męża w ramiona kochanka i odwrotnie, bez żadnych skrupułów.

Ale na tem jeszcze nie koniec.

Kilka zdań podsłuchanej rozinowy — i w duszy Reny budzi się straszna wątpliwość. Dotąd bowiem przekonana była, że Adzio, jej dziecko jedyne, jest owocem nieprawego związku. Teraz nie wie już zgoła: a może zawdzięcza on życie niechętniej, choć posłusznej, powinności małżeńskiej?

I tu zaczyna się prawdziwa męka. Jej wysubtelniona, przedrażniona natura nie może zadowolić się odpowiedzią taką, jaka sama się nasuwa, najprostsza: Adzio jest mojem dzieckiem, a o resztę mniejsza. Ona musi wiedzieć za wszelką cenę, choćby za cenę—życia.

Zaczyna się więc cała gehenna rozszalałych nerwów. Zaczyna się uparte, niby myśl prześladowcza szaleńca, wpatrywanie się w twarze tych trzech: dziecka i jego obu domniemyanych ojców, azali nie odkryje rysów podobieństwa, jawnych dowodów dziedziczności. Zaczyna się pochłanianie nocą książek lekarskich, z pałającą żrenicą, z ceglasytymi wypiekami na twarzy—może na tych kartach znajdzie rozwiązanie straszliwej zagadki.

Jesteśmy na progu obłądu i histeryi. Jesteśmy na pograniczu literatury i—kliniki psychopatycznej. Powieść staje się coraz przykrzejszą do czytania, chociaż ciekawa jest, jako studjum duszy chorej, chociaż bohaterka jej pod względem moralnym podnosi się w naszych oczach coraz wyżej.

Ale najstraszniejsze jest zakończenie powieści. Rena, dręczona szałem rozpadających się nerwów, nawpół przytomna, dosiada ogiera-arabczyka, który nigdy jeszcze, ile że był narowisty, nie znał siodła ni wędziła. Koń ponosi na podwórze przed dworem. Adzio wybiega na spotkanie matki. Jedna chwila, a pod kopytami konia purpurowa krew dziecka zmiesza się z białą rozprysniętego mózgu. Myśl okropna, jak rozpalone ostrze sztyletu, przeurywa całą istotę Reny: zabić ten żywy wyrzut sumienia...

To trwało chwilę, błysk jeden. Ocalić, za wszelką cenę ocalić... Rena wpija swe, o długich, ostrych paznogciach palce w oczy przerażonemu ogierowi, wydziera oczy, do kości sięga... A koń konwulsyjnym ruchem wali się w tył na nią, gruchocząc kości nieszczęśliwej grzesznicy.

Zaiste, nieszczęśliwa, bo ofiarą męki serdecznej i śmierci nie zdołała okupić nawet — naszego współczucia.



DR. ROMAN DYBOSKI, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. *O życiu akademickim na uniwersytetach angielskich*. Kraków, nakładem księgarni D. E. Friedleina. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1909.

Autor ogranicza swój temat wyłącznie do opisu życia akademików na dwóch głównych i najstarszych uniwersytetach angielskich: Oxford i Cambridge. Te są najbardziej charakterystyczne, inne bowiem wszechnice angielskie zbliżają się więcej do typu niemieckiego.

Indywidualizm życia angielskiego wyraża się już w samym podziale tych wszechnic na zupełnie samodzielne. kolegia, zarządzane przez oddzielnych dyrektorów, posiadające odrębne gmachy, biblioteki, katedry i szereg posad pedagogicznych i administracyjnych. Uniwersytet, jako całość, istnieje tylko w formie władz centralnych, zajmujących się sprawami wspólnymi.

Fundamentalna różnica pomiędzy uniwersytetami kontynentalnymi a angielskimi polega na tem, że pierwsze służą wyłącznie wykształceniu intelektualnemu, gdy drugie są zakładami wychowawczymi. Typowy student, syn zazwyczaj majątniej rodziny obywatelskiej, przeznaczony z góry do służby publicznej w parlamencie lub dyplomacyi albo też do życia wyłącznie towarzyskiego, przychodzi spędzić na uniwersytecie 3 do 4 lat głównie w tym celu, aby nabyć owego kompleksu różnorodnych przymiotów, który się wyraża w starej angielskiej nazwie gentleman.

Na pierwszym planie stawiane są w wychowaniu sporty. Nikt tam nie traktuje ich, jako rozrywki lub odpoczynek, lecz jako składową i poważną część wychowania zupełnie w myśl ideałów helleńskich. Zwykły student poświęca nauce dwie do trzech godzin dziennie, a niektórzy, gdy przystępują do popisów fizycznych, i tych przedpołudniowych godzin pracy umysłowej nie poświęcają, ponieważ to denerwuje i osłabia. Każda gra ruchowa jest uważana za doniosłą sprawę narodową, a pierwsze miejsce w drużynie zapaśników stanowi przedmiot najgorętszych ambicyj.

Wśród intelektualnych środków towarzyskiego wychowania akademika grają pierwszą rolę, jak w całym życiu angielskiem, kluby. Są one najrozmaitsze, tak, że odpowiadają wszelkim upodobaniom. Najpoważniejszym ich typem są tak zwane „debating societies.“ Celem ich jest bezpośrednie przygotowanie do kariery publicznej, a środkiem—odbywające się co tydzień w formach ściśle parlamentarnych dyskusye nad ważnemi bieżącemi zagadnieniami społecznymi i politycznymi.

Zajmują się też studenci angielscy i praktyczną działalnością społeczną, np. ucząc dzieci i odwiedzając ubogich.

Co do nauki, studenci nie mają ani swobody wyboru wykładów, ani wolności uczęszczania na nie lub nieuczęszczania. Każdemu listę wykładów, na które ma uczyć się, ustanawia specjalny wychowawca tutor, który opiekuje się kilkoma studentami. Seminaryów na wzór wschodnio-europejski, któreby uczyły metody badań naukowych, niema. Student angielski ich nie potrzebuje, gdyż w Anglii samodzielnych badań od niego przed osiągnięciem stopnia naukowego nie wymaga się. Bujnie kwitnie na wszystkich uniwersytetach angielskich instytucja korepetytorów, którzy przepisany materiał włączają w głowę przeciętnego studenta. Zdobyć pewnej sumy ogólnokształcących niezbędnych wiadomości—oto cel wykształcenia naukowego uniwersyteckiego.

Zakres działania profesorów wobec tego jest bardzo mały. To też większość najwyższej notowanych katedr stanowią urzędy czysto honorowe, nadawane za zasługi na polu nauki. Z drugiej strony jednak, dzięki swobodzie, z jaką studenci po wykładach omawiają wszelkie wątpliwości z profesorami, stosunek pomiędzy młodzieżą a gronem nauczycielskim jest tam daleko bliższy i ściślejszy, niż na uniwersytetach kontynentalnych.

Pomyślny wynik egzaminów przynosi tylko tytuł naukowy, lecz nie otwiera wcale drogi do posad państwowych, ani też nie przynosi praktycznych korzyści. Przygotowanie do praktycznych zawodów odbywa się poza uniwersytetem w drodze praktyki w instytucjach.

Wychowanie angielskie rozwija w wysokim stopniu realizm i umysł praktyczny, z drugiej jednak strony przyczynia się do tego, że Anglicy, jak sami przyznają, są narodem nieintelektualnym, to jest pozbawionym zmysłu dla interesów czysto teoretycznych, oderwanych, myślowych.

Głęboko jednak sięgający indywidualizm angielski dopuszcza najkrańcowe kontrasty. Liczne stypendya, umożliwiające ukończonym uczniom kolegium stały pobyt w środowisku nauki i swobodną pracę naukową, niekępowaną troskami o byt materialny, wytwarzają specjalny typ umysłów, spoglądających z wyżyn filozofii z łagodną sceptyczną melancholią angielską na wszystkie rzeczy ziemskie. Obok wolnego od trosk, pełnego fizycznej radości życia, a próżnego zbyt wielu rozmyślań, do czynnej służby publicznej gotującego się studenta-atlety, staje zadumany nad najwyższymi zagadnieniami bytu, pobłażliwie gardzący wszystkiemi rzeczami



mi świata, wątpiący nawet o wartości tworców ducha ludzkiego młody filozof.

Życie angielskie pełne jest takich kontrastów. Z jednej strony tryskają energią, potęgą rasy, siłą przyszłości boiska sportowe, z drugiej spowite bluszczem stare mury, samotne krużganki i potężne, normandzkie wieże opowiadają cudnym językiem architektury o wielkiej, kulturalnej przeszłości. Jak uniwersytety angielskie, tak i cała natura narodowa angielska jest takim dziwnem, czarodziejsko-poetycznym połączeniem średniowieczyny z postępem, prastarych form i zwyczajów z nowymi, jutro może świat zdobywającymi ideami.

WACŁAW DUNIN.

ANTONI MENGER. *Prawo do całkowitego wytworu pracy*. Z 3-go wydania niemieckiego tłómaczone przez J. H. Z przedmową D. Zofii Daszyńskiej - Golińskiej. Nakładem „Prawdy.” Warszawa, 1909 rok.

Menger należy do tych nielicznych uczonych, którzy łączą w sobie doskonałą znajomość kwestyi socyalnej z gruntowną wiedzą prawniczą. Rzuca on zupełnie nowe światło na zagadnienie walki kapitału i pracy, czyniąc zeń przedewszystkiem kwestyę prawną. Uzasadnieniu tej teoryi poświęcił większość swych prac naukowych i obecnie omawiane dzieło stanowi jedno z ogniw w szeregu innych.

Uczony niemiecki (Menger pochodzi z Galicyi, ale pisał wyłącznie po niemiecku) ma na celu tutaj wskazanie podstawowych idej socyalizmu ze stanowiska prawa. Zadaniu temu przypisywał on wielkie znaczenie, uważając, że dopiero w opracowaniu przedmiotu przez teoretyków mężowie stanu dowiedzą się, jak należy zreformować istniejący porządek prawny na korzyść upośledzonych klas narodu. Z krytyki obecnego ustroju ekonomicznego, dokonywanej przez socyalistów, wyciągał daleko idące prawno-filozoficzne postulaty.

Z dążeń społecznych do zapewnienia klasom pracującym całkowitego plonu ich pracy wyciąga Menger pierwszą podstawową zasadę prawną — prawo do całkowitego wytworu pracy. Z założeń, że każda potrzeba w miarę środków ma być zaspakajana, wyciąga drugą, podstawową zasadę prawną — prawo do egzystencji. Do tego przyłącza jeszcze trzecie podstawowe prawo,

które uważa za pewną tylko modyfikację poprzedniego — prawo do pracy.

Menger wykazuje głęboką różnicę, zachodzącą pomiędzy różnymi systematami socjalistycznymi. Każdy system socjalistyczny, zbudowany na uznaniu prawa do całkowitego wytworu pracy, opiera się na egoizmie człowieka, jeszcze wybitniej zarysowanym, niż ten, na którym stoi obecny ustrój prawny. Natomiast system społeczny, którego celem ostatecznym jest uznanie prawa do egzystencji, opiera się na uczuciu miłości bliźniego i na braterstwie. Uznanie prawa do całkowitego wytworu pracy da w rezultacie ustrój prawny, przyjmujący wspólną własność z oddzielnem użytkowaniem. Przeprowadzenie w życiu prawa do egzystencji wytworzy ustrój prawny, gdzie wspólna własność będzie związana ze wspólnem użytkowaniem. Co się tyczy prawa do pracy, to to nie narusza w gruncie rzeczy wcale istniejącego porządku i może być traktowane jedynie jako forma przejściowa.

Z tego prawnofilozoficznego punktu widzenia zajął się Menger opracowaniem historycznym socjalizmu. Od połowy XVIII wieku aż do Ricardo socjalizm, jego zdaniem, występuje głównie jako filozoficzna nauka prawa. Dopiero ten ostatni uczony skierował socjalistyczną teorię na tory dyscypliny gospodarstwa narodowego z przeważającym kierunkiem polemicznym. Za pierwszego naukowego rzecznika prawa do całkowitego wytworu pracy uważa Menger Williama Godwina, który wypowiedział swe poglądy w dziele „Badania nad sprawiedliwością polityczną,” wydanem w r. 1793. Dalej rozpatruje autor teorie Karola Halla, Williama Thompsona. Później rozwinięte zostały prawnofilozoficzne zasady u socjalistów francuskich. Saint Simon nie wypowiedział ich jeszcze, ale za to formułować je zaczęła jego szkoła. Rozwijał je dalej Proudhon.

Gruntowna znajomość angielskiego i francuskiego socjalizmu pozwoliła Mengerowi spojrzeć krytyczniej na wartość przecenionego socjalizmu niemieckiego. Zwłaszcza występuje on przeciw Rodbertusowi i Marksowi, wykazując, że ich teoria nadwartości nie była żadnem odkryciem, lecz została żywcem zaczerpnięta ze źródeł angielskich i francuskich. Rodbertus korzystał z dzieł Proudhona i Saint-simonistów, Marks zaś z dzieł Williama Thompsona.

Przedstawia dalej Menger poglądy Ludwika Blanc i Ferdynanda Lassalle'a i przechodzi wreszcie do usiłowań nowoczesnych. W Niemczech, gdzie stanowisko posiadaczy ziemskich z powodu znacznej ilości średnich i drobnych właścicieli rolnych jest bardzo mocne, socjalizm występuje głównie przeciw kapitałowi ruchome-



mu. Natomiast w Anglii, gdzie z powodu istnienia latyfundiów posiadacze ziemscy nie mają oparcia w silnych warstwach społecznych, własność ziemska jest najważniejszym przedmiotem ataków tamtejszego socjalizmu. Autor szczegółowiej roztrząsa teorye angielskie Thomasa Spence'a, Johna Stuarta Mill'a, Henry George'a i Alfreda Russel'a Wallace'a.

Menger zwalcza teoryę rewolucyjnego socjalizmu, twierdzącego, że klasy pracujące potrzebują tylko opanować władzę państwową, aby odrazu zaprowadzić ustrój socjalistyczny. Wykazuje, że zmiany społeczne mogą się odbywać jedynie na drodze długiego, dziejowego rozwoju. Zadanie zwolenników przyszłego ustroju polega według Mengera wyłącznie na współdziałaniu z kierunkiem rozwoju dziejowego.

Sam jednak Menger nie jest w stanie wskazać, czy rozwój ten idzie w kierunku prawa do całkowitego wytworu pracy, czy też w kierunku prawa do egzystencji. W rezultacie więc i jego wskazania sprowadzają się do negatywnych jedynie — unikania w miarę możliwości wszystkich środków, stwarzających nowy dochód bez pracy lub zwiększających dochód już istniejący.

W. D.

---

ALEKSANDER GOTTLIEB. *Położenie stróżów kamienicznych w Krakowie*. Kraków, drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1909.

Niniejsza praca jest rezultatem ankiety, przeprowadzonej przez „Oddział młodzieży Uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza.” Ankieta odbywała się za pomocą wywiadów, które trwały prawie cały rok. Młodzież osobiście zwiedzała mieszkania stróżów, dokonywała dokładnych pomiarów, zbierała odpowiedzi na kwestyonaryusze i notowała rozmaite spostrzeżenia. Wywiady te objęły 328 domów, co stanowi mniej więcej  $\frac{1}{5}$  część całego materiału, i dotyczyły wszystkich dzielnic. Poparcia przy opracowaniu ankiety udzielił prof. dr. Fr. Bujak.

W omawianej pracy przedewszystkiem poddane jest krytyce istniejące prawodawstwo austriackie. Według dekretu nadwornego z r. 1784, potwierdzonego przez rozporządzenie Ministerjum Spraw Wewnętrznych z dnia 4 listopada 1871 r., stróże poddani są pod regulamin służby domowej. Konsekwencye z tego są takie, że do

stróżów stosowany być może szereg przestarzałych przepisów, ogromnie ich krępujących (zniewalanie do wykonywania służby użyciem środków przymusowych, zakaz oddalania się z domu i przyjmowania odwiedzin, krępowanie w wydatkach osobistych, prawo rewizji domowej, pozwolenie na użycie środków surowszych karności w sposób umiarkowany i zdrowiu służącego nieszkodliwy!). Kontrakty stróżowskie zawierane są zwykle na 3 miesiące z wypowiedzeniem przeważnie czternastodniowym.

Czynności stróża, przewidziane przez regulamin władzy miejskiej Krakowa z r. 1884, są bardzo liczne i uciążliwe (zajęcia przy kanałach, rynsztokach, na ulicy, w podwórzu i przy samym domu). Pomimo to służbodawcy obarczają stróżów jeszcze pracą uboczną w swych handlach, warsztatach i gospodarstwach domowych.

Co do płacy to z 326 stróżów zaledwie 36 pobiera płacę za same czynności stróżowskie, reszta bądź otrzymuje, jako wynagrodzenie, izbę mieszkalną, bądź za marny dodatek pieniężny pracuje ciężko u gospodarza. Dochód z otwierania bramy, bardzo nużący dla stróża, daje mu zyski niewielkie, parę koron miesięcznie.

Mieszkania stróżów są wprost okropne, nie posiadają światła i pełne są wilgoci. W szczupłej przeważnie izbie mieści się przeciętnie 4 do 5 osób. Omawiana tu praca stara się podać wszystkie te dane w cyfrach, wykazując, jak dalece odbiegają one od minimalnych wymagań higieny.

Wobec małego zarobku stróże muszą zajmować się różnemi pracami poza swem zajęciem stróżowskiem. Z 326 stróżów taką pracą zajmuje się 286. W rzeczywistości ilość ta jest znacznie większą, nie wliczono tu bowiem tych stróżów, którzy pracują u gospodarza bez wynagrodzenia. Ale i te zarobki poboczne nie są duże, 71,7% zarabia mniej niż 2 kor. dziennie.

Niedobory swego budżetu starają się stróże pokryć dochodami z t. zw. „kąta,“ przez co niehigieniczność mieszkań jeszcze bardziej wzrasta.

Specjalny rozdział poświęcony jest odżywianiu się stróżów i ich rodzin; rzecz prosta, że przy tak małych dochodach jest ono bardzo niewystarczającym.

Omówiwszy wszystkie braki w pożałowania godnem położeniu stróżów, broszura przedstawia szkic reformy tych stosunków i domaga się zmiany ogólnego prawodawstwa oraz wysuwa szereg wniosków dla specjalnej krakowskiej ustawy stróżowskiej.



Zachęca również stróżów do zawiązania organizacji zawodowej dla obrony swych interesów.

W końcu znajdujemy opisy szczegółowe niektórych specjalnie krzyżujących wypadków oraz szereg tablic statystycznych, ułożonych na podstawie danych ankiety.

Tego rodzaju prace młodzieży dają możność bezpośredniego badania życia i oświecenia go z punktu widzenia naukowego, ucząc na przyszłość zachowywania ścisłego związku pomiędzy nauką a życiem.

W. D.

# Kronika miesięczna.

---

Rewizya senatora Neudthardta.—Macierz szkolna w ks. Cieszyńskim.—W sprawie obchodu Grunwaldzkiego.—Wybory posła z Poznania.—Zniesienie autonomii w Finlandyi.—Młodzież polska przeciw kabaretom.—Ziemstwa na Litwie i Rusi.

Warszawa żyje pod znakiem sensacyjnych wieści o rewizyi senatora Neudthardta, która obejmuje w zasadzie wszystkie gałęzie zarządu Królestwa, dotychczas jednak rozwijała się w magistracie, w intendenturze i w teatrach warszawskich. Niewątpliwie wszelkie usiłowanie wykrycia nadużyć należy uznać za pożądane, wolno jednak wątpić o rezultatach. A to ze względów kilku. Przedewszystkiem komisya rewizyjna ma prawo wykrywania nadużyć i proponowania usunięcia winnych, ale niema prawa mianowania urzędników na ich miejsce, zatem niema żadnych rękojmi, że na miejsce urzędników złych nie przyjdą jeszcze gorsi. Powtórę, system nadużyć, prawych rzekomo i nieprawych poborów, jest tak zakorzeniony obyczajowo, ma tak różne i dawne przyczyny, wśród których wymienić można także przestarzałe małe etaty, zgola nie odpowiadające wymaganiom życia współczesnego, że pożądana reforma mogłaby być owocem wielu lat, wielu zmian celowych i świadomych, ale nie jednej, jedynej, chociażby najsurowszej i najdokładniejszej rewizyi. Wreszcie—znana jest rzeczą, że chorzy, którzy przeszli ciężką i ostrą kuracyę, po ukończeniu jej powracają często do tych samych nałogów i nadużyć, jakie były przyczyną złego stanu zdrowia i czynią to w nadziei, że kuracya pomogła radykalnie i że im już nic nie zagraża. Analogia jest jasna a rewizye powtarzają się rzadziej nawet, niż ciężkie kuracye karlsbadzkie. Słowem—nie brak powodów do uzasadnionego sceptycyzmu, który trzeba przeciwstawić zapałowi



pewnych kół, które patrzą na życie pod kątem widzenia... magistrackim.

Prasa rosyjska, wroga Polakom, zakresła komisji sen. Neudthardta zadania o wiele szersze, niż sięgają znane dotychczas granice jego pełnomocnictw, domagając się od niej wyświeślenia, „jak dalece rosyjskie zasady państwowe utrwaliły się w kraju Nadwiślańskim, jak dalece teraźniejszy ustrój administracyjny kraju sprzyja urzeczywistnieniu owych zasad, jaki wyraz znajdują one w działalności władz miejscowych,“ czyniąc równocześnie wyrzuty społeczeństwu polskiemu, że dostatecznie prac komisji nie popiera, że działa ona w atmosferze małej popularności. Jest to przykład zwykłej konsekwencji. A społeczeństwo polskie musi zachowywać się obojętnie wobec rzeczy, które dzieją się poza niem i obok niego i komentuje tylko zjawiska. Otóż pomimo tego, że rewizya sen. Neudthardta niema tych zadań, które przypisuje jej prasa zajadła, przecież zmiany na wysokich stanowiskach administracyjnych w Królestwie, zmiany, dokonywane zresztą z zachowaniem wszelkich form biurokratycznych, awansów i t. d., muszą wywoływać komentarze, łączące przyczynowo te wypadki. Komentarze zapewne niesłuszne, bo zmiany powyższe są poprostu rezultatem zdawna prowadzonej naganki, której echa rozlegały się nawet z trybuny dumskiej.

\*

\*

\*

W niewielkiej odległości od wielkich szlaków turystycznych, którymi tysiące warszawiaków spieszą po zdrowie czy rozrywkę, leży kraj polski, mało lub zgoła wcale owym tysiącom nieznany, zajmujący przestrzeni 39 mil kwadratowych — Księstwo Cieszyńskie. Nazywamy je krajem polskim, gdyż rdzenni Polacy liczą tu 250,000 głów i stanowią 70% ogółu ludności. Mimo to nie zajmują oni bynajmniej w Księstwie tego stanowiska, któreby im się należało ze względu na siłę liczebną. Jak w wielu krajach kresowych, ludność polska należała tu do obywateli drugiej czy trzeciej klasy, żyjąc życiem ukrytem, pod zewnętrznym pokostem czeszczyzny i niemczyzny. I dziś jeszcze—po sześćdziesięcioletniej narodowej, uświadamiającej pracy—nie brak usiłowań wynarodowienia ze strony Czechów, rozsiadłych wężkim pasem na pogra-

niczu śląsko-morawskiem i ze strony silniejszych, chociaż jeszcze bardziej rozsianych Niemców, tworzących mocniejsze placówki w Bielsku i innych miasteczkach; zauważyć też wypada, że blisko połowa terytorium Księstwa (16 mil kw.) należy do dóbr arcyksięcia Fryderyka i magnata, hr. Larischa.

W r. 1848, pismo tygodniowe *Gwiazdka Cieszyńska* zaczęła budzić do życia lud polski. Prace, początkowo przedsiębrane, zabiegi około piśmiennictwa, języka, zakładanie bibliotek, urządzenie teatrów, zabaw ludowych, uważane były z początku za niewinną zabawkę przez koła dominujące. I nic w tem nie było dziwnego. Lud polski, zahukany, pozbawiony praw, nikomu nie przeszkadzał, niczyim interesom nie zagrażał, a ta inteligencja, która z niego wychodziła, zupełnie dobrowolnie germanizowała się, wznagając siły kulturalne niemieckiej. Ale kiedy po latach kilkunastu te prace narodowe doprowadziły do wyboru kilku posłów do sejmu miejscowego w Opawie i do parlamentu wiedeńskiego, kiedy lud polski zgrupował się w różnych towarzystwach, a zwłaszcza kiedy stworzono Macierz Szkolną dla Księstwa Cieszyńskiego, kiedy rezultatem tego wszystkiego było upomnienie się ludu polskiego o zaniebane, odwieczne prawa narodowe—Niemcy wyteżyli wszystkie siły, aby zagrożone swoje placówki uratować i zawrzała walka, która trwa ciągle, popierana całą przewagą kulturalną i finansową niemiecką.

Walka to przedewszystkiem kulturalna, a więc przedni posterunek i najważniejszy zajmuje w niej „Macierz Polska.“ Stowarzyszenie to, poważnie już dla polskości zasłużone, utrzymuje dziś 21 szkół, ochronek i instytucyj oświatowych, z których wymieniamy przedewszystkiem polskie seminaryum nauczycielskie w Cieszynie, gimnazyum filologiczne tamże, gimnazyum realne w Orłowej, kilka pełnych szkół ludowych, oraz bursę dla uczniów w Cieszynie, w której znajduje pomieszczenie 92 wychowanków miejscowego gimnazyum i seminaryum. Niezależnie od tego „Macierz“ wypłaca corocznie 9—10 tys. koron na stypendya i zapomogi dla uczącej się młodzieży, a za pośrednictwem swych kół, czyteln i wypożyczalni książek, przez urządzenie odczytów i wykładów, zebrań i przedstawień teatralnych, prowadzi intensywną pracę narodową i kulturalną wśród szerokich warstw ludności. Budżet jej wynosi dziś około ćwierci miliona koron (około stu tysięcy rubli); część tego zaledwie—60 tys. kor.—pokrywa uboga ludność miejscowa, społeczeństwo ludowe i robotnicze wyłącznie, które więcej na cele narodowe złożyć nie może; brakujących sum szukać trzeba po świecie wśród ludzi, interesujących się kresami



kulturalnymi panowania polskości i rozumiejących doniosłość utrzymania ich w polskiem ręku.

Obszar panowania kulturalnego i językowego każdego narodu przedstawia się jako mniejsze lub większe jednolite jądro, otoczone przez pasy mieszane, na których ścierają się różne narodowości. Utrata tych pasów obronnych, kresów właśnie, zagraża w dalszej przyszłości i jednolitemu środkowi. Zagraża tembardziej, im mocniejszy przeciwnik, z którym na terytorjum mieszanem walczyć wypada. A tu mamy do czynienia z wrogiem najsilniejszym, bo od nas możniejszym i mocniejszym—z Niemcami. Ślązk Cieszyński, wraz ze Ślązkiem pruskim, W. Ks. Poznańskim i Prusami Zachodnimi świadczą, że narodowość i kultura polska opierają się o prawy brzeg Odry. Zniemczenie ludu w tych dzielnicach, to przesunięcie się granicy na lewy brzeg Wisły czyli już do granicy terytorjum etnograficznego czysto polskiego. Na całej tej przestrzeni żywioł niemiecki w swem parciu na wschód dąży do zagłady polskości. Na wschodniej granicy Księstwa Cieszyńskiego, Księstwo Oświęcimskie, Zatorskie, całe Żywieckie zasiane są ludnością niemiecką, opartą o dwa niemieckie miasta graniczne, Bielsk i Białą, liczące 20 tys. mieszkańców z całym hufcem niemieckich szkół ludowych, średnich i fachowych, które rok rocznie wyrywają narodowi polskiemu na Ślązku i Galicyi setki dusz. Ślązk Cieszyński jest tedy zachodniem przedmurzem Polski, najdalej na zachód wysuniętą twierdzą i placówką polskości. Dlatego trzeba się interesować działalnością Polskiej Macierzy Szkolnej tamtejszej, trzeba się nią interesować żywo, trzeba ją znać, a usiłowaniom rodaków naszych z zagrożonej placówki pomagać i najgoręcej życzyć powodzenia.

\*

\*

\*

Wspominaliśmy wyżej o jednej z placówek, na której toczy się historyczna walka Niemców z Polakami. Tych placówek jest więcej, na większości z nich roztacza się panowanie niemieckie i tam polskość ulega porażkom. W takim stanie rzeczy naturalnym objawem jest chęć upamiętnienia uroczystym obchodem półtysięcznej rocznicy zwycięstwa Polaków nad Niemcami, Grunwaldu, który nietylko jest wypadkiem wojennym, bitwą zwycięską,

ale przede wszystkim jest afirmacją prawa do samodzielnego życia Polski, wolnej od wszelkich więzów, od wszelkich wpływów zewnętrznych. Jeżeli porażka na polach tannenberskich byłaby grobem młodej Polski, to zwycięstwo stało się początkiem jej własnego mocarstwowego bytu, bez którego niemożliwym byłby dalszy świetny rozwój naszej kultury. I dlatego święto Grunwaldu jest świętem kultury polskiej.

Że święto to w ten czy inny sposób upamiętnić należy—dwóch zdań niema i być nie może. Spór zaczyna się dopiero wtedy, kiedy trzeba odpowiedzieć na pytanie: jak obchód urządzać należy. Wysuwane są tu przede wszystkim zupełnie słusznie względy taktyczne: położenie naszych rodaków pod zaborem pruskim. Zupełnie słusznie, ale w pewnych tylko granicach, kiedy chodzi o to, jak obchód urządzać; bo, jeżeli mowa o zaniechaniu obchodu dlatego, aby Niemców nie drażnić, to argument ten krytyki nie wytrzymuje, samo nasze istnienie bowiem już drażni Niemców, a przecież nikt z tego powodu proponować samobójstwa nie będzie.

Ale od względów taktycznych ważniejsze są ideowe i w tym wypadku obydwą łączą się ze sobą.

Wobec obchodu Grunwaldzkiego zrozumiąły jest zupełnie odruch duszy polskiej nie w kierunku radości i tryumfu, lecz goryczy, żalu i bólu, goryczy względem przodków naszych, którzy zmarnowali wielkie dziedzictwo Jagiellonów, że dla nas nie zostało, żalu za minioną potęgą i świetnością, bólu z powodu teraźniejszości. I gdybyśmy temu uczuciu powodować się dali, zaniechalibyśmy zupełnie obchodu, jako przypominającego nam zbyt boleśnie, cośmy utracili. Ale to byłoby złem, jak wszelkie powodowanie się uczuciem, kult bowiem przeszłości w narodzie utrzymywać trzeba, a Grunwald jest jednym z największych tej przeszłości wyrazów.

Właśnie dlatego, że największym, wyjątkową trzeba go otoczyć powagą. Daliśmy sobie dawniej odebrać zdobyczne grunwaldzkie sztandary, szabel prawdziwych nie mamy, a jeżeli czasem dostajemy, to by dobyć je z konieczności, pod przymusem, w cudzej—nie własnej sprawie. Więc nie dawajmy światu nowego przedstawienia wiecznych dzieci, urządając pochody z papierowymi facsimilami sztandarów i uderzając w szabelki drewniane, a są, którzy chcą tak właśnie obchód grunwaldzki urządzać. Byłoby to może bardzo malownicze—złote słońce lipcowe pozwoliłoby snadnie wziąć szych za rzeczywistość—ale zarazem śmieszne, nawet w stosunku do naszego słabego położenia obecnego, bo



śmieszna jest wszelka tego rodzaju demonstracja, za którą nie stoi żadna realna siła. Niestety—są obawy, że obchód grunwaldzki takie właśnie formy przybrać może, bo to formy najłatwiejsze, najbardziej odpowiadające zamiłowaniu blichtru i lenistwu i braku ofiarności na cele publiczne. Ile frazesów wytrzymał cierpliwy papier z powodu milionów na „dar grunwaldzki“! Ktoby im wierzył na chwilę, sądziłby, że całą Galicyę, całe kresy nowemi szkołami pokryje. Tymczasem, jak donoszą pisma galicyjskie, zebrana gotówka nie o wiele przewyższa niedobór zwykłych bieżących wpływów Towarzystwa Szkoły Ludowej; resztę stanowią „przrzeczenia“ zbyt często weksle wystawiane na idealną krainę. To też ze słuszną goryczą Kazimierz Bartoszewicz wymienia wszystkie nasze niedobory na polu kulturalnem, oświatowem, niespełnionych zamierzeń bojkotowych i tylu, tylu innych, powtarzając niby smutny *refrain*, co kilka wierszy: „nie bójcie się, Prusacy!“ A za to mają się złąknąć papierowych proporców, drewnianych pik i pałusików, płomiennych mów, wszystkich błahych wystąpień, o które u nas zawsze najłatwiej.

Wyobrażamy sobie obchód grunwaldzki, jako szereg uroczystych nabożeństw, pamięci bohaterów poświęconych, jako szereg zebrań i odczytów, uświadamiających doniosłość wielkiej chwili dziejowej, chwili budownictwa Polski, która współczesnych zachęcać winna nie do symulacyi walk orężnych, których czas minął, lecz do budownictwa Polski współczesnej w tych granicach, w jakich to dla nas jest dzisiaj dostępne, przez wychowywanie pokoleń nowych, fizycznie i moralnie zdrowych i mocnych, przez powoływanie do życia instytucyi obrony ekonomicznej, oświatowej, kulturalnej, narodowej. Nic więcej. Żadnych pochodów, wykrzyków, wygrażań, bo te popsułyby wielką powagę obchodu. Należałoby przestać być raz narodem, przypominającym „lud, szlachtę, żołnierzy, dworaków“ z dolnej części afiszów oper, statystów, którzy tylko przez wielokrotne obchodzenie sceny dają wrażenie liczby i potęgi—złudnej.

\*

\*

\*

Bardzo często dzielnice Polski z zaboru pruskiego stawiane bywają innym za wzór codziennej, mrówczej, twórczej pracy, spójności i jedności w społeczeństwie. Prawdziwa jest jedynie część pierwsza tego określenia; że druga nie zgadza się z rzeczywistością, tego dowiodły ostatnie wybory poznańskie, które stały się areną bardzo zaciętej walki partyjnej. A złudzenie, że w społeczeństwie polskim zaboru pruskiego niema stronnictw, pochodzi jedynie stąd, że nie są zorganizowane, przeciw nurtują je i to mocno, spreczne prądy i poglądy. Nie może zresztą być inaczej. A niebываły dotąd fakt złamania solidarności narodowej jest dość ważny, aby się nad nim zastanowić obszerniej.

Kiedy dotychczasowy poseł poznański, p. Bernard Chrzastowski, złożył mandat poselski do parlamentu, pewne koła inteligencji poznańskiej wysunęły kandydaturę znanego literata i publicyisty, osiadłego w Warszawie, d-ra Władysława Rabskiego. Kandydatura ta nie utrzymała się, między innymi i dlatego, że inny obóz postawił na kandydata rzemieślnika, p. Nowickiego z Poznania. Przyczyną postawienia kandydatury ludowej było to, że warstwy ludowe nie mają żadnego przedstawiciela ze swojej sfery wśród posłów polskich i że nasuwa się konieczność zarządzenia temu brakowi, ponieważ głosowanie Koła Polskiego za reformą finansów Rzeszy, czyli za nowymi obciążeniami podatkowymi, wywołało wśród tych warstw pewne rozgoryczenie. Objaśnić tu wypada, że część żywiołów demokratycznych Poznańskiego zgrupowana jest w Polskiem Towarzystwie Demokratycznym, które właśnie postawiło p. Nowickiego na kandydata. Inne żywioły—nazwijmy je ogólnikowo zachowawczymi—zorganizowane nie są, może skutkiem dobrowolnego łudzenia się jednością poglądów w społeczeństwie wielkopolskiem. Te koła właśnie, godząc się z koniecznością kandydatury ludowej, przeciwstawiły jednak p. Nowickiemu—p. Wojciecha Sosińskiego, prezesa Zjednoczenia zawodowego, wnosząc tym sposobem waśń w łono samych właśnie warstw ludowych. Musiały być zapewne jakieś specjalne powody, jakieś specjalne zalety, które za tym właśnie kandydatem przemawiały, przynajmniej w oczach części społeczeństwa, ale z oddalenia, z czytania pism trudno je zrozumieć i wyłomaczyć argumenty, które raczej za p. Sosińskim, niż za p. Nowickim przemawiać miały.

Obwód parlamentarny wyborczy poznański dzieli się na trzy okręgi: miasto Poznań, powiat wschodni i powiat zachodni. A procedura przedwyborcza jest taka, że w każdym z okręgów odbywają się wiece przedwyborcze, które, po wysłuchaniu różnych



głosów, proponują kandydatów, stawiając ich kolejną ważności na pierwszym, drugim lub trzecim miejscu. Kandydatów zatwierdzają następnie komitety wyborcze miejscowe, a następnie uchwały ich idą pod rozpatrzenie komitetu wyborczego prowincjonalnego, który ostatecznie jedną z tych kandydatur, jako obowiązującą dla ogółu wyborców, ustala.

Przed wyborami rozwinęto z obu stron agitację na zebraniach, w pismach i t. d. Gdy Polskie Towarzystwo Demokratyczne agitowało od dołu na zebraniach, żywioły zachowawcze, mniej liczne, ale bardzo wpływowe, wywierały nacisk od góry, na przewodniczących zebrań i komitety wyborcze powiatowe. Rezultatem tego było, że p. Nowicki zwyciężył bezwzględnie w Poznaniu, gdzie też został postawiony na pierwszym miejscu; na liście powiatu wschodniego został umieszczony na drugim, pomimo że kandydatura jego zwyciężyła na dwóch zebraniach z ogólnej liczby trzech; wreszcie z listy powiatu zachodniego usunięto zupełnie jego nazwisko, pomimo że na zebraniach kandydatura ta zyskała bardzo poważną mniejszość. W komitecie prowincjonalnym, dokąd teraz kandydatury przeszły, głosy się podzieliły, padając w równej liczbie na obu kandydatów. Wobec tego rozstrzygnięcie powierzono ślepeму losowi, a ten — niefaskawy dla Poznańskiego — rozstrzygnął na rzecz p. Sosińskiego. Przed sanemi wyborami odbył się wielki wiec wyborczy w Poznaniu, na którym kandydat urzędowy miał się wyborcom przedstawić: wiec okazał się dla niego bardzo nieprzychylny, odmówił uchwały, wyrażającej zaufanie, przeciwnie — wezwał p. Sosińskiego do zrzeczenia się kandydatury. Żle się stało, że nikt w tym kierunku na kandydata nie wpłynął.

Żle się stało, bo na drugi dzień, po raz pierwszy od czasu, jak istnieje parlament niemiecki, nie przeszedł odrazu Polak, po raz pierwszy także tłum wielotysięczny wyborców złamał solidarność narodową, nie głosował na kandydata, zatwierdzonego przez legalne polskie władze wyborcze: Niemiec Wilms uzyskał 12,579 głosów, p. Sosiński — 6,964 głosów, p. Nowicki — 11,487 gł. i p. Matuszewski (socjalista) — 2,241 gł.

Wytworzyło się położenie bez precedensu. P. Nowicki — choćby chciał — usunąć się nie mógł, zapewniłby bowiem tylko w ten sposób zwycięstwo Niemca; wszyscy Polacy przy wyborach ścisłych musieli za nim głosować w obawie zwycięstwa Niemca; tymczasem wybór jego jest pogwałceniem wyraźnem całej praktyki wyborczej, na solidarności opartej i wypowiedzeniem posłuszeństwa legalnie wybranym władzom wyborczym. Dodać

jeszcze trzeba, że Koło Polskie secesjonistów do swego grona nie przyjmuje, gdyby zatem p. Nowicki został wybrany bez sankcyi komitetu prowincjonalnego, nie mógłby wejść w skład Koła. Zresztą, przed wyborami ściślejszymi komitet prowincjonalny polecił głosowanie na p. Nowickiego z tem zastrzeżeniem, że ulegalizowanie jego wyboru będzie zależne od zebrania delegatów. Kiedy ostatecznie p. Nowicki został wybrany, niezwykła ta sytuacja rozwiązała się w ten sposób, że zebranie delegatów, potępiając w zasadzie secesyę, wybór p. Nowickiego zatwierdziło w obawie powiększenia rozłamu wśród opinii wielkopolskiej. I postąpiło zupełnie słusznie i mądrze.

Z przykraj tej historyi jedna płynie nauka. W naszych smutnych warunkach życia solidarność narodowa przy wystąpieniach na zewnątrz jest i musi być dogmatem życia publicznego. Na to wszakże, aby była w praktyce ściśle przestrzegana, trzeba, aby była istotną, to znaczy, trzeba, aby była pewna harmonia między uczuciami, pragnieniami i nastrojem tłumów, a kierownikami społeczeństwa. Jeżeli tej harmonii w pewnych, minimalnych chociażby granicach niema, jeżeli brak znajomości nastroju i właściwego taktu, który każe się z nim liczyć, wtedy mogą zajść takie pożałowania godne wypadki, jak przebieg wyboru poznańskiego. Polityk zachowawczy, którego żadną miarą nie można posądzić o sprzyjanie jakimkolwiek instynktom demagogicznym, prof. Józef Milewski, oceniając działalność margr. Wielopolskiego, stwierdza, że przy olbrzymich zaletach tego męża stanu, miał on olbrzymią wadę, że nie liczył się zupełnie z nastrojem opinii publicznej, skutkiem czego najznakomitsze jego zamierzenia dla kraju przeciw krajowi się obracały. Wbrew silnemu prądowi sterować trudno — o tej maksymie zapomnieli niektórzy sternicy nawy politycznej Wielkopolski.

\*

\*

\*

Nie można jeszcze powiedzieć, że faktycznie autonomia Finlandyi istnieć przestała, ponieważ projekt rządowy, zawierający zmianę ustroju prawno-państwowego tej prowincyi i jej stosunku



do państwa rosyjskiego nie uzyskał jeszcze sankcyi ciał prawodawczych. Sądząc jednak z nastroju opinii w Dumie, przyjęcie projektu można z góry uważać za zapewnione, tak więc faktycznie istnienie autonomicznej Finlandyi jest dziś już tylko kwestyą czasu.

W motywach swoich projekt wychodzi z założenia, że położenie prawno-państwowe Finlandyi i jej stosunek do państwa rosyjskiego nie jest rezultatem jakiejś umowy dwustronnej, lecz następstwem aktów łaski kilku monarchów, którzy pewne rękojmie Finlandyi zapewnili, ale wołają monarszą w porze uznanej za odpowiednią do reform rękojmie te mogą być cofnięte. Taka pora do reform nadeszła obecnie, skutkiem rzekomo wybujałego rozwoju dążności separatystycznych w Finlandyi. Zasady projektu polegają na tem, że ponieważ Finlandya jest nierozdzielną częścią państwa rosyjskiego, więc może korzystać jedynie z samorządu dzielnicowego w granicach, określonych przez ogólne prawa państwa, a jego prawa zasadnicze mają w Finlandyi taką samą moc obowiązującą, jak i w innych jego częściach. Za sprawy wewnętrzne Finlandyi uznaje projekt jedynie te tylko, które w niczem nie dotyczą innych części Cesarstwa, a wszystkie inne sprawy podlegają rozstrzygnięciu w sposób, ustanowiony przez ogólne prawodawstwo Cesarstwa. Opinia sejmu finlandzkiego ma w tych sprawach znaczenie tylko doradcze.

Jakież są te sprawy, co do których Finlandya będzie mogła rządzić się sama? Poznamy je wtedy, jeżeli wyłączymy te sprawy, które projekt uznaje za wspólne z Cesarstwem, a zatem podlegające rozstrzygnięciu w ogólnej drodze prawodawczej. A oto ich spis: udział Finlandyi w wydatkach państwowych i ustanawianie w tym celu podatków i opłat; służba wojskowa; prawa poddanych rosyjskich w Finlandyi, którzy nie są obywatelami miejscowymi; wykonanie w Finlandyi wyroków, decyzyi i postanowień władz sądowych i żądań władz innych części Cesarstwa, a także zawartych tam unów i aktów; prawa, obowiązki i sposób działania w Finlandyi instytucyj ogólnych i władz Cesarstwa; ustanowienie w interesach państwowych wyjątków od finlandzkich praw karnych i procesualnych; zabezpieczenie interesów państwowych w sprawie oświaty ludowej; przepisy, dotyczące zebrań publicznych, stowarzyszeń i związków; prawa i warunki działalności stowarzyszeń i kompanij, istniejących w innych miejscowościach Cesarstwa; prawodawstwo prasowe w Finlandyi oraz przepisy, dotyczące przywozu utworów literackich z zagranicy; stosunki między Finlandyą a innemi miejscowościami Cesarstwa

w dziedzinie celnej; ochrona w Finlandyi znaków i przywilejów handlowych i przemysłowych, jak również praw własności literackiej i artystycznej; system pieniężny w Finlandyi; poczta, telefony, lotnictwo i tym podobne środki komunikacji w Finlandyi; sprawy kolejowe w Finlandyi w związku z potrzebami obrony państwowej oraz komunikacją między Finlandyą a innymi częściami Cesarstwa; telegraf kolejowy; żegluga handlowa w Finlandyi; prawa cudzoziemców w Finlandyi. Jak widzimy z dokładnego spisu tych spraw, które podlegają kompetencji władz Cesarstwa, co do których opinia Sejmu ma znaczenie tylko doradcze, wogóle zaś jest fakultatywną, a tylko Senat finlandzki wydawać ma o nich opinię z urzędu — zakres spraw pozostałych, a zatem uznanych za wewnętrzne, jest tak szczupły, że określa tylko pojęcie dość ograniczonego samorządu lokalnego.

Kiedy projekt ten został wniesiony do Dumy, stronnictwo kadetów sprzeciwiło się zwykłemu regulaminowemu traktowaniu, czyli odesłaniu do komisji, wychodząc z założenia, że uchwalenie rzeczonoego projektu nie leży w kompetencyach izby; przy głosowaniu stanowisko to dzieliło Koło Polskie, socyal-demokraci i posłowie, należący do grupy pracy, czyli razem mniejszość. Natomiast kilku mówców ze stronnictwa pałdziernikowców nie tajiło swej radości z wniesienia projektu, z usiłowań zupełnego wcielenia Finlandyi do państwa; o grupach prawicy niema nawet co mówić. Tym sposobem projekt ma większość zapewnioną i dlatego można już prawie uważać go za przyjęty.

Pozostaje strona druga — Finlandya, względnie jej władze: Sejm i Senat. Stanowisko, jakie zajmą względem projektu, nie jest dotąd znane; wedle pogłosek Sejm nie odrzuci go *a limine*, lecz przedstawi swój projekt regulacji stosunków między Cesarstwem a Finlandyą, w nadziei, że posłuży on za podstawę do układów i ustępstw wzajemnych. Rola władz finlandzkich sprowadzona tu zresztą zostaje do zera wobec tego, że projekt uchwaląc będzie państwowe ciało prawodawcze, jeszcze nawet bez udziału tych czterech przedstawicieli Sejmu finlandzkiego i jednego — cudzoziemców w Finlandyi, czytaj — ludności rosyjskiej w Dumie i jednego w Radzie Państwa, których zapewnia jej wniesiony właśnie projekt wzamian za zniesienie autonomii.

Opinia polska przyjęła wiadomość o zamierzonym zniesieniu autonomii Finlandyi ze szczerem ubolewaniem i głębokiem współczuciem. Ze względu na ten istotny nastrój, oszczędźmy sobie frazesów. Powiedzmy jedynie, że bolejemy nad losem Finlandyi nietylko jako Polacy, a więc przez własne niedole usposobieni



do rozumienia strat narodowych i współczucia im, ale także jako ludzie cywilizowani, prawi synowie kultury Zachodu. Ktokolwiek zdążył do Finlandyi przez Petersburg drogą lądową, kto brzydkimi ulicami wielkiej stolicy zmierzał na dworzec wyborski i znalazł tam czystość, ład, porządek, uprzejmość, kto po dwunastogodzinnej podróży znalazł się w uśniechniętym, tonącym w zieloności Helsingforsie i na każdym kroku porównywał go z opuszczonym wczoraj Petersburgiem, kto obcował bliżej z mieszkańcami, wykształconymi, którym „nic ludzkiego nie jest obojętnem,“ kto potem ruszył w głąb kraju i przekonał się naocznie, co z dzikich pustkowi cierpliwem i długiem usiłowaniem zrobiła pracowita i mądra wola ludzka—ten na wieść o wniesionym projekcie pomyślał, że tu zagrożona jest nie tylko autonomia prowincyi, ale i placówka wysokiej kultury.

\*

\*

\*

Ze strony najwłaściwszej, najbardziej interesowanej, padły słowa protestu przeciw zjawisku życiowemu — które napiętnowaliśmy na ten miesiąc przed miesiącem — przeciw rozwielmożnieniu kabaretów. Młodzież polska we Lwowie, kilkuset studentów politechniki, uniwersytetu, akademii leśnej i weterynaryjnej, ogłosiła odezwę przeciw kabaretom. „Zawołano „idźmy z postępem“ i — stworzono kabaret.“ Temi pełnemi ironii słowy rozpoczyna się odezwa, która w dalszym ciągu zupełnie trafnie przedstawia to obniżenie poziomu życia, obniżenie ideałów, które musi być następstwem stałego obracania się w atmosferze wyuzdania i bezwzględności szyderstwa, nie cofającego się nawet przed zohydowaniem drogich sercu polskiemu świętości. „Nie wyrzekliśmy się wierzeń i nadziei w jasną, lepszą przyszłość Narodu — brzmi zakończenie — i nie abdykowaliśmy z tych haseł, które nieodłączne są od duszy Polaka. Naszem największem ukochaniem: Polska, wszakże nie Polska zwyrodniałych trefnisiów, przeciągających się niewolniczo w błocie — lecz Polska... czysta! Rozkiełznanie umysłów, użycie i swawola bez hamulca, śmiech i szyderstwo z wszystkiego i wszystkich, brud, brud powszechny — oto najwierniejsi sprzymierzeńcy ciemnizy i ich grabarzy. Stąd niesława i śmierć!... A my pragniemy żyć, żyć górnice, roboczo i ofiar-

nie, z miłością i szacunkiem dla Narodu, z szacunkiem i dla siebie samych.“

Słuszne to słowa, które podkreślić trzeba. A wydaje się, jakgdyby ta odezwa była hasłem reakcyi przeciw szynkom, bo i w Warszawie zmniejszyło się znacznie odwiedzanie kabaretów i dwa z nich mają podobno uleść zamknięciu. Stało się to jakoś samo przez się, pomimo, że Warszawa nie posłuchała wezwania: „Kiedyż ty się tak odezwiesz, Warszawo?“, jakim w formie komentarza opatrzył lwowską odezwę dziennik, który sam poprzednio najbardziej reklamował t. zw. literacki kabaret, należący dziś już do przeszłości.

\*

\*

\*

Zdawałoby się w zasadzie, że wszelkie projekty samorządu posiadają znaczenie czysto gospodarcze, że można się spierać o rodzaj i wysokość opodatkowania, o zakres samorządu, o sposób reprezentacyi w nim różnorodnych interesów ekonomicznych, że wszakże kwestyi tej obojętne winno być wszelkie zabarwienie polityczne. Ale w państwie rosyjskiem wszystko jest inaczej, niż gdzieindziej. Wygotowany przez rząd projekt ziemstw dla Litwy i Rusi nie zajmuje się niczem innym, tylko takim ułożeniem arytmetyki wyborczej, aby zupełnie unicestwić w nich wpływ żywiołu polskiego. Wydaje się, jak gdyby autorowie projektu opętani byli jakimś szałem obawy spolszczenia ziemstw, a dla nas właściwie pocieszającym jest fakt takiej olbrzymiej przewagi kulturalnej i ekonomicznej żywiołu polskiego w tych prowincyach, że nawet najbardziej karkołomne wysiłki i najfantastyczniejsze obliczenia nie są w stanie wpływu jego unicestwić. „Niebezpieczeństwo—zdaniem prezesa ministrów—polega nie tylko na możliwości pochłonięcia żywiołu rosyjskiego w tych miejscowościach, gdzie znajduje się on w mniejszości, lecz również na ryzyku pozostawienia wolnego współzawodnictwa narodowości rosyjskiej z innymi narodowościami, gdzie pierwsza posiada przewagę liczebną, a drugie — ekonomiczną.“ Wyrazy „przewaga liczebna“ należy rozumieć stosownie do terminologii urzędowej: wszędzie masa ludności włościańskiej wraz z duchowieństwem prawosławnem stanowi narodowość „rosyjsko-prawosławną“, szlachta zaś z katolickiem—„polsko-łacińską.“



Określenie narodowości wyborców było i dla autorów projektu i dla komisji samorządnej trudnością nielada. Odrzucono bowiem naturalnie jedyne kryterium normalne — osobistą deklarację ludności; odrzucono także kryterium wyznaniowe, wedle którego katolików należy uważać za Polaków, a prawosławnych za Rosyan i wynaleziono termin dotąd zgoła nieznany: Rosyan-katolików, kiedy chodziło o lud białoruski, w którego pojęciach, jak twierdzili rzeczoznawcy, bynajmniej o polskość nie podejrzani, wyrazy „Polak“ i „katolik“ są synonimami; odrzucono wreszcie kryterium językowe, ponieważ wypadłoby wprowadzić do klasyfikacji dwie nowe, urzędownie nieuznane narodowości, białoruską i małoruską. Rozwiązano sprawę złożoną w sposób równie prosty, jak nieoczekiwany: rozstrzygnięcie, do jakiej narodowości należy wyborca powierzono w ostatniej instancji—gubernatorom. Wobec tego słusznie zwrócono uwagę, że w zakładach uprzywilejowanych, szkołkach rosyjskich mężów stanu, trzeba będzie wprowadzić nowe wykłady prawa administracyjnego i nauki o narodowości, aby odpowiednio dla Litwy i Rusi przygotowanych gubernatorów wychowywać mogły.

Skoro jednak żadne prawo wstecz nie obowiązuje i autorowie projektu ze światła wiedzy gubernatorskiej korzystać nie będą mogli, niewiadomo na jakich kryterjach oparta jest jego statystyka narodowościowa wyborców, której tabelkę podajemy niżej:

Gubernia	Rosyan prawosławnych i staroobrzędowców	Polaków	Pozostałych
Wileńska. . . . .	589	1,652	797
Witebska. . . . .	1,917	1,001	538
Wołyńska . . . . .	2,531	1,813	448
Grodzieńska . . . . .	944	530	824
Kijowska. . . . .	2,788	957	184
Kowieńska . . . . .	426	1,834	1,623
Mińska . . . . .	1,497	1,541	222
Mohylowska . . . . .	1,788	974	104
Podolska. . . . .	1,864	1,621	74

Za dokładność cyfr powyższych nikt oczywiście ręczyć nie może; wolno zawsze przypuszczać, że są one raczej dla żywiołu polskiego niekorzystne. Mimo to jednak jego przewaga w guberniach wileńskiej i kowieńskiej jest tak znaczna, że żadna arytmetyka wyborcza osłabić jej nie mogła i za to gubernie te zostały

pozbawione zupełnie dobrodziejstw nawet najbardziej okrojonego samorządu; a że gubernia grodzieńska ma nieszczęście należeć do tego samego, co i one, generał-gubernatorstwa, więc mimo przewagi żywiołu rosyjskiego i ona los towarzyszek swoich podzieliła. W tych trzech zatem guberniach litewskich ziemstw z wyborów nie będzie, jak nie posiadały ziemstw biurokratycznych, wprowadzonych w r. 1903 i 1904 w guberniach ruskich i białoruskich. Pamiętać trzeba, że ustawa ziemska w Rosyi istnieje od r. 1864, że zreformowana została w r. 1890 w kierunku konserwatywnym (ograniczenia działalności i wzmożenia wpływu szlachty), że prawodawca miał ciągle na widoku całe państwo, a „nieszczęsne“ wpływy kulturalne polskie w ciągu półwiecza prawie nie pozwoliły rozciągnąć dobrodziejstw ustawy na Litwę i Ruś; wypracowywano różne projekty, ale żaden z nich do skutku nie dochodził, a wszystkie prawie były liberalniejsze od ostatniego, który ma uchwalić przedstawicielstwo narodu rosyjskiego.

Według przytoczonej wyżej tabelki Polacy mają większość tylko w gub. wileńskiej i kowieńskiej; do grupy pozostałych zaliczono drobnych posiadaczy Litwinów, Łotyszów, Rusinów i Białorusinów. Ale prócz liczby w wyborach do ziemstw decydująca jest ilość posiadanej ziemi. Pod tym względem projekt wywodzi, że Polacy posiadają przewagę nad Rosyanami we wszystkich powiatach gubernii wileńskiej i kowieńskiej, w 2 powiatach (na 11) w gub. witebskiej, w 3 (na 12) w gub. wołyńskiej, w 1 (na 9) w gub. grodzieńskiej, w 1 (na 12) w gub. kijowskiej, w 4 (na 9) w gub. mińskiej, w 2 (na 11) w gub. mohylowskiej, w 5 (na 12) w gub. podolskiej; w istocie rzecz ze stanowiska antypolskiego przedstawia się o wiele gorzej, olbrzymia bowiem większość wielkich właścicieli Rosyan nie mieszka na miejscu, a zatem i wpływu na bieg spraw ziemskich mieć nie może. Trzeba było zatem wymyślić jeszcze inny sposób ograniczenia znaczenia Polaków. I wymyślono równie oryginalny w dziedzinie arytmetyki, jak prawo określania narodowości przez gubernatorów w dziedzinie prawa administracyjnego. Dodaje się dwie ilości niewspółmierne: odsetek każdej narodowości do odsetka posiadanej przez nią ziemi (w powiecie) i średnia arytmetyczna, tym sposobem otrzymana, daje odsetek radnych danej narodowości w ziemstwie powiatowym. Jeżeli zatem np. ludność polska w powiecie stanowi  $2\frac{1}{2}\%$ , a posiada ogółem 13% ziemi, to odsetek radnych Polaków w miejscowym ziemstwie powiatowym będzie wynosił  $7.75\%$ , czyli na 36 radnych będą Polacy mieli trzech. Ta troska prawodawcy o najniższą jednostkę ziemską—powiat, pochodzi stąd, że



ziemstwa powiatowe wybierają radnych do ziemstw gubernialnych; jeżeli zatem odrazu w ziemstwach powiatowych ograniczona będzie ilość Polaków, to te ograniczenia przejdą z natury rzeczy i do organizacji ziemskich gubernialnych. Zauważyć jeszcze trzeba, że w tych nielicznych powiatach, gdzie nawet przytoczona wyżej pomysłowa arytmetyka nie zdołałaby zapewnić przewagi „Rosyan,” projekt zastrzega odrazu, że większość radnych muszą oni właśnie stanowić.

Wszystkie te ograniczenia wydały się jeszcze autorom projektu zbyt małe, tak dalece obawiano się, aby przy znanym absenteizmie Rosyan i małym ich zainteresowaniu sprawami miejscowemi, mimo wszystko nie kierowali ziemstwami Polacy. Więc obok kuryj narodowościowych przy wyborach do ziemstw powiatowych (dwóch, bo Żydzi z udziału w samorządzie ziemskim są zupełnie wyłączeni) wprowadzono jeszcze te same kurye i przy wyborach do ziemstw gubernialnych. To znaczy, że członkowie rady ziemskiej powiatowej do wyborów dzielą się znowu na dwie grupy, przyczem w powiatach, gdzie Polaków jest więcej, tworzą kuryę osobną, Rosyanie zaś ze wszystkimi innymi tworzą drugą, gdzie zaś Polaków jest mniej, Rosyanie tworzą kuryę osobną; kuryj narodowościowych niema tylko w tych powiatach, w których grupa radnych polskich jest tak nieliczna, że nie przypada na nią ani jeden radny gubernialny. Wobec takich ograniczeń przewidywany jest następujący skład rad ziemskich gubernialnych:

Gubernia		Polaków	Rosyan
Witebska. . . .	radnych	11	44
Wołyńska . . . .	„	12	51
Kijowska. . . .	„	7	67
Mińska. . . . .	„	11	42
Mohylowska. . . .	„	4	51
Podolska . . . .	„	11	52

Rzecz ciekawa, że w istniejących obecnie w powyższych guberniach biurokratycznych komitetach ziemskich liczba członków ich, Polaków, jest wyższa (w gub. witebskiej—14, wołyńskiej—22, kijowskiej—16, mińskiej—20, mohylowskiej—12, podolskiej—18), niż w projekcie obecnego ministerjum. A wniosek stąd, że miejscowe władze gubernialne obawiają się mniej wpływów polskich, aniżeli rząd centralny.

Rady ziemskie powiatowe i gubernialne są organem deliberyującym ziemstw; uchwalają budżety, budowy nowe, otwarcie no-

wych szkół, szpitali i t. d. Organem wykonawczym są obieralne przez te rady zarządy ziemskie, powiatowe i gubernialne, których skład osobisty zatwierdzany jest przez gubernatorów. Ażeby ci czasem nie ulegli pokusie zatwierdzenia na te urzędy Polaków, projekt prawa przepisuje wyraźnie, że przynajmniej połowa członków zarządów (w tej liczbie prezesowie) musi się składać z Rosyan, że przewodniczącymi komisyj ziemskich mogą być tylko Rosyanie. A, ponieważ kandydatów na te stanowiska mogłoby zabraknąć (każdy Rosyanin przekłada służbę państwową nad służbę ziemską, która żadnych specjalnych praw i przywilejów nie zapewnia) ministrowi spraw wewnętrznych nadano prawo nominacyi na te stanowiska osób, nie posiadających cenzusu wyborczego i pochodzących z innych części państwa. Co zaś do płatnych, mianowanych przez zarządy urzędników ziemstw, to projekt przepisuje, że 1) na wszystkie obsadzone na mocy wolnej umowy stanowiska zarządzających poszczególnymi gałęziami gospodarki ziemskiej i samodzielnymi działami biurowości zarządów ziemskich powoływani być mogą tylko Rosyanie, oznaczenie zaś tych stanowisk należy do gubernatora i 2) przynajmniej połowa pozostałych funkcjonaryuszów ziemstw w każdej gałęzi gospodarki powinna być Rosyanami (niektórzy członkowie Rady proponowali ograniczyć do 10% liczbę Polaków).

Taka jest w najogólniejszych zarysach osnowa tego, zupełnie niezwykłego—nawet w państwie rosyjskiem—projektu. Niemniej ciekawe i niezwykłe są losy jego w komisyi. Niestety, brak miejsca pozwala nam na zanotowanie jedynie tylko najważniejszych momentów. Przedewszystkiem, komisya samorządowa pracowała nad nim z gorączkowym pośpiechem, ponieważ w lipcu r. b. upływają terminy pełnomocnictw członków Rady Państwa z Litwy i Rusi; na ten termin więc musi ustawa przejść wszystkie instancje prawodawcze, aby nowych członków mogły wybrać, jak i w innych guberniach, ziemstwa gubernialne, czyli, innymi słowy, aby Polaków zastąpili Rosyanie, o co właśnie i jedynie chodzi. Co do samych obrad komisyi, to zanotować trzeba na samym wstępie przemówienie posła Dymszy, który zwrócił uwagę na sprzeczność całej ustawy z zasadami manifestu październikowego, oraz na podstawie art. 752 t. IX Zbioru Praw zaprotestował przeciw nazwaniu Polaków — *inorodcami*. Dalej, początkowo zaproponowali październikowcy Polakom kompromis na tych zasadach, że ogólna liczba wyborców polskich miała być powiększona prawie w dwójnasób, ale układ nie doszedł do skutku, opinia bowiem nacyonalistów została zaalarmowana pogłoskami o olbrzy-



mich ustępstwach na rzecz Polaków. Całe obrady były przesiąknięte nastrojem obawy nieustannej „intrygi polskiej“; na posłów, mniej interesujących się sprawą, wywarto nacisk, aby podali się do dymisy i na ich miejsca wybierano samych „twardych i pewnych“ ludzi na członków komisji samorządowej. Ale największe *curiosum* stanowi zakończenie sprawy. Nad bardzo, bądź co bądź, skomplikowanym projektem, komisya ta obradowała tylko od 14 marca do 8 kwietnia, po to, aby na zakończenie... odrzucić projekt w całości. Mianowicie, dnia tego, jeden z członków komisji postawił pytanie „czy wogóle należy wprowadzać ziemstwa tego rodzaju.“ Wynik głosowania był zupełną niespodzianką: większość, złożona z Polaków, lewicy i nacyonalistów odpowiedziała na to pytanie przecząco. Projekt rządowy wejdzie zatem pod obrady pełnej izby z uchwałą komisji, aby go odrzucić zupełnie.

Losy jego będą tam bardzo niepewne. Porozumienie październikowców z lewicą musiałoby wprowadzić do projektu zmiany, na które nie zgodziłby się ani rząd, ani Rada Państwa; porozumienie tychże z jeszcze dalej idącymi żądaniami nacyonalistów jest mało prawdopodobne. Więc któż będzie reprezentował od lipca Litwę i Ruś w Radzie Państwa? Niewiadomo.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 7 kwietnia odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym wygłoszone zostały następujące komunikaty: p. Z. Weyberg: „Z badań nad krystalogenezą“; — p. T. Banachiewicz: „O pewnym kryterium w teorii błędów“; — tenże: „O możliwym zakryciu gwiazdy przez Urana dnia 17 kwietnia“; — p. Wł. Gorczyński: „O przebiegu rocznym usłonecznienia w Krakowie“; — p. St. Miklaszewski: „W sprawie klimatu, jako podstawowego czynnika glebotwórczego“; — p. Wł. Gosiewski: „O sposobie poprawiania w rachunku średniej arytmetycznej wartości niewiadomej podejrzanych“; — p. St. Sterling (przedstawiciel p. J. Tur): „Badania nad budową i funkcją kończyn przednich u wielorybów.“

Wydział II-gi w miesiącu kwietniu odbył dwa posiedzenia, a mianowicie: w dniu 1 kwietnia rozpoznawał referaty—p. Lotha p. t. „Przyczynę do poznania przebiegu listewek skórnych na dłoni i stopie u Polaków,“ oraz pana Schreiberera p. t. „Wzrost i ciężar ciała u dzieci chrześcijańskich, żydowskich i karaïmskich w Galicyi.“ Oba referaty przedstawił członek Wydziału p. K. Stołyhwo. Oba referaty wywołały dyskusję, w której brali udział p.p. J. Baranowski, J. Tur, E. Bogusławski i K. Stołyhwo.

Na posiedzeniu w dniu 15 kwietnia, oprócz załatwienia szeregu spraw bieżących, rozpoznano przedstawione przez p. K. Stołyhwę 2 referaty p. Schreiberera p. t. „Klatka piersiowa i kończyny,“ oraz „O mózgowcaszce i twarzy u dzieci chrześcijańskich, żydowskich i karaïmskich.“ W dyskusyi brali udział p.p. T. Wierzbowski, E. Bogusławski, W. Miklaszewski i K. Stołyhwo.

— NOWE MUZEUM I ARCHIWUM. Muzeum przedmiotów sztuki i zabytków piśmiennych, związanych z historią i kulturą Żydów polskich, szczególnie krakowskich, powstanie niebawem w Krakowie za inicjatywą d-ra Tille-



sa, prezesa Rady wyznaniowej izraelskiej. Początek zrobiono dobry; w skarbcu Rady wyznaniowej znajduje się już pewna liczba cennych przedmiotów, będących zawiązkiem przyszłej instytucji.

Dotąd zebrano cały szereg dokumentów historycznych, między nimi rozmaite akta z podpisami własnoręcznymi królów: Zygmunta Augusta, Zygmunta III, Michała Korybuta, Jana III, Jana Kazimierza, Augusta i Stanisława Augusta. Są to przeważnie przywileje i potwierdzenia przywilejów nadanych ludności żydowskiej. Ciekawym jest projekt osobnej ustawy dla Żydów, przygotowany dla Sejmu czteroletniego; na projekcie są poprawki, robione bezwątpienia ręką królewską; król przekreślił cały pierwotny wstęp i napisał nowy własnego pomysłu. Poprawki, widoczne na kilku pierwszych kartach, urywają się w dalszym ciągu.

Oprócz aktów z własnoręcznymi podpisami królów, zebrano szereg dokumentów z podpisami wojewodów krakowskich i wysokich urzędników królewskich, odnoszące się do życia społecznego i ekonomicznego ludności żydowskiej, zamkniętej w osobnej gminie; dokumenty te są również przyczynkiem do historii Krakowa. Między tymi dokumentami jest akt z roku 1616 w sprawie granic między Krakowem a Kazimierzem, akta z podpisem biskupa Myszkowskiego z lat 1627—1638, dotyczące różnych gruntów, oraz wyroki sądów wojewodzińskich z lat 1609, 1610 i 1617. Wspomnieć należy o ciekawym akcie z roku 1791, regulującym stosunki pieniężne między krakowską gminą żydowską a przeorem zgromadzenia ks. ks. Augustyanów. Znalazła się także kopia listu papieża Pawła z roku 1596, biorąca Żydów w obronę przed przesładowaniami z okazji t. zw. „mordów rytualnych.“

Do pięknych zabytków należy manuskrypt hebrajski żargonowy z roku 1560, pisany i podpisany przez szwagra rabina Isserlego, zawierający przepisy co do zachowania się Żydów przy zawieraniu interesów, dalej cztery stare księgi z XVI wieku, tak zwane „Pinakty,“ pisane po hebrajsku, zawierające historię krakowskiej gminy żydowskiej; księgi te wydał już częściowo Wetstein w języku oryginału.

Zabytkiem, którym się zainteresowała nasza Akademia Umiejętności jest Stary Testament, na pergaminie spisany przez Piotra z pokolenia Lewi około roku 1300 dla przełożonego gminy żydowskiej w Ratysbonie. Biblia zawiera cenne ilustracje kolorowane, których wydanie przez komisję historii sztuki Akademii Umiejętności przygotował prof. Maryan Sokołowski. Biblia znajduje się w dobrym stanie; prawdopodobnie przynieśli ją do Polski przybywający stamtąd wychodźcy żydowscy. Z pomiędzy druków zasługuje na uwagę mała ksiużeczka modlitewna, w srebrnej oprawie, ze srebrnymi orłami polskimi.

Z działu zabytków sztuki wymienić należy tarczę na torę z XVII wieku, ofiarowaną przez Mojżesza z Łobzowa, podobne tarcze z XVII i XVIII w., puchar z XVI wieku, ręczki do czytania tory weneckie, północno-niemieckie i polskie, wreszcie bardzo cenne makaty.

Po umieszczeniu w nowym domu Rady wyznaniowej, zbiory będą dostępne dla publiczności.

## NOWE KSIĄŻKI.

— PROF. D-R KAZIMIERZ TWARDOWSKI. *O Filozofii średniowiecznej wykładów sześć*. Lwów, 1910. Nakład H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. str. 138.

Wykłady prof. Twardowskiego o filozofii średniowiecznej podają ogólną charakterystykę i uwydatniają główne cechy, znamienne typy jako też zasadnicze kierunki rozwoju myśli filozoficznej średniowiecza. Jest to dzieło użyteczne nie tylko dla specjalistów; lecz i dla szerszych kół inteligencji, pragnących pogłębić swe wiadomości w zakresie doniosłych zagadnień myśli ludzkiej. Książka znanego uczonego lwowskiego odznacza się przejrzystością wykładu i ścisłością naukową.

— WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI. *Dookoła Sfinksa*. Studya o życiu i twórczości narodu rosyjskiego. (Dookoła sfinksa. Indywidualizm rosyjski i jego odbicie w literaturze. T. Dostojewski wobec nowych prądów świadomości rosyjskiej. Maksym Gorkij. Leonidas Andrejew. Kryzys inteligencji rosyjskiej.) Warszawa, 1910. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka, str. 316.

W szeregu studyów, związanych wspólną ideą, przedstawia autor życie duchowe i twórczość narodu rosyjskiego, ujmując jego psychologię w jej cechach najistotniejszych i najgłębszych. Bada rozmaite objawy umysłowości rosyjskiej w życiu literackim, społecznym, religijnym i t. p.—i wszędzie odszukuje dowody świadczące o tem, że dusza rosyjska znajduje swój najbardziej typowy wyraz w stanach krańcowych apatii i egzaltacji, że jest ona, wskutek tego, siedliskiem licznych sprzeczności, z których rodzi się jej męczeństwo — rozterka bezpłodna. Książka ukazuje się bardzo na czasie.

— HIERONIM WILDER. *Katalog antykwarjatu polskiego № 9*. Heraldyka i wojskowość. Warszawa, 1910, str. 102.

Świeżo wydany katalog znanego antykwarjatu p. Wildera poświęcony został wyłącznie heraldyce i wojskowości polskiej. Znajdujemy tu pierwszorzędne rzadkości bibliograficzne. Wymienimy np. B. Paprockiego „Gniazdo cnoty“ (1578), lub tegoż „Herby rycerstwa“ (1584); A. Swacha „Herby polskie“ (1705); Jabłonowskiego „Tabulae Jablonovianae“ (1748) z dopiskami Ign. Daniłowicza; „Zbiór wszystkich gatunków wojska polskiego w roku 1831“ (dzieło nieznanne Estreicherowi); Piwarskiego „Wnętrze zbrojowni warszawskiej w 4-ch farbnych tablicach“ (1829); dalej spory dział panegiryków i t. d.

## CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— EKONOMISTA. Rok X. Tom I. Warszawa, 1910. Kwartał pierwszy. Treść: Od redakcy;—Konkurs „Ekonomisty“;—Przesilenie monetarne w Polsce



za Augusta III, przez Władysława Konopczyńskiego;—Gospodarka miasta Biecha w XVI i początkach XVII stulecia, przez Romana Rybarskiego;—Ubezpieczenie zwierząt domowych we Francji, przez Stanisława Kozickiego;—Inspektorki fabryczne—wobec wzrostu pracy kobiet w przemyśle Królestwa Polskiego, przez Różę Centnerszwerową;—Kronika ekonomiczna Galicyi;—Bilans klęsk elementarnych w 1908 r. i akcja ratunkowa;—Towarzystwa rolnicze lwowskie i krakowskie, kółka rolnicze w 1908 r.;—Rezultaty parcelacji;—25 lat działalności Banku Krajowego, przez d-ra Zofię Daszyńską-Golińską;—Kronika ekonomiczna zaboru pruskiego: Spółki zarobkowe i gospodarcze w Prusach Zachodnich wobec Spółek w Księstwie Poznańskim;—Życie gospodarcze dzielnicy wielkopolskiej w roku 1908 w świetle sprawozdań inspekcji przemysłowej, przez Emila Casparego;—Jak komisya kolonizuje, przez Józefa M. Pałdzkiego;—Kronika;—Rozbiory i sprawozdania;—Bibliografia.

— HERBARZ POLSKI, wydawany przez Adama Bonieckiego, wychodzi zeszytami miesięcznymi, pierwszego każdego miesiąca. Zeszyt kwietniowy wymienia rodziny, mające prawo używać następujących herbów: Wizele, Wieniawa, Leliwa, Ogończyk, Łada, Poraj, Jastrzębiec, Ślepowron, Wąż i Siostrzeniec. Prenumerować można we wszystkich księgarniach kraju i zagranicą. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie i G. Gebethner i Spółka w Krakowie.

— HOMILETYKA. Miesięcznik. Rok XIII. Marzec, 19.0. Włocławek. Treść: Rozprawy;—Julian apostata i poganizm;—Ks. Zygmunt Golian: Powszeczność Kościoła;—Kazania Katechetyczne;—Kazania na uroczystości Ś. Ś. P. P.;—Kazania na niedziele;—Kazania i przemówienia przygodne;—Adoracya Miesięczna;—Przemówienia do dzieci w dzień pierwszej Komunii św.;—Mowy żałobne;—Bibliografia.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej, pod kierunkiem J. K. Kochanowskiego. Rok 10. № 4. Kwiecień, 1910. Warszawa. Treść: Zagadnienie narodowej polityki;—Krytyka;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

— KULTURA POLSKA. Kwiecień, 1910. Solidarność czynników kultury;—Z polityki;—Obrona Polaków w Cieszyńskim;—Sprawy dzieci i młodzieży;—Pokłosie;—Literatura polska;—Nowe książki;—Z czasopism polskich;—W Tow. Kultury polskiej;—Piotr Górski (wspomnienie pozgonne);—Kronika;—Dary dla Tow. Kultury polskiej;—Odpowiedzi Redakcy;—Ogłoszenia.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo literackie im. Adama Mickiewicza. Lwów. Zeszyt I, 1910. Treść: Rozprawy;—Janik Michał: Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII;—Jankowski Władysław: Geneza i dzieje „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza;—Notatki;—Miaskowski Kazimierz ks.: Z teki bibliograficznej X.;—Simonówna Alicya: Wiersze niemieckopolskie;—Jarecki Kazimierz: Polskie tłumaczenie i przeróbki Anakreonta;—Brückner Aleksander: Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku;—Gubrynowicz Bronisław: Z młodych lat Kazimierza Brodzińskiego (Pobyt w Sulikowie w ro-

ku 1814); — Wasylewski Stanisław: „Mowa o duchu klasycyzmu i romantyzmu w świetle filozoficznym“ (1822); — Szpotanski Stanisław: Pisma Maurycego Mochmackiego; — Materyały; — Jaworski Franciszek: Trzy listy Franciszka Karpińskiego (1792—5); — Kraushar Aleksander: Na odjazd Juliana Niemcewicza do Ameryki (Rok 1803); — Badecki Karol: Nieznany wiersz Aleksandra hr. Fredry; — Recenzje i sprawozdania; — Bibliografia historii i literatury.

— PORADNIK JĘZYKOWY. Miesięcznik. Rocznik X. № 3. Marzec, 1910. Kraków. Treść: W. S.: Z badań nad językiem polskim; — J. Łoś: Przyczyny dwuczłonowości typów morfologicznych; — Zapytania i odpowiedzi; — Ks. J. Ch.: Pokłosie; — T. K., ks. J. Ch.: Roztrząsania; — Z. St.: Krotchwile językowe; — Od Redakcyi.

— PRĄD. Miesięcznik. Rok II. № 3. 1910. Warszawa. Treść: Tadeusz Błażejewicz: My a niekatolicy (Wstęp); — N. Smolińska: Kilka uwag o pracy społecznej kobiet; — Maryan Pachucki: Solidaryzm — zasady i krytyka teoryi; — Wolna Trybuna: (W sprawie burschenschaftów); — Korespondencye: z Lovanium, z Innsbrucka; — Sprawozdania i krytyki: Kwiatki św. Franciszka z Asyżu; — d-r W. Foerster: Chrześcijaństwo i walka klas; — Notatki bibliograficzne; — Przegląd czasopism: Głos o nas; — O prof. W. Lutosławskiego; — Z miesiąca: Przekleństwo złego czynu; — Przeciw rozpucie; — Z sali odczytowej; — Od wydawnictwa; — Informacje; — d-r L. W.: Z ubiegłych wspomnień; — Kronika: Setna rocznica urodzin Chopina; — ś. p. Karol Lueger; — Młodzież akademicka a obchód grunwaldzki; — Uniwersytet na Litwie; — Tajemnica; — Uniwersytet w Bydgoszczy; — „Polonia“ we Fryburgu; — Sprawa uniwersytetu lwowskiego; — Wiec słuchaczek uniw. Jagiellońskiego; — Prowokacja; — Z uniwersytetu petersburskiego; — Z instytutu górniczego; — Rewizye dokumentów szkolnych; — Utrudnienie; — Z życia polskiego w Petersburgu; — Czytelnia polska w Przybramie; — Kolegium polskie; — Nowy rektor uniw. petersburskiego; — Konkursy Akademii Umiejętności; — Odpowiedzi Redakcyi. Dział młodzieży: T. Bojkowski: Do oskarżonych i oskarżycieli; — Stefan Łobacz: Jam lotny ptak; — A. Borkowski: Do Rycerza; — Alf. Dzieciołowski: Wygnaniec; — Jerzy Kamieński: Wychodźcy polscy w Europie; — Wł. Burkath: Gdy widzę; — St. Kociemski: Z nastrojów; — Sprawy młodzieży: Pierwiosnek; — Komunikat ministryum; — Wycieczki uczniowskie a koleje; — Norma procentowa; — Wileński „pasza gimnazjalny“; — Wychowańcy szkół zagranicznych.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Wyjaśnienie i opis. Prace odznaczone na konkursie „Przeglądu Filozoficznego. Rok XIII. Zeszyt I i II, 1910. Warszawa. Treść: Józefa Kodisowa: Wyjaśnienie i opis; — Franciszek Sękowski: Wyjaśnienie i opis; — Adam Zieleniczyk: Wyjaśnienie i opis; — Kazimierz Sośnicki: Wyjaśnienie i opis w badaniach naukowych; — Stanisław Bobiński: Opis i wyjaśnienie w nauce; — Krytyka i sprawozdania; — Władysław Biegański. Traktat o poznaniu i prawdzie, przez M. Borowskiego; — Wiktor Wąsik. Kategorie Arystotelesa pod względem historycznym i systematycznym, przez Wł. Tatarkiewicza; — Władysław Heinrich. Psychologia uczuć, przez Fl. Zanieckiego; — Wł. Heinrich. Johannes Scotus Eringenen i Spinoza, przez Fl. Zanieckiego; — Feliks Młynarski. Socjologia wobec teoryi poznania, przez J. Ko-



disową; — Władysław M. Kozłowski. Przyrodznawstwo i filozofia, przez J. Kodisową; — Marcin Zieliński. Zagadnienia uczucia, przez J. Segalę; — Michał Sobeski. Przędziwo Arachny, przez J. Segalę; — Hermana Lotzego „Zarys Metafizyki“ w przekładzie A. Stögbauera, przez M. Borowskiego; — Michał Montaigne. Wybór dzieł, przez A. Zieleńczyka; — Max Dessoir. Aesthetik und allgemeine Kunstwissenschaft, przez M. Sobeskiego; — Autoreferaty; — Z posiedzeń naukowych; — Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historii. Warszawa, 1910. Tom X. Zeszyt 1. Treść: Władysław Kierst: Wielkorządy Krakowskie w XIV—XVI stuleciu; — Ks. Jan Fijałek: Tarłowie — znamienitego rodu początki i świetność. Cz. II, Tarłowie Zygmuntowscy; — Wł. M. Kozłowski: Kościuszko w West-Point; — Ks. Michał Godlewski: Preliminarya konkordatu z roku 1847; — Ignacy Tad. Baranowski: Próby organizacji w Polsce drobnego kredytu wiejskiego za czasów Stanisława Augusta; — Pierwsze lata rządów Stanisława Augusta w świetle własnych jego pamiętników — Notanda Historica podał do druku S. Gorianow Dyr. Arch. Min. Spr. Zagr. w Petersburgu; — Inwentarz zamku Warszawskiego, sporządzony w roku 1769, podał do druku Kazimierz Marcinkowski (d. c.).

— PRZEGLĄD NARODOWY. Rok III. Tom V. Zeszyt III. Warszawa-Lwów. Marzec, 1910. Treść: Stanisław Kozicki: Polska a sprawa wschodnia; — Lenkas: Stronictwo Litewskie w 1905 r. i stosunek ich do Polaków; — Aleksander Kraushar: Życie potoczne Warszawy w czasach Listopadowych (1830—1831); — Zygmunt Wasilewski: Między poezją a czynem; — J. Siemieński: Historyczne dramaty Nowaczyńskiego; — A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich; — B. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej; — Z prasy; — Spór o człowieka; — Bibliografia.

— PRZEGLĄD POLSKI. Tom 175. № 525. Zeszyt IX. Marzec 1910. Kraków. Treść: Jan Popiel: Wieś dawna a dzisiejsza. Ze wspomnień starego człowieka. I. Chłopi; — Teresa z Potockich Wodzicka: Ze zwierzeń dziewczęcych. Pamiętnik Zofii z Matuszewiczów Kickiej. 1796 — 1822 (ciąg dalszy); — D-r Alfred Halban: Józefa Milewskiego „Zagadnienia narodowej polityki“ (dok.); — D-r Zdzisław Jachimecki: Józef Haydn. 1732 — 1809 (ciąg dalszy); — Konrad Ostrowski: Listy z Francji. XVII (dok.); — \* \* \*: Zimowa sesja sejmowa; — Kronika literacka; — A. E. Balicki: Teatr krakowski; — D-r Zdzisław Jachimecki: Muzyka w Krakowie; — \* \* \*: Przegląd polityczny.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Rok dwudziesty siódmy. Zeszyt 3. Marzec 1910. Kraków. Treść: Ks. J. Pawelski T. J.: Ankieta w sprawie pornografii; — Krystyna Saryusz-Zalewska: Zmartwychwstanie; — Ks. Ch. Schoonjans T. J.: Ostatnie wybory w Anglii; — Ks. Fryderyk Kliński T. J.: Darwin i jego dzieło; — Ks. Karol Felis T. J.: Ostatnie dziesięciolecie archeologii chrześcijańskiej; — Ks. Leonard Lipke T. J.: „Civitas Dei“ w epoce Karola Wielkiego. Wielkie gospodarstwa rolne; — Walery Gostomski: Praca u podstaw w powieściach Orzeszkowej (dok.); — Stanisława Pietraszkiewiczówna: Dzieje Filomatów w zarysie; — Przegląd piśmiennictwa; — Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEGLĄD SĄDOWY I ADMINISTRACYJNY. Rok 35. Luty, 1910. Zeszyt 2. Lwów. Treść: Prof. Jerzy Michalski: Plan finansowy ministra Bilińskiego;— Karol Listowski: Prawo kolejowe (c. d.);— D-r Izaak Kohn, adwokat w Sericie: Wnioski do reformy przepisów procedury cywilnej o rewizyi, odwołaniu i rekursie;—Zapiski literackie;—Odczwa w sprawie stulecia kodeksu cywilnego.

— Kwiecień i Maj, 1910. Zeszyt 4 i 5. Treść: Prof. D-r Marcei Chłamtacz: O extensyi prawa zastawu na owoce rzeczy w prawie rzymskiem i cywilnem prawie niemieckiem;— Prof. Władysław Leopold Jaworski: Reforma gminna w nauce a polityce;— Prof. Jerzy Michalski: Plan finansowy ministra Bilińskiego;—D-r Jan Spyra: Weksle zgasły;—Zapiski literackie;—Kronika.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Rok XXXVIII. Zeszyt 1. Styczeń, 1910. Lwów. Treść: Franciszek Szymusik: Julian Dunajewski. Jego poglądy ekonomiczne i skarbowe i działalność ministerialna. Szkic z dziejów skarbowości austriackiej;— D-r Kazimierz Hartleb: Stosunki Kalwinów polskich z gminą szwajcarską. Fragment z dziejów reformacji polskiej;—G. Smólski: Orawa i jej ludność polska;—Włodzimierz Zazula: Felicyan Medard Faleński. Studium Literackie;—Alojzy Winiarz: Z dziejów archiwum namiestnictwa we Lwowie;—Wacław Jaskłowski: Żarnowiec i jego okolica. Zarys historyczno-etnograficzny;—G. Smólski: Kronika literacka.

— Zeszyt II. Luty, 1910. Tom XXXVIII. Treść: Franciszek Szymusik: Julian Dunajewski. Jego poglądy ekonomiczne i skarbowe i działalność ministerialna. Szkic z dziejów skarbowości austriackiej;— Aleksander Kraushar: Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III. Z dyaryusza rękopiśmiennego;— G. Smólski: Orawa i jej ludność polska;—Włodzimierz Zazula: Felicyan Medard Faleński. Studium literackie;—Alojzy Winiarz: Z dziejów archiwum namiestnictwa we Lwowie;—Wacław Jaskłowski: Żarnowiec i jego okolica. Zarys historyczno-etnograficzny;—Mieczysław Offmański: Układy o poddanie Warszawy. Głos gen. Prądzyńskiego z dn. 9 września 1831 r.

— PRZEWODNIK OŚWIATOWY. Organ Towarzystwa Szkoły Ludowej. Rok X. № 1. Styczeń 1910. Kraków. Treść: St. Natanson: W sprawie Daru Grunwaldzkiego. Dom ludowy w Krakowie;— D-r I. Steinberg: O przymusowem wychowaniu nieletnich przestępców i wychowaniu ochronnem zaniedbanej młodzieży;—D-r M. Stępowski: Wypożyczalnia przezroczy T. S. L.;—X. A. Walenta: Dom polski T. S. L. w Grzymałowie;—Kóło Kobiet Polek w Kijowie;—Z przeglądu prasy;—H. Orsza: W sprawie polskiego dorobku wychowawczego;—J. Magiera: Praca oświatowa u obcych. Działalność czeskiego Svazu Osveťového;—Udział Polski w III Międzynarodowym Kongresie higienicznym w Paryżu;—Sztuka a dziecko;—Kronika;—Dział sprawozdawczy T. S. L.

— RZECZPOSPOLITA. Dwutygodnik polityczny. 19 marca 1910 r. Lwów. Większość p. Namiestnika;—Stan finansów krajowych;—Obchód Grunwaldzki;—Wiadomości polityczne;—Uniwersytet lwowski;—Parcelacya w Galicyi;—Germanizacya miast;—Wilno i Kijów;—Świętochowski i Aleksiejew;—D-r Lueger;—Bank przemysłowy;—Pomysłowy redaktor;—Były kolega uniwersytecki;—Prze-



gląd prasy ruskiej;—Książki, broszury, wydawnictwa;—Ilu jest Kaszubów?—Prasa w Alzacy;—Polacy w służbie francuskiej;—Kronika.

— SPRAWOZDANIA z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Rok III. Zeszyt I. Styczeń, 1910. Wydział językoznawstwa i literatury. 1. Posiedzenie z dn. 5 stycznia 1910 r. Ign. Chrzanowski: Charakter encyklopedyczny kroniki Kadłubka. Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii. № 1. Posiedzenie z dn. 7 stycznia 1910 r. Karol Lutostański: Charakter władzy męzowskiej w prawie u nas obowiązującym;—Zofia Daszyńska-Golińska: Współczesny rozwój ludności w świetle teorii. № 2. Posiedzenie z dn. 21 stycznia 1910 r. Aleksander Kraushar: Litwa na Radzie Senatu w Lublinie 1503 r. za Aleksandra Jagiellończyka. Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. № 1. Posiedzenie z dn. 13 stycznia 1910 r. Przemowa inauguracyjna doroczną. Jan Tur: O podstawach teoretycznych embriologii anormalnej. Komunikaty: Józef Eismond: Wyniki badań eksperymentalnych nad rozwojem jaj ryb spodoustych;—Ludwik Silberstein: Niezmienniki fal Roentgena;—Z. Weyberg: Biotyty granitów, lamprofirów, bazaltów i syenitów;—St. Landau: Spostrzeżenia nad promieniotwórczością atmosferyczną w okolicy Ojcowa i Olkusza;—Leon Lichtenstein: O niektórych zastosowaniach teorii równań liniowych;—W. Sierpiński: Przyczynek do teorii szeregów rozbieżnych;—S. Kosińska: Dostrzeżenie aberracji względnej minimumów Algola. Od redakcyi.

— Luty, 1910. Zeszyt 2. Treść: Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii. № 3. Posiedzenie z dnia 4 lutego 1910 r. Edward Bogusławski: Podanie o Piaście, zapisane w kronice tak zwanego Gallusa (Mnicha Anonima) i legenda o ś. Germanie;—Wł. Konopczyński: Dyplomacya europejska na drodze do pierwszego podziału Polski 1759—61. Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. № 2. Posiedzenie z dnia 3 lutego 1910 r. Wł. Gosiewski: O zasadzie indukcji według teorii prawdopodobieństwa;—F. Kucharzewski: Piśmiennictwo techniczne polskie. Inżynieria z miernictwem. J. Eismond: Badania doświadczalne nad rozwojem ryb spodoustych (Ciąg dalszy);—T. Banachiewicz: Sposób wyznaczenia spłaszczenia Wenery i czasu jej obrotu dookoła osi;—Z. Lorce i T. Wolski: Nowy gatunek z rodzaju Strzebla (Ph. Agas). Strzebla przekopowa (Phoxiulus Dybowski spec. nov?);—Od redakcyi.

SLOVANSKÝ PŘEHLED. Číslo 4.—č. Ročník XII. Sešit 3. K. Praga, 1910. Ze slovanské poesie. František Kvapil: Z nové poesie polské. Leopold Staff: Metafory. Na podzim Oděvy lásky. Zvony. Pozvání. Humoreska. V podzimním slunci;—Jaromír Borecký: Z nejnovější poesie slovinské;—Oton Zupancić: Samogovori. Muž na pohorku. Tobě Večerní nálada. Přichází. Tiše mrak. Poetovi. Pani. Hosti. Monolog. Zimní noc. Rybník. Noční zahrn;—Články;—Dopisy;—Rozhledy a zprávy;—Literatura, umění.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Miesięcznik. Rocznik VI. Tom I. № 63. Marzec, 1910. Kraków. Rosya a Polska wobec Słowiańszczyzny;—Jerzy Nikodem: Słowieńcy wobec illiryzmu;—W. R. Wegnerowicz: Początki dramatu chorwac-

kiego;—Stanisław Warcholik: Uwaga o renegactwie w Cieszyńskim;—Edmund Kołodziejczyk: Z przeszłości słowianofilstwa w Polsce (z lat 1868—1871);—Przegląd prasy słowiańskiej: Z prasy ruskiej, czeskiej, słowackiej, słowieńskiej, chorwackiej i serbskiej;—Kronika.

— ZARZEWIE. Czasopismo młodzieży polskiej. Lwów. Styczeń, 1910. Rok 1. № 1. Treść: \*:\*: W rocznicę; — \*:\*: W pięciolecie bojkotu; — A. Z. Sienkiewicz: Hymn młodości; — M. K.: Młodzież wobec kultu Słowackiego; — B. Jawnut: U progu nowych zagadnień;—M. Z. K.: Młodzież i szkoła, dawniej a dziś;—Korespondencye (Kraków, Warszawa); — Z pism młodzieży; — Oceny i sprawozdania;—Kronika.

— ŻYCIE ROBOTNICZE. Miesięcznik poświęcony rozważaniu spraw robotniczych. Rok IV. № 2. Luty, 1910. Warszawa. Dział społeczno-ekonomiczny;—Dział literacki i naukowy;—Sprawy i walki zawodowe;—Przegląd spraw robotniczych w kraju;—Przegląd spraw robotniczych zagranicą.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

BANK ZWIĄZKU SPÓLEK ZAROBKOWYCH W POZNANIU, z czynności w roku 1909 dwudzieste czwarte roczne sprawozdanie.

BEZIMIENNY: Pieśń uwodziciela. Powieść. Warszawa, 1910. Nowości literackie, tom XXXIII. Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego.

BISWACK S.: Siła, zdrowie i piękność ciała. Wskazówki rozwijania i wzmacniania układu mięśniowego za pomocą ćwiczeń ciężkimi lekkimi. Przełożył z niemieckiego D-r I. P. Z 10 rysunkami w tekście. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1910.

DZIEDUSZYCKI WOJCIECH, Hr.: Dokąd nam iść wypada? Lwów—Brody, 1910. Nakładem księgarni Feliksa Westa. Warszawa, E. Wende i S-ka.

FROMER JAKÓB, D-R: Tekst babiloński Talmudu. Charlottenburg 4, 1910.

GAWALEWICZ M.: Gąbka. Opowieść ze wspomnień redakcyjnych. Nakładem M. Arcta. Warszawa, 1910.

GIMNASTYKA PŁUC bez przyrządów, podług układu D-ra M. Schrebera, opracowana przez D-ra R. Kochendorfa, przełożył z niemieckiego D-r I. P. Z 13 rycinami w tekście. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1910.

GRABOWSKI TADEUSZ: Juliusz Słowacki, jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki. Tom pierwszy. Kraków, 1909. G. Gebethner i S-ka.



GROTOWSKI ŻELISŁAW: Rozwój zakładów dobroczynnych w Warszawie. Warszawa, 1910. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

HALL CAINE: Biały prorok. Przełożyła z oryg. angielskiego D-r F. N. Lwów, 1909. Nakładem lwowskiej Spółki wydawniczej i drukarskiej.

HELPERN M.: Co to są komety i czem one grożą? Z 25 rysunkami w tekście. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1910.

— Balony i aeroplany. Wykład popularny głównych zasad aeronautyki i awiatyki, ze 100 rysunkami w tekście. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1910.

HOJNACKI WŁADYSŁAW, D-R: Hygiena kobiety. Wydanie III, powiększone, z 26 rysunkami w tekście. Księgarnia M. Arcta. Warszawa, 1910.

JANIK MICHAŁ: Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII. Lwów. Nakładem Towarzystwa Lit. im. A. Mickiewicza, 1910.

JAROSZ MIECZYŚLAW: Ślążk Cieszyński. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków. Skład główny: Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

JAWORSKI ROMAN: Historje maniaków. Kraków, Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

KALLAS A.: On i oni wszyscy. Powieść. Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

KOMARNICKI LUCYUSZ: Dotychczasowy stan stylistyki polskiej i najważniejsze postulaty jej na przyszłość. Odczyt wygłoszony na posiedzeniu sekcji języka polskiego W. P. Z. N. Odbitka z „Nowych Torów.“ Warszawa, 1910.

LUTOSŁAWSKI WINCENTY: Ludzkość odrodzona. Wizje przeszłości. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— Początki filozofii greckiej od Thalesa do Demokryta i Sokratesa. Drugie wydanie odbite z wykładów Jagiellońskich. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1910.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Wspominki. Z dni historycznych kart kilka; z ilustracyami. Warszawa, 1910. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

MAKUSZYŃSKI KORNEL: W kalejdoskopie. Studya. Okładka wedle rysunku Stanisława Dębickiego. Lwów, 1910. Nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

MICIŃSKI TADEUSZ: Nietota. Księga tajemna Tatr. Warszawa, 1910. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich.

RUDNIAŃSKI S.: Pogadanki filozoficzne. Wydawnictwo „Wiedzy.“ Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki. Warszawa, 1910.

SIEROSZEWSKI WACŁAW: Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacz. Wydanie II. Kraków, Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

SPRAWOZDANIE Komitetu Warszawskiego Muzycznego za rok 1909. Warszawa, 1910. Druk K. Kowalewskiego.

STUDNICKI WŁ.: Finlandya i sprawa finlandzka. Spółka nakładowa „Książka,” Kraków. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

SZYJKOWSKI MARYAN, D-R: Wykrzyk i pytanie retoryczne w poezjach młodzieńczych Juliusza Słowackiego (1826–33). Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej.

VÖLKER KARL, D-R PHIL.: Der Protestantismus in Polen auf Grund der einheimischen Geschichtsschreibung. Lipsk, 1910.

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe Biuro statystyczne, pod redakcją D-ra Tadeusza Pilata. Tom XXII. Zeszyty I i II. Skład wyznaniowy i zawodowy Rad gminnych. Wydatki i dochody gmin podlegających ustawie 1866 r. Część I. Opracował D-r St. Kasznica. Lwów, 1909.

ZNANIECKI FLORYAN: Zagadnienie wartości w filozofii. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego.” E. Wende i S-ka.

ZIMMERMANN K., KS. D-R: O społecznych zadaniach i potrzebie organizacji nauczycielek. Poznań. Nakładem autora. Księgarnia św. Wojciecha G. m. b. H.

„ŻÓRAWCE” (Księga zbiorowa). Wilno, 1910. Nakład autorów. Złożono i odbito w drukarni Józefa Zawadzkiego.



---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

---